

M a r c i n
G R Y G I E R

CZY ZDARZA CI SIĘ
ODWRACAĆ WZROK
OD LUDZKIEJ KRZYWDY?
A MOŻE PRZECIWNIE
— LUBISZ PATRZEĆ?



**NIE PATRZ
W TAMTĄ STRONĘ**

Prószyński i S-ka

lesiojot

M a r c i n
G R Y G I E R

**NIE PATRZ
W TAMTĄ STRONĘ**

Prószyński i S-ka

Copyright © Marcin Grygier, 2016

Projekt okładki
Luiza Kosmólska

Zdjęcie na okładce
© Mark Owen/Arcangel

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta
Katarzyna Kusoń
Agnieszka Ujma

ISBN 978-83-8097-423-4

Warszawa 2016

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

Krysi

PROLOG

Ocknęła się. Była odrętwiała. Mimo wszechobecnego śniegu nie było jej zimno. Czowała tylko tysiące igieł powbijanych w każdy centymetr ciała. Spróbowała się ruszyć. Nic z tego. Jakby nagle przygniótł ją jakiś potężny ciężar. Dusiała się. Desperacko otwierała usta, aby wciągnąć do płuc ożywcze powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

Gdzie ja jestem? Co się stało? Dlaczego nie mogę się poruszyć? Dlaczego nie mogę oddychać? Co jest, kurwa, grane...?

Dziesiątki pytań. I żadnej sensownej odpowiedzi.

Nie czuła, że drży. Nie czuła nic poza zapachem i tym przeklętym mrowieniem, potęgującym trwogę. Próbowwała w myślach odtworzyć ostatnie wydarzenia, ubrać je w jakiś obraz, który mogłaby zidentyfikować. Jedyne, co pamiętała, to właśnie zapachy. Pierwszy był podobny do czegoś sztucznego, nienaturalnego. To była chyba guma. Jej woń mieszała się z nutą czegoś, co kojarzyła ze stacją benzynową lub warsztatem samochodowym. Olej lub inny smar wykorzystywany w pojazdach mechanicznych. Zaraz potem był odór spalin. Wcześniejsze, nieprzyjemne zapachy zastąpiło coś innego. Coś świeżego i zimnego. Tę ostatnią woń znała doskonale. Kojarzyła się jej z miejscem, które znała i kochała. Las. Zapach ośnieżonych sosen, metaliczne, przyjemnie drażniące nozdrza powietrze.

Z nieczłowieckim wysiłkiem uniosła głowę na tyle, aby stwierdzić, że rzeczywiście jest w lesie. To miejsce nie było jej obce. Rozpoznała je od razu. Znała je bardzo dobrze. Chwilę później przyszedł strach. Paniczny lęk. Przerazenie zwierzęcia złapanego w sidła. Wola przetrwania. Wyrwać się! Uciec stąd! Wrócić do domu.

Instynktownie wyczuła, że nie jest sama. Pierwszy odruch

przyniósł ulgę. Sekundę później uzmysłowiła sobie, jak bardzo się myliła. Wydarzenia z ostatnich godzin klatka po klatce, jak w zwolnionym filmie, zaczęły wyświetlać się przed jej oczami. Po policzkach popłynęły łzy, by zmieszać się z brudnym śniegiem. Spod jej ciała zaczęła wypełzać żółta, parująca plama. Chwilę później nie było już ani strachu, ani buntu. Nie było nic.

ROZDZIAŁ 1

Lasecki był poukładanym człowiekiem. Takim z zasadami. Czarne to czarne, a białe to białe. Przez całe życie twierdził, że ustalony harmonogram dnia, tygodnia, miesiąca trzyma człowieka w ryzach i chroni od złego. Lasecki był przyzwoity. Lubił spacerować. Długie, samotne wycieczki. Zabierał na nie psa.

Lasecki miał żonę. Od trzydziestu pięciu lat tę samą. Podczas nocy poślubnej, po hucznym weselisku, mocno zakrapianym pędzonym w okolicy bimbrem, kiedy nastąpiła chwila skonsumowania świeżo przypieczętozanego związku, Lasecki zaniemógł. Pani Lasecka wczesnym rankiem wyraźnie i zdecydowanie przedstawiła mężowi swoją wizję ich pożycia. Pierwszym i najważniejszym punktem na liście zasad był alkohol, a konkretnie jego wyeliminowanie. Lasecki stroszył pióra przez jakiś czas, bezskutecznie usiłując udowodnić, że to on tu rządzi. Koniec końców, pogodził się ze swym losem, który, jak sam w duchu stwierdził, nie był taki zły. Lasecki żył pod pantoflem pani Laseckiej. Wraz z upływem lat pantofel stawał się coraz cięższy. Ich wspólne życie z roku na rok upodabniało się do piekła. Lasecka nie mogła się pozbyć uczucia zawodu. Powoli zaczynała sobie zdawać sprawę, że nienawidzi swojego małżonka. Nie spłodził syna ani córki. Nie mieli wnuków. Byli sami. Lasecka obwiniała go za wszelkie zło i nieszczęścia tego świata. Lasecki powinien był odejść lata temu. Zrobiłby to, gdyby miał jaja. Niestety był tchórzem. Nie odszedł. Zamiast tego po prostu wychodził. Brał psa i godzinami włóczył się po lesie. A las był ogromny. Rósł niedaleko domu Laseckich. W zasadzie to tuż za płotem.

Było niedzielne styczniowe południe. Niezbyt zimne, przynajmniej według wskazania termometru, ale wilgoć w powietrzu robiła swoje. Wysłuchawszy po raz setny litanii żalów żony, Lasecki założył ciepłą kurtkę i solidne,

wodoszczelne buty, a później zawołał psa i wyszedł do lasu. Niebo miało brudnoszary odcień. Przy dodatniej temperaturze pierwszy w tym roku śnieg powoli się topił, przechodząc w mokrą bryłę. Pogoda nie miała znaczenia. Ważne były cisza i samotność. Te dwie rzeczy las mu zapewniał.

Dwuletni posokowiec bawarski był psem wszędobylskim i pełnym wigoru. Podczas spaceru pokonywał kilkakrotnie większy dystans niż jego pan. Nierzadko zdarzało mu się też pognać za sarną i zniknąć z oczu swojego pana na kilkanaście minut. Tym razem jednak nie było ani sarny, ani innego leśnego zwierzęcia, a mimo to pies pognał na lewo od ścieżki. Nagle stanął, ujadając na coś zawzięcie.

Lasecki ruszył w jego stronę. Ciekawość przeważyła niechęć do brodzenia w głębokim śniegu. Odgarniając rękami gałęzie i nie bacząc na wpadający do butów śnieg, z mozołem szedł w kierunku szczekającego psa.

Przez chwilę nie wiedział, na co patrzy. Gdy w końcu się zorientował, na jego butach wylądowała cała zawartość żołądka.

ROZDZIAŁ 2

Nadkomisarz Roman Walter spał. Dochodziła czternasta. W niedzielę mógł sobie na to pozwolić. Poprzedniego dnia był „na resecie”. Jak w prawie każdą sobotę przez ostatnie dwa lata. Mieszanka piwa, wódki, a czasem też paru kresiek na kilkanaście godzin skutecznie kasowała wszystko to, o czym desperacko pragnął zapomnieć. Przez dziesiątki weekendowych nocy ponad czterdziestoletni organizm Waltera był częstowany zabójczymi dawkami przeróżnych używek. Już dawno powinien się poddać, ale jakby na przekór swojemu właścicielowi kurczowo trzymał się życia. Mimo wszystko.

– Roman! Romek! Obudź się! – Ktoś uparcie próbował się wedrzeć do jego głowy. Podkomisarz Alicja Danysz, jeden z członków zespołu Waltera, a prywatnie jego przyjaciółka, od kilku minut z mizernym skutkiem próbowała przywrócić swojego szefa do świata żywych. – Roman, wstańże, kurwa!

Kawalerka Waltera na warszawskim Powiślu urządzona była skromnie, choć ze smakiem. Jedyny pokój był umeblowany sprzętami zabranymi z poprzedniego mieszkania – ładnego, jasnego apartamentu, który był już tylko wspomnieniem wcześniejszego, innego życia. W kuchni, wyposażonej w prosty zestaw z Ikei, wałały się sterty brudnych naczyń i kartonów po pizzy. Pudła po zakupach spożywczych zamawianych w sklepach internetowych pełniły rolę dodatkowych koszy na śmieci.

– Ja pierniczę, ale masz tu syf!

Pod tym względem Alicja diametralnie różniła się od Waltera. Jej sterylnie czyste mieszkanie, w którym każda rzecz była zawsze na swoim miejscu, wprawiało w osłupienie niejedną perfekcyjną panią domu.

– Romuś, no proszę cię! – weszła na błagalne tony. – Ocknij się, na Boga!

Była bliska rezygnacji. W ostatnim akcie desperacji energicznym ruchem zerwała z Waltera kołdrę. Mogła sobie na to pozwolić, mimo iż formalnie był jej zwierzchnikiem. Znali się od lat. Niejedno wspólnie przeżyli – i w pracy, i poza nią. Nigdy jednak nie była to relacja damsko-męska. Byli dla siebie jak brat i siostra albo raczej jak dwóch braci. Mimo tej specyficznej zażyłości na gruncie służbowym obowiązywał ich, według niepisanej, aczkolwiek restrykcyjnie przestrzeganej umowy, profesjonalny zawodowy dystans.

Jak ona tu weszła? – zaczął się zastanawiać. Czy dałem jej klucze?

– Nie pamiętam, żebyśmy się umawiali na śniadanie – powiedział, czując, jak przez jego gardło przedziera się drut kolczasty.

Alkoholowo-tytoniowy kac bezlitośnie przeganiał resztki snu. Pulsujący w skroniach ból i suchość w ustach na dobre rozbudziły komisarza. Weteran sobotnich nocy nie zapomniał o szklance wody oraz dwóch aspirynach przygotowanych zawnazas na szafce nocnej. Nawyk ten był tak mocno utrwalony, że nawet gdy Walterowi zdarzało się nie pamiętać, gdzie kończył imprezowanie i jakim cudem docierał do własnego łóżka, szklanka wody i aspiryna zawsze były na swoim miejscu.

– Mamy sprawę. – Alicja była niewzruszona. – W Puszczy Kampinoskiej znaleziono ciało. Zbieraj się, musimy tam jechać. – Walter usiadł na skraju łóżka. Odchrząknął. Dźwięk, jaki dobył się z jego tchawicy, przypominał plask mokrej szmaty spadającej na posadzkę. Sięgnął po szklankę i duszkiem wypił wodę z aspiryną. – Stary chce, żebyś się tym zajął – Ala kontynuowała monolog. – To chyba nie jest pospolite morderstwo. Podobno trzeba było cucić dwóch mundurowych po tym, co zobaczyli.

– Niech to szlag... Dobra, najpierw muszę się wykapać – mruknął Walter, klnąc w duchu na naczelnika Rymarskiego i bar, w którym spędził sobotni wieczór i większą część nocy. – Daj mi dziesięć minut. A co z Maćkiem?

– Jest już na miejscu.

– Zrobisz kawę? Myślę, że nam się przyda – rzucił, zanim zamknął za sobą drzwi łazienki.

– Jasne – odparła Alicja. Nie dodała, że szczególnie jemu potrzebna jest kofeina.

Podeszła do okna i rozsunęła żaluzje. Trochę dziennego światła nie zaszkodzi. Za oknem rozpościerał się mało ciekawy widok na blok i niewielki skwer. Na ławeczce siedziało dwóch mężczyzn, sądząc po przygarbionych sylwetkach i staromodnych płaszczach – emerytów. Starszuskowie musieli być niezłe zahartowani, skoro znosili chłód styczniowego ranka. Jakby to było móc znaleźć się na ich miejscu? – zastanawiała się. Nie myśleć o tych wszystkich kłopotach, o tym, że za chwilę znów zobaczą śmierć, o tym, dlaczego mimo już dawno skreślonych trzech krzyżyków nie ma przy mnie nikogo na stałe... Ich zmartwienia są takie... mało ważne. Pewnie będąc u schyłku drogi, człowiek nie martwi się już o to, jak będzie wyglądała druga połowa jego życia. U schyłku drogi? Przecież to bez sensu! Co ja wymyślam?! Alicja otrząsnęła się, jakby zrzucała z siebie niewidzialne pająki.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos otwierających się łazienkowych drzwi. Walterowi, tak jak zapowiedział, wystarczyło dziesięć minut. Zimny prysznic, golenie, krople do oczu i krem nawilżający. Obowiązkowy poranny zestaw łazienkowy sprawił, że przed Alicją stanął zupełnie inny mężczyzna niż ten, którego kilkanaście minut temu niemalże siłą wyciągnęła z łóżka. Żaden kosmetyk jednak, nawet napakowany enzymami, lipidami czy Bóg wie czym jeszcze, nie był w stanie zamaskować pogłębiających się worów pod głęboko osadzonymi oczami mężczyzny ani wielkich bruzd zaczynających się u nasady nosa, a kończących w okolicach podbródka. Uwagi Alicji nie uszło także, że Walter ostatnio przytył. Co prawda, nigdy nie był typem macho z kaloryferem na brzuchu i bicepsami, na których opinały się rękawy koszuli, lecz daleko mu było do typu faceta siedzącego w fotelu z pilotem od telewizora w jednej ręce i puszką piwa w drugiej. Teraz wyraźnie widziała, jak niepokojący fałd wypływa z nad paska jego spodni. Tylko włosy były jak dawniej. Gęste, lekko

falujące, zaczesane do góry, w ciepłym, wpadającym w brąz odcieniu, które w zestawieniu z zielonymi, wręcz szafirowymi oczami niejedną kobietę potrafiły przyprawić o dreszcz emocji. Alicja przyznała w duchu, że mimo wielu wysiłków podejmowanych przez Waltera w celu zrujnowania zdrowia i urody nadal jest on całkiem przystojnym facetem. Mogła mu wiele wybaczyć, gdyż od lat była w nim beznadziejnie zakochana. Poza nią nikt nie wiedział, jak głębokim uczuciem darzyła Waltera. Niezłomnie, z żelazną konsekwencją tłumiała te emocje, przekonana, że nie ma wyboru.

Walter wypił duszkiem kawę i ruszyli w stronę wyjścia.

– Nie widziałaś gdziej mojej komórki? – zapytał, obmacując nerwowo kieszenie kurtki.

– Szafka pod lustrem. – Alicja kiwnęła głową w stronę mebla.

Podniósł telefon i zauważył, że ma nieodebraną wiadomość. Na ekranie telefonu pojawił się link do strony internetowej wraz z nic mu niemówiącym tekstem. W polu „nadawca” zamiast imienia wyświetlał się komunikat „numer niezidentyfikowany”.

– Pieprzony spam – zaklął pod nosem.

Usunął wiadomość i zamknął za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ 3

W niedzielne popołudnia warszawskie ulice zwykle oddychały głębiej. Pięciodniowi warszawiacy siedzieli u siebie na prowincji, a ci, którzy mieszkali w stolicy przez siedem dni w tygodniu, albo jedli obiad, albo właśnie się budzili po sobotnich melanzach. Niezależnie od przyczyny ulice, jak na warszawskie standardy, były praktycznie puste.

Po szybkim prysznicu i jeszcze szybszej kawie wsiedli do służbowej octavii. Alicji nawet przez myśl nie przemknęło, żeby dać Walterowi kluczyki.

– Dokąd dokładnie jedziemy? – zapytał, mocując się z pasem bezpieczeństwa.

– Do Puszczy Kampinoskiej. – Na dźwięk tych słów coś wewnątrz Waltera się obudziło. Na krótką jak mgnienie oka chwilę wróciły wspomnienia z poprzedniego życia. Życia, o którym tak bardzo chciał zapomnieć. – W porządku? – zapytała Alicja. Wiedziała, że nie jest w porządku. I wiedziała, jaka jest tego przyczyna.

– Tak. Jedźmy już.

Dojazd na miejsce zajął im dwadzieścia minut. Niewykonalne w środku tygodnia. Przy wjeździe do lasu czekał na nich jeden z mundurowych.

– Dzień dobry. – Sierżant zasalutował. – Kazano mi zaprowadzić was na miejsce.

– Cześć, sierżancie. – Walter przedstawił się i podał mu rękę.

– Pani za kierownicą to podkomisarz Danysz. Proszę usiąść z tyłu. Daleko do celu?

– Dwa, może trzy kilometry. Kawalek trzeba będzie przejść. Octavia chyba nie da rady w tym błocie i śniegu.

Już z daleka zobaczyli policyjne radiowozy. Wśród

mundurowych dostrzegli też Maćka. Aspirant Maciej Krępy bynajmniej nie wyglądał tak, jak sugerowało jego nazwisko. Był to niespełna trzydziestoletni, chudy jak patyk gość o fizjonomii zadeklarowanego hipstera, dodatkowo podkreślonej okularami w rogowej oprawce, jakby żywcem przeniesionymi z lat sześćdziesiątych minionego wieku.

Teraz dodatkowo Maciek miał trupioblada twarz. Coś w jego wyglądzie nie pasowało Walterowi. Papieros. Aspirant Krępy nerwowo zaciągał się papierosem, by po chwili wypuścić z płuc kłęby dymu. Walter uzmysłowił sobie, że nigdy nie widział go palącego. Poczul lekki niepokój.

– Cześć, Maciek. – Wyciągnął rękę na powitanie i wyraźnie wyczuł drżenie jego dłoni.

– Dzień dobry, szefie.

– Co my tu mamy?

– Niech szef sam zobaczy. Musimy pójść jakieś trzysta metrów w stronę tych krzaków. – Krępy wskazał ręką na lewo od ścieżki. – Jakiś pieprzony hollywoodzki horror.

Ofiara leżała na brzuchu. Skóra zdążyła już zsinieć pod wpływem niskiej temperatury. Kończyny nie były skrepowane. Nogi i ręce ułożono jak na słynnym obrazie da Vinci – tym z człowiekiem w okręgu. Ciało było zupełnie nagie i... niekompletne. Brakowało głowy. W miejscu, w którym powinna się znajdować, leżał koński łeb. Śnieg wokół niego barwiła brunatna czerwień.

W ciągu trzech godzin od telefonu Laseckiego na miejscu zdarzenia pojawili się wszyscy. Prokurator sprawiał wrażenie, jakby mógł oddać wszystko, żeby tylko urwać się stąd i wrócić do domu. Lekarz, ściągnięty chyba z najbliższego szpitala, ograniczył się do stwierdzenia faktu oczywistego, że kobieta nie żyje i – co nie było już takie oczywiste – że zgon nastąpił prawdopodobnie nie więcej niż dwadzieścia cztery godziny temu. Walter, nieszczególnie zaskoczony, pogodził się z faktem, że obecny na miejscu zdarzenia medyk niewiele wniesie do sprawy. Miał też cichą nadzieję, że współpraca z prokuraturą

potoczy się w dobrym kierunku i obie instytucje nie będą sobie wzajemnie przeszkadzać. Policijni technicy wykonali swoją robotę. Martwa kobieta, zapakowana do czarnego worka na zwłoki razem z makabrycznym czerepem, została przewieziona do prosektorium.

– Nic tu po tobie, Maciek – rzucił Walter. – Zasuważ do wioski i pogadaj z mieszkańcami. My rozejrzemy się po okolicy. Za dwie godziny spotykamy się w firmie.

– Jasne, szefie. – Aspirant Krępy odwrócił się i ruszył w stronę samochodu. Zanim odjechał, wychylił się jeszcze przez otwarte okno i zapytał: – A co z gościem, który ją znalazł? Zwijamy go na komendę?

– Przepytaj go jeszcze raz i poucz, żeby na razie nigdzie dalej nie wyjeżdżał. Będzie nam potrzebny, to go zaprosimy. Wiesz, co robić.

Błogosławiąc w duchu Waltera, Maciek wrzucił bieg i ruszył przed siebie. Zmierzając w kierunku wioski, nie po raz pierwszy w swej kilkuletniej karierze zaczął rozmyślać nad trafnością wyboru ścieżki zawodowej. Tym razem jednak wyjątkowo nie miało to nic wspólnego z kwotą, jaka co miesiąc zasilala jego konto.

ROZDZIAŁ 4

Tego samego dnia cała trójka spotkała się w gabinecie Waltera. Kilka minut później dołączył do nich obecny na miejscu oględzin Filip, technik z laboratorium kryminalistycznego. Walter cenił go jako zdolnego i spostrzegawczego specjalistę, który wnosił wiele cennych spostrzeżeń do prowadzonych spraw. Filip bez oporów zgodził się na spotkanie mimo i tak zarwanej niedzieli.

– Maciek, co tam na wiosce? – zagał Walter bez zbędnych wstępów.

– Nic szczególnego, szefie. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Psy tej nocy nie ujadły bardziej niż zwykle. Jedyne grupa wyrostków wracających z imprezy w remizie tłukła butelki na przystanku autobusowym, ale podobno to też nic nadzwyczajnego. U nich tak co sobotę.

– Może któryś z tych gówniarzy coś widział? – zapytała Alicja.

– Też mi to przyszło do głowy. Nawet zdobyłem parę nazwisk. Ale żadnego z ich właścicieli nie zlokalizowałem.

– Pojedź tam jutro jeszcze raz i spróbuj ich jakoś namierzyć. Zobaczymy, może coś z tego będzie.

– Jasne, szefie. Pojadę z samego rana.

Taka perspektywa rozpoczęcia tygodnia wydała się Maćkowi całkiem kusząca. Nie będzie musiał przebijać się przez poranne miejskie korki, aby dotrzeć do komendy. Poza tym zadanie to zajmie mu pewnie z pół dnia. Pół dnia z dala od biurka i ekranu służbowego komputera. Uśmiechnął się pod nosem.

– Filip – Walter zwrócił się do technika – jeszcze raz dzięki, że tu jesteś. Z tego, co słyszałem, pojawiłeś się tam w miarę szybko, zgadza się?

– Tak sądzę, panie komisarzu. – Technik był jedynym z obecnych w gabinecie, który nie był z Walterem na „ty”. – Zacząłem, zanim mundurowi do reszty zadeptali teren.

– Krawężnikom to czasami trzeba by obroże pozakładać! – wtrącił Maciek. – Jeden raz, cośmy tę babkę zarżniętą na Polu Mokotowskim oglądali, to któryś z tych cepów ni stąd, ni zowąd się odlał na pobliskie drzewo!

– Dzięki za cenną uwagę. Koniecznie złoż meldunek do Zarządu Zieleni Miejskiej – Walter nie potrafił odmówić sobie odrobiny sarkazmu. Nie żeby nie lubił Maćka – wręcz przeciwnie. Tylko dlatego tolerował i z reguły zbywał milczeniem jego dygresje.

– Może w końcu odkryją przyczynę usychania warszawskich kasztanowców – parsknęła Alicja.

– No, naprawdę śmieszne – obruszył się Maciek.

– Może pozwolimy Filipowi kontynuować? – Walter przywołał towarzystwo do porządku.

– Oczywiście, panie komisarzy. – Technik otworzył swój notes. – Z pobieżnych oględzin wynika, że poza obciętą głową ofiara nie miała innych widocznych obrażeń. Brak śladów walki, choć sądząc po ilości krwi, dekapitacja musiała nastąpić na miejscu znalezienia ciała. Śnieg wokół był mocno zdeptany, liczne ślady wskazują na to, że ktoś na nim klęczał. Oczywiście wszystkie odciski, łącznie z odciskami butów, prawdopodobnie sprawcy, zostały odpowiednio zabezpieczone. – Zrobił przerwę, by wziąć głęboki oddech. – Nie wiemy, niestety, czy ofiara była martwa, kiedy ten skurwiel ją zarżynał. – Wszyscy spojrzeli na Filipa w niemym zdziwieniu. Słowa powszechnie uznawane za niecenzuralne nigdy nie padały z jego ust. – Jest jedna rzecz, która sugeruje, że mogła żyć, gdy to robił – podjął. – Obok ciała były ślady moczu.

– Mocz? – Alicja zmarszczyła brwi.

– Tak, mocz.

– A może ten psychol się na nią odlał? – zasugerował Maciek. – Chciał ją ostatecznie poniżyć.

– Nie sądzę – odparł Filip. – Plama wyraźnie wychodziła spod ciała ofiary. Ale pewność będę miał po badaniach laboratoryjnych.

Zabrzączał dzwonek komórki Waltera. Rozmowa nie trwała dłużej niż piętnaście sekund.

– Głowy nie znaleźli – zakomunikował, odkładając telefon. – Przeszukali z psami teren w promieniu kilkuset metrów i nic. – Wstał od stołu. – No dobra, dziś już nic nie wymyślimy. Poczekajmy na wyniki badań.

– A co z koniem? – Alicji trudno było uwierzyć, że Walter mógł pominąć tak istotną kwestię. Tłumaczył go chyba tylko stan, w jakim rozpoczął ten dzień.

– No tak, ten łeb... – Walterowi na chwilę odebrało mowę. Po prostu go zatkało. Co się ze mną dzieje? – pomyślał, choć doskonale znał odpowiedź. Zmęczenie ostatnią trzydniówką powoli odbierało mu zdolność logicznego myślenia. Przywołał się do porządku. – Po co on to zrobił? Jakiś poroniony artysta? Do tego te ręce i nogi w takiej dziwnej pozycji... Zajmij się tym, Ala. W okolicy jest kilka stadnin. Może któraś zgłosiła kradzież konia? Spotykamy się w poniedziałek o szesnastej. Stary wysłał mi SMS-a, że chce nas widzieć u siebie ze wstępnym raportem, więc się nie spóźnijcie, bardzo was proszę. Dobrej nocy wszystkim.

Walter szybkim ruchem zgarnął przewieszoną przez oparcie krzesła kurtkę i ruszył w kierunku wyjścia. Był na siebie zły. Przeoczył istotny dla sprawy element, który waży pewnie z dziesięć kilogramów i bynajmniej nie jest typową dekoracją znajduwaną na miejscu zbrodni. Brak profesjonalizmu, dręczący go kac i wierny w takich okolicznościach przyjaciel o imieniu Poczucie Winy po raz kolejny w ciągu ostatnich miesięcy wzbudziły w nim przekonanie, że coś musi z tym zrobić. Schodząc ze schodów, wybrał w komórce numer zaprzyjaźnionego taksówkarza. Modlił się w duszy, aby ten nie kazał mu zbyt długo czekać. Zanim wypalił papierosa do połowy, zatrzymał się przed nim znajomy mercedes.

ROZDZIAŁ 5

W niedzielny wieczór wszystkie trasy wlotowe do miasta były zakorkowane. Warszawiacy wracali z weekendowych wyjazdów. Samochody wlewały się do centrum nieprzerwanym strumieniem. Pan Olek, zaprzyjaźniony taksówkarz Waltera, stary wyga wśród warszawskich taryfiarzy, potrzebował ośmiu minut, aby odstawić swojego klienta pod jego mieszkanie. Przez krótką chwilę Walter bił się z myślami, czy nie wpaść do knajpki, którą miał po sąsiedzku. Znał ją jak własną kieszeń, był tam lubianym klientem. Pewnego razu, podczas jakiejś okolicznościowej bibki, właściciel w odruchu szczerzej, acz podbudowanej procentami przyjaźni chciał go nawet uhonorować stolikiem z wygrawerowanym na miedzianej tabliczce nazwiskiem. Walter propozycję potraktował z przymrużeniem oka, zapewniając, że z tabliczką czy bez pozostanie ich stałym klientem. Tym razem jednak odpuścił.

Wszedł na klatkę schodową i nacisnął guzik na panelu przy windzie. Kompletna cisza. Stary dźwig z lat siedemdziesiątych, jadąc, zawsze hałasował niemiłosiernie. A tu jak makiem zasiał.

– Dzisiaj na piechotkę, szanowny sąsiedzie – usłyszał za sobą czyjś głos.

– Dobry wieczór, pani Baranowska. – Zza uchylonych drzwi vis-à-vis wejścia do windy wychylała się głowa dozorczyńni. – Wiadomo, kiedy naprawią?

– Może jutro, kto wie?

Klnąc pod nosem, Walter zaczął się wdrapywać na szóste piętro. Od momentu wyjścia z komendy nie potrafił przestać myśleć o końskim łbie. Wciąż dręczyła go myśl, że on, stary wyjadacz, nadkomisarz Roman Walter, doświadczony śledczy, pominął tak istotną kwestię, zupełnie jak jakiś żółtodziób. Czy to alkohol wypity dnia poprzedniego? A może hektolitry

alkoholu, który wlewał w siebie przez ostatnie dwa lata? Nie, to niemożliwe, po prostu byłem zmęczony, miałem zły dzień, usprawiedliwiał się w duchu. Każdemu się zdarza. Każdemu.

Bałagan, którego rano nie zauważał, teraz zaczął przeszkadzać. Z grubsza go ogarnął, przyrzekając sobie, że w najbliższym czasie zrobi generalne porządki, a później usiadł przed telewizorem z kubkiem ulubionej herbaty earl grey. Dwudziestoczworgodzinny kanał informacyjny nadawał codzienną ramówkę: zamieszki na Bliskim Wschodzie, polityk partii prawej szydził z polityka partii mniej prawej, afera z panem X w roli głównej. Typowa sieczka.

Nagie ciało kobiety... Bez głowy... Koński łeb... Wyłączył telewizor. Co sprawca chciał przekazać? Musiał wszystko dobrze zaplanować, włożyć w to sporo wysiłku. To nie może być przypadkowa fantazja chorego umysłu. Pół człowiek, pół zwierzę... Włączył laptopa. W wyszukiwarce wpisał: „człowiek zwierzę”. W dziesiątkach wyników nie znalazł nic sensownego. Mnóstwo nawiązań do mitologii greckiej z dominującym motywem Minotaura – istoty z ludzkim ciałem i głową byka. Drugie tyle o centaurach – mężczyznach z korpusem konia. Sporo było też o Amazonkach, ale i to nie trzymało się kupy. Nic sensownego, co można by powiązać z dzisiejszym morderstwem. Z jakimkolwiek impulsem kierującym mordercą. Żadnej symboliki, zero legend, wierzeń czy czegokolwiek, co mogłoby naprowadzić na *modus operandi* mordercy. Pomyślał, że może warto poszukać odniesień w języku angielskim. Też nic. Podobnie niemiecki i francuski.

Kładąc się do łóżka, poprosił Boga, choć nie miał pewności, czy w niego wierzy, o szybki sen. Najwyraźniej Bóg go nie usłyszał. Dochodziło wpół do trzeciej nad ranem, a Walter wciąż patrzył w sufit. W końcu wstał i poszedł do kuchni. Z lodówki wyjął napoczętą butelkę żołądkowej gorzkiej. Przez chwilę bił się z myślami, po czym odkręcił flaszkę i mniej więcej trzy czwarte zawartości wlał do szklanki. Wychylił ją jednym duszkiem. Przy kuchennym stole wypalił papierosa, dolał kolejne pół szklanki i wrócił do łóżka. Zasnął prawie natychmiast.

Śniła mu się mała dziewczynka. Blondyneczka ze sterczącymi warkoczykami. Szła do lasu, a on krzyczał za nią, błagał, żeby zawróciła. Dziewczynka jednak wciąż szła przed siebie.

ROZDZIAŁ 6

Oszóstej trzydzieści intro utworu *Time* grupy Pink Floyd bezlitośnie wyrwało Waltera z krótkiego, lecz głębokiego snu. Przesunął palcem wyłącznik alarmu na ekranie smartfona i usiadł. Ziewnął przeciągle, grzbietem dłoni przecierając zażawione oczy. Przez kilka chwil nie potrafił sobie przypomnieć, co się wczoraj działo. Jakaś myśl pływająca w szklance żołądkowej gorzkiej usiłowała wydostać się na powierzchnię, lecz nie mógł jej rozpoznać. Gdy w końcu ją złapał, cały wczorajszy dzień, ze wszystkimi szczegółami, wrócił w jednej chwili.

Jak każdego ranka w pierwszym odruchu włączył telewizor. Kanał informacyjny emitował akurat prognozę pogody. Na pasku u dołu ekranu przewijały się newsy. Walter nastawił poranną kawę i dopiero wtedy zorientował się, że nie ma mleka. Zresztą nie tylko mleka. W lodówce było głównie światło. Planował zakupy na niedzielę, lecz wczorajsze wydarzenia zupełnie zmieniły rozkład dnia. Zdecydował, że wyjdzie z domu wcześniej niż zwykle i zje coś po drodze.

Po godzinie, przegryzając croissanta, wybrał numer Filipa.

– Dzień dobry – odezwał się uprzejmy głos w słuchawce. – W czym mogę pomóc, panie nadkomisarzu?

Filip w fabryce słyszał z nieco przedwojennego *savoir-vivre*'u. Koledzy często żartowali z niego, ale że był wysokiej klasy specjalistą oraz osobą ogólnie lubianą, były to raczej przyjazne przytyki, z których on sam serdecznie się śmiał.

– Cześć, Filip. Wiesz już coś? – Walter przełknął kęs rogalika, jeszcze zanim dotarło do niego, że zachował się jak idiota. Była siódma trzydzieści rano.

– Za wcześniej, panie komisarzu. Dopiero zaczynam –

uświadomił go Filip bez cienia irytacji. – Proszę przyjść do mnie późnym popołudniem. Powinienem mieć już wstępne wyniki.

– Dobrze, będę około siedemnastej.

Do komendy na ulicy Nowolipie Walter dotarł nieco po godzinie ósmej. W korytarzu stał wysłużony automat z kawą, który – o dziwo – tego dnia działał.

Nie będę musiał prosić tej jędry o drobne, pomyślał o sprzedawczyni z kiosku spożywczego, z ulgą wyjmując z kieszeni dwuzłotową monetę.

Po chwili z kubkiem parującej kawy wszedł do swojego pokoju. Zamknął drzwi, usiadł za biurkiem i odpalił laptopa.

To morderstwo musiało być zaplanowane, i to w szczególności. Zabójca dokładnie wiedział, co chce osiągnąć. Ten łeb musi coś oznaczać. To była albo wizytówka, albo wiadomość... Walter przygryzł dolną wargę jak zawsze, kiedy intensywnie myślał. Jeśli wizytówka, to czyja? Dżokeja? Bez sensu! I co ta kobieta miała z tym wspólnego? Sprawdził, czy w ostatnich dniach nie zgłoszono jakichś zaginięć. Żadna dorosła kobieta nie zaginęła, a przynajmniej fakt taki nie został zgłoszony. A może wcześniej ją więził? Zmienił kryteria wyszukiwania do okresu trzydziestu dni. Trzy zgłoszenia. Dwie „zaginione” wróciły po kilku dniach, zmęczone imprezowaniem, trzecią znaleziono na strychu jej domu, wiszącą na pasku, z listem pożegnalnym wetkniętym w kieszeń spodni.

Wizytówka? Jakaś neopogańska sekta złożyła ofiarę swojemu bóstwu? Może stąd takie nietypowe ułożenie rąk i nóg? Postanowił raz jeszcze poszukać w sieci informacji, które mogłyby uprawdopodobnić tę teorię. Ze zdziwieniem skonstatował, że sekty neopogańskie mają w Polsce wielu wyznawców. Dla ilu z nich to tylko zabawa i okazja do płasania w wiankach na głowie, a ilu na poważnie traktuje starodawnych bogów – trudno było stwierdzić. Internet wręcz kipiał od przeróżnych portali, forów i blogów poświęconych pradawnym bóstwom: strygom, rusalkom, wapiernom i innym

stworom rodem ze słowiańskiej mitologii. Na którejś ze stron znalazł nawet informacje o najbliższym sabacie czarownic, zaplanowanym na noc świętego Jana. Nigdzie jednak nie trafił na jakikolwiek ślad, który sugerowałby praktykowanie rytualnego składania ofiar z ludzi. Zamknął przeglądarkę i zerknął na zegarek. Nie zauważył, kiedy minęło kilka godzin. Było późne popołudnie. Ala i Maciek powinni wkrótce się pojawić.

ROZDZIAŁ 7

Do gabinetu inspektora Edwarda Rymarskiego, naczelnika wydziału, jako ostatni z grupy Waltera wszedł Maciek. Przywitawszy się, usiadł na jednym z wolnych krzeseł i zaczął dyskretnie lustrować pomieszczenie, w którym nieczęsto bywał. Gabinet rozmiarem przypominał niewielką salę konferencyjną. Na środku stał podłużny stół, przy którym swobodnie mogło zasiąść osiem osób. Biurko naczelnika łączyło się ze stołem, tak by podczas zebrań nie musiał się przesiadać – wystarczyło obrócić krzesło o czterdzieści pięć stopni i automatycznie Rymarski zajmował miejsce u jego szczytu. Wielkie okna klasycystycznego budynku w ciągu dnia zapewniały naturalne oświetlenie pomieszczenia. Na jednej ze ścian wisiała sporych rozmiarów mapa Warszawy, z mnóstwem powbijanych kolorowych pinezek. Ścianę naprzeciw biurka zajmował wielki ekran z zainstalowanym nad nim rzutnikiem multimedialnym najnowszej generacji, sprzężonym z siecią informatyczną komendy, co pozwalało między innymi na prowadzenie videokonferencji z dowolną jednostką administracji publicznej wyposażonej w podobny sprzęt.

Rymarski i Walter znali się od lat, ich kariery biegły równoległymi torami. Rymarski, doskonały organizator i typ lidera z szerokimi kontaktami, zarówno w środowiskach politycznych, jak i finansowych, niejednokrotnie udowodnił przydatność swych znajomości, między innymi pozyskując dla wydziału środki, o których jego koledzy mogli tylko śnić. Dzięki naturalnej charyzmie udało mu się też zbudować zespół zmotywowanych i zaangażowanych pracowników, specjalistów wysokiej klasy, zespół o jednym z najwyższych w kraju wskaźników wykrywalności przestępstw.

– Czy możemy zaczynać, panie naczelniku? – zapytał Walter.

– Poczekajmy chwilę. Ktoś jeszcze do nas dołączy – odparł

Rymarski.

Walter nie krył zaskoczenia. Naczelnik nie uprzedzał, że ktoś do nich dołączy. Do gabinetu naczelnika wszedł szczupły, łysiejący mężczyzna, kryjący koszmarną zaczeską urojony defekt swojej urody. To ze względu na fryzurę były komisarz Maurycy Niski w środowisku znany był bardziej jako Wicherek. Walter zeszytywniał. Nie potrafił zrozumieć, co ten człowiek robi w gabinecie szefa. Dlaczego Rymarski go zaprosił? Jaki miał w tym cel? Wicherek, co w środowisku stanowiło tajemnicę poliszyneła, był zaprzysiężonym wrogiem Waltera.

Maurycy Niski, poprzednik Waltera, w wyniku negatywnej oceny efektów pracy i permanentnych konfliktów z zespołem wkrótce po przyjściu Rymarskiego został przezeń zdjęty ze stanowiska. Mimo wszelkich przesłanek do zwolnienia go z pracy – ze znanych chyba tylko inspektorowi powodów – zachował posadę w randze specjalisty od wszystkiego i niczego zarazem. Odsunięty na boczny tor, w swoim przekonaniu niesprawiedliwie skrzywdzony, poprzysiął sobie za wszelką cenę udowodnić błąd zwierzchnika, wykazując niekompetencję swojego następcy. Pierwsza okazja nadarzyła się niecałe trzy lata temu. W niejasnych okolicznościach Walter w godzinach wieczornych, po służbie, zatrzymał pijanego kierowcę. Podczas interwencji wywiązała się szarpanina, w wyniku której młody człowiek z kilkoma promilami alkoholu we krwi, syn potentata warszawskiego rynku nieruchomości, zginął od rany postrzałowej zadanej z własnego, nielegalnie posiadanego pistoletu. Zatrzymanym był domniemany sprawca katastrofy drogowej sprzed paru miesięcy, w wyniku której na miejscu śmierć poniosło czterech pieszych, a dwóch kolejnych zmarło w szpitalu. Sprawa, prowadzona przez Waltera, nie znalazła swego finału w sądzie, gdyż prokuratura, mimo twardych dowodów, nie dopatrzyła się winy oskarżonego. Niski postanowił wykazać, że śmierć dwudziestolatka była wynikiem bezpośredniego i celowego działania Waltera, który chciał na własną rękę wymierzyć sprawiedliwość. Sprawa śmierci dwudziestolatka, dotychczas zamknięta w czterech ścianach komendy, nagle w niejasnych okolicznościach nabrała

medialnego rozgłosu. Żądni sensacji dziennikarze połknęli haczyk i na łamach przeróżnej maści wysokonakładowych tabloidów rozpoczęła się publiczna dyskusja na temat przebiegu zdarzenia z feralnego wieczoru. Pod presją mediów i pewnych wpływowych środowisk podjęto wewnętrzne dochodzenie, któremu zgodnie z zaleceniami płynącymi bezpośrednio z resortu, ku zaskoczeniu całego środowiska stołecznych gliniarzy, przewodniczył sam Niski. Mimo wyjątkowo skrupulatnie prowadzonego śledztwa Wicherkowi nie udało się udowodnić rozmyślnego działania Waltera. Prasa w krótkim czasie znalazła ciekawsze tematy, a Wicherek, po raz wtóry upokorzony, z podkulonym ogonem usunął się w cień. Druga okazja nie kazała długo na siebie czekać. Niczym hiena cmentarna, żerując na osobistej tragedii Waltera, Niski podjął kolejną próbę powrotu na piedestał. Na jego nieszczęście, a ku uldze całego zespołu, w swej obrzydliwej nadgorliwości zapędził się za daleko. Jakiś czas potem, po rozmowie w cztery oczy z Rymarskim, Wicherek złożył rezygnację i odszedł z policji.

Rymarski zdjął okulary i potarł nasadę nosa. Dla tych, którzy go dobrze znali, był to wyraźny sygnał, że zaraz powie coś, co powiedzieć musi, choć sam się z tym nie zgadza.

– Moi drodzy, zaprosiłem was tu, ponieważ chciałem wam przekazać pewną informację... – Zamilkł, próbując poskładać w sensowne zdanie to, co miał zamiar powiedzieć. – Znany wam pan Maurycy Niski – wskazał ręką gościa – został do nas przysłany z resortu. Wynajęto go jako wysokiej klasy konsultanta. Zgodnie z opinią ministerstwa pan Niski ma wieloletnie doświadczenie w sprawach bezpośrednio związanych z działalnością organów ścigania i w wydziale, jako osoba postronna, ma się przyjrzeć standardom naszej działalności operacyjnej. – Walter, choć z początku nie wierzył własnym uszom, szybko się zorientował, że brednie wypowiedane przez Rymarskiego są niczym innym jak tylko głęboko zawołowanym sarkazmem. Wicherek, zachowując twarz pokerzysty, albo grał twardziela, albo – ku czemu skłaniał się Walter – był nadal tym samym zadufanym

ignorantem, którego pamiętał. – W związku z tym – kontynuował Rymarski – chcę was prosić, abyście od dnia dzisiejszego dopuścili pana Niskiego do wszelkich spraw, którymi zajmuje się wasza grupa. Komisarz Walter – zwrócił się do Niskiego – zapozna pana z dotychczasowymi wynikami śledztwa. Oczekuję, że wasza współpraca będzie się dobrze układać. – Założył okulary i spojrzął na podwładnych. – Jakież pytania?

Wicherek pierwszy przerwał ciszę:

– Dziękuję panu, panie naczelniku. Ze swojej strony chciałbym dodać, że bardzo się cieszę na współpracę z wami i zapewniam, że jako konsultant zawsze będę stał z boku, więc możecie mnie traktować tak, jakbym był niewidzialny.

– Nic z tego nie rozumiem – rzucił Maciek. – Będzie pan tylko patrzeć i jednocześnie ma pan mieć dostęp do wszystkich materiałów?

– Panie... – Niski zawiesił głos.

– Aspirant Krępy.

– Panie aspirancie, w ministerstwie został zainicjowany specjalny projekt dotyczący stworzenia procedur systematyzujących działalność operacyjną jednostek kryminalnych. Zostałem poproszony, aby nim kierować. Projekt jest na razie we wstępnej fazie rozwoju i na tym etapie pozostaje nieoficjalnym. Praca z wami ma być swego rodzaju pilotem. – Maciek, choć niewiele zrozumiał z tego belkotu, postanowił nie drażnić tematu. Spełni jego prośbę i będzie go ignorować. – Teraz zostawię was samych – dodał Niski i zwrócił się do Waltera: – Proszę tylko pamiętać, panie komisarzu, o udzieleniu mi dostępu do wszelkich spraw, które prowadzicie.

– Wkrótce na maila dostanie pan login i hasło dostępu – odparł Walter, nie patrząc na niego.

Kiedy za Maurycym Niskim zatrzasnęły się drzwi, atmosfera zelżała. Walter wyczuł, że Maciek i Alicja zaraz zasypią naczelnika pytaniami, więc poprosił, by wyszli i czekali na niego w salce konferencyjnej za piętnaście minut.

– Edziu, co jest grane? – zapytał, gdy Ala i Maciek wyszli.

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Rymarski. – Najpierw telefon, że to ty masz wziąć sprawę tej z lasu, potem kolejny z informacją o Niskim, tych bredniach o projekcie i że akurat jest sprawa i można to połączyć. Nie wiem, Roman, jak mam to rozumieć.

– Wiesz, że Wicherek zagiął na mnie parol? – rzucił Walter. – Już raz pokazał, jak bardzo chce mnie udupić. Nie mogłeś ich spuścić po brzytwie?

– Wiesz dobrze, że pewnym prośbom się nie odmawia, a ta była jedną z takich prośb. Po prostu rób swoje. A tak przy okazji – masz już coś w tej sprawie z lasu?

– Edek, minęło półtorej doby od czasu, jak zajęliśmy się tą sprawą – westchnął Walter. – Kobieta nie ma głowy, nie wiemy, czyje to ciało, i póki co nie mamy żadnych sensownych śladów. Trochę za wcześnie na wyniki. Za chwilę widzę się z zespołem. Może czegoś się dowiedzieli. Dam ci znać.

ROZDZIAŁ 8

Salka konferencyjna była mała i skromnie wyposażona, ale nadawała się do spotkań w gronie kilku osób. Po niespodziewanym obrocie spraw u naczelnika Alicja i Maciek byli wyraźnie zdezorientowani. Niestety Walter nie mógł rozwiać ich wątpliwości, gdyż sam miał ich od groma, a jego rozmowa z Rymarskim przeprowadzona w cztery oczy nic nie wyjaśniła.

Jako że na temat Wicherka nie było już nic do dodania, wrócili do sprawy. Walter w paru zdaniach zdał im relację ze swoich internetowych poszukiwań.

– Niewiele tego, Niestety, i w zasadzie nic sensownego – podsumował. – Nie wiemy, kim była ofiara, nie wiemy, dlaczego zginęła. Nie mamy też żadnych przypuszczeń, co robił tam ten cholerny koński łeb. Chyba że wam trochę bardziej się poszczęściło?

Alicja i Maciek jakby nie byli pewni, które z nich ma zacząć. Walter podświadomie wyczuł, że ten brak entuzjazmu nie wróży nic dobrego. Najprawdopodobniej dzień pracy jego ekipy był równie bezowocny.

Alicja się wyprostowała, splótła palce i oparła ręce na stole. Miała ładne, zadbane dłonie – delikatne i kobieco smukłe. Pomyliłby się jednak ten, kto na ich podstawie wnioskowałby o naturze ich właścicielki. Te same dłonie potrafiły ze stuprocentową celnością posługiwać się służbowym glockiem. Alicja trzy razy z rzędu zajęła pierwsze miejsce w organizowanych przez komendę zawodach strzeleckich.

– Tak jak prosiłeś, sprawdziłam okoliczne stadniny – powiedziała. – Skupiłam się na tych w promieniu dziesięciu kilometrów od miejsca znalezienia ofiary.

– Wiele tego na szczęście nie było – rzucił Walter. Dobrze znał tę okolicę.

– Dokładnie trzy. Sama się zdziwiłam, że tylko tyle. W żadnej z nich nie zaginął ani też nie został zabity żaden koń.

– A może któryś po prostu padł? – wtrącił Maciek.

– O to też zapytałam. Żaden nie zaginął, żaden nie zdechł i nie został pozbawiony łba. Jednak mam nieodparte wrażenie, że w jednej stadninie coś kręca.

– Możesz konkretniej? – poprosił Walter.

– Byli zdenerwowani. Za bardzo jak na kogoś, kto nie ma nic do ukrycia. Ponadto jeden z koniuszych się wygadał, że mają kiepskie zabezpieczenia. Podobno nawet z uprowadzeniem konia nie byłoby większych kłopotów.

– A co z monitoringiem? – zapytał Maciek. – Mają tam jakiś?

– O dziwo, mają i zgodzili się udostępnić mi nagrania z kamer przemysłowych. Niestety nic szczególnego na nich nie znalazłam... – Alicja zawiesiła głos, jakby nie była pewna, czy powinna kontynuować. W końcu jednak podjęła: – Ale pewna rzecz jest trochę dziwna. Jedna z kamer uchwyciła podjeżdżający na parking przed stadniną samochód. Duży SUV. Niestety częściowo zasłaniały go drzewa, poza tym była noc, więc nie zauważyłam, czy ktoś wysiadał lub wsiadał. Postać tak z czterdzieści minut i odjechał.

– Po co ktoś miałby w środku nocy przyjeżdżać pod stadninę?

– Walter podniósł wzrok znad notatek. – Czy to nie dziwne? O której to było?

– O trzeciej trzydzieści. – Alicja upewniła się, zaglądając do notesu. – Pożyczyłam od nich to nagranie. Jak skończymy, to przyjrzę się temu jeszcze raz. Może coś przeoczyłam. Na razie u mnie tyle. – Zamknęła notatnik, odsunęła krzesło od stołu i założyła nogę na nogę.

Walter wiedział, że nie musi się upewniać, czy Alicja czegoś nie przeoczyła. Był pewny jej kompetencji. Niejeden z kolegów z branży mógłby jej pozazdrościć.

– A jak twoja wycieczka? – zwrócił się do Maćka. – Warto było tam wracać?

– Z całą pewnością jest to ładna okolica, choć może nie o tej porze roku, ale... No dobra, do rzeczy. Najpierw poszedłem jeszcze raz pogadać z gościem, który znalazł ciało. Ciągle nie

doszedł do siebie. Mamrotał coś bez sensu, że koniec ze spacerami, że gdzie on teraz ucieknie przed tą wariatką i takie tam bzdety. On tak o żonie swojej chyba... – Maciek zerknął na Waltera, a że nie dostrzegł w jego wzroku nic niepokojącego, ciągnął: – No, w każdym razie wygląda na to, że ma alibi. Jego żona zapewniła, że nie ruszał się z domu od sobotniego popołudnia.

– Poczekajmy na dokładny czas zgonu – zauważył Walter. – Za chwilę idę odwiedzić Filipa. A co z dzieciarnią rozrabiającą na przystanku? Znalazłeś ich może?

– Tak.

– No i?

– Niewiele. – Maciek wzruszył ramionami. – Podobno byli tak napruci, że nic nie pamiętają. Swoją drogą, myślę, że nawet jakby coś widzieli, to nic nie powiedzą.

– Dlaczego? – zapytała Alicja.

– Musiałabyś ich zobaczyć. Ci kolesie to zagorzali kibole, wiesz – szaliki, dziary, łyse pały, takie klimaty. Oni nas nie kochają i nie gadają z nami. Dla zasady. W każdym razie zostawiłem im namiar na siebie, gdyby któremuś coś się przypomniało. – Maciek z sarkazmem zaakcentował ostatnie słowo.

Walter spojrzął na zegarek. Zaraz powinien być u Filipa.

– Dzięki za dzisiejszą pracę – rzucił, wstając z krzesła. – Niewiele tego, ale zawsze coś. Jesteśmy w kontakcie.

Walter zapalił papierosa. Do spotkania z Filipem miał jeszcze dziesięć minut. Zegarek przeniósł jego myśli w inne miejsce i czas. Nosił go na co dzień. Codziennie kilka razy sprawdzał godzinę. Jednak wczoraj, w lesie, wszystkie tak mozolnie zakopywane, bolesne wspomnienia zaczęły wracać. Wyrzebywały się na wierzch niczym żywe trupy, przed którymi nie da się uciec.

Pamiętał ten dzień, jakby to było wczoraj. Ciepłe, wiosenne popołudnie. Na gałęziach drzew rozkwiwały pierwsze pąki, a ptaki szalały z radości. Całe miasto zdawało się oddychać

świeżym powietrzem po długich miesiącach zimowej szarżyny. Nawet zwykły miejski zgiełk wydawał się inny niż zwykle. Tego dnia przypadała ich piąta rocznica ślubu. Postanowił, że tym razem nie kupi prezentu, ale zabierze żonę do restauracji – jednej z pierwszych w Warszawie z polecanej przez Michelina. Pamiętał, jak potem śmiali się do rozpuku z kelnera, który zrobił wielkie oczy, kiedy po sześciu wymyślnych daniach, zaserwowanych na równie wymyślnych talerzach, Walter zapytał, kiedy w końcu podadzą danie główne. Kelner wymruczał coś pod nosem, podał dwie kolejne potrawy, a następnie przyniósł rachunek, który Walter, w tajemnicy przed żoną, oprawił i powiesił na ścianie przy swoim biurku, w miejscu widocznym dla wszystkich współpracowników.

Gustowny tag heuer, który dostał tamtego dnia od żony, wskazał szesnastą pięćdziesiąt. Walter rzucił niedopałek, przygniótł go butem i ruszył w kierunku laboratorium.

ROZDZIAŁ 9

„Urodziłaś się w siodle, moja panno!” – trener Joanny lubił podkreślać jej talent i naturalną umiejętność współpracy z wierzchowcami. Dzięki rodzicom, pasjonatom weterynarii, pracującym w państwowej stadninie, Joanna już jako kilkuletnia dziewczynka na oklep dosiadała kuce. Gdy podrosła, przyszedł czas na duże konie. Nie było takiego, który by jej nie słuchał. Stadnina była jej drugim domem. Spędzała tam każdą wolną chwilę. Jako nastolatka zaczęła odnosić sukcesy w zawodach hippicznych, początkowo na szczeblu lokalnym, a później krajowym. Kariera Joanny zapowiadała się obiecująco. Niestety, los brutalnie zweryfikował jej plany. U dziewczyny wykryto rzadkie schorzenie – wrodzoną niestabilność kręgosłupa. Nie było wyboru – musiała zrezygnować ze swojej pasji, w przeciwnym razie groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo. Nie mogąc się spełnić w sporcie, Joanna postanowiła pójść w ślady swoich rodziców i zostać weterynarzem.

Studia w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego ukończyła z wyróżnieniem. Fakt ten wraz z grupą przyjaciół uczcili nad brzegiem Wisły. Jej piaszczyste, porośnięte krzakami brzegi były idealnym miejscem, by w środku miasta rozpaść ognisko i przy dźwiękach gitary opróżnić kilka flaszek taniego wina. Bawili się świetnie. Stres związany z egzaminami końcowymi był już tylko niewyraźnym wspomnieniem, a jutro nie miało żadnego znaczenia. Ważne było tu i teraz. Rozgwieżdzone czerwcowe niebo, gitara i śpiew. Nie zauważyli nadchodzących mężczyzn. Czterech wygolonych na łyso dresiarzy.

Joanna odzyskała świadomość następnego dnia – w szpitalnym łóżku, w klinice na Wołoskiej. Z relacji przystojnego policjanta, który poprosił ją o zeznania, dowiedziała się, że jeden z kolegów został pobity, ale nic mu nie

grozi, łysole uciekli, spłoszeni przez imprezowiczów z sąsiedniego ogniska, a ona sama prawdopodobnie została uderzona w głowę, gdy próbowała bronić kolegi. Młody aspirant miał na imię Roman Walter.

Pobrali się osiem miesięcy później. Półtora roku po ślubie na świat przyszła Anetka. Oczko w głowie rodziców, ukochana i jedyna wnuczka jednych i drugich dziadków. Anetka od pierwszych miesięcy życia, tak jak kiedyś jej mama, większość czasu spędzała w stadninie, gdzie Joanna pracowała jako weterynarz. Joanna pragnęła dać dziecku to, co kiedyś ofiarowano jej i co tak naprawdę ją ukształtowało. Od małego uczyła córeczkę obcowania z końmi. Dziewczynka nie potrafiła jeszcze chodzić, ale już siedziała na końskim grzbiecie w specjalnie przystosowanym siodle. Na piąte urodziny rodzice kupili jej kuca, którego pokochała z wzajemnością. Nazwali go Farciarz, bo mała ciągle wołała: „Kucyk ma wielkie szczęście, że będziemy razem”. Wczepiona rączkami w grzywę kucyka, poznawała radość obcowania ze zwierzęciem. Joanna uwielbiała spacerować obok, widząc radość i błysk w oczach córki. Często wybierały się na dłuższe wycieczki, pakowała wtedy do plecaka kanapki i termos ciepłej herbaty i wędrowała z Anetką i Farciarzem po Puszczy Kampinoskiej.

Tamtej niedzieli również wybrały się na taką wyprawę.

ROZDZIAŁ 10

Stary Miotła, który naprawdę nazywał się Robert Jaszczuk, w swoim fachu był perfekcjonistą, kutym na cztery nogi wygą, który od lat wszystkich wodził za nos. Był bandziorem z bogatą kryminalną przeszłością. Karierę rozpoczął w wieku czternastu lat jako poborca haraczu od handlarzy na lokalnym targowisku. Zyskał uznanie w oczach lokalnego mafioza, gdy któregoś dnia przyniósł mu w woreczku kilka zębów – „zaliczkę na poczet zaległych opłat” od jednego z opornych straganiarzy. Wtedy przyłgnęła do niego ksywa Miotła. Miotłą bowiem, a dokładniej jej styliskiem, pozbawił nieszczęśnika fragmentów uzębienia. Stanowisko poborcy podatków Robert szybko zamienił na bardziej intratne – specjalisty od samochodów produkcji niemieckiej. Wraz z kilkoma kumplami wyspecjalizował się w przewożeniu za wschodnią granicę Polski luksusowych, a jednocześnie niedrogich mercedesów i bmw. Szybko jednak się zorientował, że działalność detaliczna nigdy nie przyniesie mu takich zysków, jakich oczekiwał. Rosnąca – tania i bezwzględna – konkurencja ze Wschodu również nie dawała nadziei na długie i szczęśliwe życie w sektorze motoryzacyjnym. Ale Miotła miał łeb nie od parady. Wiedział, że duże pieniądze są tam, gdzie państwo kładzie swoją zaborczą łapę w postaci akcyz, cła i innych narzędzi do wyciągania kasy z kieszeni obywateli. Postanowił więc, że się przebranżowi i wejdzie w biznes spirytusowy.

Początek lat dziewięćdziesiątych dla takich jak Robert był niczym ocean możliwości, z którego można było korzystać bez końca. Bałagan panujący w administracji rządowej oraz głupota niektórych urzędników otworzyły wrota hektolitrom spirytusu wwożonego do kraju bez żadnych opłat celnych. Sprawna sieć dystrybucji rozrobionego i zabutelkowanego spirytusu przyniosła krocie tym, którzy tę okazję stworzyli albo

po prostu z niej skorzystali. Miotła zarobił swoje pierwsze duże pieniądze. W krótkim czasie matka ojczyzna, zorientowawszy się, że jest okradana, i to na oczach milionów, postawiła tamę na rzece gorzały, zamykając alkoholowe eldorado. Pozostał przemysł, w który po samochodowych doświadczeniach Miotła za bardzo bawić się nie chciał. Postanowił, że zacznie korzystać z życia. Nie było kurortu w basenie Morza Śródziemnego, w którym by nie pił i nie bawił się do upadłego. W Monte Carlo w jeden wieczór potrafił przegrać pieniądze, za które niejedna polska rodzina utrzymałaby się przez parę lat. Zawsze gustownie ubrany, zawsze w towarzystwie pięknych kobiet. Któregoś dnia, w połowie lat dziewięćdziesiątych, na jednym z przyjęć na Riwerze Francuskiej poznał biznesmena z branży finansowej – Szymona P. Panowie od razu przypadli sobie do gustu. Pewnego wieczoru Szymon P. zaproponował Miotle wspólny biznes. Narzędzie finansowe do błyskawicznego pomnażania włożonego kapitału. Pomysł był świetny, ale brakowało kapitału, którego P. nie miał. Miotła bez trudu wyczuł dobrą okazję i zaoferował P. współpracę na zasadzie cichego współnika.

W ciągu paru miesięcy w kilkunastu miejscowościach Polski powstała sieć placówek instytucji finansowej pana P. Szczęśliwa Skarbonka. Produkt, który wymyślił, był dedykowany przede wszystkim starszemu klientowi, ze średnią emeryturą, poszkodowanemu przez drastyczne reformy odrodzonego państwa polskiego. Zwabieni obietnicą błyskawicznego zysku, emeryci i renciści godzinami wystawiali w kolejkach, aby móc złożyć na ręce pana P. oszczędności swojego życia. Po kilku miesiącach zaczęły się problemy. Media zwrężyły, że konstrukcja produktu P. to nic innego jak piramida finansowa. Prym w dziennikarskim śledztwie wiodła znana z telewizji publicznej pani redaktor. Po cyklu demaskatorskich reportaży klienci Skarbonki zaczęli masowo wypłacać ulokowane w niej środki. Sprawą zajęła się prokuratura. Pan P., przed kamerami zakuty w kajdanki, trafił do aresztu śledczego i po nagłośnionym w mediach procesie został skazany na osiem lat pozbawienia wolności. Miotła

stracił mnóstwo pieniędzy, a kilka miesięcy później w tajemniczych okolicznościach pani redaktor spłonęła wraz z mężem i dwójką dzieci w pożarze domku letniskowego na Mazurach.

Miotła, nauczony bolesnym doświadczeniem, postanowił trzymać się z daleka od świata finansjery. Przemyślawszy dogłębnie wszelkie opcje, będące w zasięgu jego możliwości, stwierdził, że zajmie się bardziej stabilną i równie przyszłościową gałęzią biznesu – deweloperką. Wykorzystując koniunkturę, liczne znajomości i układy, w ciągu kilku lat dorobił się sporego majątku i grupy powiązanych z nim wpływowych znajomych – zarówno w świecie biznesu, jak i polityki. Niejedna medialna osoba miała okazję nabyć od Miotły – na wyjątkowo intratnych warunkach – ekskluzywny dom. Tak oto w ciągu kilkunastu lat Miotła z pospolitego bandziora zmienił się w szanowanego inwestora, dobrze znanego warszawskiej socjocie.

Miotła miał syna, o którego istnieniu przez długi czas nie wiedział. W jego życiu było mnóstwo kobiet, jednak wciąż pozostawał kawalerem. Do niektórych nawet coś czuł, a przynajmniej tak mu się wydawało, lecz większość po prostu pakowała mu się do łóżka w nadziei na szybki ożenek i dostęp do jego zasobnego portfela. Miotła jednak, jakby na przekór swojej profesji, w głębi serca był romantykiem. Szukał kobiety, która choć trochę będzie mu przypominać tę jedyną – miłość z młodości lat, tę, którą naprawdę kochał. Dzisiaj wydawało mu się, że mógłby zrobić dla niej wszystko, jednak wtedy nie zdobył się na ten krok. Nie zrezygnował dla niej z kariery, choć postawiła mu warunek. Odeszła i nigdy więcej jej nie zobaczył. Po latach, po wielu nieudanych związkach, rozczarowany i zawiedziony obłudą i fałszem kobiet, pogodził się ze swoim kawalerskim stanem. Któregoś dnia jednak znalazła go. Przyjechała razem z chłopcem, którego przedstawiła jako jego syna. Chłopiec był wysokim, rozwiniętym nastolatkiem o jasnych włosach i równie jasnych

oczach. Oczach, w których był znajomy błysk. Miotła nie potrzebował dowodów. Od razu zaakceptował swojego jedyne go syna. Szybko też stracił dla niego głowę i zdrowy rozsądek. Młodemu niczego nie brakowało. Próbując powetować sobie i jemu stracone lata, ojciec obsypywał chłopaka prezentami. Młody dostawał wszystko, czego chciał, a także to, czego nawet nie wiedział, że chce. Wypaczona miłość starego, jego determinacja w nadrabianiu tego, czego przecież nie dało się nadrobić, w krótkim czasie doprowadziły do zepsucia i deprawacji chłopaka. Łatwa kasa, łatwe dziewczyny, dziesiątki pseudoprzyjaciół, niekończące się imprezy oraz bezgraniczna pobłażliwość ojca – wszystko to sprawiło, że stał się wiecznie zaćpanym i pijanym pasożytem.

Młody Miotła nie odziedziczył po ojcu zbyt wielu talentów. Ani nie miał głowy do interesów, ani nie potrafił dobierać sobie znajomych. Miał za to wyjątkową zdolność do pakowania się w kłopoty. Stary Miotła – rad nierad – zawsze po nim zamiętał. Do czasu.

ROZDZIAŁ 11

Filip był w swoim żywiole. Otoczony skomplikowaną aparaturą, w labiryncie szkła, spektrometrów, chromatografów i całej masy urządzeń, o których przeznaczeniu Walter nie miał pojęcia, poruszał się z pełną swobodą.

– Witam, panie komisarzu. – Podał Walterowi rękę. – Jak minął dzień? – Mimo drobnej postury i dłoni nawykłych do pracy z mikroskopem i probówką miał zaskakująco mocny uchwyt.

– Trudno stwierdzić – odparł Walter. – Dzień jeszcze się nie skończył, ale póki co bez fanfar. A jak u ciebie? Coś interesującego?

– Niech pan siądzie. – Filip podsunął mu krzesło. – Mam kilka informacji, które powinny pana zainteresować. – Walter usiadł z nadzieją, że może ten dzień nie będzie całkiem stracony. – Ofiarą jest młoda kobieta, piętnaście, maksymalnie osiemnaście lat. Bezpośrednia przyczyna śmierci jest oczywista. – Filip wykonał charakterystyczny gest, przesuwając dłoń w poprzek grdyki. – Tkanki miękkie zostały przecięte ostrym narzędziem, być może nożem do oprawiania ryb lub mięsa, kręgi szyjne natomiast przecięto czymś w rodzaju piły.

– Jeśli nie znajdziemy tych narzędzi, ta wiedza na niewiele nam się przyda – zauważył Walter.

– To już nie moja działka, panie komisarzu. – Filip wzruszył ramionami.

– Jasne. Mów dalej.

– Nie stwierdziłem żadnych śladów przemocy seksualnej. Dziewczyna była dziewicą. Nie znalazłem też żadnych śladów płynów ustrojowych nienależących do ofiary. Tak jak wywnioskowałem z oględzin miejsca zdarzenia, nie ma też

żadnych śladów przemocy. Brak siniaków, zadrapań, nic pod paznokciami ofiary.

– Niedobrze. Wygląda na to, że wciąż nie mamy żadnego motywu – skwitował Walter. – A co z jej odciskami palców? Sprawdziłeś w bazie?

– Oczywiście. – W głosie Filipa zabrzmiała nutka oburzenia. – Zero, nienotowana. Jest jednak coś, co od początku nie dawało mi spokoju. Teraz mogę z prawie stuprocentową pewnością potwierdzić swoje przypuszczenie co do okrucieństwa dokonanego mordu. – Filip spojrzał Walterowi w oczy, jakby chciał się upewnić, że ten wie, o czym on mówi.

– Czyli żyła, kiedy...?

– I była świadoma. Widzi pan, od samego początku wydało mi się dziwne, że na miejscu zabójstwa nie było żadnych wyraźnych śladów przemocy. Tak jakby ofiara była zupełnie bezwładna. Jednak rozbryzgi krwi, a konkretnie ich ułożenie wokół szyi ofiary, sugerują, że tętnice wciąż pompowały krew.

– Przecież mógł ją zabić, uderzając w głowę, a potem zrobić to, co zrobił – zasugerował Walter.

– Przyznaję, że wziąłem to pod uwagę – odparł Filip. – Ale mocz pod ciałem zabitej... – Walter już otwierał usta, aby wyrazić kolejną wątpliwość, ale Filip nie dopuścił go do głosu. – Wiem, wiem, pewnie pan powie, że to się zdarza przy nagłej utracie przytomności, ale wyniki badań krwi niestety przeczą tej teorii. – Uśmiechnął się niczym naukowiec, który właśnie udowodnił całej reszcie świata, że żyła w błędzie. – Intuicja mnie nie zawiodła. We krwi ofiary wykryłem alkohol i flunitrazepam, składnik pigułki gwałtu. To połączenie działa odurzająco i powoduje krótkotrwałą amnezję.

– Pigułka gwałtu – powtórzył Walter, kręcąc głową. – Przecież to można kupić u prawie każdego handlarza prochami. Trudno nam będzie podążyć tym śladem.

– No cóż, panie komisarzu, ta część to już nie moja broszka. – Filip wzruszył ramionami, patrząc, jak Walter zapisuje coś w swoim notesie. Czuł lekki zawód brakiem uznania ze strony komisarza. – Jeśli chodzi o dowody – podjął – wszystko znajdzie pan w raporcie, który wyślę panu na maila. Czy ma

pan jakieś pytania?

Walter podświadomie wyczuł zmianę w nastroju Filipa. Wiedział też, jaka jest jej przyczyna. Żegnając się, pogratulował mu nadzwyczajnej intuicji i dobrej roboty.

ROZDZIAŁ 12

Alicja należała do osób obowiązkowych, które mają wrodzone poczucie odpowiedzialności. W jej życiu nie było spraw niedokończonych, a ona sama nie akceptowała półśrodków ani prowizorki. Nawet jej małżeństwo przed swoim ostatnim aktem nie zdążyło przejść przez etap oszustw i wzajemnego obwiniania. W którymś momencie postawiła sprawę jasno i jednym ostrym cięciem zakończyła coś, co i tak było skazane na klęskę. Jeszcze gdy wszystko wydawało się takie normalne i poukładane, ona z każdym mijającym dniem uświadamiała sobie, że żyje z człowiekiem, którego nie kocha i tak naprawdę chyba nigdy nie kochała. Był moment, gdy to, co zaiskrzyło między nią a Witkiem, wydawało jej się czymś głębszym. Z perspektywy czasu doszła jednak do wniosku, że to złudne przeświadczenie musiało być wywołane desperacką potrzebą znalezienia czegoś, co było w zasięgu ręki, ale nigdy nie dało się złapać i oswoić. Gdy pojawił się Witek, facet, za którego niejedna babka dałaby się pokroić żywcem, pomyślała, że może to jest właśnie to, i przez jakiś czas nawet w to wierzyła. Później, gdy zaczęło się pojawiać zwątpienie, zaczęła przekonywać samą siebie, że to tylko chwilowe zachwianie wiary w sens tego związku. Ale chwila ta przeciągnęła się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, aż w końcu Alicja się poddała. Nie winiła Witka. Tak naprawdę nie miała mu nic do zarzucenia. Jego uczucie było szczere, ale to nie wystarczyło. Gdy Alicja zaczęła uciekać w pracę, coraz rzadziej bywała w domu i nie mieli już ze sobą o czym gadać, Witek znalazł sobie inną kobietę. Przez jakiś czas ukrywał swój romans. Alicja, mimo że szybko odkryła zdradę męża, nie dawała nic po sobie poznać. Wiedziała, że gdyby wniosła pozew o rozwód, wykorzystując romans Witka, nie mogłaby potem spojrzeć w lustro. Postanowiła poczekać na jego krok. Gdy wreszcie

oświadczył, że chce odejść, zgodnie doszli do wniosku, że to najlepsze rozwiązanie. Bez ciągnięcia się po sądach zakończyli trwający trzy lata związek.

Alicja w głębi duszy przyznawała się tylko do jednej porażki – nie została matką. Nikomu poza Walterem nie zwierzała się na ten temat. Od pewnego czasu, choć znali się całe lata, był jej jedynym przyjacielem. Choć tak naprawdę – do czego nie chciała się przyznać – skrycie się w nim kochała. Mimo skrajnie różnych osobowości rozumieli się doskonale i wzajemnie uzupełniali. Od jakiegoś czasu łączyło ich coś jeszcze: tęsknota za dzieckiem. Za tym, którego ona mieć nie mogła, i za tym, które on dwa lata temu stracił.

Po wyjściu z salki konferencyjnej Alicja udała się do swojego gabinetu. Włączyła laptopa i zaczęła odtwarzać zapis monitoringu sprzed stadniny. Niewyraźny, monochromatyczny obraz przedstawiał niewielki parking oświetlony pojedynczą uliczną latarnią. Fragment obrazu przesłaniały gałęzie drzew, na szczęście bezlistne o tej porze roku, co częściowo zwiększało pole widzenia. Parking był pusty. Postanowiła przewinąć film do momentu pojawienia się samochodu, gdy w ostatniej chwili zauważyła samotną sylwetkę przebiegającą w poprzek parkingu.

– Najpierw nocny biegacz, a potem samochód? – mruknęła pod nosem.

Cofnęła film do momentu pojawienia się samotnej sylwetki i puściła obraz jeszcze raz. To samo. Nic nowego. Nie rozumiała, dlaczego podczas pierwszego pokazu w pokoju szefa ochrony tego nie zauważyła. Po krótkiej chwili doznała olśnienia. Obraz od samego początku był wyświetlany w przyspieszonym tempie. Samotna postać biegła, i to szybko. Ze względu na oszczędność pamięci zapisu system był ustawiony na minimalną liczbę nagrywanych klatek. Przy przyspieszonym odtwarzaniu i słabej jakości zapisu facet po prostu nie mógł zostać zauważony. Stąd przeoczenie. Ponownie zatrzymała film na sylwetce biegacza. Powiększyła obraz w nadziei uzyskania jakichś szczegółów i natychmiast zrezygnowała z dalszych zabiegów. Materiał wyjściowy był tak

kiepski, że jego dalsza obróbka nie miała sensu. Jedyne, co mogła stwierdzić, to że biegacz był mężczyzną, o wzroście około metra osiemdziesięciu i na pewno nie uprawiał tam joggingu.

Dalszą część nagrania postanowiła odtworzyć w czasie rzeczywistym. Od momentu pojawienia się biegacza do przyjazdu samochodu nie działo się nic. Gdy zobaczyła auto, ponownie zatrzymała film. Obraz, choć daleki od ideału, był w miarę wyraźny. Przód pojazdu oświetlała parkingowa latarnia, tył ginął w ciemnościach nocy. Alicja najechała kursorem na przednią część maski, zaznaczyła interesujący ją obszar, powiększyła, a następnie kliknęła przycisk „filtruj”. W nowym oknie pojawiło się logo producenta – Toyota – i biała tablica rejestracyjna z wyraźnie widocznymi numerami. Zapisała je w notatniku i ponownie włączyła odtwarzanie. Samochód stał nieruchomo przez piętnaście minut, po czym odjechał, znikając z pola widzenia kamery.

Alicja zamknęła odtwarzacz i zalogowała się do zasobów Centralnej Ewidencji Pojazdów i Kierowców. W odpowiednim polu wpisała numer z tablicy rejestracyjnej toyoty i wcisnęła ENTER. Po kilkunastu sekundach uzyskała odpowiedź. Właścicielem samochodu toyota land cruiser rocznik dwa tysiące sześć było Nadleśnictwo Leszno, gmina Leszno, powiat warszawski zachodni.

Wyjęła z torebki telefon i wybrała numer Waltera.

ROZDZIAŁ 13

Zapowiadał się ładny dzień. Wschodni wyź przyniósł suche powietrze i wyraźnie ujemne temperatury. Mimo kilkunastu kresek poniżej zera chłód nie doskwierał. Alicja zaparkowała samochód pod blokiem. Podchodząc do domofonu, zaklinała los, aby nie musiała znowu się włamywać. Na szczęście po trzech dzwonekach usłyszała głos Waltera:

– Daj mi pięć minut.

Na powitanie cmoknął ją w policzek.

– Miałeś dobrą noc? – zapytała.

– Mmm – mruknął tylko.

W jego oddechu wyczuła ostry zapach mięty z wyraźną nutą alkoholu. Stan, w jakim od dłuższego czasu znajdował się Walter, poważnie ją niepokoił. Nie zauważyła, co prawda, aby zmieniło się jego podejście do pracy. Był punktualny, nie nawalał i nadal był jednym z wydajniejszych śledczych w komendzie. Mimo to coraz częściej czuła od niego alkohol. Jego twarz w ciągu ostatnich miesięcy wyraźnie się zmieniła. Zszarzała, a oczy, te niesamowite oczy, straciły dawny blask. Alicja od dawna nosiła się z zamiarem porozmawiania z Walterem. Planowała, że któregoś dnia umówią się na kawę po pracy i szczerze pogadają. Tak jak kiedyś. Bez owijania w bawełnę. O tym, co się stało dwa lata temu. O jego żonie i córce. O jego ucieczce w alkohol.

– Roman, boję się o ciebie – zaczęła.

– Możesz jaśniej?

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Nie za bardzo.

– Myślę, że masz problem z alkoholem. Właściwie jestem tego pewna.

– Przesadzasz – odparł, nie patrząc jej w oczy. – A tak w ogóle to co ci do tego? Skąd ta troska?

– Zależy mi na tobie. Nie mogę patrzeć, jak się staczasz. Od jakiegoś czasu prawie codziennie rano czuć od ciebie wódę!

– A skąd ta pewność? Nie zauważyłem, żebyś wieszala mi się na szyi – sarknął komisarz.

– Nie muszę. Uwierz mi – odparła spokojnie Alicja.

– Nawet jeśli wieczorem sobie chlapnę, to co z tego? Czy coś się dzieje? Czy komuś stała się jakaś krzywda? Czy nawalam w robocie? – wyrzucił z siebie Walter, tym razem patrząc jej w oczy.

– Jeszcze nie, ale do czasu.

Mimo siarczystego mrozu Alicja ostentacyjnie otworzyła okna, wietrząc wnętrze samochodu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Walter zapalił papierosa. Kątem oka zauważyła, że drży mu ręka. Zamknęła okno po swojej stronie i odpaliła silnik, ale nie ruszyła. Podkreśliła tylko ogrzewanie.

– Nie przejmuj się – powiedział w końcu Walter. – Wszystko będzie dobrze.

– Jesteś tego pewien? – Spojrzała na niego. – A patrzysz czasem w lustro? Co w nim widzisz? Rozpoznajesz jeszcze swoją twarz?

– Swoją tak, ale ciebie nie poznaję – odbił piłeczkę. – Od kiedy masz prawo włączyć z butami w moje życie?

– Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi. – Alicja poczuła niepokojące pieczenie pod powiekami. – Czy przyjaciele nie są wobec siebie szczerzy?

– Wiesz co, daruj sobie! – Walter podniósł głos. – Panuję nad sobą i wiem, kiedy przestać. Nie jestem dzieckiem!

– Tego właśnie się obawiam. I nie jestem pewna, czy wiesz, kiedy przestać.

– Jedźmy już – odrzekł stanowczo. – Nie chcę teraz ciągnąć tego tematu. Mamy sprawę, nie sądzisz?

Wyrzucił niedopałek i zamknął szybę. Alicja wrzuciła bieg i włączyła się do ruchu. Nie odważyła się wspomnieć o Joannie i Anecie. Nie dzisiaj.

ROZDZIAŁ 14

Mimo sporego o poranku ruchu do Leszna dojechali bez większych problemów. Szybko też znaleźli siedzibę nadleśnictwa. Blisko stuletnia, drewniana budowla w stylu „świdermajer” wyglądała, jakby utrzymywała się w pionie tylko dzięki jakimś tajemnym siłom.

Przy akompaniamencie niemiłosiernie skrzypiących drzwi weszli do środka. Niewielki wiatrołap prowadził do czegoś w rodzaju sekretariatu. Za biurkiem, naprzeciwko wejścia, siedziała na oko pięćdziesięcioletnia, lekko otyła kobieta, zajęta lekturą kolorowego magazynu.

– Dzień dobry – przywitał się Walter.

Podniosła wzrok. Było wyraźnie widać, że nie jest zadowolona z wizyty.

– Dzień dobry – mruknęła, odkładając czasopismo na biurko.

– W czym mogę pomóc?

– Komenda Stołeczna Policji. – Walter wyjął służbową legitymację. – Nadkomisarz Roman Walter, a to podkomisarz Alicja Danysz. Czy możemy porozmawiać?

– Ależ oczywiście, już podaję państwu krzesła. – Kobieta wstała energicznie, jakby wstąpiła w nią nowa energia. – A może kawy się państwo napiją? Och, najmocniej przepraszam, nie przedstawiłam się! Danuta Jarosz. Prowadzę dział finansowo-księgowy i sekretariat nadleśnictwa. Jesteśmy niewielką jednostką, sami państwo rozumieją...

Wyraz irytacji, który przed sekundami gościł na obliczu sekretarki, zniknął jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, ustępując miejsca lekkiej niepewności, nieudolnie skrywanej pod sztucznym uśmiechem.

– Za kawę dziękujemy – odparł Walter i od razu przeszedł do rzeczy: – Iloma samochodami dysponuje nadleśnictwo?

– Dwoma, panie komisarzu. Jednym jeździ szef, a drugim

jego zastępcę.

– Zastaliśmy ich?

– Nie. Siwicki jest w terenie, a Gojny to od zeszłego tygodnia się nie pokazał.

Roman i Alicja wymienili krótkie spojrzenia.

– Który jest który i czym jeżdżą? – zapytał Walter.

Danuta Jarosz podeszła do regału i spomiędzy dokumentów wyciągnęła jakąś teczkę.

– Nie znam się, wie pan, na tych samochodach, ale gdzieś tu, w papierach, powinno być... – Urwała na chwilę. – Mam! Siwicki, zastępca, jeździ oplem fronterą WZ 1896U, a szef toyotą land cruiser WZ 9035K.

– Czy Gojny się odezwał? Zgłaszał chorobę albo inny powód nieobecności?

– Nie, panie komisarzu. Sama próbowałam się z nim skontaktować, ale bez skutku. Komórka wyłączona, a ja mam kontrahentów na głowie!

– Nikt w jego domu nie odbiera? Żona, dzieci, ktokolwiek?

– Gojny mieszka sam. Stary kawaler, ale wie pan, to naprawdę dziwne... On nigdy nie opuszczał pracy bez uprzedzenia. Może zajedźcie do niego? Naprawdę się martwię!

– Sekretarka zaakcentowała ostatnie zdanie.

– Czy ma pani w dokumentacji akta osobowe pana Gojnego?

– Oczywiście. Proszę bardzo. Tu jest wszystko. – Wręczyła teczkę Walterowi.

– Nie będzie miała pani nic przeciwko, jeśli je sfotografuję? – Komisarz bardziej stwierdził, niż zapytał. Nie czekając na odpowiedź, przystąpił do robienia zdjęć swoim telefonem.

– Ostatnio dość często bywała u niego siostrzenica – dodała nagle Danuta Jarosz. – Może ona coś wie.

– Siostrzenica? – Walter odłożył telefon. – Jak się nazywa?

– Karolina. Dziewczyna uwielbia konie, a u nas w okolicy jest ładna stadnina.

– Wie pani może, jak się z nią skontaktować? Gdzie mieszka, kim są jej rodzice?

– Wiem tylko, że wychowuje ją matka i mieszkają gdzieś w Warszawie. Na imię ma Mariola... czy jakoś tak, ale nazwiska

nie znam.

Walterowi serce zabiło szybciej. Od wczoraj wiedział, że auto z monitoringu należy do tego nadleśnictwa, lecz dopiero teraz jego kierowca zyskał imię, a fakt, że nie pojawił się w pracy od zeszłego tygodnia, był wielce niepokojący. W dodatku siostrzenica amazonka... Z doświadczenia wiedział, że w tego typu sprawach nie ma zbiegów okoliczności. Wszystkie elementy do siebie pasowały: samochód, który pojawił się w dziwnym miejscu i o dziwnej porze, kierowca, który zniknął i nikt nie wie, co się z nim dzieje, młoda dziewczyna, fanka jeździectwa, koński łeb znaleziony wraz z ciałem ofiary na miejscu zbrodni... Jedno tylko nie dawało mu spokoju – czy Gojny zabił własną siostrzenicę? Musi to jeszcze przemyśleć. Wciąż mieli za mało faktów.

– Pani Danuto, a o co chodzi z tymi kontrahentami? – zapytała milcząca dotąd Alicja. – Wspomniała pani, że jest z nimi urwanie głowy.

Sekretarka westchnęła ciężko.

– Widzieliście państwo na pewno, w jakim stanie jest budynek. Kompletna ruina. Otrzymaliśmy od dyrekcji regionalnej budżet na remont. Ale tu nie ma czego remontować! To się nadaje tylko do zburzenia! Więc szef znalazł inny budynek. Niedaleko stąd. Taki też do remontu, tyle że dużo nowszy i w lepszym stanie. Dyrekcja się zgodziła, więc zaczął rozmawiać z wykonawcami. Nie jest łatwo, bo budżet niewielki, a roboty od groma. Rozpisał więc taki lokalny przetarg na poszczególne etapy remontu. No i teraz dzwonią jeden przez drugiego.

– A w piątek wspominał, dokąd jedzie? O której w ogóle wyszedł?

– Teraz sobie przypomniałam, że rzeczywiście wyszedł wcześniej. Mówił, że ma pilne spotkanie i już nie wróci.

– Powiedział, z kim ma się spotkać?

– Nie, nie wspominał ani z kim, ani dokąd jedzie. Może Siwicki będzie coś wiedział? Powinien tu być lada chwila, to sama pani zapyta.

– Czy mógłbym dostać jakiś osobisty przedmiot należący do

pana Gojnego? – zapytał Walter. – Kubek albo... ja wiem... długopis?

– Dam panu kubek. Od piątku stoi na jego biurku. Tylko on go używa. Ma na nim grawer z dedykacją z okazji piętnastu lat służby w leśnictwie. Proszę poczekać, tylko go umyję.

– Nie! Proszę go nie myć i nie dotykać. Sam go wezmę – zaprotestował Walter. – A może znajdzie się coś, co należy do jego siostrzenicy?

– Bo ja wiem? Bywała u nas, fakt, ale raczej nie ma tu żadnych jej rzeczy. Chociaż moment... – Jarosz doznała nagłego olśnienia. – Dwururka! Wisi za biurkiem Gojnego. Dziewczyna lubi się nią bawić.

Walter podszedł do wskazanego biurka, wsunął długopis w ucho kubka, żeby nie dotykać naczynia palcami, i włożył go do foliowego woreczka. Następnie przez niewielki ręcznik zdjął ze ściany strzelbę.

Chwilę później zaskrzypiały wejściowe drzwi i do środka wszedł wysoki, średnio zbudowany, łysiejący mężczyzna w zielonej kurtce i spodniach w tym samym kolorze.

– Panie Januszu, państwo są z policji – od razu uprzedziła sekretarka. – Przyjechali z Warszawy.

– Coś się stało? – Siwicki wyciągnął rękę na przywitanie najpierw do Alicji, a później do Waltera.

– W tym momencie nie możemy wiele powiedzieć, ale chcielibyśmy porozmawiać z nadleśniczym – odparł komisarz.

– Właśnie od niego wracam. Nie ma go w domu. Nie pojawił się też w pracy. Ani dziś, ani wczoraj.

– To już wiemy. Wiemy też, że w piątek wyszedł wcześniej na jakieś pilne spotkanie. Czy podejrzewa pan, z kim miał się spotkać?

– Wspominał, że jest umówiony z potencjalnym wykonawcą remontu nowej siedziby i że jak to wypali, to zaoszczędzimy sporo pieniędzy w budżecie. Ale co to ma do rzeczy? Czy Gojnemu coś się stało? – W głosie Siwickiego zabrzmiał niepokój. – To do niego zupełnie niepodobne tak zniknąć bez uprzedzenia. Taki porządny i sumienny człowiek...

– Powiedział, kim jest ten wykonawca i gdzie mają się

spotkać? – Walter zignorował pytanie Siwickiego.

– Nie, nie powiedział, a ja nie pytałem.

– Jeszcze jedno: czy pod domem Gojnego stoi jego służbowy land cruiser?

– Nie, nie ma go tam.

– A możemy prosić o jego adres?

– Oczywiście. – Siwicki wyjął długopis i zapisał adres na kartce papieru.

Przez kilka chwil cała czwórka siedziała w ciszy, jeśli nie liczyć tykania zegara ściennego, tak starego, jak ten budynek.

– To chyba na tyle – stwierdził w końcu komisarz. – Póki co bardzo państwu dziękujemy. Będziemy w kontakcie.

ROZDZIAŁ 15

Był ciepły, pogodny wieczór. Powietrze, przesycone wiosennym aromatem, odurzało zmysły i zapowiadało nadchodzące lato. Roman i Joanna, po wymyślnym, choć niezbyt sytym obiedzie w wykwintnej restauracji, postanowili udać się na drinka do baru, który może nie był tak luksusowy, za to zapewniał miłą atmosferę i pełen relaks. Usiedli przy niewielkim stoliku w rogu sali. Po paru kieliszkach markowych wódek, które ochoczo degustowali, zaczęła lekko szumieć im w głowach.

– Nie mogę zapomnieć miny tego kelnera, kiedy zapytałeś o danie główne. – Joanna po raz kolejny tego wieczoru parsknęła śmiechem.

– Naprawdę myślałem, że to były tylko przystawki – odparł Roman z miną niewiniątka.

– Mój ty lwie salonowy! – Joanna nachyliła się i wyszeptała do ucha męża: – Wiesz, że cię kocham.

– Ja ciebie bardziej – odrzekł Roman.

I wtedy go zobaczył.

Sprawa młodego Miotły była największą i najważniejszą sprawą w dotychczasowej karierze komisarza Waltera. Od kilku miesięcy deptał mu po piętach. Był tak blisko, że znał już zapach jego wody kolońskiej, wiedział, gdzie jada, na której siłowni pakuje i gdzie mieszka jego aktualna dziewczyna. Wciąż jednak brakowało kropki nad i. Wszystkie materiały, które zdołał zebrać, nadal nie wystarczyły, by wsadzić go za kratki. Brakowało twardych dowodów, o co zadbał stary Miotła. Za wszelką cenę nie dopuszczał, aby cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić jego jedynemu synowi, choćby na chwilę ujrzalo światło dzienne. Na przystanku autobusowym przy ulicy Powstańców Śląskich w Warszawie wciąż ktoś zapalał znicz

i często pojawiała się wiązanka świeżych kwiatów. Ludzie z sąsiedztwa nie zapomnieli widoku rozrzuconych beładnie ciał, krwawych plam na chodniku i walających się po ulicy butów po tym, jak w grupę czekających na autobus wjechał rozpędzony subaru impreza. Z samochodu z przyciemnionymi szybami nikt nie wysiadł. Po kilkunastu sekundach auto ruszyło z piskiem opon i zniknęło za zakrętem. Ktoś ze świadków w odruchu przytomności zapisał jego numery. W dwie godziny po tragedii policja znalazła subaru zaparkowane pod jednym z wiaduktów Trasy Toruńskiej. Pijany w sztok młody Miotła spał w najlepsze na tylnej kanapie.

Siedział po drugiej stronie sali barowej w towarzystwie jakiegoś mężczyzny i dwóch kobiet. Zadowolony, pewny siebie skurwysyn. Szczęka Waltera napięła się mimowolnie.

– Co się stało, Roman? – zapytała zaniepokojona Joanna.

– Nic takiego – odparł bez przekonania.

– Na kogo patrzysz? Kto to jest? – Objęła dłońmi jego dłoń.

– Asiu, przepraszam cię... Nie wiedziałem, że on tu... – Urwał.

– Tam siedzi ten bydlak z przystanku na Bemowie – dokończył, nie spuszczać wzroku z Miotły.

Joanna puściła jego ręce. Zapadła cisza. Magiczna atmosfera sprzed kilku chwil pozostała już tylko wspomnieniem.

– Chodźmy do domu – poprosiła. – Zwolnimy opiekunkę i puścimy sobie *Dirty Dancing*. Odpuść, błagam.

Walter jakby ogłuchł. Gdyby nie solidne, grube szkło, szklanka pewnie rozprysnęłaby się pod naciskiem jego dłoni niczym skorupka jajka.

– Ten śmieć dzięki swojemu tatusiowi wymigał się od odpowiedzialności za zabicie pięciu osób, a teraz jak gdyby nigdy nie siedzi sobie tu i drinkuje?!

Wstał i podszedł do baru. Zamówił dwie setki czystej i wypił jedna za drugą. Od tej chwili świat wokół niego przestał istnieć. Nie widział nic poza tamtym przystankiem, czarnymi workami leżącymi na drodze i małymi bucikami zerwanymi z dziecięcych nówek impetem uderzenia rozpędzonego samochodu. Walter odpłynął. Na jednym końcu barowej sali stał on, a na drugim młody Miotła. Nie było nic pomiędzy nimi.

Towarzystwo przy stole Miotły najwyraźniej zbierało się do wyjścia. Miotła wykrzykiwał coś, poirytowany, lecz tamci nie reagowali. Rozjuszony, kopniakiem przewrócił stolik, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł.

Walter ruszył w ślad za nim. Joanna, która nie spuszczała wzroku z męża, chciała jeszcze coś powiedzieć, krzyknąć za nim, lecz nie zdążyła. Wyjęła z torebki komórkę i zamówiła taksówkę.

Gdy potem pytano Waltera, dlaczego poszedł za młodym Miotłą, jaki miał w tym cel – nie potrafił odpowiedzieć. Nie miał żadnego planu. Po prostu instynktownie podążył za bandytą, który śmiał się w twarz swoim ofiarom. Kpił z nich i z wymiaru sprawiedliwości. Chował się jak tchórz za plecami tatusia. Może chciał go o to zapytać? Jak to jest bawić się zupełnie beztrąsko, mając na sumieniu niewinnych ludzi? Czy dobrze sypia po nocach, gdy rodziny zabitych szlochają w poduszkę? Nie pamiętał, jaki miał cel. Pamiętał natomiast, że Miotła wsiadł do samochodu zaparkowanego nieopodal baru. Walter podszedł tam i otworzył drzwi od strony kierowcy. Pamiętał też minę chłopaka – jednocześnie zdziwioną i poirytowaną. Nastąpiła jakaś wymiana zdań. Padły wyzwiska. Nie wiedział, kto pierwszy uderzył. Był chyba trochę pijany. Tamten zresztą też – jak wykazała sekcja, miał dwa i osiem dziesiątych promila alkoholu we krwi.

Patrol zastał Waltera siedzącego na chodniku pod ścianą kamienicy. Kilka metrów dalej leżał martwy Damian Jaszczuk, z raną postrzałową zuchwy. W ręku trzymał pistolet marki Walther P99.

ROZDZIAŁ 16

Gojny siedzi w tym po uszy – stwierdziła Alicja, gdy opuścili budynek nadleśnictwa.

– Wkrótce się okaże. Kto wie, może się mylimy?

Zawsze zaskakiwał ją swoim tokiem rozumowania. Zebrane informacje wyraźnie sugerowały związek leśnika ze sprawą. Nie było co do tego żadnych wątpliwości. To jego samochód podjechał pod stadninę. To w jego lesie znaleziono zwłoki młodej kobiety z makabrycznym końskim czerepem. U niego bywała też siostrzenica – wielbicielka jazdy konnej. Skąd u Waltera wątpliwości? Co takiego widzi, czego ona nie potrafi dostrzec? Już nieraz udowodnił, że ma jakiś wyjątkowy zmysł. Może i tym razem ma rację? Postanowiła nie kwestionować jego podejrzeń. Lepiej poczekać na ekspertyzę techników. Porównanie odcisków palców i przeszukanie mieszkania powinny sporo wyjaśnić.

Z rozmyślań wyrwał ją głos Waltera. Wydawał polecenia, trzymając telefon przy uchu.

– Gdzie jesteś? W firmie? Dobra, bierz tyłek w troki i zasuważ do stadniny. Jak to do której? Tak, właśnie do tej. Rozejrzyj się tam jeszcze raz i weź w obroty ciecia, który miał dyżur w nocy z soboty na niedzielę. Tak, tego, który gadał, że łatwo taki łeb podpieprzyć. Może coś kręcił i wie więcej, niż powiedział Alicji. Wysyłam ci też na komórkę zdjęcie faceta. Nie mam czasu teraz tłumaczyć ci jakiego! Po prostu pokaż zdjęcie cieciowi i zapytaj, czy go nie widział. Jeśli trzeba, to go postrasż. Tak, ciecia! Jak Boga kocham, Maciek... Zrozumiałeś? Dobrze. Dzwon, jak tylko skończysz, a wieczorem spotykamy się u mnie. Po dwudziestej. Tak. Na razie.

ROZDZIAŁ 17

Po śmierci syna stary Miotła przez tydzień nie wychodził ze swojej sypialni. Gdy dotarła do niego tragiczna wiadomość, początkowo w nią nie uwierzył. Wypierał ten fakt do chwili, gdy musiał dokonać identyfikacji zwłok syna. Pracownik prosektorium, świadomy stanu żuchwy denata, zsunął przykrywające go prześcieradło tylko na tyle, by odsłonić górną część głowy. Jaskrawe, zimne światło zawieszonych pod sufitem jarzeniówek oświetlało bladą twarz. „To on” – tylko tyle powiedział stary Miotła, po czym wrócił do domu i zamknął się w pokoju. Ukraińska sprzątaczką, która nieopatrznie wtargnęła do jego samotni, dwa tygodnie później ze złamanym obojczykiem i kilkunastoma szwami, a także z dwoma tysiącami euro w kieszeni wróciła w rodzinne strony. Po siedmiu dniach Miotła wyszedł. Ubrany był jak zwykle nienagannie: gustowny, szyty na miarę garnitur, biała koszula ze złotymi spinkami, ręcznie szyte włoskie buty. Podszedł do telefonu, podniósł słuchawkę i wybrał numer.

– Dowiedz się wszystkiego o tym psie – rzucił. – Gdzie mieszka, gdzie bywa, jakie ma zwyczaje, kim są jego znajomi. Chcę wiedzieć wszystko o jego rodzinie. Masz na to tydzień.

Miał go jak na dłoni. Kilkunastostronicowy raport, który dostał, był niczym zdjęcie rentgenowskie. Nie pomijał nawet lat szkolnych, włączając w to podstawówkę. Po dwukrotnej lekturze wiedział już, co robi. Przez ostatnie dni bez końca wyobrażał sobie, jak dokonuje zemsty. Wszystkimi zmysłami rozkoszował się rewanzem. Miał odcień szkarłatu i fetor strachu. Widział wyraz jego oczu błagających o litość, gdy z powolną bezwzględnością będzie mu odbierać życie. Krok po

kroku, bez pośpiechu. Raport sprawił jednak, że zmienił zdanie. Uświadomił sobie, że może mu zrobić coś gorszego. Coś, co zabije go w dwójnasób. Walter zabrał mu syna. On zabierze mu dwa razy więcej.

ROZDZIAŁ 18

Dom Gojnego stał na drugim końcu miejscowości. Szary, peerelowski parterowy klocek z początku lat siedemdziesiątych. O otoczenie od dawna nikt nie dbał. Mimo zimowej pory przypominało ono niewielką dżunglę i pewnie lata temu straciło prawo do nazywania go ogrodem. Na jabłoni wciąż wisały owoce – zasuszone już i pomarszczone – a ze stojącej pod nią na wpół przegniłej, drewnianej ławki tu i ówdzie sterczały zardzewiałe gwoździe. Sam dom niewiele różnił się od ogrodu. Kondycja tynków i innych elementów elewacji pozostawiała wiele do życzenia. Ponury, zimowy pejzaż, zdominowany przez odcienie szarości, uzupełniał nieciekawny obraz.

Nikt nie reagował na pukanie do drzwi. Postanowili obejść dom dookoła. W żadnym z okien nie paliło się światło, ze środka nie dochodził żaden głos. Wkrótce miała się pojawić ekipa z komendy z prawomocnym nakazem przeszukania. Walter miał wrażenie, że czas złośliwie postanowił zwolnić bieg i skazał ich na bezczynne tkwienie pod drzwiami domu nadleśniczego.

– Wchodzimy? – Walter wymownie uniósł brwi.

– Wchodzimy, chrzanić to. Przecież nakaz jest już wystawiony, prawda? – Alicja mrugnęła, po czym wyjęła coś z wewnętrznej kieszeni kurtki i zaczęła grzebać w zamku. Kilka ruchów wystarczyło, aby dom stanął przed nimi otworem. – Pikuś. Zwyczajny, przedpotopowy „łucznik”.

– Teraz wiem, jakim sposobem wlaźłaś mi do mieszkania w niedzielę rano – rzucił Walter.

– Przepraszam cię, Romuś, ale od wciskania dzwonka już mi puchły palce. W każdym razie twój zamek to też bułka z masłem. Powinieneś go zmienić.

– Może lepiej nie, bo w razie czego nie dasz sobie rady.

Żart Waltera bynajmniej nie rozbawił Alicji. Przeciwnie – przypomniał o zmartwieniu dręczącym ją od paru miesięcy.

– Wolalabym już nigdy nie oglądać cię w takim stanie. Dobrze o tym wiesz.

Walter wyczuł zmianę jej nastroju.

– Wiem. Nie zapomniałem jeszcze o twoich porannych wyrzutach. Posłuchaj, Ala, chcę ci coś powiedzieć, zanim tam wejdziemy. Przepraszam za dzisiejszy poranek i za tę ostatnią niedzielę, i za wszystkie poranki, kiedy musiałaś oglądać moją skacowaną mordę. Wiem, że przesadzam, i to grubo. Nie wiem tylko, czy zdążyłem już przekroczyć tę linię, zza której nie ma powrotu. Tak czy inaczej, muszę sobie radzić z moimi problemami sam, twoja ingerencja mi nie pomoże, a wręcz odwrotnie.

– Mylisz się, Roman, bardzo się mylisz – westchnęła Alicja. – Może to nie ja powinnam ci pomagać i mówić prawdę prosto w oczy, ale sam nie dasz rady. Musisz z kimś o tym wszystkim porozmawiać, musisz komuś zaufać i się otworzyć!

– Po co? Co kogo obchodzi moje życie? – zirytował się Walter.

– Nie chcę, żeby ktoś grzebał w moich sprawach! Poradzę sobie.

– Nie wierzysz w to, co mówisz. Albo szczerze w to wątpisz. Jesteś za słaby, aby pozwolić im odejść. Roman, to już prawie dwa lata! Tamto życie to przeszłość i nikt nie cofnie czasu! Myślisz, że twoja żona i córka byłyby szczęśliwe, widząc, jak krok po kroku się staczasz? Jak ten silny i przystojny facet zmienia się w cień tego, kim kiedyś był?

– Przestań, proszę cię! Nie masz bladego pojęcia, co czuję, więc daj sobie spokój z tym pseudopsychologicznym bełkotem. I nigdy nie mieszaj do tego Joanny i Anetki!

– Dlatego powinieneś pogadać z kimś, kto się na tym zna! – Alicja też straciła cierpliwość. – I nie pieprz, że sobie poradzisz sam!

– Boże! Czemuś ty się mnie tak uczepiła?!

– Bo mi, kurwa, na tobie zależy, imbecyłu! Bo...

Stali naprzeciwko siebie. Walter miał zaciśnięte pięści i oddychał głęboko. Po kilku chwilach zaczęło z niego schodzić

powietrze. Rozluźnił się i opuścił wzrok. Zaczął masować skronie, jakby chciał w ten sposób do końca opanować zdenerwowanie. Podniósł głowę i ponownie spojrzął w oczy Alicji.

– Dobrze, obiecuję, że pomyślę o tym – powiedział cicho. – Może masz rację. Wchodzimy czy nie?

Nagle usłyszeli silnik nadjeżdżającego samochodu.

– O ile się nie mylę, ekipa właśnie przyjechała – odezwała się Alicja. – Zasłoń mnie, spróbuję szybko zamknąć te drzwi. Unikniemy zbędnych pytań.

ROZDZIAŁ 19

Maciek poprzedniego wieczoru przeholował, grając na konsoli. Zawział się, że skończy ostatnią, kluczową misję w *Call of Duty*, i nie dość, że mu nie wyszło, to jeszcze zarwał większość nocy. Miał nadzieję na spokojny, biurowy dzień, a może nawet jakąś dyskretną drzemkę przed ekranem komputera. Puste biuro i milczący telefon idealnie sprzyjały jego planom. Gdy jednak tylko przymknął oczy, zabrzęczała jego komórka. Zaklął w myśli i sięgnął do kieszeni. Spojrzał na wyświetlacz. Szef.

Rozmowa była krótka i rzeczowa. Niestety będzie musiał się wynieść ze swego zacisznego kąta. Jak na złość pogoda nie zachęcała do wyjścia. Padał śnieg z deszczem, było szaro i ponuro. Aura nastrajała raczej na parę piw z kumplami w jego ulubionym pubie niż na przedzieranie się przez zatłoczone miasto w starym rżęchu, który miał do dyspozycji. Jakaś cholerna stadnina! Przecież ja nienawidzę takich miejsc! Że też to Ala pojechała z Walterem, psia mać!

Wysłuzona fabia stała na służbowym parkingu. Samochód wyglądał tak, jakby od ostatniego lata nikt go nie używał. Gruba warstwa ciężkiego, mokrego śniegu upodobniła go do dziwnego igloo ulepionego przez pijanych Eskimosów. Maciek westchnął głęboko i przeklinając, na czym świat stoi, gołymi rękami zgarnął śnieg z przedniej szyby. Postanowił odpuścić sobie odśnieżanie reszty samochodu. W końcu samo zleci. Gdy tylko otworzył drzwi, pożałował własnej głupoty. Solidna gruda śniegu wylądowała na siedzeniu kierowcy.

– *Die, you motherfucker!* – rzucił pod nosem i ze złością kopnął oponę. Dialogi bohaterów gry wciąż pobrzmiwały w jego podświadomości.

Wbrew złym przeczuciom Maćka silnik zaskoczył za pierwszym razem. Może jednak ten dzień nie jest z góry

spisany na straty.

Stadnina Karino położona była dwadzieścia kilka kilometrów na zachód od Warszawy. Pokonując ostatnie kilometry drogą, której nawierzchnia z pewnością pamiętała lepsze czasy, i modląc się, by fabia nie zgubiła któregoś z kół, Maciek dotarł do bramy wjazdowej. Zgodnie z opisem Alicji po prawej stronie od bramy mieścił się parking dla gości i pracowników. Na kilkumetrowym słupie latarni – jedynej, jaka oświetlała parking – zamontowana była kamera przemysłowa. Pierwszy rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że sprzęt nie był najnowszej generacji; aż dziw, że spełniał jeszcze swoją funkcję. Za drucianym ogrodzeniem, wysokim na jakieś dwa metry, widać było stojące w kilku rzędach budynki – najprawdopodobniej stajnie i pomieszczenia gospodarcze. Nieopodal mieścił się niski, jednopiętrowy budynek z logo stadniny na frontowej ścianie oraz tablicą ze sporej wielkości napisem „Dyrekcja”. Nad wejściem wisiało, zapewne pełniąc rolę ozdoby, chomąto. Maćka zastanowiło, co może mieć wspólnego chomąto, kojarzące się z koniem pociągowym, ze stadniną hodującą konie sportowe. Dopiero po chwili doszedł do wniosku, że w wyścigach zaprzęgów konnych bez chomąta się nie obejdzie.

Zaparkował i przedstawivszy się pracownikowi ochrony, udał się wprost do budynku dyrekcji. Tuż za bramą jego nozdrza uderzył fetor dochodzący od strony stajni. Od dziecka miał problem z zapachem końskiego łajna. Odruchowo zaczął oddychać przez usta, próbując nie myśleć o źródle tej odpychającej woni. Ku jego uldze wewnątrz budynku smród nie był już tak intensywny, choć wciąż nie pozwalał Maćkowi zapomnieć, gdzie się znajduje. Zapukał do drzwi z napisem „Sekretariat” i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

– Dzień dobry. Aspirant Maciej Krępy, Komenda Stołeczna Policji – wyrzucił z siebie z prędkością karabinu maszynowego, pokazując legitymację służbową. – Chciałbym porozmawiać z dyrektorem stadniny.

– Dyrektora nie ma – odparła nieco zszokowana sekretarka. – A tak w ogóle to czy wczoraj już ktoś od was tu nie był?

– Gdzie go znajdzie? – Maciek zignorował jej pytanie.
– Pojechał na targi do Turynu.
– Kto z kierownictwa jest obecny?
– Kierownik Stanicki, zastępca. Znajdzie go pan w stajniach.
Maćkowi zrobiło się niedobrze. Nie pójdę tam, choćby mnie wołami ciągnęli!

– A gdyby była pani tak uprzejma i ściągnęła kierownika tutaj? – Uśmiechnął się bałamutnie. – Mam nadzieję, że to nie kłopot?

Kobieta przewróciła oczami, ale podniosła słuchawkę telefonu.

– Panie Stanicki, gościa pan ma. Proszę przyjść do sekretariatu – rzuciła, po czym rozłączyła się i spojrzała na Maćka. – Będzie za dziesięć minut. Niech pan poczeka w gabinecie dyrektora, tam, po lewej.

– Dobrze, poczekam – odparł Maciek. – Dziękuję pani.

Gabinet dyrektora był urządzony skromnie. Niewielkie biurko, na nim laptop, kubek z długopisami i dzienny terminarz. Pod jedną ze ścian stał regał wypełniony segregatorami i stertami starych periodyków. Na jednej ścianie wisiało kilka dyplomów i certyfikatów. Pod drugą stały dwa fotele i ministolik w stylu lat siedemdziesiątych. Jeśli ten gabinet odzwierciedla wnętrze jego właściciela, to jakże ciekawe życie gość musi prowadzić... – pomyślał z sarkazmem Maciek.

– Witam pana, czym mogę służyć? – Męski głos przerwał jego rozważania.

W drzwiach gabinetu stanął średniego wzrostu mężczyzna we flanelowej koszuli i drelichowych spodniach, wpuszczonych w wysokie gumowce.

– Dzień dobry. Aspirant Maciej Krępy, Komenda Stołeczna Policji. – Maciej wstał i zaprezentował legitymację. – Chciałbym zadać panu parę pytań.

– Oczywiście. – Mężczyzna wskazał na dwa fotele. – Usiądźmy.

Maciek usiadł i od razu przeszedł do rzeczy:

– Prowadzicie tu hodowlę – bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Tak, specjalizujemy się w koniach zaprzęgowych. – Stanicki spojrzał na niego niczym na zjawę z innego świata. – Mamy sporo klientów na Zachodzie i Bliskim Wschodzie. Zajmujemy się też produkcją uprzęży. Muszę przyznać, że z roku na rok mamy coraz więcej klientów i powoli nie nadążamy z realizacją zamówień. Wygląda na to, że moda na zaprzęgi osiąga swoje apogeum...

– To bardzo ciekawe, o czym pan mówi – przerwał mu Maciek – ale niestety nie przyjechałem tu, aby pogłębić swoją wiedzę w zakresie zaprzęgów konnych.

– Rozumiem. Co w takim razie pana interesuje? Wczoraj była już u nas jedna pani z policji i myślę, że nie powinna narzekać na brak współpracy z naszej strony.

– Nie o to chodzi. Znaleźliśmy coś dziwnego na zapisie monitoringu, który od was dostaliśmy.

– Czy ma to jakiś związek ze znalezionym w niedzielę ciałem? – zapytał Stanicki.

– Niestety nie mogę zdradzać szczegółów. Wie pan, dobro śledztwa i takie tam.

– No tak...

– Jak u was z ochroną obiektu? – Maciek wrócił do zadawania pytań.

Stanicki spojrzał na niego z trwogą – niczym student na egzaminie, który nie ma bladego pojęcia, jak odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Ochroną? – wydukał. – Ale przed czym?

– Przed wszelkim złem: wandalami, złodziejami, oszustami... Może pan dowolnie uzupełnić tę listę. – W głosie Maćka zabrzmiała nuta irytacji.

– Przede wszystkim chcę wyraźnie zaznaczyć, że nasz zakład ma wszelkie niezbędne certyfikaty i jesteśmy pod stałą kontrolą upoważnionych instytucji.

– Nie wątpię. Ale proszę odpowiedzieć na moje pytanie. I niech pan założy, że jestem w tej dziedzinie ignorantem.

– Mamy standardowe zabezpieczenia, jednak są to systemy

najwyższej jakości. Monitoring również.

– I nigdy nie było żadnego incydentu albo na przykład włamania?

– Niczego takiego sobie nie przypominam. – Stanicki był coraz bardziej oburzony.

– Bo widzi pan, mnie się wydaje, i jest to raczej mocne przeczucie, że jednak coś mogło wam ostatnio zginąć. Na przykład... jakiś konik?

Wzrok Stanickiego powędrował w okolice czubka jego zabrudzonych butów. Po chwili podniósł głowę i utkwiał wzrok w nieokreślonym punkcie nad głową Maćka.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł wymijająco. – A dyrektora, jak już wspomniałem, nie ma.

Maciek miał wrażenie, że słucha głosu wygenerowanego przez syntezator mowy. Wstał i podszedł do okna. Facet kręci i to jest pewne, pomyślał. Pytanie tylko: dlaczego? Jeśli ucięty łeb pochodził od konia z ich stadniny, to dlaczego tego nie zgłosili? Trzeba się tu rozejrzeć. Nie chciał się narażać na wąchanie stajennych aromatów, jednak obudzone sumienie policjanta wzięło górę nad fobią.

– Możemy się przejść po stadninie? – zapytał, odwracając się do Stanickiego.

– Oczywiście, jeśli pan sobie życzy. – Mężczyzna wstał, otworzył drzwi i zawołał w stronę sekretariatu: – Pani Aniu, mamy jakieś gumowce dla pana aspiranta?

Pani Ania nie zdążyła odpowiedzieć – za to Maciek zareagował błyskawicznie:

– Dziękuję, to nie będzie konieczne. – W głowie mu się nie mieściło, że do stresu związanego z zapachami stajni miałyby dołożyć wrażliwy komfort chodzenia w używanych gumowcach o nieznanym mu historii.

Po drodze do stajni Maciek zauważył zmianę w zachowaniu Stanickiego. Od chwili, gdy poprosił go o spacer po terenie stadniny, mężczyzna miał rozbiegane oczy i nerwowo zacierał dłonie. Ewidentnie coś go gnębiło. Aspirant wyczuł, że to może

być dobry moment, aby przycisnąć Stanickiego.

– Widzi pan – zatrzymał się, włożył ręce do kieszeni, po czym zbliżył się do Stanickiego, tak jakby chciał mu coś szepnąć do ucha – mnie się wydaje, że nie jest pan ze mną do końca szczerzy – powiedział, patrząc Stanickiemu w oczy.

Mężczyzna instynktownie cofnął się o krok, lecz nie uciekł wzrokiem. Patrzył na Maćka, mrugając szybko.

– Dlaczego niby mielibyśmy coś przed wami ukrywać? – Ni stąd, ni zowąd zaczął używać liczby mnogiej. – Przecież to się kupy nie trzyma. Jak coś ginie, to się powiadamia odpowiednie służby, prawda?

– Tego właśnie nie potrafię zrozumieć. Dlaczego tak kręcicie?

Stanicki spuścił głowę. Przez chwilę się wahał, jakby ważył argumenty.

– Panie aspirancie, ma pan rację – powiedział w końcu. – Nie byłem szczerzy. W sobotę w nocy mieliśmy włamanie. Ktoś wtargnął do jednej ze stajni i w brutalny sposób zabił konia. To nie był nasz koń. Mamy tu kilka sztuk, które mają swoich właścicieli. Ten zabity należał do niejakiego Joachima Gojnego.

Maciek nie potrafił ukryć zaskoczenia.

– Dlaczego zatailiście ten fakt? Przecież to bez sensu!

Stanicki westchnął ciężko.

– Dyrektor chyba spanikował. W sekretariacie powiedziano panu, że jest we Włoszech, prawda? Jutro wraca razem z potencjalnymi kontrahentami. Wystraszył się, że będzie się tu kręcić policja, że naślą na nas inspekcję BHP i Bóg wie, co jeszcze. Wie pan, tak między nami to on jest trochę dziwny. Nie potrafię go rozgryźć. Przekonywałem go, że taka sytuacja to nie byle co i należy powiadomić policję, ale on nie dał sobie wytłumaczyć, a ja nie chcę już kłamać. Zresztą, jakbyśmy doszli na miejsce, to by się pan od razu zorientował, że było włamanie.

– Wie pan, gdzie jest dozorca, który miał zmianę w noc włamania?

– Niestety nie wiem. – Stanicki pokręcił głową. – Myślę, że siedzi w domu. Dyrektor zwolnił go zaraz po wizycie pana koleżanki.

- Zwolnił? – Maciek był coraz bardziej zdziwiony.
- Myślę, że nie bez powodu. Ja bym tego gościa już dawno na zbity pysk wywalił, ale to nie moja broszka. W sekretariacie będą mieć jego adres.

ROZDZIAŁ 20

Stary Miotła wiedział, że Joanna Walter wraz z córką pojawią się dziś w tej okolicy. Środki i pieniądze, którymi dysponował, pozwoliły mu perfekcyjnie przygotować się do realizacji planu. Miejsce nie było przypadkowe. Ogromny plac, na którym rzesze warszawiaków urządzały niedzielne pikniki, zapewniał widownię, a na tej mu zależało. W szalonym pragnieniu zemsty chciał, aby jak najwięcej ludzi było świadkami jego czynu i desperacji, która go do niego pchnęła. W swoim umyśle, ogarniętym rozpaczą po śmierci syna, ubzdurał sobie, że w ten sposób zyska współczucie, no bo cóż, jeśli nie bezgraniczne cierpienie i bezdena rozpacz, może doprowadzić do ostateczności?

Usiadł na ławce i cierpliwie czekał. W powietrzu unosiła się woń grillowanych kielbasek. Na kocach rozłożonych na trawie siedziały rodziny. Mężczyźni pili piwo, dzieci dokazywały na niewielkim placu zabaw. Powietrze falowało, ogrzewane bezlitośnie przypiekającym słońcem. Miotła pocił się niemilosiernie i marzył o tym, aby w końcu zdjąć marynarkę. Niestety musiał z tym poczekać. Nie chciał wywołać przedwczesnej sensacji związanej z ogromnym coltem M1911 znajdującym się w kaburze pod jego lewą pachą.

Uwielbiał tę broń. Miał do niej pełne zaufanie. Sporych rozmiarów pistolet nie był zbyt ciężki, a odrzut przy oddaniu strzału nie przysparzał doświadczonemu strzelcowi większych kłopotów. Miotła, w co nie każdy chciał uwierzyć, własnorecznie jeszcze nikogo nie pozbawił życia, ale dobrze sobie radził z bronią. Tego dnia miał potwierdzić umiejętności zdobyte podczas tygodni spędzonych na strzelnicy, gdzie ćwiczył strzelanie zarówno do nieruchomych, jak i do ruchomych celów.

Raz po raz zerkał na zegarek. Zgodnie z zapewnieniem jego

informatora Joanna Walter wraz z córką powinny pojawić się tu około szesnastej, a była już szesnasta trzydzieści. Zaczął odczuwać lekki niepokój. Nie obawiał się bynajmniej, że dopadną go wyrzuty sumienia. Nie miał sumienia. Denerwował się po prostu, że żona Waltera zmieniła plan i nie wybrała się z córką na przejażdżkę po Kampinosie. Taki scenariusz odsunąłby w czasie realizację jego planu.

Wybiła szesnasta czterdzieści pięć. Część rodzin składała przenośne paleniska, dopijała resztki piwa i zbierała się do domów, a to nie było Miotle na rękę. Po raz setny skierował wzrok w kierunku, gdzie spodziewał się zobaczyć kobietę z córką. W tym momencie poczuł, że jego serce zaczęło bić szybciej.

ROZDZIAŁ 21

Dom dozorecy znajdował się kilka kilometrów od stadniny. W pierwszej chwili rudera skojarzyła się Maćkowi z domem kota Filemona z bajki z jego dzieciństwa. Drewniana chałupa, dach kryty strzechą i koślawy drewniany płot. Kot też był, choć w odróżnieniu od tego z kreskówki – ogniście rudy.

Rudera była w stanie rozkładu. Zamiast szyb w oknach umieszczono tekturę. Jedna ze ścian zapadła się, zapewne pod własnym ciężarem, co sprawiało wrażenie, że chałupa zaraz się poskłada jak domek z kart. Szczeliny wypchane były wiechciami ze słomy. I to wszystko raptem dwadzieścia kilometrów od stolicy z wieżowcami, teatrami i całym jej blichтром. Nie do wiary... Maciek pokręcił głową i załomotał do drzwi.

Po kilkunastu sekundach zawiąsy niemiłosiernie zaskrzypiały. W progu stanął mężczyzna, na oko pięćdziesięcioletni. Oceniając po stanie chałupy i jej otoczenia, Maciek spodziewał się ujrzeć zapijaczoną gębę z kilkudniowym zarostem i przekrwionymi od gorzały oczami. Zamiast tego zobaczył mężczyznę o fizjonomii zupełnie niepasującej do nory, z której się wyłonił. Miał na sobie mundur strażnika ochrony i najwyraźniej dokąś się udawał.

– Dzień dobry. Czy to pana dom? – zapytał Maciek.

– Tak, bo co?

– Eee, nic, nieważne. Jestem z policji. Chciałbym zadać panu parę pytań.

Mężczyzna nie wyglądał na zaskoczonego.

– Wiem. Któż fatygowałby się tu z wielkiego miasta, jeśli nie władza. Zwłaszcza że już wczoraj weszyliscie. Pytaj pan, byle szybko, bo do roboty idę.

– Myślałem, że właśnie został pan zwolniony? – Maciek nie krył zdziwienia.

– Panie, jakby mnie ten dureń nie wywalił, to sam bym odszedł. Nową fuchę już od dawna miałem nagraną. W piezarkarni. Spokojna robota, bezpieczna i nie słycać ryczenia gadzin. Panie, jak one czasem darły te pyski...

– Dlaczego twierdzi pan, że robota w stajni była niebezpieczna?

– Pytał się pan ich, ilu stróży mają na nocnej zmianie? Nie? To panu powiem. Dwóch! Tak! Jeden na bramie, a drugi na obiekcie. Na taki teren jeden człowiek, kurwa?!

– A co na to szefostwo? Nie rozmawiał pan z nimi?

– Przecież mówię, że dyrektor to idiota. Powiedział, że to nie moja sprawa i żebym robił, co do mnie należy. No to se powiedziałem w duchu: „dobra, będę robić swoje i nic więcej, ale nie myśl se, baranie, że jak przyjdzie co do czego, to będę ganiał za złodziejami”. No i jak pomyślałem, tak zrobiłem.

– Czyli jednak coś się działo? – Maciek spojrzał czujnie na rozmówcę. – Zdaje się, że wczoraj inaczej pan śpiewał.

– Panie, nic nie śpiewałem, bo ja śpiewać nie potrafię. Ta ładna pani to się mnie wczoraj pytała, czy coś zginęło, więc jej odpowiedziałem po prawdzie, że nie wiem. No bo nie wiem, czy coś zginęło! Ale wcale się nie pytała, czy coś widziałem albo czy coś się działo. A mówiłem babeczce, że okraść ich to żaden problem.

– No dobrze – odparł coraz bardziej zdumiony Maciek. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, czy coś się działo na terenie stadniny w nocy z soboty na niedzielę.

– Działo się. Pewnie chce pan wiedzieć co?

– Tak. – Maciek starał się nie pokazać po sobie irytacji. – Proszę mi powiedzieć, co pan widział.

– Około drugiej w nocy od strony starej szopy przez mur przelazł facet.

– Widział pan jego twarz? Rozpoznałby go pan?

– Niestety, był w kapturze. Ale za to on widział mnie wyraźnie! – Stróż zaczął nerwowo trzeć butem po klepisku.

– I co było dalej?

– Przyłożył palec do ust, a potem, wie pan, tak poruszył ustami, nic głośno nie mówiąc. Ale ja dobrze zrozumiałem.

– Co według pana powiedział?

– „Spierdalaj”. Tak powiedział. No więc sobie poszedłem.

Maciek przypomniał sobie o zdjęciu przesłanym przez Waltera. Wyjął z kieszeni telefon i wyświetlił na ekranie zdjęcie nadleśniczego Gojnego.

– Czy to był ten mężczyzna? – Podsunął aparat pod nos dozorca.

– Nie... raczej nie – odparł ten po chwili wahania.

– Jest pan pewien?

– Pewien to nie jestem, ale tamten wyglądał jakoś inaczej. Dużo szczuplejsza twarz i głęboko osadzone oczy. A ten tutaj – wskazał na zdjęcie Gojnego – to ma gały jak dwa ping-pongi za przeproszeniem.

– Chciałbym, aby pomógł nam pan w stworzeniu portretu pamięciowego. Jutro ktoś do pana przyjedzie.

– Dobra. Niech przyjeżdża.

– Dziękuję. Bardzo pan pomógł. – Maciek podał dozorca rękę. – Ale mam jeszcze dwa pytania.

– Dawaj pan.

– Dlaczego dyrektor pana wywalił?

– Wiedział, że widziałem włam, a nie chciał o tym mówić i nie chciał, żebym ja gadał. Tylko co mu to dało? Mówiłem, że to dureń. A drugie pytanie?

– Dlaczego żyje pan w takiej ruinie? – Maciek musiał zaspokoić swoją ciekawość.

– Brak kobiecej ręki – westchnął mężczyzna, po czym pożegnał Maćka i ruszył w kierunku przystanku autobusowego.

ROZDZIAŁ 22

Dziewczynka siedziała na drobnym koniku. Jej matka szła obok, trzymając uzdę. Kierowały się prosto w jego stronę. Były już na tyle blisko, że Miotła mógł poczuć zapach spoconego zwierzęcia. Lewą ręką odchylił połę marynarki, a prawą sięgnął po pistolet.

Wtedy Joanna odezwała się do niego:

– Przepraszam, czy mógłby pan na chwilę przytrzymać uzdę? Chciałabym zdjąć córkę z siodła.

Miotła bezwiednie rozluźnił dłoń, która już zaciskała się na kolbie pistoletu, i bez słowa wykonał prośbę Joanny. Kobieta zdjęła dziewczynkę z grzbietu kuca, podziękowała za pomoc, odebrała uzdę z rąk oniemiałego gangstera i przykucnęła obok córki.

– Anetko, kochanie, mamusia pójdzie teraz odprowadzić Farciarza do jego domku, a ty poczekaj na mnie na placu zabaw, dobrze?

– Dobrze, mamusiu. Mogę pojeździć sobie na karuzeli? – zapytała mała, patrząc ufnie w oczy matki.

– Możesz, kochanie, tylko bądź ostrożna i nigdzie nie odchodź – odparła Joanna. – Będę za pięć minut – zapewniła i odeszła w kierunku pobliskiego gospodarstwa.

Nie było jej nieco dłużej, niż zapowiedziała. Widok, który zastała, spowodował, że ugięły się pod nią nogi. Na środku placu stał mężczyzna, który kilka minut temu pomagał jej zdjąć Anetkę z grzbietu kucyka. Marynarka, którą wcześniej miał na sobie, teraz leżała obok niego, rzucona na ziemię. Na jego koszuli znaczyły się wielkie plamy potu. W jego silnej dłoni tkwił pistolet. Drugą ręką trzymał Anetkę. Kątem oka Joanna zauważyła, że plac zabaw prawie zupełnie się wyludnił, a ostatni biesiadujący w pośpiechu opuszczali koce i ławki. Nie miała pojęcia, co o tym myśleć. Dlaczego jakiś mężczyzna

z bronią trzyma na rękach jej córeczkę? Absurdalność tej sytuacji, spychająca ją na granicę nierzeczywistości, w pierwszym momencie odebrała jej mowę. Zamrugowała kilka razy, jakby miała nadzieję, że to tylko koszmarnie przywidzenie. Może to jakiś ochroniarz? – przemknęło jej przez myśl, lecz wyraz twarzy tego człowieka pozbawił ją wszelkich złudzeń.

– Co pan robi? Dlaczego trzyma pan moje dziecko? – zapytała drżącym głosem. Milczał. Spod jego przymrużonych powiek wpatrywały się w Joannę czarne źrenice oczu, nadając jego twarzy zwierzęcy wyraz. – Czy może pan puścić moją córkę? Chciałybyśmy pojechać do domu. – Zrobiła niepewny krok w jego kierunku.

– Zostań tam, gdzie jesteś – odparł cicho, lecz stanowczo.

Do uszu Joanny dotarło stłumione kwilenie Anetki. Głowa dziewczynki, przytrzymywana wielką dłonią, była wciśnięta w ramię napastnika. Wtedy tama puściła. Pierwotny instynkt, nakazujący jej za wszelką cenę chronić swoje dziecko, przyćmił realną ocenę sytuacji. Nie bacząc na nic, rzuciła się na starego Miotłę. On jednak odwinął się i kolbą pistoletu wymierzył jej cios w policzek. Nie za mocno, nie chciał jej zranić, jeszcze nie teraz, ale na tyle skutecznie, że Joanna zatoczyła się i opadła na kolana. Do oczu napłynęły jej łzy strachu, złości, bezsilności.

– Proszę ją puścić, bardzo pana proszę... – szlochała.

– Zamknij się i słuchaj, co do ciebie mówię, a wszystko będzie dobrze. Rozumiesz? – zwrócił się do niej tym samym, wyzutym z emocji tonem.

– Ale...

– Mówiłem, żebyś zamknęła jadaczkę! – podniósł głos. Joanna nerwowo pokiwała głową. – Masz przy sobie telefon? – zapytał.

– Mam... – odparła cicho, jakby obawiała się, że każda odpowiedź może rozjuszyc napastnika.

– Zadzwoń do swojego męża i powiedz mu, że jeśli chce zobaczyć swoją córeczkę żywą, ma pół godziny, aby się tu zjawić.

Drżącą ręką wyjęła z tylnej kieszeni spodni aparat i wybrała numer Romana. Po kilku sygnałach uzyskała połączenie.

– Cześć, skarbie. Wycieczka po lesie udana? – zapytała cicho, a gdy tylko usłyszała głos męża, zaczęła spazmatycznie szlochać: – Roman, musisz tu natychmiast przyjechać... On... on mówi, że masz pół godziny... Błagam cię, pośpiesz się! On ma naszą Anetkę! Jeśli tu nie przyjedziesz, zrobi jej krzywdę! Roman, tak się boję... O Boże...

– Dawaj ten telefon! – Miotła wyszarpał komórkę z dłoni roztrzęsionej Joanny. – Słyszałeś, co mówiła – warknął do mikrofonu. – Masz pół godziny. Czekam na parkingu przy lesie.

Rozłączył się, po czym rzucił telefon na ziemię i rozgniół go butem.

– Nigdy nie zapomnisz tego spotkania – wycedził pod nosem.

ROZDZIAŁ 23

Tak jak przypuszczali, w domu Gojnego nikogo nie było. Przez wiatrołap, który pełnił funkcję przedpokoju, wchodziło się wprost do rozległego pomieszczenia – sądząc po rodzaju umeblowania – salonu. Kanapę, trzy fotele oraz stolik z epoki późnego Gierka uzupełniała równie wiekowa meblościanka. Z pokoju dziennego prowadziły dwa wyjścia: jedno do kuchni, drugie do niewielkiej, w porównaniu z gabarytami pokoju dziennego, sypialni. Trzecie – balkonowe – drzwi wychodziły na taras i koszmarnie zapuszczony ogród.

– Pamiętam takie domy z lat mojego dzieciństwa – powiedziała Alicja.

– Sześciennie koszmarki. Wciąż jest ich mnóstwo – odparł Walter. – No to co, poszperamy tu trochę?

– A co w zasadzie chcemy znaleźć?

– Chłopaki zajmą się odciskami, a my poszukajmy jakichś papierów, listów, zdjęć czy czegokolwiek, co może powiązać Gojnego z ofiarą.

Zaczęli przeglądać szafki i szuflady. Znaleźli mnóstwo papierów: rachunki, wyciągi bankowe, korespondencję z zakładem energetycznym, lecz nic, co stanowiłoby jakiś interesujący ślad. Przeszukanie sypialni i kuchni odniosło podobny skutek. Nic istotnego nie znaleźli też na niewielkim strychu.

– Zauważyłaś gdzieś wejście do piwnicy? – zapytał Walter, otrzepując ubranie z kurzu.

– Nie. Może tu nie ma piwnicy? – zasugerowała Alicja.

– A gdzie trzyma piec i opał? Ta wiocha raczej nie jest podłączona do sieci grzewczej. Może wejście jest na zewnątrz?

– Obeszliśmy chałupę dookoła. Zauważyłeś jakieś drzwi?

– No nie... Wiatrołap! – Walter, jakby doznał nagłego olśnienia, ruszył w kierunku korytarza prowadzącego na

zewnątrz.

– Tam też nic nie zauważyłam – rzuciła Alicja, podążając za nim.

– Ja też. Ale może źle patrzyliśmy.

Pomieszczenie pomiędzy drzwiami wejściowymi do domu a salonem było niewielkim korytarzem, którego ściany i sufit wyłożono boazerią. Na jednej ze ścian wisiało kilka haczyków na okrycia wierzchnie oraz średniej wielkości, stare jak sam dom lustro, które już nie do końca wiernie odbijało rzeczywistość. Ściana naprzeciw była pusta, nie licząc odpustowej reprodukcji przedstawiającej jelenia na tle sędziwego lasu. Przyjrzawszy się dokładniej tej ścianie, Walter natychmiast zauważył drzwi, które wcześniej przeoczyli. Nie było żadnej klamki, jedynie obrys widoczny na jednolitej boazerii.

– No i mamy nasze tajemne pomieszczenie – mruknął komisarz, próbując otworzyć drzwi, naciskając na nie ręką.

Po trzeciej próbie ustąpiły, odsłaniając schody prowadzące w dół. Dzięki wpadającemu z zewnątrz światłu bez trudu znaleźli włącznik lampy. Piwnica była bardzo obszerna. Na pierwszy rzut oka jej powierzchnia nie ustępowała powierzchni samego domu. Gdy jednak kolejny włącznik światła zapalił kilka podsufitowych jarzeńówek, Alicja i Walter stanęli jak zamurovani. To, co widzieli, eksplorując górną część domu leśnika, nijak się miało do tego, na co patrzyli teraz. Część piwnicy zajmowały sprzęty gospodarcze, zwykle narzędzia obecne w każdym domu: grabie, łopata do odgarniania śniegu i tym podobne akcesoria. Znajdowały się tam również solidny piec oraz zasobnik na ropę do ogrzewania domu i bieżącej wody. Druga, większa część piwnicy przywodziła na myśl studio fotograficzne. Wokół drewnianej sceny, o rozmiarach mniej więcej dwa na trzy metry, rozmieszczone było profesjonalne oświetlenie wraz z charakterystycznymi parasolami używanymi przez zawodowych fotografików. Na scenie stała mała kozetka przykryta purpurowym materiałem. Od purpury wyraźnie odznaczała się biel sukienek kilku posadzonych na kozetce

lalek z rodzaju tych, jakie produkowano na przełomie dziewiętnastego i dwudziestego wieku – puchowate buźki z zarumienionymi policzkami i wielkimi, zamykającymi się oczami, które okalała firana długich, gęstych rzęs. Sukienki lalek miały bufiaste rękawy oraz mnóstwo falbanek i koronek. Obok, na solidnym regale, leżały dwa profesjonalne aparaty fotograficzne i kamera wideo. Przed sceną stało biurko z drukarką, klawiaturą i monitorem komputera. Pod blatem znajdowała się jednostka centralna.

ROZDZIAŁ 24

Komisarz Roman Walter przez chwilę trwał w niemym osłupieniu. Wiedział doskonale, co usłyszał w słuchawce telefonu, lecz sens wypowiedzianych przez Joannę i nieznanego mężczyznę słów nie dotarł jeszcze do jego świadomości. Usiadł za biurkiem i zaczął wodzić wzrokiem wokół, jakby w nadziei, że znajdzie się ktoś, kto poklepie go po plecach i zapewni, że to tylko makabryczny żart. Bo kto w biały dzień, wśród tłumu ludzi chciałby skrzywdzić jego Anetkę...?

Nagle zerwał się na równe nogi. W biegu złapał wiszącą na oparciu krzesła kabełkę i rzucił się w stronę wyjścia. Była niedziela. Korytarze komendy świeciły pustkami, nikt więc nie widział, jak Walter biegnie na złamanie karku, przeskakując po kilka stopni naraz. Jedyne przysypiający nad kolorowym brukowcem oficer dyżurny podskoczył na krześle, obudzony hukiem zatrzęsniętych za Walterem drzwi.

Biegając do samochodu, z przerażeniem uświadomił sobie, że rano miał zatankować. Zupełnie mu to umknęło. Przekręcił kluczyk w stacyjce i sprawdził wskazanie komputera pokładowego. Na wyświetlaczu, obok ikonki z dystrybutorem, mrugał czerwony wykrzyknik. Cyfrowy licznik informował, że paliwa wystarczy na przejechanie piętnastu kilometrów. Walter szybko policzył, że do parkingu przy puszczy ma jakieś dwadzieścia. Może się uda, a jeśli trzeba będzie, to zatrzyma pierwszy lepszy samochód, i nawet gdyby miał się uciec do przemocy, dojedzie na miejsce. Wrzucił bieg i wcisnął gaz do dechy. Opony zawyły, drąc gumę o beton. W powietrze uniósł się swąd palonej gumy.

Wypadł na jezdnię, dziękując opatrności, że na chodniku nie było żadnych przechodniów. Spojrzał na zegarek i uświadomił sobie, że nie sprawdził, o której odebrał ten cholerny telefon. A co, jeśli nie zdąży? – pomyślał. Jeśli będzie za późno? Tylko

na co ma być za późno? Na co? Na co?!

Zbliżał się do pierwszego skrzyżowania. Już z daleka dostrzegł czerwone światło na sygnalizatorze. Wiedział, że nie ma siły, która zmusi go do zatrzymania samochodu. Mógł tylko się modlić o łut szczęścia, żeby nie zabić siebie ani nikogo innego. Nacisnął klakson w nadziei, że zwróci na siebie uwagę pieszych i innych kierowców, i wtedy przypomniał sobie o policyjnym kogucie. Sprawnym ruchem przymocował niebieską lampę do dachu samochodu i wpadł na skrzyżowanie.

Szaleńcza jazda trwała już kilkanaście minut, gdy zadźwięczał natarczywy sygnał. Na liczniku zużycia paliwa pojawiło się mrugające na czerwono zero. Walter otarł czoło z potu. Nie, tylko nie teraz, proszę! Pozwól mi tam dojechać! – błagał w myślach. To jeszcze tylko parę kilometrów, musi wystarczyć! Zacisnął mocniej ręce na kierownicy i wyczekując charakterystycznej czkawki silnika, gnał przed siebie. Po kolejnych kilku minutach minął tablicę z tak dobrze mu znaną nazwą miejscowości. Pokonał kilka zakrętów i w tumanach kurzu wpadł na leśny parking. Zgasił silnik, z siedzenia pasażera wziął kaburę ze swoim glockiem, przytroczył ją do paska spodni i spokojnie, bez widocznego pośpiechu, wysiadł z samochodu.

ROZDZIAŁ 25

Wołaj chłopaków, niech tu natychmiast przyjdą – polecił Walter. – I zapytaj, czy jest wśród nich jakiś spec od komputerów.

Po nie więcej niż dwóch minutach Alicja wróciła na dół z dwoma technikami.

– No, no, to ci niespodzianka! – Jeden z nich aż zagwizdał. – Mamy tu prawdziwe studio filmowe!

– Który z was jest hakerem? – zapytał Walter.

– Po godzinach żaden. Ale na służbie to ja coś tam kumam w te klocki – odparł ten sam mężczyzna, najwyraźniej bardziej wygadany od milczącego kolegi.

– Czy w takim razie mógłbyś sprawdzić ten komputer tu, na miejscu? – Komisarz wskazał na stojący pod biurkiem pecet.

– Teoretycznie tak. – Technik wzruszył ramionami. – Zależy od zabezpieczeń. Jeśli nasz reżyser nie był specjalnie błyskotliwy, to nie będzie z tym większych problemów.

– Świetnie. Myślę, że wiesz, czego szukać.

– Wiem, panie komisarzu.

Walter i Alicja wyszli przed dom. Z ciężkich styczniowych chmur padał mokry śnieg, przechodzący w deszcz. W powietrzu wisiała wilgoć, która w połączeniu z wiatrem, mimo niezbyt niskiej temperatury, potęgowała wrażenie przeszywającego chłodu. Alicja postawiła kołnierz płaszcza i schowała ręce w przepastnych kieszeniach. Walter wyjął paczkę papierosów i spojrzał wymownie na koleżankę.

– Wiem, wiem, to też mi szkodzi – rzucił, puszczając oko. – Ale proszę, nie męcz mnie już dzisiaj.

– Nie miałam takiego zamiaru – odparła Alicja. – Nie chcę, żebyś nabrał przekonania, że jestem jakąś cholerną heterą! Pal do woli, jeśli musisz.

– Jezu! Nie potrafisz się powstrzymać, co? – Dał jej delikatnego kuksańca i zaciągnął się głęboko.

– Wygląda na to, że nasz leśnik to niezłe ziółko – rzuciła po chwili.

– Tak myślisz?

– Klocki same się układają.

– A konkretnie?

– Na razie spekuluję. Podobno pierwsze przecucie z reguły jest prawdziwe, ale poczekajmy, co chłopaki znajdą w jego kompie. No i paluchy. Jeśli się zgodzą z odciskami z lasu, to pozostanie nam tylko znaleźć typa. Reszta w rękach prokuratora.

Spec od komputerów wystawił głowę przez szparę w uchylonych drzwiach.

– Chodźcie – zawołał. – Nasz leśnik to kawał świntucha. Będzie tego z kilka gigabajtów zdjęć i filmów.

Roman i Alicja stanęli za plecami technika siedzącego przed monitorem Gojnego.

– Wejście do jego maszyny było banalnie proste. Jak zapewne wicie, w praktyce najczęściej mamy do czynienia z uwierzytelnieniami upoważnionego użytkownika opartymi na hasłach. Uwierzytelnienie następuje po identyfikacji, czyli zadeklarowaniu swojej tożsamości przez użytkownika poprzez podanie na przykład loginu. Zadeklarowana tożsamość wciąż jednak pozostaje niezweryfikowana.

– Ala, czy oni wszyscy tak mają? – zapytał Walter teatralnym szeptem.

– Panie... Jak panu na imię? – Alicja dziarsko klepnęła technika w ramię.

– Piotr. Nie wspominałem?

– Pewnie tak. Panie Piotrze, czy mógłby pan darować sobie wykład na temat łamania haseł? Obiecuję, że w wolnej chwili poczytam o tym w Internecie.

Piotr pokręcił głową i odpalił Explorera.

– Muszę przyznać, że facet, choć świntuch, lubi porządek –

powiedział. – Wszystkie foldery ze zdjęciami są pogrupowane według... jeśli mogę się tak wyrazić, modelki i daty. Filmy podobnie, w osobnym katalogu.

– No dobra, chyba musimy na to zerknąć – westchnął Walter.
– Możesz wyświetlić?

– Jasne. Siadajcie i oglądajcie. Jak będę potrzebny, wołajcie.
– Piotr kliknięciem myszki wywołał właściwe foldery. – A tak przy okazji, pod biurkiem jest szufladka, w której znalazłem album ze zdjęciami. Wyjątkowo są grzeczne. Paluchy już zdjeliśmy, więc możecie śmiało grzebać.

Walter usiadł przed monitorem i zaczął przeglądać zawartość folderów. Wszystkie zdjęcia i filmy były zrobione w jednym z dwóch plenerów – w quasi-studio, w którym obecnie przebywali, lub w lesie. Na wszystkich uwieczniono dziewczęta, na oko między dwunastym a szesnastym rokiem życia, w pojedynkę lub w parach. Były to raczej bardzo śmiałe amatorskie akty niż perwersyjne materiały ciężkiego kalibru. Nie zmieniało to jednak faktu, że mieli do czynienia z nielegalną produkcją natury erotycznej.

Spodziewając się najgorszego, Alicja zostawiła Waltera samego i zaczęła przeglądać znalezione w szufladzie zdjęcia. Wszystkie przedstawiały nadleśniczego w towarzystwie niewiele młodszej od niego kobiety i kilkunastoletniej dziewczyny. Na kilku z nich dziewczyna dosiadała konia. Alicja była pewna, że były zrobione na terenie stadniny, którą niedawno odwiedziła.

– Chyba już wiemy, jak wyglądają jego siostra i siostrzenica.
– Podała Walterowi jedno ze zdjęć.

W tym momencie usłyszeli tupot nóg na schodach. W piwnicy pojawił się technik.

– Panie komisarzu, mamy potwierdzenie, że odciski denatki są tożsame z tymi, które pobraliśmy z tego domu i z dwururki z nadleśnictwa – oznajmił.

– Wracamy do fabryki – postanowił komisarz. – Ja się zajmę listem gończym, a ty, Ala, pokombinuj, jak znaleźć jego siostrę.

Wieczorem widzimy się u mnie. A od pana – zwrócił się do komputerowca – oczekuję pełnego raportu o zawartości dysku tego komputera. Jutro do południa.

ROZDZIAŁ 26

Na rozległym, z rzadka porośniętym kępami trawy, piaszczystym placu kłębił się tłumek gapiów. Gęsta cizba szczelnym kordonem zasłaniała widok i nie pozwalała Walterowi na ocenę sytuacji. Kątem oka zauważył dwa policyjne radiowozy. Prawdopodobnie któryś z gapiów wezwał pomoc i mundurowi z pobliskiej komendy zdążyli nadjechać na miejsce przed Walterem. Wyjął z kieszeni służbową legitymację i zaczął się przedzierać do stojących po drugiej stronie funkcjonariuszy.

– Proszę stąd odejść! – usłyszał zdecydowany głos.

Jeden z policjantów złapał go za rękę, najwidoczniej nie widząc jego legitymacji.

– Nadkomisarz Walter ze stołecznej. – Roman podsunął skonfundowanemu posterunkowemu legitymację pod nos. – Tam są moja żona i córka, więc zejdź mi z drogi, człowieku!

– Tak jest, panie komisarzu. Posiłki są już w drodze – odparł tamten i w tej chwili, gdzieś za ich plecami, rozległ się dźwięk policyjnych syren.

Oczom Waltera ukazał się wyludniony fragment leśnego parkingu, na granicy którego zaczynała się puszcza. Rozłożyste sosny z powyginanymi konarami konkurowały z sędziwymi dębami. Choć pożółkłe kłosa zbóż zapowiadały już żniwa, las wciąż był intensywnie zielony i pachnący. Przy drewnianym parkanie stało kilka ław i stołów. Niektóre z tych stanowisk były zadaszone, a jedno, nie wiedzieć czemu, dodatkowo obudowano drewnianymi ścianami. Taka konstrukcja powodowała, że w środku tej prowizorycznej altany, mimo słonecznego dnia, panował półmrok. Walter spojrzął na stojącego obok posterunkowego, gestem głowy wskazując

altanę.

– Tak, panie komisarzu, tam są – potwierdził szeptem mężczyzna.

Walter sięgnął do kabury. Jego dłoń już zaciskała się na rękojeści pistoletu, gdy zrezygnował. Wyciągnął broń na tyle, by móc ją odbezpieczyć, wsunął z powrotem do kabury i wolnym krokiem ruszył w stronę altany.

– Nie podchodź bliżej niż na dziesięć kroków, jeśli nie chcesz, żeby coś im się stało – usłyszał dochodzący ze środka głos. Głos, który wydał mu się znajomy... Był przekonany, że gdzieś już go słyszał. Niski, gardłowy, z połykanymi spółgłoskami. „Nie pochodź bliżej” – tak, zna ten głos.

Zgodnie z żądaniem stanął naprzeciw altany. Wpadające do środka światło częściowo rozpraszało półmrok, mimo to przebywające wewnątrz osoby nadal trudno było zidentyfikować.

– Jaką mogę mieć pewność, że są całe? – zapytał rzeczowo Walter.

Po krótkiej chwili usłyszał pełen lęku głos Joanny:

– Roman, jesteśmy tutaj!

– Tatusiu, tatusiu, uratuj nas! Chcę do domu! – zawtórowała jej Anetka.

– Skarbie, nie bój się. Niedługo pojedziemy do domu – odpowiedział najspokojniej, jak tylko potrafił, choć na dźwięk głosu córki serce mu się krajało.

– No dobrze, moje panie – padło ze środka. – A teraz cicho sza!

– Czego chcesz? – zapytał Walter.

– Sprawiedliwości, komisarzu.

– A co one mają z tym wspólnego?

– Nie przybiegłbyś tak szybko, gdyby nie one.

– Więc chodzi o mnie, tak? No to jestem. Ja wejdę, a one wyjdą, zgoda?

– To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

– Dlaczego? Zwyczajna wymiana: ja – sam i bez broni –

w zamian za nie.

Ze środka nie padła żadna odpowiedź. Przedłużająca się cisza wystawiała na próbę nerwy Waltera. Nie za bardzo wiedział, jak ma się zachować. Co prawda, był kiedyś na kilkudniowym szkoleniu poświęconym prowadzeniu negocjacji w sytuacjach podobnych do tej, jednak było to tylko szkolenie i w żadnej mierze nie mogło się równać z profesjonalnym kształceniem policyjnych negocjatorów. Dodatkową, o ile nie główną przeszkodę stanowił fakt, że zakładnicy byli jego rodziną. Jedyłą, jaką miał. Zachowanie profesjonalnego dystansu i zimnej krwi w tych okolicznościach było zdecydowanie ponad jego siły. Tylko co miał zrobić? Zaproponować mu, że pogada z nim ktoś inny, bo on nie może, nie jest kompetentny i czuje, że zaczynają mu się trząść kolana? Idiotyzm! Poza tym gość wyraźnie chciał jego. Jego i nikogo innego. Musi za wszelką cenę dowiedzieć się, o co dokładnie mu chodzi. Przecież zakładników trzyma się po coś. Mają być zabezpieczeniem, gwarantem osiągnięcia celu. Tylko jaki, do diabła, miał cel?!

– Jak się nazywasz? – Walter przerwał ciszę.

– Myślałem, że jesteś bardziej bystry. – Głos stał się zaczepny.

– Byłoby łatwiej, gdybym wiedział, czego oczekujesz. Wtedy na pewno znajdziemy jakieś rozsądne rozwiązanie. – Z altany nie padła żadna odpowiedź. – Słuchaj, za kilka minut zwali się tu połowa warszawskich „czarnych” – ciągnął Walter. – Domyślam się, że wiesz, o kim mówię? Wtedy będzie za późno na rozmowę. Rozpieprzą to wszystko w cholere i nie wyjdiesz stąd żywy.

– Nie chrzań! Dopóki one są ze mną, gównu mi zrobią!

Walter wiedział, że grupa interwencyjna zaraz się pojawi. Lokalna policja z pewnością zdążyła już wezwać posiłki. Po chwili za plecami usłyszał stanowcze głosy wzywające gapiów do natychmiastowego rozproszenia się. Zerknął przez ramię. Kilkunastu chłopaków z grupy antyterrorystycznej zajmowało pozycje. W duchu zaczął się modlić, żeby któremuś nie puściły nerwy.

– Komisarzu Walter – usłyszał – proszę się wycofać.

Przejmujemy akcję.

– Nigdzie się stąd nie ruszę! On ma moją żonę i córkę! – odchrząknął, nie obracając się za siebie.

Nastąpiła cisza. Informacja o tożsamości zakładników z całą pewnością zaskoczyła dowódcę grupy.

– Tym bardziej powinieneś się wycofać, Roman. – Dowódca powoli szedł w jego kierunku. – Znasz zasady.

– Powiedz temu kominiarzowi, żeby spierdalał tam, skąd przylazł, bo nie ręczę za siebie! – padło z altany.

– Wypierdajaj, skąd przyszedłeś! – warknął Walter do nadchodzącego dowódcy. – Słyszałeś go?

– No właśnie! – zagrzmiał głos. – Won do szeregu i ani kroku! Rozumiesz?

Dowódca grupy antyterrorystycznej kiwnął nieznacznie głową i zaczął się wycofywać. Gestem ręki nakazał swoim ludziom, aby pozostali na pozycjach. Walter już miał się zwrócić w stronę altany, gdy kątem oka, pomiędzy uzbrojonymi po zęby „czarnymi”, zauważył znajomą postać.

– Kurwa, jeszcze ciebie tu brakowało... – zaklął pod nosem.

W białej koszuli i w o kilka numerów za dużej kamizelce kuloodpornej, z rozwianą na wietrze zaczeską, stał Maurycy Niski.

ROZDZIAŁ 27

Kilka minut po osiemnastej Maciek podjechał pod blok Waltera. Już miał wybrać na domofonie numer mieszkania, gdy zorientował się, że idzie z pustymi rękami. Niby to służbowe spotkanie, ale jednak w mieszkaniu. Głupio tak bez niczego. Lepiej coś kupię, pomyślał. W niewielkim sklepiku po drugiej stronie ulicy kupił zgrzewkę piwa. Sam miał ochotę się napić.

Drzwi otworzyła Alicja i Maćkowi przeszło przez myśl, czy tych dwoje nie łączy coś więcej niż tylko przyjaźń. Nie raz widział, jak ukradkiem patrzy na Waltera. Maciek nie miał duszy romantyka. Jeszcze w szkole, pod przymusem, przeczytał *Romea i Julię*, ale poza tym literatura pełna opisów miłosnych uniesień i rozmydlonych spojrzeń tragicznych kochanków była mu obca. W tym jednak przypadku mógłby przysiąc, że za spojrzeniami Alicji kryje się coś więcej niż podziw dla osiągnięć zawodowych pryncypała. Zresztą sam Walter też coś kręci. Wystarczy spojrzeć, jak rozdziela zadania. Maciek, zwykły aspirant, zasuwa sam, a oni zawsze w duecie! Co prawda, wczoraj Ala osobiście robiła rozeznanie w okolicznych stadninach na okoliczność zniknięcia końskiego łba, ale to był tylko wyjątek potwierdzający regułę. Z drugiej strony Maciek wiedział, że każde z nich ma za sobą trudne lata (w przypadku Waltera był to czas wręcz tragiczny), i w głębi duszy życzył im wszystkiego dobrego. Zasługiwali na szczęście i byli sobie wzajemnie potrzebni. Zwłaszcza Walter potrzebował zmiany i oparcia w kims bliskim. Maciek nie był ślepy na jego problemy i szczerze się nimi przejmował. Nigdy jednak nie odważył się wspomnieć w rozmowie z Walterem o jego nie najlepszej kondycji z alkoholem w tle.

– Cześć, Maciek – rzuciła Alicja. – Właśnie parzę herbatę. Zrobić ci też?

– Dzięki, ale wolę to – odpowiedział, wyciągając rękę z czteropakami.

Alicja spochmurniała. Nie była pewna, czy to dobry pomysł, biorąc pod uwagę stan, w jakim od kilkunastu tygodni znajdował się Walter. Jest jednak tu tylko gościem, takim samym jak Maciek, i nic jej do tego, z czym przyszedł.

– Dobra, wchodź. Przyniosę szklanki.

Walter siedział w salonie i sprawdzał coś na laptopie.

– Cześć, Maciek – rzucił, nie odrywając wzroku od ekranu.

– Cześć, szefie.

– Klapnij sobie. Napijesz się czegoś?

– Przyniosłem piwo. Napije się szef?

– Na razie dziękuję. Ale ty się nie krępuj.

Walter zamknął laptopa, akurat gdy do salonu weszła Alicja. Na tacy niosła dwa parujące kubki z herbatą i dwa kufle na piwo. Usłyszawszy rozmowę, bez słowa odniosła jeden z kufli do kuchni. Po chwili cała trójka wygodnie siedziała na swoich miejscach.

– Wygląda na to, że mamy podejrzanego – powiedziała Alicja.

– Stawiasz na Gojnego? – zapytał Walter.

– Logika podpowiada, że to on.

– Szef chyba nie wygląda na przekonanego – rzucił Maciek.

– Nie do końca. Mam przeczucie, że przy całej swej potworności ten scenariusz jest zbyt prosty, aby był prawdziwy. Dziewczyna bywała u niego wielokrotnie. Odwiedzała go w pracy i wszyscy zgodnie potwierdzają, że facet miał bzika na jej punkcie, a ona go uwielbiała.

– Może miał jakieś zaburzenia osobowości – zasugerowała Alicja. – Jak... ja wiem... Jekyll i Hyde albo coś w tym stylu? Dla jednych przykładowy stryj i szanowany pracownik Lasów Państwowych, a po godzinach bestia polująca na niczego nieświadome nastolatki? Może w ten sposób dawał upust swoim pierwotnym żądzom? Te pedofilskie zdjęcia! Czy to nie wystarczające przesłanki?

– Oczywiście, facet miał zajawkę na młode nimfetki – odparł Walter. – Zapewniam cię jednak, że dziewięćdziesiąt procent facetów ma podobne upodobania, tyle że nie przyznają się do

tego i nie kolekcjonują zdjęć. Natomiast sposób zabójstwa – zaczął odliczać na palcach – dekapitacja, wcześniejsze naszprycowanie, żadnych odcisków palców ani innych śladów i na koniec ten cholerny koński łeb, w którego zdobycie zabójca musiał włożyć spory wysiłek, sugeruje, że było to zaplanowane i drobiazgowo przygotowane morderstwo. Jeśli więc Gojny jest nowym wcieleniem Hyde'a, to poza osobowością ma też podwójną cielesność!

– Nie rozumiem. – Alicja poczuła, że gubi jakiś wątek. – Co masz na myśli?

– Szef jeszcze ci nie powiedział? – spytał zdziwiony Maciek.

– O czym?

– Maciek miał dziś ciekawą rozmowę ze stróżem nocnym z naszej stadniny – powiedział Walter. – Nie zdążyłem podzielić się z tobą tą informacją.

Alicja, ze względu na obecność Maćka, powstrzymała się od komentarza, choć miała ochotę wygarnąć Walterowi, co o nim myśli.

– Oświećcie mnie, proszę. – Nie odpuściła sobie kąśliwości.

– W stadninie jednak był włam – Maciek rozpoczął relację. – Ktoś zaszlachtował kobyłę i zniknął z jej łbem. Cieć, co prawda, nie widział samej rzezi, ale za to napatoczył się na rzeźnika.

– Czy ty kiedyś zaczniesz się wysławiać jak *homo sapiens*? – ofuknęła go Alicja.

– Staram się, jak mogę, pani komisarz. – Maciek bezradnie rozłożył ręce i zrobił obrażoną minę. – Ale jeśli sobie pani życzy, to szef może dokończyć.

– Maciek, błagam cię... – Walter pokręcił głową z politowaniem.

– No dobra, niech będzie. – Foch ulotnił się niczym kamfora.

– Chodzi o to, że nasz cieć widział kogoś, ale jest pewny, że nie był to Gojny, choć kogo widział, nie potrafi powiedzieć. Gość był w kapturze, a było dość ciemno.

– Skąd więc pewność, że to nie Gojny? – zapytała Alicja.

– Tamten był szczupły, według świadka miał pociągłą twarz. A nasz Gojny raczej do szczupłych nie należy. Gęba jak kluska z Tyrolu.

– Z Tyrolu? Z jakiego Tyrolu? O czym ty znowu gadasz? – jęknęła Alicja.

– Byłem na nartach rok temu i dają tam pyszne...

– Maciek! – przerwał mu Walter.

– Dobra, już nic nie mówię. – Maciek symbolicznie zasznurował usta.

– Dlaczego nie założyć, że działali we dwójkę? – zapytała po chwili Alicja.

– Teoretycznie jest taka opcja – przyznał Walter. – Tak czy owak, trzeba znaleźć Gojnego. Może was to zdziwi, ale bardzo bym chciał, żeby Ala miała rację.

– List gończy w drodze, a numery land cruisera ma każdy gliniarz w tym kraju. Kwestia czasu, jak go namierzemy. To przecież nie mafiozo z armią ludzi, którzy pomogą mu się zadekować – powiedziała Alicja.

– A dlaczego właściwie szef tak chce, żeby Ala miała rację? – Maciek nie był w stanie zbyt długo milczeć.

– Bo wtedy mamy faceta, któremu odbija szajba, ukatrupia własną siostrzenicę, my go łapiemy i sprawa zamknięta – odparł Walter. – Jeśli jednak Ala się myli, to obawiam się, że na tym zabójstwie się nie skończy.

Zapadła cisza. Z kuchni dochodził monotony brzęk agregatu lodówki. Za ścianą sąsiad, najwyraźniej kibic, na cały regulator oglądał jakąś sportową transmisję. Podniecone krzyki komentatora informowały o rzucie karnym dla Realu Madryt.

– Szef tak wytrzymuje z tym sąsiadem? – zainteresował się Maciek.

– Uprzedził mnie, że dziś przychodzą do niego kumple obejrzeć jakiś ważny mecz i może być trochę głośno. – Walter wzruszył ramionami. – Na co dzień jest w porządku.

– Idę zrobić jeszcze herbaty, chce ktoś? – zapytała Alicja.

– Ja poproszę.

– A ja dziękuję, mam jeszcze piwo. – Maciek pokazał butelkę.

Gdy Alicja zniknęła w kuchni, komisarz uchylił okno i zapalił papierosa. Zapach firanki przypomniał mu, że już dawno powinien je uprać. Kolejny punkt na długiej liście, pomyślał. Usłyszawszy dzwonek telefonu, zgasił niedopałek i wyszedł do

sąsiedniego pomieszczenia. Kiedy wrócił, Alicja była już z powrotem. Na stoliku stały dwa kubki ze świeżym naparem.

– No mówże! – Alicja nie wytrzymała przedłużającej się ciszy.

– Dzwoniła ta Jarosz z nadleśnictwa.

– Babka z sekretariatu?

– Tak, właśnie ta. Twierdzi, że przed domem Gojnego stoi jego samochód. Jadę do Leszna. Widzimy się jutro w firmie.

– Jadę z tobą. – Ton Alicji nie znosił sprzeciwu.

ROZDZIAŁ 28

Co ten padalec tu robi? – pomyślał na widok Niskiego.

– No i znów jesteśmy sami – padło z altany.

– Słuchaj, oni się wycofali, ale wiesz chyba, że to nie potrwa w nieskończoność? – zapytał rzeczowo Walter.

– Bez obaw. Wkrótce załatwimy, co mamy do załatwienia, i będzie po krzyku.

– Zaczynasz mówić rozsądnie. O co więc chodzi? – Walter upewnił się, że sytuacja za jego plecami się nie zmieniła.

– Jesteś ojcem. Ja też. Choć powinienem powiedzieć: byłem.

– Przykro mi to słyszeć, ale co to ma do rzeczy?

– Bardzo wiele.

– Zamieniam się w słuch, tylko się streszczaj, bo nie ręczę za „czarnych”.

– To był fajny chłopak, może trochę szalony, jak to bywa z gówniarzami, ale kto w młodości nie popełniał grzechów?

– Co się z nim stało?

– Nie wiesz? – Głos znów stał się napastliwy. – Rzniesz idiotę, psie?!

A skąd mam, do kurwy nędzy, wiedzieć? – pomyślał z wściekłością Walter, czując, że dostaje gęziej skórki. Do czego on zmierza? Po co ta cała gadka o ojcostwie? Stracił syna? Nie on pierwszy i nie ostatni, ale co ja mam z tym wspólnego...? I nagle pojawiła się ta myśl. Nie, to bez sensu. Przecież ojciec tamtego chłopaka to wpływowy i bogaty facet. Mógłby bez większych problemów wynająć kogoś do takiej roboty. Nie bawiłby się w takie przedstawienie. Chociaż z drugiej strony... W dodatku ta wada wymowy... Pamiętał, jak kiedyś w radiu Miotła wychwalał pod niebiosa polski wymiar sprawiedliwości, gdy ten uniewinnił jego synalka. Te połykane spółgłoski. Miotła... To jednak on! To odkrycie sprawiło, że zaczął się bać tak jak jeszcze nigdy w życiu. Nie o siebie, o siebie nie można

się tak bać. Bał się o dwie najważniejsze w jego życiu kobiety, które wpadły w łapska palającego nienawiścią i pragnieniem zemsty szaleńca.

– Przykro mi z powodu twojej straty – mimo wszystko nie wychodził z roli. – Ale co one mają z tym wspólnego?

– Wkrótce się dowiesz, jeszcze chwili...

– Posłuchaj, do cholery, moja cierpliwość zaczyna się wyczerpywać!

– Ale chyba wystarczy ci jej dla żony i córki? – warknął tamten.

Walter wziął kilka głębokich oddechów. Wiedział, że musi trzymać nerwy na wodzy. Stawka była zbyt wysoka.

– Wystarczy – potwierdził cicho, już bez cienia emocji. – Mów dalej.

– Pragnąłem dla syna tego, co najlepsze. Chciałem, aby miał wszystko, czego mnie w jego wieku brakowało. Chciałem, aby się cieszył życiem i był szczęśliwy. Niestety, ta powieść nie ma *happy endu*, bo w ostatnim rozdziale pojawiaasz się ty, skurwysynu! Pojawiasz się i zabijasz mi dziecko!

Walter wiedział, że Miotła to niebezpieczny gość. Jego kryminalna przeszłość była w mieście znana. Co prawda, niczego nigdy mu nie udowodniono, ale z całą pewnością miał krew na rękach.

– Miotła, tak cię nazywają, prawda? – zapytał. – Co masz zamiar zrobić? – Odpowiedziała mu głucha cisza. Walter zaryzykował i zrobił kilka kroków do przodu. Choć dotychczas nie był specjalnie pobożny, zaczął się gorliwie modlić w duchu. Błagał o ocalenie jego kobiet, jedynych istot, które naprawdę kochał. – Posłuchaj, Miotła, to jest sprawa między nami. One nic ci nie zrobiły. Wypuść je, a ja zajmę ich miejsce. Będę nieuzbrojony i bez obstawy. Zrobisz ze mną, co będziesz chciał, tylko je wypuść!

W tym momencie Miotła wyłonił się z mroku. Był sam. Uniósł ręce, jakby chciał pokazać, że nie jest uzbrojony. Skierował wzrok na Waltera i powoli zaczął iść w jego kierunku.

– Stój! – krzyknął Walter, błyskawicznie sięgając po pistolet.

– Na ziemię! Twarzą w dół! – Mimo wycelowanej w jego stronę

broni Miotła nie zatrzymał się. Uśmiechał się cynicznie. W końcu był na tyle blisko, że Walter mógł poczuć zapach jego potu. – Na ziemię! – wrzasnął ponownie.

Wtedy Miotła powoli klęknął. Zanim przywarł do ziemi, zadarł głowę i cicho, prawie szeptem powiedział:

– Mam nadzieję, że do końca swojego życia nie prześpisz spokojnie ani jednej nocy, komisarzy. – Po czym położył się twarzą zwróconą w dół.

W tej samej chwili nadbiegli policjanci z grupy interwencyjnej. Miotła został błyskawicznie skuty. Dwóch barczystych policyjnych komandosów zaczęło go wlec w kierunku radiowozu.

Walter wbiegł do altany. Na ławie w rogu siedziała Joanna. W ramionach trzymała Anetkę. Obie miały usta zaklejone szeroką taśmą. Krew kapiąca z ich głów zlewała się w jedną kałużę. Na ziemi leżał colt M1911. Do lufy miał przymocowany tłumik.

W tej krótkiej chwili świat się zatrzymał. Waltera zalała fala bólu i nienawiści, spychając resztki zdrowego rozsądku na samo dno jaźni. Jego mózg opanował pierwotny instynkt zranionego zwierzęcia. Musiał, po prostu musiał poczuć strach i krew bestii, która w jednej chwili odebrała mu wszystko. Nasycić się zemstą. Chciał zabić. Z bronią w rękę wypadł z altany i zaczął biec w kierunku wleczonego przez policjantów Miotły. Dopadł go w kilku krokach i powalił na ziemię. Zaskoczeni funkcjonariusze, widząc w rękę Waltera broń, odskoczyli na bok, po czym błyskawicznie sięgnęli po swoją.

– Rzuć broń, kurwa! – wrzeszczeli jeden przez drugiego, celując w Waltera. – Natychmiast rzuć broń!

Ale Walter klęczał już na plecach Miotły. Jedną ręką przyciskał jego głowę do ziemi, a drugą przystawiał pistolet do skroni bandyty.

– Jesteś trupem. Zdechłym ścierwem, ty skurwysynu – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Nie zwrócił uwagi, kiedy otoczyła ich grupa interwencyjna.

– Roman, zostaw go! – krzyknął dowódca grupy. – Pamiętaj, kim jesteś!

– Zajebię cię, a potem naszczam na twój grób i na grób twojego synalka, jebany popierdoleńcu! – Walter coraz mocniej wciskał lufę w skroń Miotły.

– Opanuj się! Rzuć broń i odsuń się na bok! – Dowódca podjął kolejną próbę, ale Walter nie reagował. Sapał głośno i cały się trząsał. Buzująca w jego żyłach adrenalina skutecznie blokowała część mózgu odpowiedzialną za racjonalną ocenę sytuacji. Jeden mały ruch, a bestia przestanie istnieć. Jedno „bum” i pośle gnoja do piachu. Jedna decyzja i wszystko się skończy.

I w tej chwili coś się zmieniło. Wszystko się skończy... Nie, nie mogę... Mięśnie Waltera zaczęły wiotczeć, oddech się wyrównał. Nie będę mógł pożegnać się z nimi, nie odprowadzę ich w ostatniej drodze, nie uściskam ostatni raz, pomyślał. Nie mogę do tego dopuścić. Nie mogę! Odłożył broń i powoli wstał. Wtedy zza pleców antyterrorystów wyłoniła się niewielka postać. W za dużej kamizelce kuloodpornej przypominał karykaturę gracza w futbol amerykański.

– Nadkomisarzu Walter! – krzyknął Wicherek, celując w Romana palcem wskazującym. – To wszystko znajdzie się w raporcie! To jest zupełny brak kompetencji! Pan jest skończony! Obiecuję to panu!

Walter nie zareagował. Podeszedł do najbliższej ławki, usiadł i zwiesił głowę. Wkrótce nadjechał ambulans z ratownikami medycznymi. Zaaplikowano mu solidną dawkę środków uspokajających i odwieziono do specjalistycznej placówki medycznej, gdzie znalazł się pod opieką psychiatry i psychologa. Spędził kilka dni na obserwacji. Rodzice Joanny zajęli się pogrzebem. Zaraz po ceremonii Walter wziął bezpłatny urlop i na parę miesięcy zniknął w Beskidach.

ROZDZIAŁ 29

Samochód Gojnego, zgodnie ze zgłoszeniem pani Jarosz, stał zaparkowany przed jego domem. Walter dotknął maski.

– Jeszcze ciepły. Nie minęło dużo czasu od jego powrotu. Idziemy z nim pogadać. – Ruszył do drzwi.

– Poczekaj! – Alicja złapała go za rękę. – Nie uważasz, że powinniśmy wezwać wsparcie?

– Teraz o tym mówisz? – Spojrzał na nią i uniósł brwi. – Przez ostatnie pół godziny nie przyszło ci to do głowy?

– A tobie? Czy to nie ty tu rządzisz?

– Tak i tak. Ale nie chcę żadnego wsparcia. Jak przyjedzie tu cała artyleria i narobi hałasu, to facet na bank się zmyje.

– No dobrze – zgodziła się Ala bez przekonania i zerknęła na budynek. – W oknach jest ciemno. Pewnie woli ukryć swoją obecność.

– Za to samochód zaparkował przed domem. Może wpadł tylko na chwilę? Zapomniał o czymś? Zaraz się dowiemy.

– Roman, uważaj. Coś mi się w tym wszystkim nie podoba.

– Trzymaj się przy mnie i miej spluwę pod ręką. Będzie dobrze.

Zapewnienie Waltera wcale nie uspokoiło Alicji. Nie po raz pierwszy godziła się na omijanie procedur i niepotrzebne ryzyko. Ponadto uświadomiła sobie, że poza Maćkiem nikt nie wie, że tu są, a ten najpewniej już siedzi przed konsolą i gania zombie. Wciąż miała w pamięci kilka sytuacji, podczas których Walter dawał się ponieść temperamentowi jak jakiś pieprzony Brudny Harry, wskutek czego długo potem musiała dochodzić do siebie. Co prawda, zawsze wszystko dobrze się kończyło, ale przecież kiedyś powinie mu się noga. Oby wtedy nie musiała za to zapłacić.

Walter przyłożył ucho do drzwi. Cisza – żadnych hałasów, grającego telewizora czy krzątania. Prawą ręką odsunął Alicję

za siebie i energicznie zapukał. Żadnej reakcji. Odczekał kilka chwil i zapukał ponownie. Znowu nic. Jeśli Gojny tam był, to najwyraźniej nie miał ochoty na odwiedzin. Ten fakt tylko podkreślił czujność Waltera.

– Masz latarkę?

– Mam... w aucie... – Alicja przełknęła przekleństwo i obróciła się na pięcie. – Poczekaj. Nie włącz tam beze mnie!

Oczywiście nie posłuchał. Nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły. Uchylając je, modlił się w duchu, aby zawiasy nie zaskrzypiały. Otworzyły się bezszelestnie, Gojny musiał je oliwić.

Na zewnątrz panował już zmierzch, więc oczy komisarza nie musiały się przyzwyczajać do panującego wewnątrz półmroku. Bez latarki rozróżniał tylko kontury, ale dość dobrze pamiętał jeszcze rozkład pomieszczeń. Wyjął z kabury pistolet i odbezpieczył go. Ostrożnie stawiając kroki, przeszedł przez pusty przedpokój. Zatrzymał się przy futrynie drzwi prowadzących do pokoju dziennego. Wziął kilka głębokich oddechów, trzymając oburącz broń, wyciągnął ją przed siebie i zdecydowanie wtargnął do środka. Pokój był pusty. Wtedy za plecami usłyszał jęk skrzypiących drzwi. Przecież te wejściowe nie skrzypiały... Piwnica! Kurwa, niech to szlag! – zaklął w myśli i błyskawicznie odwrócił się w kierunku, z którego dochodził hałas.

Wtedy poczuł uderzenie. Prosty cios, wyprowadzony z wprawą zawodowego boksera, trafił go w sam środek twarzy. Pod Walterem ugięły się nogi. Mimo solidnej postury i sprawności fizycznej, choć nieco nadwyrężonej przez miesiące alkoholowych ekscesów, nie zdołał utrzymać równowagi i runął na podłogę. Krew natychmiast zalała mu twarz. Padając, zdążył jeszcze zauważyć, że napastnik rzucił się do ucieczki.

– Ala, kurwa mać... Ala! – wycharczał. Miała trzymać się blisko niego. Cały czas. Miał ją chronić, a zamiast tego zostawił ją tam, na zewnątrz. Nie wybaczy sobie, jeśli coś jej się stanie. Nie, nie może do tego dopuścić. Przyciskając jedną ręką rozbitą nos, podparł się drugą i chwiejnie wstał z podłogi. Giwera! Gdzie ona, kurwa, jest?! Myślał gorączkowo, rozglądając się za pistoletem, który podczas upadku wypadł mu z rąk. Po chwili

poczuł go pod stopą. Podniósł broń i szeroko stawiając kroki, wybiegł na zewnątrz. – Ala, gdzie jesteś?! Alicja! – wrzeszczał.

– Jestem, Roman, jestem. Tutaj – usłyszał jej głos. – Ja pierdzielę, co to było?

Siedziała na ziemi. Była cała ubłocona. Grzbietem dłoni wycierała twarz.

– Jesteś cała? Nic ci nie jest? – pytał gorączkowo.

– Wszystko OK. Ale co z twoją twarzą? Jesteś cały we krwi!

– Zaskoczył mnie, skurwieli! Widziałeś go? Dokąd pobiegł?

– Nic nie widziałam. Wchodziłam do środka, kiedy mnie popchnął. Poleciałam z ganku jak długa.

Komisarz przez chwilę rozważał, czy nie ruszyć za zbiegiem, ale przecież nie wiedział nawet, w którą stronę. Poza tym kręciło mu się w głowie, a krew ciekła z nosa jak z zarzynanego wieprzka. Nie. Pościg nie ma sensu. Dał dupy i tyle!

– Kurwa, Ala, ale to spierdoliłem. Taka partanina – jęknął, siadając obok Alicji. – Przepraszam cię... Jestem do niczego. Wybacz mi, proszę.

– Przestań. Nie masz chyba zamiaru teraz się nad sobą użalać? Tak bywa – stwierdziła, choć wiedziała, że Walter ma rację. To nie powinno się wydarzyć. – Chodź, pobierajmy się. Nie będziemy przecież siedzieć na tyłkach w tym błocie. – Wstała i podała mu rękę.

– Ty też przestań – odparł łagodnie, rezygnując z jej pomocy. – Dam sobie radę.

– Jak sobie życzysz. Ale weź chociaż to. – Alicja wręczyła mu wyjętą z kieszeni kurtki chusteczkę. – Przyłóż do nosa, bo się jeszcze wykrwawisz.

Walter tylko przewrócił oczami. Miał nadzieję, że tego nie zauważyła.

– Dzwon po chłopaków – poprosił. – Niech przyjadą i sprawdzą, czy czegoś nie zabrał. Dom trzeba ponownie zabezpieczyć. Miałaś rację. Od razu powinienem tak zrobić.

– Czy ja coś powiedziałam? – Ala spojrzała na niego z udawanym zdziwieniem i wyjęła z kieszeni telefon.

– W międzyczasie sprawdzę jego samochód. Swoją drogą, ciekawe, dlaczego dał dyla na nogach?

Walter rozdarł chusteczkę na pół i wepchnął oba kawałki w dziurki nosa, prowizorycznie tamując krwotok. Potem wytarł ręce o nogawki spodni i ruszył w kierunku samochodu Gojnego. Po drodze założył zimowe rękawice i włączył latarkę, którą dała mu Alicja.

Samochód był otwarty i zupełnie pusty. Żadnych rzeczy na siedzeniach czy podłodze. W schowku na rękawiczki były tylko... rękawiczki. Kolejny schowek, ten obok drążka biegów, był pusty. Walter postanowił sprawdzić bagażnik. Podniósł solidne tylne drzwi SUV-a. Jego wzrok padł na jakiś duży przedmiot. Coś, co wyglądało na ludzkie plecy, częściowo przykryte jakąś narzutą.

– Ala, chodź tu szybko! – zawołał. Alicja właśnie kończyła rozmowę z oficerem dyżurnym. – Trzymaj latarkę i poświeć tutaj. – Wskazał na bagażnik.

– O szlag... – zaklęła, gdy zorientowała się, co widzi.

Walter chwycił narzutę w dwa palce i delikatnie odsunął. Mężczyzna leżał na boku w pozycji embrionalnej. Ręce miał zablokowane pod kolanami i skrępowane stalowym drutem. Taki sam drut owinięto wokół jego kostek. Obydwa pęta były ze sobą związane grubym sznurem, dodatkowo obezwładniającym ruchy ofiary. Alicja skierowała światło latarki na głowę mężczyzny. Dotknęła jego szyi, szukając pulsu. Był lodowato zimny. I martwy.

– Możesz poświecić na jego głowę od strony kabiny? – poprosił komisarz.

Gdy wykonała polecenie, nachylił się i zajrzał do wnętrza bagażnika. To, co zobaczył, wystarczyło.

– No i mamy Gojnego – powiedział.

Alicja milczała. Cała jej koncepcja właśnie legła w gruzach. Walter miał rację. To nie będzie prosta sprawa.

Nagle usłyszeli sygnał telefonu komórkowego. Dźwięk dochodził z tylnej kieszeni spodni Gojnego. Walter, wciąż w rękawiczkach, wyjął aparat i spojrział na wyświetlacz akurat w chwili, gdy pojawiło się na nim okno wiadomości: LUBISZ PATRZEC?

ROZDZIAŁ 30

Było tuż po szóstej rano, gdy dzwonek komórki wyrwał Waltera ze snu. Bolała go głowa i szumiało mu w uszach, choć tym razem powodem nie był poranny kac. Mimo okładów z lodu jego nos i górna warga wciąż były mocno spuchnięte. W półśnie sięgnął po leżącą na nocnej szafce komórkę. Numer na wyświetlaczu telefonu wskazywał komendę.

- Walter, słucham – przedstawił się, lekko sepleniąc.
 - Komisarz Walter? – usłyszał głos.
 - Tak, to ja – powtórzył, nieco zirytowany.
 - Przepraszam, nie zrozumiałem.
 - Nie ma sprawy. O co chodzi?
 - Dzwonię z informatyki. Powinien pan natychmiast tu przyjechać. Chłopaki odkodowali ten telefon.
 - Znaleźli coś ciekawego?
 - Nawet bardzo ciekawego. Komórką nagrano film z dziewczyną z lasu w roli głównej.
- Poranna senność zniknęła w okamgnieniu. Mózg Waltera zaczął pracować na pełnych obrotach.
- Jest jeszcze coś – dodał informatyk. – Ale lepiej będzie, jeśli zapozna się pan z tym na miejscu. Wszystko jest w raporcie. Znajdzie go pan na swoim biurku.
 - Dobrze, będę za czterdzieści minut.

Błyskawicznie pokonał drogę do komendy. Jego myśli krążyły wokół rozmowy z informatykiem. Gdyby ktoś go zapytał, czy świeci dziś słońce, czy może dzień jest pochmurny, nie byłby w stanie odpowiedzieć.

Raport wraz z płytą CD leżał na jego biurku. Jego pierwsza część dotyczyła zawartości twardego dysku komputera Gojnego. Druga – tego, co znaleziono w odkodowanym

telefonie. Po informacji sprzed kilkudziesięciu minut nie było siły, która zmusiłaby Waltera do rozpoczęcia lektury w chronologicznej kolejności.

Informatycy donosili, że znaleziony telefon to zwykła jednorazówka z kartą prepaid. W pamięci nie znaleziono nic poza kilkuminutowym filmem, nagrany za pomocą tegoż aparatu. Informatycy przygotowali plik do odtworzenia w standardowym formacie i wgrali go na załączoną płytę.

Walter włożył płytę do napędu laptopa i kliknął w odpowiednią ikonkę. Na ekranie pojawiła się charakterystyczna klepsydra. Nie po raz pierwszy doświadczał ślamazarności oprogramowania, jednak tym razem jego cierpliwość była na granicy. Już miał sięgnąć po słuchawkę telefonu i powiedzieć parę ciepłych słów komu trzeba, gdy program odpalił. Na ekranie pojawiły się nogi brodzące w śniegu. Obraz bez przerwy przesunął się w górę i w dół, jakby kamera w rękach operatora kręciła bez jego wiedzy. Walter zatrzymał na chwilę film, zamknął uchylone drzwi, usiadł wygodnie, po czym ponownie uruchomił odtwarzacz.

Obraz, z początku chaotyczny, po chwili się ustabilizował. Na ekranie pojawiły się połać brudnego śniegu i nagie pnie drzew. Czyjaś dłoń częściowo przesłoniła obiektyw kamery i obraz przesunął się nieco w dół. Dłoń zniknęła, odsłaniając leżącą postać.

Walter nie miał wątpliwości, na co patrzy. Na śniegu, twarzą w dół, leżała naga siostrzenica nadleśniczego. Zatrzymał odtwarzanie i sięgnął do kieszeni po papierosa. Zmiał przekleństwo w ustach, gdy zorientował się, że paczka została w mieszkaniu. Jego serce wyraźnie przyspieszyło, a czoło zrosiły krople potu. Wiedział, co będzie dalej. Wiedział też, że nie może zrezygnować z obejrzenia filmu do końca, choć wiele by dał, aby ktoś go wyręczył. Wziął parę głębokich oddechów i ponownie uruchomił nagranie.

Dziewczyna leżała nieruchomo. Jej ręce i nogi nie były skrępowane. Przez kilkanaście sekund nic się nie działo. Jakby

ktoś zrobił stop-klatkę. Nagle się poruszyła. Po chwili zaczęła dygotać jak porażona prądem. Jej mięśnie tężały i wiotczały na przemian, a plecy gięły się w formę kołyski. Po kilku sekundach znieruchomiała. Po kolejnych kilku przeraźliwy spektakl zaczął się od nowa. Tym razem udało się jej podnieść głowę. Niezbyt wysoko, może na kilka centymetrów. Walter przez moment widział jej oczy. Szeroko otwarte, przerażone, zadające nieme pytanie. Po chwili głowa dziewczyny opadła. Tak jakby już rozumiała, co się z nią dzieje. Tak jakby się poddała. W tym momencie w kadrze pojawiła się druga postać. Mężczyzna – średniego wzrostu, ubrany w czarne, drelichowe spodnie i kurtkę w tym samym kolorze. Głowę miał zakrytą obszernym kapturem. W rękę trzymał lśniący przedmiot, drapieżnie kontrastujący z otoczeniem. Mimo panującego półmroku gładka stalowa nawierzchnia błyszczała złowieszco, odbijając resztki dziennego światła. Walter rozpoznał ten przedmiot. Piła. Inna jednak niż wszystkie. Chirurgiczne narzędzie ze stali nierdzewnej. Mężczyzna podszedł do dziewczyny i okrakiem usiadł na jej plecach. Lewą ręką chwycił jej włosy i mocnym, zdecydowanym ruchem pociągnął, odsłaniając nagą, bezbronną szyję. Rozpoczął się spektakl brutalnego, niewyobrażalnego w swym okrucieństwie mordu. Gdy skończył, wstał i niosąc głowę ofiary, zniknął z kadru. Po kilku sekundach wrócił, dźwigając sporej wielkości parciany worek. Z worka wypadł koński łeb. Morderca stał przez chwilę, jakby nad czymś się zastanawiał. W końcu podniósł łeb zwierzęcia i położył w miejsce odciętej głowy dziewczyny. Później wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił, przyglądając się swemu dziełu. Zaciągnął się trzy razy, wykruszył z papierosa żar, niedopałek włożył do kieszeni i odszedł.

Nagranie się skończyło.

Walter poczuł nadciągające mdłości. Gdyby zdążył rano zjeść śniadanie, z pewnością biegłby teraz do toalety. Wyłączył odtwarzacz i przez kilkanaście sekund walczył z torsjami. Gdy w miarę doszedł do siebie, do pokoju weszła Alicja. Od razu

zauważyła, że coś jest nie tak. Walter siedział nieruchomo, patrząc niewidzącym wzrokiem gdzieś ponad wygaszonym monitorem. Jego twarz miała kolor brudnego gipsu.

– Cześć, Roman. Coś się stało? – zapytała, nie czekając na słowa powitania.

– Coś mi musiało zaszkodzić – odparł wymijająco.

– Zjadłeś coś?

Puścił pytanie mimo uszu. Nie miał ochoty zagłębiać się w powody słabości, której była świadkiem.

– Technicy rozgrzebali komórkę znaną przy Gojnym – przeszedł do rzeczy. – Właśnie zacząłem czytać raport. Komórką nakręcono film. Ala – spojrzał jej prosto w oczy – on sfilmował zabójstwo tej dziewczyny, i to ze szczegółami.

– Możesz mi to pokazać? – bardziej zażądała, niż poprosiła.

– Nie jestem pewien, czy chcesz to oglądać.

Chciał ją uchronić przed makabrycznym dziełem szaleńca.

– Ale ja jestem pewna – odparła stanowczo. – Nie baw się, proszę, w dobrego wujka i po prostu mi to puść.

– Jak chcesz. Możesz to puścić. Plik wciąż jest otwarty.

Walter wstał od biurka i podszedł do okna. Nie miał ochoty po raz drugi doświadczać koszmarnego reality show. Za oknem życie toczyło się swoim torem. Zwykły miejski zgiełk. Przechodnie zmierzający przed siebie w pośpiechu, szum rozmaitych pojazdów, sklepy, centra handlowe, bary – cały ten świat w tym momencie wydawał mu się jakąś inną, odległą planetą. Planetą, na której nie ma psychopatów odcinających głowy swoim ofiarom.

Alicja w milczeniu obejrzała nagranie. Potem wyłączyła odtwarzacz i podeszła do Waltera. Była zupełnie opanowana, jakby to, co przed chwilą zobaczyła, nie zrobiło na niej większego wrażenia.

– To ten sam facet – powiedziała. – Ten, którego nakryliśmy u Gojnego.

– Skąd ta pewność?

– Ten na filmie i ten, który wyskoczył na mnie, są podobnej postury i byli tak samo ubrani. Czarna zimowa kurtka z naszywanymi kieszeniami i z kapturem, obrębnym

futerkiem. Możesz się śmiać, ale zanim upadłam, zakodowałam te szczegóły. Nie wiem dlaczego. Może dlatego, że mój młodszy brat kiedyś dostał kompletnego bzika na punkcie tego typu pseudowojskowego wdzianka. Tak długo męczył naszych starszków, aż zmiękli i kupili mu taką kurtkę na bazarze, bo wtedy tylko tam można było dostać takie rzeczy. Przez pewien czas nawet w niej spał.

– Jeśli to był on, to czego tam szukał? – zapytał Walter i od razu zrozumiał. – Myślę, że szukał tego kompa. – Wskazał na drugą część raportu. – A raczej czegoś, co w nim jest.

– Jest jeszcze coś, Roman. Mogę?

– Mów.

– Znalazłam jej matkę. Mam adres.

– Jedź po nią – polecił i zabrał się do lektury.

ROZDZIAŁ 31

1968–1972

Chłopiec był jedynakiem. Parę razy zadał matce pytanie, dlaczego nie może mieć brata albo siostry. Przecież tyle dzieci ma brata albo siostrę, a on nie. A tak najbardziej to chciałby mieć starszego brata, żeby się z nim bawił, bo nikt się z nim nie bawi... Matka z początku go zbywała, próbowała sprzedać mu jakąś historię o bocianie, który nie doleciał, jednak widząc, że mały nie daje za wygraną, postanowiła zamknąć temat raz na zawsze.

– Nigdy nie będziesz miał brata ani siostry, i to twoja wina – oznajmiła suchym, pozbawionym emocji głosem, wbijając w niego spojrzenie dużych, lodowato błękitnych oczu. – Przychodząc na świat, zniszczyłeś mnie, zepsułeś. Mało co nie umarłam przez ciebie. A teraz jestem pusta w środku. Nie będę mieć więcej dzieci. Wszystko przez ciebie. Zapamiętaj to sobie i nigdy więcej mnie o to nie pytaj.

Matka nigdy go nie pokochała. Był dla niej bolesnym przypomnieniem, że kiedyś miała inne życie. Bo jej czas dzielił się na dwie epoki: życie przed i po. W tym „przed” była młoda, wolna i ambitna. Miała plany. Miała wielkie plany. Dokładnie wiedziała, jak poprowadzi swoją karierę. Natura nie poskąpiła jej urody. Wielkie, błękitne oczy potrafiły zmiękczyć niejednego faceta. Miała świadomość, jak działa na mężczyzn, i umiała z tego korzystać. Wszystko szło tak dobrze. Do czasu. Dzisiaj nie pamiętała już nawet, czym ją zauroczył. Był przystojny, to fakt. Nawet teraz, co musi przyznać, niczego mu nie brakuje. Tylko że takich przystojniaków miała na pęczki. Nietuzinkowa osobowość? Styl? Ambicje i wielkie plany? Nic z tych rzeczy. Mimo szczerych chęci nigdy nie potrafiła tego w nim dostrzec. Razem z niechcianą ciążą zaczęło się dla niej życie „po”.

Ublagana przez matkę, zrezygnowała z aborcji, przyjęła oświadczenia i stanęła na ślubnym kobiercu. Chłopiec przyszedł na świat wiosną następnego roku. Poród był skomplikowany. Pośladkowe ułożenie płodu niemal pozbawiło ją życia. Lekarz w ostatniej chwili zdecydował się na cesarskie cięcie, ratując matkę i dziecko. Niestety pojawiły się komplikacje poporodowe. Werdykt lekarzy był jednoznaczny – nigdy już nie urodzi. Nie czuła żalu, nie rozpaczała nad potomstwem, którego nie powije. Bolała tylko nad tym, że pozbawiono ją jakiejś części kobiecości. Była niekompletna. Pusta w środku.

Mały dobrze się rozwijał. Był zdrowym dzieckiem. Zawsze odpowiednio ubranym i nakarmionym. Rola rodziców w zasadzie ograniczała się do tych dwóch czynności. Matka spełniała swoje macierzyńskie obowiązki z sumiennością inkubatora. Ojciec, jeśli w ogóle był w domu, spał.

Kiedyś podczas jednej z wizyt kontrolnych zaniepokojony lekarz zauważył, że mimo skończonych trzech lat mały w zasadzie nie mówi. Zasugerował, że coś trzeba z tym zrobić. Matka postanowiła wypożyczyć z biblioteki taśmy z bajkami dla dzieci. Magnetofon szpulowy firmy Grundig w zamkniętym dziecięcym pokoju grał niemal na okrągło. Nie musiała już podejmować prób rozmowy. Była dumna ze swojego pomysłu.

Ojca chłopiec praktycznie nie widywał. Mężczyzna szybko się zorientował, że życie w rodzinie, którą z przymusu założył, nijak nie przystaje do jego wyobrażeń. Nie było rozmów. Nie było też kłótni. Nie było żadnych emocji. Wspólne posiłki jadane były tylko z okazji świąt, kiedy nie można już było uniknąć wizyty dziadków. Mężczyzna nie potrafił znieść życia w lodowej jaskini, którą był jego dom, ani pasywnej agresji ze strony żony. Syn też jakoś nie wzbudzał w nim ojcowskich uczuć. Zresztą było w nim coś dziwnego, co powodowało, że czuł się nieswojo. W pewnym momencie uświadomił sobie, że ta rodzina jest mu zupełnie obca, że nic do nich nie czuje. Którejś wiosny w związku z instalacją nowoczesnej linii produkcyjnej w jego zakładzie pracy inżynierowie odpowiedzialni za utrzymanie linii w ruchu, po szczegółowej selekcji pod kątem poglądów politycznych, zostali wysłani na

kilkutygodniowe szkolenie do ówczesnych Niemiec Zachodnich. Ojciec chłopca znalazł się wśród nich. W dzień wyjazdu do RFN po raz pierwszy w życiu uściskał swojego syna i ucałował go w oba policzki. Już nigdy więcej tego nie zrobił. Nie wrócił. Przepadł na zawsze.

ROZDZIAŁ 32

Pierwszą niespodzianką w raporcie, który Walter otrzymał od informatyków, była informacja o braku łącza internetowego w domu leśnika. Wiedząc, co było na twardym dysku, Walter zastanawiał się, w jaki sposób ten ponadpięćdziesięcioletni facet zwabiał ofiary bez Internetu. Jak je wyszukiwał? Autorzy raportu twierdzili, że komputer był używany tylko do magazynowania i obróbki zdjęć. Morderca, o czym wciąż przypominał mu ból w okolicach górnych jedynek, najwyraźniej był zainteresowany tym komputerem. Wśród dziesiątek zdjęć i nagranych filmów musi kryć się coś, na czym mu zależało, i to na tyle, aby ryzykować powrót do domu ofiary. Postanowił jeszcze raz, bardziej uważnie przejrzeć portfolio Gojnego.

Dziesiątki podobnych do siebie ujęć zrobionych kilkunastu modelkom. Wszystkie mniej lub bardziej rozneglizowane i zupełnie anonimowe. Każde zdjęcie opatrzone datą i imieniem. Które z nich miało jakieś drugie dno? Które było dla mordercy na tyle istotne, że podjął takie ryzyko? Przeglądanie zdjęć Walter zaczął od tych najstarszych. Po jakimś czasie pomyślał, że o ile znajomość Gojnego z mordercą mogła trwać miesiącami, a może i dłużej, o tyle coś, co wpłynęło na działanie mordercy, musiało się wydarzyć całkiem niedawno. Przeszedł do folderu z najnowszą datą. Już pierwsze zdjęcie spowodowało, że jego tętno podskoczyło. Złapał za słuchawkę i wykręcił numer do Maćka.

– Przyjdź do mnie – rozkazał bez zbędnych wstępów.

Minęło kilkanaście minut, zanim Maciek wszedł do gabinetu.

– Dzień dobry, szefie – przywitał się.

– Czy te kilkanaście metrów od siebie do mnie pokonywałeś, czólgając się? – zapytał Walter.

– No... nie. Ale szef nie powiedział przecież, że mam być

natychmiast.

Komisarz westchnął, zrezygnowany, i wskazał mu krzesło.

– Chcę, żebyś coś zobaczył. – Kliknął na ikonkę i na ekranie pokazało się zdjęcie młodej dziewczyny. Miała na sobie plisowaną, kraciastą spódnicę, wełniane, jaskrawoczerwone getry do kolan i buty sneakersy. Rękawy jej jasnoniebieskiej koszuli były podwinięte tuż poniżej łokci. Koszula była rozpięta, tak by odsłonić niewielkie dziewczęce piersi. Modelka siedziała na taborecie z szeroko rozłożonymi nogami, opierając stopy o nogi krzesła. Jedną ręką podciągała spódnicę. Pod nią była naga. – Czy coś na tym zdjęciu zwraca twoją uwagę?

Maciek przełknął ślinę z takim wysiłkiem, jakby musiał sobie przypomnieć, jak to się robi.

– No, szefie, dziewczyna jest w dechę. Nic jej nie brakuje.

Walter spojrział na niego z politowaniem.

– Najprawdopodobniej jest nieletnia, niewykluczone nawet, że ma mniej niż szesnaście lat. Nadal masz ochotę komentować walory jej urody?

– No nie, jasne, że nie...

Walter zrelacjonował mu wieczorną akcję, choć Maciek już dawno znał wszystkie szczegóły. Komenda od kilku godzin aż huczała. Przekazał mu również swoje przypuszczenia co do powodu wizyty domniemanego mordercy w domu Gojnego. Na razie jednak postanowił nie wtajemniczać go w sprawę nakręconego komórką filmu.

– Czy teraz coś przykuwa twoją uwagę? – zapytał ponownie.

– Koszula.

– Dokładnie! Wykadruj ją i powiększ w nowym oknie. – Maciek wykonał polecenie. Na monitorze laptopa pokazała się górna część ciała modelki, od linii pępka aż po szyję. Na prawej pole jasnoniebieskiej koszuli wyraźnie odznaczała się naszywka. Walter ponownie poprosił Maćka o zbliżenie kadru i ich oczom ukazał się emblemat jednego z najbardziej rozpoznawalnych, elitarnych warszawskich gimnazjów. – Weź wydruk zdjęcia, jedź tam i popytaj – polecił komisarz. – Jesteś od nich tylko trochę starszy. To zwiększa twoje szanse.

– Szefie, ale jak ja mam pokazać gówniarzom ich koleżankę

w takim... no – zaczął się jąkać – ...no w takim negliżu?

– Zdjęć jest kilkadziesiąt. Na niektórych wszystko jest, jak należy: koszula zapięta, nogi razem. Nie będzie z tym problemu.

Wybrali jedno z „porządnych” zdjęć i Walter wysłał je na drukarkę. W tym momencie do pokoju weszła Alicja.

– Mariola Becker już jest – oświadczyła.

– Dobrze. Skończymy tu z Maćkiem i zaraz ją poprosimy.

ROZDZIAŁ 33

Mariola Becker miała ponad czterdzieści lat i zapuchnięte od płaczu oczy. Jej udreńczona twarz, zgarbiona, przykurczona sylwetka i rozmyty makijaż zupełnie nie pasowały do gustownej, szytej na miarę garsonki, eleganckiej francuskiej torebki i botków od włoskiego projektanta. Alicja wyceniła wartość jej garderoby na jakieś kilkanaście tysięcy złotych. Wcześniej – w zakładzie medycyny sądowej – Mariola Becker potwierdziła, że okaleczone ciało, które jej pokazano, bez wątpienia należy do jej córki, Karoliny. Blizna po wycięciu wyrostka robaczkowego oraz charakterystyczne znamię na biodrze dziewczyny upewniły matkę o tragicznym losie córki. Stuprocentową pewność dało porównanie odcisków palców denatki z tymi, które zdjęto z przedmiotów należących do Karoliny Becker.

Wykrzywiona grymasem bezdennego cierpienia twarz kobiety, oczy proszące, żeby ktoś powiedział, że to wszystko nieprawda, że to tylko jakiś koszmarny sen, do głębi wzruszyły Alicję. Z reguły odporna i trzymająca profesjonalny fason, tym razem czuła się wstrząśnięta rozpaczą kobiety, która w tym samym czasie straciła dziecko i brata, jedynych krewnych, jakich miała.

Wskazała kobiecie wolne krzesło, a sama usiadła z boku biurka.

– Chcę powiedzieć, że rozumiem pani ból i jest mi niewymownie przykro – zaczął Walter. – Obiecuję, że zrobimy, co w naszej mocy, aby odnaleźć tego... – Walter chciał określić mordercę słowem w rodzaju „bestia” lub „potwór”, ale w ostatniej chwili zrezygnował z niepotrzebego patosu – ...człowieka, który skrzywdził pani córkę i brata.

Kobieta spojrzała Walterowi prosto w oczy.

– Rozumie pan mój ból? Tak pan sądzi? To nie pana córka leży w tej koszmarnej sali! Dlaczego moja Karolina, dlaczego właśnie ona...? – zaszlochała, kryjąc twarz w dłoniach. – Walter zacisnął zęby i na chwilę zeszytniał, co nie uszło uwagi Alicji. Ich spojrzenia się spotkały. „Nic się nie stało. Jest w porządku”, wyczytała z jego oczu. – Co chcecie wiedzieć?

Oblicze kobiety nagle stało się czujne, wręcz lodowato zimne. Jedynym śladem po niedawnym płaczu były przekrwione białka bladoniebieskich oczu. Z designerskiej torebki Louis Vuitton wyjęła perłowe puderko. Otworzyła wieczko i patrząc na swoje odbicie w małym lustreczku, za pomocą nawilżonej chusteczki starła z powiek rozmazany tusz. Następnie czarną maskarą, która nie wiadomo kiedy znalazła się w jej dłoni, zaczęła nakładać na rzęsy nową warstwę tuszu. Alicja w skupieniu obserwowała zachodzącą na jej oczach ewolucję. Kobieta jeszcze kilka minut temu była autentycznie zrozpaczona. Jej reakcja, biorąc pod uwagę okoliczności, była jak najbardziej naturalna. Teraz siedziała przed nią zupełnie inna osoba. Czyżby rozmazany tusz był większym zmartwieniem niż strata jedyne dziecko? Dbalność o wygląd zewnętrzny Alicja była w stanie zrozumieć. Niektóre kobiety, wydając ostatnie tchnienie, nie wpuszczają ratowników do mieszkania, jeśli nie są odpowiednio „zrobione”. Ale ta twarz? Tylko przekrwione białka i kilka czerwonych plam na odsłoniętej szyi upewniały Alicję, że nie patrzy na figurę woskową. Mariola Becker do perfekcji opanowała umiejętność ukrywania emocji.

– Kiedy ostatni raz widziała pani córkę? – zapytał Walter.

– W zeszłym tygodniu. – Kobieta wyprostowała się na krześle.

– Jest pani w stanie podać dokładniejszy czas?

– W poniedziałek przed moim wyjazdem. Są ferie, więc Karolina pojechała do wuja, a ja do znajomych w Niemczech.

– Czy Karolina nie zwierzała się, że ktoś ją niepokoi? Nie zauważyła pani nic nietypowego w zachowaniu córki?

– Nie, była taka jak zawsze. Skakała z radości, że spędzi cały tydzień z tym swoim cholernym koniem.

– Nie pochwałała pani hobby swojej córki? – wtrąciła Alicja.

– Nie, to nie tak. Ona po prostu świata poza tym nie widziała – odrzekła kobieta, wzruszając ramionami. – Pewnie gdyby nie ten koń, nic by jej się nie stało. – Alicja przez chwilę miała wrażenie, że emocje ponownie zagaszczą na kamiennym obliczu matki, lecz błyskawicznie zostały okiełznane.

– Tego nie wiemy, proszę pani – powiedział Walter. – Chyba że chce nam pani o czymś powiedzieć?

– Nie. Dlaczego? Ja nic nie wiem. – Barwa głosu Marioli Becker z chłodnej zmieniła się w lodowatą. – Co insynuujecie?

Alicja i Walter instynktownie wyczuli, że może jest coś, co kobieta ukrywa.

– Czy ma pani jakichś wrogów, pani Becker? – zapytał komisarz.

– Wrogów? – zareagowała tak, jakby nagle o czymś sobie przypomniała. – A kto według pana nie ma wrogów? Zna pan takiego?

– Proszę pani, czy zna pani kogoś, kto mógłby na tyle źle pani życzyć, aby dopuścić się podobnego czynu?

– O Boże, oczywiście, że nie! – oburzyła się kobieta. – Za co? Przecież nikogo nie zamordowałam!

– Wie pani – wtrąciła Alicja – ludzie czasami robią straszne rzeczy z zazdrości albo zawiści. Proszę mnie źle nie zrozumieć, ale z pani historii wynika, że nie pochodzi pani z bogatej rodziny, nie pracuje pani, a jednak dobrze się pani powodzi. Czy nie ma nikogo, kto według pani miałby w związku z tym... powiedzmy: problem?

– Ojciec Karoliny jest, to znaczy był, bo już nie żyje, bardzo zamożnym człowiekiem – wyjaśniła Becker. – Poznałam go w latach dziewięćdziesiątych podczas mojego pobytu w Niemczech.

– Co pani tam robiła?

– Pracowałam jako opiekunka. Zajmowałam się obłożnie chorą matką ojca Karoliny. Pochodziła ze Śląska i uparła się na kogoś, kto mówi w jej ojczystym języku. Wplątałam się w romans z pracodawcą i zaszłam w ciążę. Rolf był w porządku. Zobowiązał się przekazać na wychowanie Karoliny sporą

darowiznę, pod warunkiem że zrzeknę się dodatkowych roszczeń. Stąd pieniądze na to wszystko. Był bardzo hojny.

– I nikt z rodziny czy z grona znajomych nie zazdrościł pani?

– Owszem, zgrzytali zębami, ale kto przez siedemnaście lat tłamsiłby w sobie taką nienawiść? Poza tym z tej forsy niewiele już zostało.

– Powiedziała pani, że Karolina była nieślubnym dzieckiem. A pani nazwisko?

– Byłam zamężna. Przez chwilę. Chodziło o prawo pobytu i pracy. Wie pani, takie papierowe małżeństwo. Poza tym Becker brzmi lepiej niż Szuszczyk. Nikt tam nie potrafił tego nazwiska poprawnie wypowiedzieć.

Z markowej torebki zabrzmiał świdrujący dzwonek telefonu. Głos parodiujący postać z popularnej amerykańskiej kreskówki bez przerwy donosił: „You’ve got a message, you’ve got a message!”. Alicja i Walter spojrzeli po sobie wymownie. Dźwięk wiadomości pasował raczej do nierozgarniętej gimnazjalistki niż do dojrzałej kobiety w ciuchach za kilka tysięcy złotych.

– Proszę się nie krępować – powiedział Walter.

Kobieta przez dłuższą chwilę szukała zakopanego we wnętrzu torebki telefonu. W końcu wyjęła aparat i spojrzała na wyświetlacz.

– No i jeszcze ten debil! – krzyknęła ze złością.

– O co chodzi? – spytała Alicja.

– Od dwóch dni ktoś wysłała mi tę idiotyczną piosenkę!

– Jaką piosenkę?

– Proszę, posłuchajcie sami.

Z głośnika telefonu rozległa się stara popularna piosenka. Dziecięcy chór śpiewał wesoło: *Gdzie strumyk płynie z wolna, rozsiewa ziola maj, stokrotka rosła polna, a nad nią szumił gaj...*

W tym momencie ktoś energicznie zapukał do drzwi. Nie czekając na zaproszenie, do pokoju wszedł kurier w brązowym uniformie.

– Pilna przesyłka dla komisarza Romana Waltera – oświadczył, taszcząc pod pachą sporych rozmiarów pudło.

– Do mnie? – zdziwił się komisarz. – Od kogo?
– Nie mam pojęcia, proszę pana. Ja tylko dostarczam.
– Proszę postawić na biurku. Mam coś podpisać?
– Tak, tutaj. – Mężczyzna wyciągnął w stronę Waltera świstek papieru.

Komisarz podpisał odbiór i podziękował kurierowi. Przyjrzał się przesyłce. Na pudle przyklejona była kartka z dużym, czerwonym nadrukiem: „Komisarz Walter – do rąk własnych. Pilne!!!”. Podniósł karton. Wyczuł, że paczka jest jakby... niestabilna. Jej środek ciężkości przesunął się o kilka centymetrów to w prawo, to w lewo.

– Przepraszam, czy mogłabym skorzystać z toalety? – prośba Marioli Becker przerwała ciszę.

– Oczywiście. Alicja, zaprowadź panią, proszę. – Alicja wiedziała, że ma przy okazji upewnić się, że Mariola Becker nie zniknie, zanim nie skończą.

Gdy kobiety wyszły, Walter postanowił otworzyć paczkę. Szybko uporał się z kartonem. W środku, szczelnie owinięte folią bąbelkową, znajdowało się naczynie przypominające wielki słoje. Było przykryte grubą warstwą gazy, obciążniętej dookoła gumową opaską. Czuł, że coś tu nie gra, coś jest nie tak. Głos rozsądku zaczął krzyczeć w jego głowie, aby zostawił tę paczkę, aby poczekał, aż skończą przesłuchanie. Ale nic z tego. Nie mógł – nie chciał – czekać. Podskórnie zaczął sobie uświadamiać, co może zobaczyć, i jakby wbrew zdrowemu rozsądkowi zapragnął udowodnić sobie, że się myli, że to tylko jego pokręcona wyobraźnia płata mu figle. Nie, nie mógł dłużej czekać! Już teraz, w tej chwili musiał się upewnić, że to nie może być to, że to nie dzieje się naprawdę...

Złapał oburącz spore naczynie i zdecydowanym ruchem wyjął je z kartonu.

– Kurwa! – Odskoczył od biurka tak gwałtownie, że przewrócił krzesło i stojącą za nim tablicę.

W otwartych drzwiach stała Mariola Becker. Jej przeraźliwy, rozdzierający wrzask musiał dotrzeć do wszystkich pomieszczeń na piętrze. Alicja stała za jej plecami. Jej twarz nabrała trupio bladego koloru, zasłoniła usta, jakby miała zaraz

zwymiotować.

W słoju, zanurzona do połowy w mętnym płynie, oblepiona długimi blond włosami, leżała głowa młodej dziewczyny.

ROZDZIAŁ 34

1975

Pierwszego września matka wystroiła chłopca w kupiony kilka dni wcześniej niebieski mundurek i ciągnąc go za rękę, zaprowadziła na inaugurację roku szkolnego.

– Zapamiętaj drogę – powtarzała co chwilę. – Tylko ten jeden raz cię zaprowadzam. Od jutra będziesz sobie radził sam.

Bał się. Nie był to zwykły niepokój, który pojawia się w obliczu zmiany. Chłopiec był przerażony. Nie chodził wcześniej do przedszkola. Jego kontakt z rówieśnikami ograniczał się do sporadycznych wizyt na osiedlowym placu zabaw. Nie wiedział, co go czeka. Nie wiedział, jak się zachować. Nie podobała mu się zmiana, do której został zmuszony.

Szkoła mieściła się w starym, wybudowanym z czerwonej cegły, trzypiętrowym budynku z początku dwudziestego wieku. Podczas przerw międzylekcyjnych w jej szerokich, długich korytarzach o wysokim sklepieniu gwar dzieciaków wydawał się chłopcu, przyzwyczajonemu do ciszy czterech ścian, nie do zniesienia. Nadmiar bodźców niczym rój rozjuszonych os atakował jego zmysły.

Któregoś dnia, przed feriami zimowymi, chłopiec jak zwykle stał samotnie pod ścianą korytarza. Dzieciaki, kierowane nieomylnym, pierwotnym instynktem, już w pierwszych dniach wyczuły w chłopcu najpierw inność, a potem słabość. Prowokował ich i irytował swoim niedopasowaniem. Na czoło grupy, która szczelnym kordonem otoczyła chłopca, wysunął się wyrośnięty czwartoklasista.

– Jak masz na imię, łamago? – zapytał zaczepnie.

– Nikodem.

– O matko! Słyszeliście, jak on się nazywa? Nikooodem! – wykrzyczał do swoich kompanów, przeciągając samogłoski

i śmiejąc się do rozpuku. – Nikodem! Ja nie mogę! Hahaha!

– Nazywam się Nikodem Maleta – dodał chłopiec głośniej, ale nikt już nie słuchał.

Książę szkolnego korytarza i jego koledzy zaśmiewali się na całego, raz po raz popychając i szturchając swoją ofiarę. Nikodema zaczęły piec oczy. Choć bardzo nie chciał, czuł, że zaraz się rozplacze. Ktoś rzucił w niego ogryzkiem jabłka. Zaraz po tym poleciały kulki papieru i plasteliny.

– Przestańcie! Odczepcie się ode mnie – krzyczał płacząco, kuląc się w sobie.

Próbował uciec, przebić się przez ciasny krąg młodych oprawców, ale przyparty do ściany, uświadomił sobie, że nie ma odwrotu. Łzy zalały mu oczy. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego mu to robią. Czym zawinił? Pragnął wrócić do domu. Zniknąć, zapaść się pod ziemię, stać się niewidzialny.

I wtedy coś się zmieniło. Nikodem Maleta przestał się bać. Tak jakby w jednej chwili ktoś przerwał jakiś obwód w jego układzie nerwowym. Przestał płakać, a jego tętno i oddech się uspokoiły. W miejsce strachu pojawiło się nowe uczucie. Coś, czego nigdy wcześniej nie zaznał. Nikodem, wciąż szarpany i popychany, powoli zaczął się prostować. Jego twarz, zupełnie niepodobna do tej sprzed kilkunastu sekund, nie wyrażała już żadnych emocji. Chłodnym, opanowanym wzrokiem spojrział przywódcy bandy prosto w oczy. Na parapecie za plecami Nikodema stała niewielka doniczka z uschniętym zielskiem. Prawa ręka chłopca, jakby zdalnie sterowana przez kogoś z zewnątrz, podążyła w kierunku parapetu. Nie odrywając wzroku od swojego przeciwnika, chwycił doniczkę i uderzył. Zanim zdążył się zorientować, prowodyr leżał na posadzce, oburącz ściskając szczękę. W tym momencie powrócił strach. Serce Nikodema zaczęło bić jak szalone, łzy popłynęły po policzkach wartkim strumieniem. Na szczęście rozległ się dźwięk dzwonka wieszczącego koniec długiej przerwy. Chłopcy rozeszli się do swoich klas. Na drugi dzień, gdyby ktoś zapytał go o tamto wydarzenie, nie usłyszałby sensownej odpowiedzi. Pamiętał strach, płacz i krzyki. Pamiętał wyzwiska i szyderstwa rzucane w jego kierunku. Doniczka i leżący na podłodze

czwartoklasista – ten fragment zniknął. Został skutecznie wymazany z pamięci Nikodema. Na jego nieszczęście ofiara bliskiego spotkania ze szkolną doniczką niczego nie zapomniała. Wybite dwa zęby nie pozwalały zapomnieć.

ROZDZIAŁ 35

Kurwa, za dużo tego jak na jeden dzień...

Walter sięgnął do dolnej szuflady. Na szczęście wciąż tam była. Półlitrowa „płaskówka” czerwonego Jasia Wędrowniczka, kupiona w strefie bezcłowej podczas którejś z zagranicznych podróży. Butelka była pełna. Choć nie pił w pracy, posłuszny wewnętrznemu głosowi zapobiegliwego alkoholika, zachomikował ją kiedyś na wszelki wypadek. Dzisiaj taki nastał. W pustym pokoju zabrzmiał charakterystyczny dźwięk towarzyszący odkręcaniu metalowej nakrętki. Walter przystawił butelkę do ust i pociągnął dwa solidne łyki. Po chwili poczuł znajome ciepło rozlewające się po organizmie. Wziął głęboki oddech, potem drugi, trzeci i poczuł, że serce zaczyna mu bić spokojniej, a myśli powoli wracają na swój tor. Później przysła ulga i jedyne w swoim rodzaju uczucie spokoju. Już było dobrze. Nawet lepiej niż dobrze. Zerknął na flaszkę. Może jeszcze łyk? Albo dwa?

Do pokoju wróciła Alicja. Gdy spojrzała mu w oczy, poczuł się jak przyłapany na paleniu papierosów uczeń. Cały czar przysłniczym mydlana bańka. W miejsce ulgi nadeszły wstyd i zażenowanie. Walter zasunął nogą szufladę, do której zdążył wrzucić butelkę.

– Nie wyglądasz najlepiej – stwierdziła Alicja. – Przynieść ci wody?

– Dzięki, nie trzeba. Chodź, kupimy sobie lurę z automatu, a potem może dotrzymasz mi towarzystwa na papierosku? Myślę, że tego właśnie mi trzeba.

Przy gigantycznej popielnicy, gdzie zwykle kłębił się tłumek wielbicieli nikotyny, tym razem nie było nikogo. Pogoda jak na tę porę roku była całkiem ładna – kilka stopni powyżej zera,

a spomiędzy chmur od czasu do czasu wychodziło słońce. Uliczny gwar walczył o prym z rozbrzmiewającym nad głowami Alicji i Waltera dźwięcznym, kobiecym głosem. Ładna pogoda zachęciła co niektórych do otworzenia okien i mogli usłyszeć, jak jakaś prelegentka wyklada swoim słuchaczom teorię psychologii tłumu.

– On wszystko zaplanował – powiedział Walter, wypuszczając chmurę dymu. – Trzy wydarzenia rozegrały się praktycznie w tym samym czasie: Beckerowa stawia się na przesłuchanie, w trakcie dostaje wiadomość z idiotyczną piosenką, a zaraz potem kurier przynosi paczkę z głową jej córki.

– Tylko co ma ta piosenka wspólnego z całą resztą? – zapytała Alicja.

– Nie wiem. Ale wiem, że to nie był zbieg okoliczności.

– Romek, nie wydaje ci się to takie trochę... filmowe?

– Nawet bardzo. Jakbym już gdzieś to widział. Tylko że ta obcięta głowa to raczej nie był rekwizyt, co? – Komisarz wyjął z paczki następnego papierosa.

– Niestety. Choć idąc tą ścieżką rozumowania, trzeba przyjąć, że gość sporo wie o nas i o naszych działaniach.

– Masz rację. On nas obserwuje. Chociaż bardziej prawdopodobne, że ma kogoś do pomocy.

– Przecież wszystko chodzi po wewnętrznych serwerach. Nie sądzę, że gość ma zaplecze jak jakiś pieprzony Bond!

– Też w to wątpię, jednak musimy być bardziej uważni. Ktoś na nas patrzy.

– A kurier? Nie warto mu się przyjrzeć?

– Właśnie chciałem cię o to poprosić. Sprawdź go i... – Walter urwał. Nagle coś przyszło mu do głowy.

– Sprawdź go i...? – Alicja uniosła brwi w oczekiwaniu.

– Muszę coś sprawdzić. Wiesz, co robić – rzucił i szybkim krokiem ruszył do budynku.

Ktoś napastuje Beckerową, wysyłając jej idiotyczną piosenkę, ktoś dostarcza głowę ofiary, morderca filmuje mord i nadaje swemu dziełu nic mu niemówiący tytuł: LUBISZ PATRZEC?

Ten idiotyczny tytuł od samego początku nie dawał Walterowi spokoju. Gdzieś już to widział... Niedziela, poranek, kac gigant i dziwna wiadomość w jego telefonie. LUBISZ PATRZEĆ... Kurwa! Przecież on też to dostał! Wywalił do kosza, bagatelizując wiadomość od niezidentyfikowanego nadawcy, bo niby dlaczego miał się nią przejąć? Teraz wszystko sobie przypomniał! Do tego dzisiejsza rozmowa telefoniczna z informatykiem. Co on mówił? „Jest jeszcze coś”. Jeszcze coś... Co?! Walter złapał za niedoczytany raport i zaczął wertować gorączkowo strony. W końcu znalazł to, czego szukał. „Z telefonu nie wykonano żadnych połączeń. Wysłano natomiast jedną wiadomość z załączonym wiadomym nagraniem filmowym. Plik wysłano na następujący numer...”

ROZDZIAŁ 36

Maciek włożył zdjęcie młodej dziewczyny do kieszeni, założył kurtkę i ruszył na parking. Spojrzawszy w niebo, pomny ostatnich zabiegów przy uruchamianiu służbowej fabii, podziękował w duchu za przyjazną aurę. Słoneczny dzień zapowiadał rychłą wiosnę. Sporo czytał o zmianach klimatu, o zacierających się różnicach pomiędzy porami roku i innych złowieszczych prognozach, lecz w głębi duszy miał to w nosie i był skłonny przyznać, że całe to globalne ocieplenie wcale mu nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie – przynajmniej dopóki musi jeździć tym trupem, parkowanym pod gołym niebem.

Dotarcie do szkoły zajęło mu kilka minut. Mógł pójść na piechotę i rozruszać się trochę, ale zdecydował, że potem podjedzie jeszcze do urzędu gminy i załatwi odkładaną od tygodni sprawę podatku od nieruchomości. Ku jego zdziwieniu okazało się to konieczną, acz niespodziewaną czynnością, od kiedy został współwłaścicielem mieszkania, w którym mieszkał wraz ze swoją matką.

Budynek szkoły wprowadził Maćka w lekkie osłupienie. Nie tak go sobie wyobrażał. Społeczne elitarne gimnazjum, do którego należało uczęszczać, jeśli było się dzieckiem znanej warszawskiej osobistości, z zewnątrz nijak nie dawało świadectwa swojej estymie. Szarobury budynek, z odpadającym miejscami tynkiem, kojarzył mu się raczej z niedoinwestowanym przybytkiem publicznej edukacji, finansowanym z podatków obywateli tego kraju. Na wszelki wypadek sprawdził, czy dotarł pod dobry adres. Nie było wątpliwości, to była ta szkoła. No cóż, nie szata zdoła człowieka, pomyślał i wkroczył na szkolny dziedziniec.

Kolejne zaskoczenie czekało na niego tuż za progiem. W obskurnej, choć całkiem obszernej kanciapie siedział ochroniarz. Starszy pan, najpewniej dorabiający do emerytury,

ubrany w niedopasowany uniform i z wielkimi okularami na nosie, zajęty był lekturą kolorowego pisma.

– Przepraszam, czy mogę o coś zapytać? – zwrócił się do niego Maciek.

– Tak? – Mężczyzna z wyraźnym niezadowoleniem oderwał się od lektury.

– Którędy trafię do dyrekcji?

– A w jakiej sprawie?

– A w takiej. – Maciek podsunął mu pod nos służbową legitymację.

Stróż odłożył gazetę i wstał, preżąc się w postawie zasadniczej.

– Już pana prowadzę, panie, panie... yhm...

– Aspirant Maciej Krępy. – Maciek chciał dodać coś o zmianie okularów, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. – Nie trzeba mnie prowadzić, proszę po prostu powiedzieć, gdzie znajdę gabinet dyrekcji.

– Oczywiście, panie aspirancie. Pójdzie pan na drugie piętro. Pierwsze drzwi po lewej od schodów.

Gdy Maciek zaczął pokonywać pierwsze schody prowadzące do gabinetu dyrektora, korytarz nagle wypełnił się hałaśliwym tłumem uczniów. Nie usłyszał dzwonka, a mimo to, jakby na zawołanie, dzieciaki zaczęły się wysypywać z klas. Maćkowi, który sam nie tak dawno siedział w szkolnej ławce, wydało się, że trafił na zaplecze jakiegoś happeningu, gdzie grupa aktorów z musicalu *Hair* właśnie ustępowała miejsca zespołowi z ekipy *Rocky Horror Show*, a na swoją kolej czekają aktywiści z młodzieżowej lewicówki. Nigdy jeszcze nie widział tylu indywidualiów zgromadzonych w jednym miejscu w tym samym czasie. Dziewczęta w czerni od stóp do głów, o niezdrowo białych obliczach, mijały się z nienagannie ubranymi wyrostkami, a kolejne wcielenie pokolenia dzieci kwiatów, siedząc na podłodze, podpierało ścianę, patrząc w dal. Wszystkich łączyło jedno – ściskane w dłoniach smartfony.

Z głową pełną niecodziennych wrażeń Maciek zapukał w końcu do drzwi sekretariatu.

Nie musiał czekać na zaproszenie, bo w tym samym momencie z pomieszczenia wyszedł jeden z uczniów. Wnętrze

sekretariatu nie odbiegało od ogólnego obrazu szkoły. Sekretarka, siedząca przy biurku zavalonym po brzegi stosami papierów, pogrążona była w rozmowie telefonicznej. Nie przerywając jej, gestem zaprosiła Maćka do środka. Jej fryzura i ubiór przywodziły na myśl modę lat sześćdziesiątych i z pewnością kobieta pamiętała tamte czasy.

– Słucham pana? – zapytała, gdy odłożyła słuchawkę.

– Aspirant Maciej Krępy z Komendy Stołecznej Policji. Chciałbym porozmawiać z dyrektorem.

Podstarzała wielbicielka Joan Baez z uwagą skupiła na nim wzrok.

– Czy coś się stało? Znow jakież skargi z sąsiednich kamienic? Bo wie pan, myśmy już wyraźnie ogłosili, jakie konsekwencje grożą za palenie papierosów poza terenem szkoły...

– A na terenie można? – Maciek nie mógł sobie odmówić odrobiny sarkazmu.

– Nie, oczywiście, że nie! Chodzi o to, że kopcą w bramach okolicznych kamienic, no i śmiecą tymi petami okrutnie. Mieszkańcy się skarżą i grożą. Pomyślałam, że pan właśnie w tej sprawie.

– Nie, proszę pani. Jestem z Komendy Stołecznej – podkreślił dobitnie, jakby chciał udowodnić tymi słowami naiwność jej przypuszczenia.

Sekretarka przeprosiła na chwilę i przeszła do sąsiedniego pomieszczenia. Wróciła raptem po kilku sekundach.

– Pan dyrektor zaprasza do siebie – oznajmiła.

ROZDZIAŁ 37

1977

Nikodem Maleta był przeciętnym uczniem. Nigdy nie błyszczał, ale też nie miał poważnych kłopotów z nauką. Nauczycielom był raczej obojętny. Nie darzyli go ani szczególną sympatią, ani niechęcią. Właściwie go nie zauważali. Nawet gdy z rzadka zdarzyło się mu zgłosić do odpowiedzi, zawsze ostatecznie wywoływali innego ucznia. Wśród rówieśników Nikodem też pozostawał jakby niewidzialny. Nie brał udziału we wspólnych zabawach, a na lekcjach wychowania fizycznego był zawsze ostatnim wybieranym do drużyny. Gdy któreś z dzieci zapraszało innych do siebie na urodziny, Nikodem zawsze był pomijany.

Od czasu incydentu z doniczką w szkolnym życiu chłopca nic szczególnego się nie wydarzyło. Pod koniec drugiej klasy dzięki uporowi swojej babki przystąpił do Pierwszej Komunii Świętej. Po skromnym obiedzie, z powodu wyjątkowej okazji zjedzonym przy wspólnym stole, Nikodem dostał od matki prezent. Nigdy wcześniej niczym go nie obdarowała, a jeśli chłopiec znajdował coś pod choinką lub przy poduszce w dniu urodzin, zawsze był to podarek od dziadków. Pudło z okazji komunii było niewielkie i leżało pod ścianą na podłodze. Zmieściłaby się w nim para trzewików.

– Co to jest, mamó? – zapytał, nie odwracając wzroku od tajemniczego pakunku. Może to trampki? – pomyślał z nadzieją. Ale byłoby super!

– Kupiłam ci psa – odparła matka. – Idź i sam zobacz.

Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Przecież tyle razy prosił ją o jakieś zwierzątko. Psa, kota, chomika. Nawet na rybki nie chciała się zgodzić, choć przecież nie paskudzą na podłogę. A teraz kupiła mu psa?

Powoli podniósł wieko pudełka. W środku, na zmiętych kartkach gazety spał szczeniak. Małe, kudłate stworzenie nieokreślonej rasy.

Od tej chwili byli nieodłącznymi przyjaciółmi. Brak czułości ze strony matki, obojętność i chłód zostały w dwójnasób zastąpione przez psią miłość. Bezwarunkową i bezinteresowną. Chłopiec zyskał powiernika, któremu się zwierzał, żalił i którego szczerze pokochał.

ROZDZIAŁ 38

Ten świr ma mój numer telefonu! Skąd? Dlaczego ja? O co tu, kurwa, chodzi?! Walter poczuł spływającą po plecach strużkę potu. Mimo że w pomieszczeniu nie było więcej niż dwadzieścia stopni, zaczął się obficie pocić. Znów poczuł wielką potrzebę napicia się. Nie pamiętał, kiedy ostatnio dręczył go tak nagły i wielki alkoholowy głód. Może to dlatego, że od wielu tygodni nie pozwalał mu nadejść, a ostatnie „suche” dni były wypełnione sprawą Gojnego i potwora, który, jak się właśnie okazało, wziął sobie jego na celownik.

Resztkami silnej woli postanowił odłożyć tę sprawę do wieczora i spróbować na trzeźwo przejąć kontrolę nad własnymi emocjami. Poszedł do łazienki, nielegalnej, acz ogólnie akceptowanej alternatywy dla palarni na wewnętrznym dziedzińcu, uchylił okno i wyjął z paczki papierosa. Na szczęście był sam. Nie miał ochoty na żadne puste gadki. Nie teraz. Zdążył wypalić mniej więcej pół papierosa, gdy usłyszał szum spuszczonej wody w jednej z kabin. Po chwili ze środka wyłonił się Maurycy Niski.

– O, witam pana komisarza. – Wicherek wyszczerzył zęby, starając się nadać swojemu głosowi jowialny ton. – Jak tam nasze śledztwo?

Jakie nasze? Co ten gnój sobie wyobraża? Walter miał na końcu języka kilka ciepłych słów dla Niskiego. Zamiast tego odparł jednak:

– Wszystko w porządku. Jest pan chyba na bieżąco, prawda?

– Prawda, prawda. – Wicherek majstrował przy rozporoku. – Trzeba przyznać, że z tym Gnojnym to niezła heca, co?

– Gojnym.

– Niech będzie i Gojnym. Co za różnica. Ale co ja to chciałem... – Walka z rozporokiem zakończyła się sukcesem. – A tak, już wiem. Ta dziewczyna ze zdjęć. Macie już coś?

– Było mnóstwo dziewczyn i mnóstwo zdjęć.

– Panie komisarzu, przecież pan wie, o którą pytam. – Niski odkręcił kurek i zaczął myć ręce. Uśmiech, tak nienaturalny i niepasujący ani do miejsca, ani do okoliczności, nie zniknął z jego ust. – O tę w szkolnym mundurku.

– Aspirant Krępy jeszcze nie wrócił. Na ten moment nic nie wiemy.

– Ach, tak. No cóż, proszę natychmiast dać mi znać, jak będziecie coś mieli.

– Zapewniam pana, panie Niski, że wszystko, tak jak dotychczas, znajdzie pan we właściwych raportach. – Walter wyrzucił peta do muszli klozetowej i wyszedł, nie żegnając się.

Na korytarzu poczuł wibracje telefonu komórkowego. Pełen złych przeczuc, sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów. Kolejna porcja wiadomości od zabójcy Karoliny Becker? Co tym razem? Zerknął na wyświetlacz. Wiadomość była wysłana z komórki naczelnika Rymarskiego: „Przyjdź do mnie. Jeszcze dzisiaj”.

ROZDZIAŁ 39

Maciek poczuł się tak, jakby przeniesiono go w czasie. Gabinet dyrektora nijak nie pasował do całej reszty budynku. Skromne, wręcz ascetyczne wyposażenie współgrało z nieskazitelnym porządkiem. Za biurkiem, niemal całkowicie zasłonięty ekranem dużego laptopa, siedział niewielki człowieczek w drucianych okularach. Ubrany był w tweedową marynarkę, a zapiętej pod szyję koszuli nie zdobił ani krawat, ani muszka. Wstał i podał Maćkowi rękę na powitanie. Jak na kogoś o tak niewielkiej posturze miał zaskakująco silny uścisk.

– Witam, panie aspirancie. Dominik Czaplą. Jestem dyrektorem tej szkoły. W czym mogę pomóc? – Wskazał fotel przy niewielkim stoliku kawowym. Sam zajął miejsce po drugiej stronie.

– Prowadzimy w komendzie pewną sprawę – zaczął Maciek, rozsiadając się wygodnie. Założył nogę na nogę i nagle ogarnęło go znajome, przyjemne poczucie wyższości. Oto on, przedstawiciel szacownej i dominującej instytucji, choć wyraźnie młodszy i sam niedawno szlifujący progi dyrektorskich, dziekańskich i rektorskich gabinetów, teraz będzie zadawać pytania, a oni – czy im się to podoba, czy nie – muszą mu okazać należyty szacunek. Chrząknięcie dyrektora szybko sprowadziło go na ziemię. – Przepraszam. Zamyśliłem się. Mówił pan coś? – zapytał Maciek i natychmiast zdał sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– Jaką sprawę państwo prowadzicie i co ma ona wspólnego z moją szkołą? – Akcent na słowo „moją” nie był przypadkowy.

– Niestety, nie mogę powiedzieć nic więcej ponad to, że szukamy tej osoby. – Maciek wyjął z kieszeni wydruk zdjęcia. – Czy mógłby ją pan poprosić do gabinetu?

– A jak ma na imię ta młoda dama? – zapytał dyrektor, biorąc fotografię.

– Nie wiem – odparł Maciek ze zdziwieniem. – Nosi emblemat *pańskiej* szkoły. Czy nie zna pan *swoich* uczniów?

– Proszę pana. – Dyrektor Czapla mówił wolno i wyraźnie. – Z imienia i nazwiska znam tych, którym zależy, abym ich zapamiętał. Z widzenia znam praktycznie wszystkich, ale proszę wybaczyć, nie pamiętam imion prawie dwustu uczniów.

– Mimo nie najlepszej atmosfery Dominik Czapla nie wykazywał najmniejszych objawów irytacji czy oburzenia. Był wyluzowany i w stu procentach opanowany. Maciek miał wrażenie, że gdzieś już widział tego faceta. W telewizji? A może na okładce jakiegoś tygodnika? Mężczyzna wstał i podszedł do drzwi oddzielających jego gabinet od sekretariatu. – Proszę tu na mnie poczekać.

Po kilkunastu minutach dyrektor wrócił w towarzystwie trzydziestoparoletniej kobiety.

– Pozwoli pan, że przedstawię panią Żanetę Małecką. Jest wychowawczynią Nikoli Szymowskiej, dziewczynki, której pan szuka.

– Dzień dobry. – Kobieta podała Maćkowi rękę i usiadła na fotelu, uprzednio zajmowanym przez Czapłę. On sam przysunął do stołu krzesło zza biurka. – Nikola jest moją uczennicą. Czy coś się stało?

– Chciałbym zadać jej parę pytań. Szkoda, że państwo jej ze sobą nie przyprowadzili.

– Widzi pan... Nikoli od dwóch dni nie ma w szkole. – Małecka była wyraźnie zaniepokojona. – Czy coś się stało?

– Tego nie wiemy. Nie mamy też żadnych podstaw, aby tak sądzić – odparł Maciek, nie do końca szczerze. – Ale myślimy, że mogłaby pomóc w prowadzonej przez nas sprawie. Czy kontaktowali się państwo z jej rodzicami?

– Nikola nie mieszka z rodzicami. Jej prawną opiekunką jest babcia. Dzwoniliśmy do niej, oczywiście, ale wie pan, to nie pierwszy raz, jak Nikola znika. Ona jest... – Małecka jakby szukała odpowiednich słów. – Ona jest trudnym dzieckiem. Rodzice za oceanem, a babcia po prostu sobie z nią nie radzi.

– Co konkretnie ma pani na myśli?

– Nikola jak na swój wiek jest... jakby to powiedzieć... no wie

pan, z jednej strony to wciąż dziecko, a z drugiej – pod względem fizycznym – dojrzała kobieta. I chyba nie radzi sobie z tą dojrzałością. Z tego, co wiem, obraca się w znacznie starszym od niej towarzystwie, podobno ma też sporo starszego chłopaka.

– Sporo pani o niej wie – zauważył Maciek.

– Pani Małecka jest jednym z naszych najlepszych pedagogów – wtrącił Czapla. – Ma dobry kontakt z uczniami. Nie kryją przed nią spraw, o których często nie rozmawialiby z własnymi rodzicami.

– Czy może Nikola opowiadała pani coś więcej o swoich znajomych?

– Nie. Ale sugerowałabym, żeby pan porozmawiał z jej koleżanką, Natalią. Są ze sobą dość blisko. Czy mam ją poprosić?

Natalia potwierdziła tylko to, co Maciek już usłyszał: że Nikola wagaruje, że starsze towarzystwo, że w domu tylko babcia, bo rodzice za granicą. Maciek miał jednak nieodparte wrażenie, że dziewczyna nie mówi wszystkiego. Poziom jej zdenerwowania znacznie przewyższał ten, którego można by się spodziewać po gimnazjaliście przepytywanym w gabinecie dyrektora szkoły w towarzystwie wychowawczyni i policjanta. Tym bardziej że sprawa nie dotyczyła jej, ale koleżanki. Postanowił pogadać jeszcze z tą małą na neutralnym gruncie. Może poza zasięgiem belferskiego oka będzie z nim bardziej szczerza?

Zostawił swoją wizytówkę, na wypadek gdyby Nikola nagle się znalazła, pożegnał się i wyszedł. Wsiadł do samochodu zaparkowanego w miejscu, z którego mógł swobodnie obserwować bramę szkolną. W odtwarzaczu puścił ulubiony Radiohead. Z głośników dobiegały ostatnie dźwięki *Karma Police*, gdy spostrzegł Natalię.

– Halo, Natalia, możesz tu podejść? – zawołał przez uchylone okno. Dziewczyna stanęła i zaczęła się rozglądać, upewniając się, że to o nią chodzi. – Nie bój się, wszystko w porządku. Chcę

tylko zadać ci kilka pytań. – Maciek starał się, aby jego głos brzmiał możliwie przyjaźnie.

– Wszystko już powiedziałam – odrzekła, podchodząc do samochodu.

– Wsiadaj. – Maciek otworzył drzwi od strony pasażera. – Podrzucę cię, dokąd chcesz, a po drodze pogadamy, OK?

– No, sama nie wiem... Czy to konieczne?

– Wsiadaj, dziewczyno. Chyba nie chcesz, żebym nastraszył twoich staruszków, odwiedzając cię w domu?

Groźba wizyty domowej gliniarza podziałała bez zarzutu. Gdy tylko Natalia wsiadła do samochodu, Maciek wrzucił bieg i włączył się do ruchu.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Plac Wilsona, jeśli można.

– Pewnie, że można. Jesteś blisko z Nikołą? – natychmiast przeszedł do rzeczy.

– Trudno powiedzieć. Przyjaciółką od serca bym jej nie nazwała.

– Ale gadacie ze sobą i z tego, co wiem, jesteście postrzegane jako bliskie kumpele, tak?

– No tak, gadamy... Wie pan, takie tam babskie sprawy, plotki i inne głupoty.

– A zwierzenia? Żadnych zwierzeń? Na przykład o jej chłopaku? Jaki jest, jakie mają plany?

– Mówiłam już u dyra, że Nikola ma o kilka lat starszego faceta i że włóczy się z nim po mieście. Nic więcej nie wiem.

Maciek zatrzymał samochód na czerwonym świetle i spojrzał dziewczynie prosto w oczy.

– Słuchaj, Natalia, nie mam czasu na grę w ciuciubabkę. Muszę znaleźć twoją koleżankę, bo może nam pomóc w bardzo ważnej sprawie. Tu nie chodzi o nią, tylko o kogoś, z kim być może się spotkała, rozumiesz? Skup się teraz, proszę, i odpowiedz na moje pytanie: czy Nikola zwierzała ci się ostatnio z jakichś nietypowych wydarzeń albo planów?

Światła się zmieniły i Maciek ruszył.

Natalia przez chwilę milczała, jakby nad czymś się zastanawiała.

– Mówiła, że mają z tym swoim debilnym facetem okazję do zarobienia większej forsy – odparła w końcu.

– Forsy? – zdziwił się Maciek. – Czy narzekała na brak gotówki?

Natalia westchnęła.

– Ona może nie, ale ten jej półgłówek chyba tak. Nikola mówiła, że wpakował się w jakiś szemrany interes w dystrybucji zioła i teraz musi spłacić kogoś, kto nie lubi dłużników. Ale naprawdę nic więcej nie wiem. Niech pan pogada z Łukaszem, chłopakiem Nikoli. I niech mi pan wreszcie da spokój. – Natalia była bliska płaczu.

– Dobra. Powiedz mi tylko, jak znaleźć tego Łukasza.

ROZDZIAŁ 40

Dziwne spotkanie z Maurycym Niskim przytłumiło w Walterze emocje, które trawiły go po tym, jak odkrył, że zabójca dysponuje jego numerem telefonu. Zastąpiły je inne, starsze i może już okrzepłe, choć wciąż żywe w jego pamięci. W zasadzie Wicherek nie musiał się odzywać, wystarczyła sama jego obecność, by Walter natychmiast zaczął odczuwać skutki podwyższonego poziomu adrenaliny. Zgodnie z zapewnieniami starego rola Wicherka miała się ograniczyć do nieszkodliwej obserwacji działań operacyjnych, a tu nagle taka docieklivość... Wcześniej się nie wtrącał, nie dopytywał. Skąd to nagle zainteresowanie panienką z aktów zamordowanego leśnika?

Był tak pochłonięty myślami, że przed drzwiami swojego pokoju niemal wpadł na Alicję. Zauważył, że przygląda mu się badawczo, tak jak kilka dni temu, kiedy musiał wysłuchać kazania na temat swoich słabości. W jej spojrzeniu było jednak coś jeszcze. Jakiś cień niepokoju albo zmartwienia.

– Wyglądasz fatalnie – zaczęła bez ogródek, wchodząc za nim do gabinetu. – Stało się coś?

– Nie, nic. Wszystko OK. W domu wszyscy zdrowi – warknął. Nie odpowiedziała. Mimo że zaboląło, nie pozwoliła dojść do głosu emocjom. Wystarczyło jedno niewłaściwe słowo, aby wywołać niepotrzebną lawinę. Zaciśnęła zęby i postanowiła poczekać. – Przepraszam, Ala. – Walter objął ją w pojednawczym geście.

– Jasne, nie ma sprawy – rzuciła, choć nie zabrzmiało to szczerze.

– Sprawy zapieprzają z prędkością światła... Sprawdziłaś kuriera? – zmienił temat, siadając za biurkiem.

– Ślepa ulica – odparła lakonicznie.

– Jak bardzo ślepa?

– Po prostu. Ślepa i tyle. Paczka została nadana poprzez

system paczkomatów. Dane nadawcy są fikcyjne, a kurier sprawdzony. Jest etatowym pracownikiem z niepodważalnym alibi. Wczoraj wrócił z Irlandii. Odwiedzał tam brata.

– A jakim cudem dotarł z przesyłką akurat w czasie przesłuchania Beckerowej? Czy to nie daje do myślenia?

– Oczywiście, że daje! – Alicja lekko podniosła głos. – To też sprawdziłam. Firma za specjalną dopłatą świadczy usługę dostarczenia przesyłki o dokładnie wskazanej godzinie. A tak w ogóle to chyba już o tym gadaliśmy, prawda?

– Prawda – odparł po dłuższej chwili milczenia i zaczął machinalnie pstrykać długopisem. Klik, klik, klik... Minuta za minutą. – Sądzę, że ktoś z naszych jest w to zamieszany – odezwał się nagle, a długopis wyładował na blacie biurka.

Alicja wytrzeszczyła na niego oczy. Co prawda, brali pod uwagę, że ktoś ich obserwuje, ale żeby był to „swoj”? W pierwszym naturalnym odruchu odrzuciła taką możliwość. Nie mieściło jej się to w głowie.

– Co ty gadasz? Jesteś tego pewien?

– Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Kurier przychodzi, jakby był prowadzony na sznurku, a babka dostaje piosenkę, w czasie gdy ten dostarcza przesyłkę.

– To jeszcze nie dowodzi, że maczał w tym palce ktoś od nas. – Alicja wzruszyła ramionami.

– Jest jeszcze coś. Pamiętasz tytuł tego filmu z komórki?

– Z komórki Gojnego? Tak, pamiętam. „Lubisz patrzeć?”.

– Dokładnie. Ten tytuł męczył mnie od samego początku. Jakbym już gdzieś to widział. No i w końcu sobie przypomniałem. Wtedy, w niedzielę, jak po mnie rano przyjechałaś, dostałem wiadomość. Wydała mi się bezsensowna, więc ją skasowałem. A potem po prostu wyleciało mi to z głowy.

– Roman, co ty mi chcesz powiedzieć? – zapytała cicho, choć doskonale znała odpowiedź.

– Tak. On ma mój numer telefonu i wysłał do mnie ten sam film. – Walter potwierdził jej przypuszczenia. – Wysłał go z telefonu, który znaleźliśmy przy Gojnym.

– Ja pier... – Ala zmęła przekleństwo.

– Teraz rozumiesz? Facet wie, co i kiedy, bo ktoś mu pomaga. I ten sam ktoś dał mu mój numer telefonu!

– Ale dlaczego właśnie twój? Dlaczego ten ktoś wziął ciebie na celownik?

– I to jest bardzo dobre pytanie. – Komisarz uniósł palec wskazujący. – Nie wiem. Nie mam bladego pojęcia. Ale facet, poza mną, wziął też na celownik Mariolę Becker. Muszę z nią jeszcze raz porozmawiać.

– Skontaktuję się z nią i umówię spotkanie.

– Jeśli nie jest w stanie katatonii, to chcę ją tu widzieć jak najszybciej.

Alicja bez słowa ruszyła do wyjścia. Przed drzwiami odwróciła się nagle.

– Coś jeszcze? – zapytał Walter.

– Myślę, że nie powinniśmy jej tu sprowadzać – odparła i wyszła z gabinetu.

Walter podniósł słuchawkę telefonu stacjonarnego i wybrał numer do sekretariatu naczelnika Rymarskiego.

ROZDZIAŁ 41

Klub na Mazowieckiej, w którym, jak twierdziła Natalia, prawie zawsze można było znaleźć Łukasza, chłopaka Nikoli, otwierano dopiero w godzinach wieczornych. Większość bywalców tego typu miejsc prowadziła nocny tryb życia, więc tłoczno robiło się nie wcześniej niż po dwudziestej pierwszej. Maciek zdążył jeszcze pojechać do domu. Zjadł coś i przebrał się w odpowiednie na tę okoliczność ciuchy (kto wie, jak się rozwinie wieczór?), a przy okazji dokończył misję w Afganistanie na konsoli.

Z zewnątrz lokal był zupełnie niepozorny. Nie wyglądał na miejsce, w którym można wypić parę drinków i potańczyć przy rytmach puszczanych przez zawodowego DJ-a. Do środka wchodziło się przez zwykłą bramę, prowadzącą na wewnętrzny dziedziniec kamienicy. Żaden szyld ani neon nie zapraszał do środka, a mimo to przed bramą kłębił się tłumek czekających, aż bramkarze łaskawie wpuszczą ich do środka. Był czwartkowy wieczór. Nie trzeba było dużej wyobraźni, aby przewidzieć, co przed bramą musiało się dziać w weekend.

Maciek stanął w kolejce. Dwóch barczystych wykidajłów ze stoickim spokojem dokonywało selekcji gości na tych, którzy zasługują, aby wydać na drinka kilkadziesiąt złotych, i na tych, którzy tego zaszczytu prawdopodobnie nie dostąpią. Zasady selekcji z reguły nie dotyczyły kobiet (chyba że napruta klientka ledwo trzymała się na nogach). A że Maciek nie miał w sobie pierwiastka żeńskiego, istniało spore ryzyko, iż któryś z byczych karczków nie wystawi mu pozytywnej cenzurki i uprzejmie poinformuje o braku wolnych miejsc w lokalu. Wtedy, rad nierad, będzie musiał wyjąć służbową legitymację, czego akurat w tym miejscu, dla dobra sprawy, wołał uniknąć. Równie dobrze mógłby wejść do klubu z wielkim transparentem: „Uwaga, jestem z psiarni!”.

Minęło kilkanaście minut i stanął przed obliczem wykidajły. Widać było, że facet się waha. Samotny gość zawsze jest podejrzany, nawet jeśli ma na sobie nienaganne, jak na klubowe standardy, ciuchy. Samotni faceci nie bywają w klubach. Siedzą w domu, przed ekranem komputera, i buszują w sieci.

– Są już w środku – stwierdził Maciek bez zająknięcia, patrząc prosto w oczy osiłka.

– Co? – Bramkarz nie bawił się w konwenanse kulturalnej rozmowy.

– Moi znajomi. Są już w środku. Spóźniłem się. – Maciek założył, że krótkie zdania łatwiej dotrą do łepetyny sterydowego monstrum.

– Aha – padła odpowiedź.

– Mogę do nich zadzwonić, to potwierdzą. – Maciek stwierdził, że mały bluff nie zaszkodzi, i sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Wchodzisz – zdecydował paker i przeniósł uwagę na kolejną osobę.

Klub mieścił się na dwóch poziomach. Dolny, o rozmiarach małego boiska do piłki nożnej, był salą taneczną. Na jego przeciwległych końcach mieściły się drink-bary, a na środku sali, na specjalnym podwyższeniu w formie owalnej wyspy, znajdowało się miejsce dla DJ-a, z niewiadomych powodów oddzielone od reszty pomieszczenia drucianą siatką. Może gość bywa kiepski? – pomyślał Maciek i uśmiechnął się pod nosem.

Ze względu na wczesną porę na parkiecie podrygiwało niewielu tańczących. Większość gości siedziała na górnym poziomie przy barze bądź przy stolikach. Maciek po raz kolejny zerknął na zdjęcie Łukasza i Nikoli, które Natalia wysłała mu mailem. Sądząc po nieudolnym ujęciu, było to najpewniej selfie zrobione przez jedno z nich. Oboje wyglądali tak, jakby brali udział w konkursie na najgłupszą minę roku. Mimo to Maciek był pewien, że będzie w stanie go rozpoznać. Według Natalii chłopak miał nosić oldskulową ramoneskę, z którą podobno

nigdy się nie rozstawał. Nikogo takiego jeszcze tu nie było.

Maciek był nawet zadowolony, że przyszedł, zanim lokal się wypełni. Bez trudu znalazł dogodne miejsce, pozwalające na obserwację wchodzących do klubu gości. Dzięki temu był pewien, że nie przeoczy tego, którego szuka.

Tłum gęstniał z minuty na minutę. Muzyka dochodząca z podwieszonych pod sufitem głośników, początkowo stonowana, przeszła w ostre, elektroniczne brzmienie. DJ zachęcał gości do przechodzenia na niższy poziom.

Dochodziła dwudziesta druga, gdy chłopak pojawił się w klubie. Maciek ocenił, że nie ma więcej niż dwadzieścia lat. Był średniego wzrostu i szczupłej, wręcz rachitycznej budowy, wyeksponowanej przez czarne, przylegające do nóg niczym elastyczne rajtuzy, rurkowane džinsy. Jego fryzura nasunęła Maćkowi na myśl postaci z japońskich komiksów – proste, czarne włosy zakrywające kark i w sporej mierze twarz. Tak jak zapowiadała Natalia, Łukasz miał na sobie czarną ramoneskę – obiekt marzeń nastolatków z przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Przywitał się z kilkoma znajomymi i ruszył do baru, wprost na siedzącego przy nim Maćka.

– Siema, Rolo – zwrócił się do stojącego za kontuarem barmana.

– No siemka, Luki. – Barman wyciągnął dłoń i przybili sobie piątkę.

– Zapodaj browara. Zjebany jestem jak pies. Cały dzień gonilem na mieście. Ale przynajmniej się opłaciło.

– Ooo, to gratki! – Barman postawił na barze kufel ze złocistym napojem.

– Dzięki – rzucił Łukasz, po czym duszkiem wypił ponad połowę piwa.

Odstawił kufel, beknął donośnie i utkwił spojrzenie w podrygującym na parkiecie tłumie.

Maciek postanowił uderzyć z grubej rury:

– Czekasz na Nikołę czy może dałeś już sobie spokój?

Łukasz gwałtownie odwrócił się w jego kierunku i zlustrował od stóp do głów.

– O co ci chodzi? – zapytał, marszcząc brwi.
– O twoją pannę, kolego. Co się z nią dzieje?
– A co cię to, kurwa, obchodzi? Weź się, facet, odpierdol. –
Sięgnął po kufel i zeskoczył z hokera.

– Siadaj z powrotem na dupie albo wyjdziemy na zewnątrz i sprawdzimy, co masz w kieszeniach. – Maciek złapał go za połą ramoneski, drugą ręką wyciągając blachę. – Chyba nie muszę ci przypominać, że posiadanie to też paragraf?

Po chwili wahania chłopak spuścił nieco z tonu. Odstawił niedopite piwo, ale nie usiadł – stanął, opierając się plecami o bar.

– Nie znam żadnej Nikoli – skłamał.

– Czyżby? A panna na zdjęciu to czasem nie Nikola Szymowska? – Maciek wyświetlił zdjęcie na swojej komórce. – A ten pajac obok niej – zastukał palcem w wizerunek Łukasza – to pewnie twój brat bliźniak? Masz bliźniaka, koleś? – Podsunął telefon pod nos oszołomionego chłopaka.

– Dobra! Znam ją. Z widzenia i tyle – ten bezradnie próbował się wykręcić.

– Posłuchaj, kolego, widzenia to ty będziesz mieć, jak wylądujesz w pierdlu. A co tam robią z takimi młodymi dupami jak ty, to chyba nie muszę ci opowiadać. A może tak lubisz? Jeśli nie, posłuchaj mnie uważnie. Wiem, że łącicie ze sobą, i wiem, że Nikola nie powinna się zadawać z takim mętem jak ty, ale niestety to robi. Gadaj więc, kurwa, co się z nią dzieje i gdzie ona jest!

– Ja naprawdę nie wiem, gdzie ona jest, proszę pana. – Głos chłopaka stał się pełen pokory. – Nie widziałem jej od dwóch dni. Dzwoniłem, ale ma wyłączoną komórkę.

– I co? Nie interesuje cię, co się z nią dzieje? Panna ci znika, a ty jak gdyby nigdy nic przychodzisz sobie do klubu? – Maciek niby przypadkiem odsłonił kaburę ze służbowym gnatem. – Dość tego pieprzenia. Zbieraj się, wychodzimy.

– Spokojnie, niech pan poczeka... – Chłopak bez wątplenia miał coś na sumieniu.

– Jak jeszcze raz posuniesz mi jakiś głodny kawałek, to jedziemy prosto na dołek, rozumiesz?

- Rozumiem. Żadnej ściemy. – Łukasz pokiwał głową.
- No to słucham. Gdzie jest Nikola?
- Nie wiem. Nie kłamałem. Kilka dni temu siedzieliśmy tu, gdy podszedł do nas jakiś gość i zapytał, czy możemy z nim chwilę pogadać. Powiedział, że postawi nam piwo...
- To normalne? – przerwał mu Maciek.
- Co?
- Że do pary podchodzi obcy facet i chce stawiać piwo?
- Łukasz wzruszył ramionami.
- Nic mnie to nie obchodziło. Chciał postawić piwo, więc czemu miałem się nie zgodzić. Tak się składało, że z kasą było krucho.
- Dobra, mów dalej.
- No więc gość się dosiadł i mówi, że obserwuje nas od paru chwil i że Natalia jest zjawiskową dziewczyną i on chciałby nam złożyć propozycję. Pomyślałem, że dziadzio chce sobie uczennicę przygruchać, bo facet miał spokojnie ponad cztery dychy. I wtedy ten facet powiedział, że jest jakimś tam łowcą talentów, asystentem jakiegoś superduper znanego fotografa i że uważa, że Nikola jest megafotogeniczna i może ją umówić na próbną sesję. Dał nam swój numer telefonu i kazał zadzwonić, jak się zdecydujemy. Aha, i dał nam trzy stowy.
- Tak po prostu dał wam trzysta złotych? – zdziwił się Maciek.
- No tak. „To, żebyście nie pomyśleli, że coś tu ściemnam”, powiedział i poszedł sobie.
- I co wy na to?
- No... Było krucho z kasą, więc obgadaliśmy sprawę i zadzwoniłem do niego.
- Masz ten numer?
- Mam. – Chłopak wyjął telefon. – Proszę, może pan zapisać.
- Zadzwoniłeś i co dalej?
- Umówiliśmy się na drugi dzień w Galerii Mokotów. Przyszedł, dał mi pięć stów i powiedział, że za pięć godzin odstawi Nikolę z powrotem w to samo miejsce.
- Nie chciałeś z nią pojechać?
- Chciałem, ale gość powiedział, że będę tylko przeszkadzać

i ją rozpraszać, a ten artysta od fotografii tego nie lubi.

– Więc tak po prostu puściłeś swoją dziewczynę z obcym facetem?

Łukasz wzruszył ramionami.

– Dał kasę i miałem jego numer, więc nie widziałem żadnego problemu.

Maciek westchnął z rezygnacją.

– Dał ci kasę, pojechali i co dalej?

– No i, kurwa, tyle ich widziałem. Nie pojawili się w galerii, a numer gościa już nie odpowiadał. Tyle.

– Opisz go.

– Kogo?

– No przecież nie swojego dziadka, matole! Tego faceta opisz.

– Gość średniego wzrostu, lekko zaokrąglony, fryzura taka jakaś... niedzisiejsza.

– Co to znaczy?

– Ja wiem... Taki przylizany, jak ten od sportu w telewizji.

– Który?

– Nie wiem, jak on się nazywa. Komentuje często.

– Daj mi swój dowód i komórkę – zarządził Maciek, po czym spisał dane i numer telefonu Łukasza. – Masz być na moje zawołanie, kapujesz? Odezwę się jeszcze, ty też dzwoń, gdyby ci się nagle coś przypomniało. – Akcentując ostatnie słowa, wręczył chłopakowi swoją wizytówkę, po czym ruszył w stronę wyjścia.

ROZDZIAŁ 42

Panie naczelniku, przyszedł komisarz Walter – zaanonsowała asystentka Rymarskiego przez interkom. Ten relikwiarz przeszłości, pamiętający czasy Milicji Obywatelskiej, wciąż spełniał swoją funkcję i działał bez zarzutu, w związku z czym ani Rymarski, ani żaden z jego poprzedników nie pozbył się go.

– Niech wejdzie – rozległ się głos. – Dwie kawy i mleko, proszę.

– Proszę, naczelnik czeka na pana. – Asystentka wstała zza biurka i otworzyła przed Walterem drzwi do gabinetu.

Walter, mimo że sprawa śledztwa absorbowwała całą jego uwagę, nie odmówił sobie dyskretnego, acz wnikliwego otaksowania pani Małgorzaty. Prawda była taka, że żaden mężczyzna, który nie cierpiał na wadę wzroku lub nie był zadeklarowanym gejem, nie mógł pozostać obojętny na jej wdzięki. Już chciał coś powiedzieć, zabłysnąć dowcipem i jednocześnie dać pokaz elokwencji, lecz w ostatniej chwili zrezygnował. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz na widok pięknej kobiety włączył mu się tryb „flirt”. Właściwie był pewien, że od czasów Joanny ani razu coś takiego się nie wydarzyło, tym bardziej był zaskoczony swoją reakcją. Czyżby coś się zmieniło? Czyżby zaczął zapominać?

– Roman, musimy za wszelką cenę zapobiec przeciekom do mediów – stwierdził Rymarski, wysłuchawszy relacji z ostatnich wydarzeń. – Nie chcę myśleć, co się będzie działo, jak wypłynie twój udział w tej sprawie, o głowie w słoju nie wspominając.

– Jaki mój udział w sprawie? – Walter odruchowo wyprostował się na krześle.

– Wiesz przecież, o co mi chodzi. O tę wiadomość od sprawcy. Nie da się ukryć, że jakoś jesteś z tym powiązany, czyż nie?

– Tak. Ale zaraz nazywać to udziałem?

– Nie czepiaj się słów, Romek – zachnął się naczelnik. – Mamy tu dwie kurewsko poważne sprawy: po pierwsze, jak twierdzisz, ktoś z wewnątrz jest z nim w kontakcie, po drugie, to ciebie, a nie kogoś innego, sprawca wybrał na widza tego spektaklu.

– W innym razie nie przyszedłbym do ciebie. Mam już pewien pomysł, jak się za to zabrać. Zacznę od Marioli Becker, matki ofiary. Ona też jest na jego specjalnej liście. Zamierzam pogrzebać w jej przeszłości. Może znajdziemy powiązanie.

– A w swojej już pogrzebałeś?

Takiego pytania się nie spodziewał, a już na pewno nie od Rymarskiego, człowieka, bez mała przyjaciela, którego znał od lat. Czyżby Rymarski sądził, że coś ukrywa? Zważył w jego lojalność i zawodowy profesjonalizm?

– Pogrzebałem. I jeśli ty lub ktokolwiek, kogo wskażesz, miałby na to ochotę, zapraszam – odparł, nie kryjąc zdenerwowania. – Nie mam bladego pojęcia, dlaczego wysłał to do mnie. Jeśli jednak we mnie wątpisz, rób, co uważasz za stosowne. Jestem do twojej dyspozycji.

– A co z kretem? Do czego jestem ci potrzebny? – zapytał Rymarski, jakby poprzednia wymiana zdań w ogóle nie miała miejsca. Na jego twarzy ponownie zagościł znany Walterowi przyjacielski uśmiech.

– Musisz utajnić postępowanie. Nadać mu klauzulę i zaaprobować funkcjonariuszy dopuszczonych do sprawy. Wierzę, że dzięki temu zapobiegniemy kolejnym wyciekom.

– Kogo proponujesz?

– Tylko mój zespół. Nikt więcej – odparł Walter bez chwili namysłu.

– To niewielka grupa – zauważył Rymarski.

– W tych okolicznościach im mniejsza grupa, tym lepiej.

– Fakt, trudno się z tym nie zgodzić. Dobra, wydam odpowiednie zarządzenie. Coś jeszcze?

– Tak. Wicherek też ma być wykluczony.

– To ty nic nie wiesz? – Rymarski zmarszczył czoło.
– A co niby mam wiedzieć?
– No tak, skąd miałbyś wiedzieć. To news sprzed kilku godzin.
– Powiesz mi w końcu, o co chodzi? – Waltera zżerała ciekawość.

– Resort zamknął ten cały projekt, z którym on tu się bujał. Podobno w ogóle nie wiadomo, kto go tam zatrudnił i dał na to wszystko fundusze. W każdym razie Wicherek wczoraj dowiedział się, że jego kariera konsultanta MSW dobiegła końca.

– Interesujące... Wiesz, że ten typ jeszcze kilkadziesiąt minut temu tu był? Spotkałem go w kiblu. Wypytywał, jak idzie dochodzenie. Ciekawe, nie?

– Niekoniecznie – odparł Rymarski. – Był przecież włączony w to śledztwo. Ale może coś jest na rzeczy. Tak czy owak, jeśli uważasz to za konieczne, przyjrzyj się mu bliżej.

– Po tym, co od niego usłyszałem, od razu podjąłem taką decyzję. Niestety nie mogę go teraz umieścić zbyt wysoko na liście priorytetów, ale spokojnie, nadejdzie jego kolej.

– Roman, mam do ciebie pełne zaufanie i wierzę, że zamkniesz sprawę jak najszybciej – powiedział z powagą Rymarski. – Nie wiem, co Wicherek robił w resorcie, ale zdążył puścić farbę, wskutek czego miałem już kilka telefonów. Nie ukrywam, że twoje nazwisko często się przewijało w tych rozmowach.

– Dziwi cię to? – prychnął Walter. – Nawet gdybyśmy zamknęli tę sprawę w dniu jej rozpoczęcia, Niski postarałby się o odpowiednią otoczkę.

– Sprawa nie jest jednak zamknięta. I niezależnie od jego manipulacji faktem jest głowa w przesyłce kurierskiej nadanej na twoje nazwisko i twój numer telefonu w komórce znalezionej przy denacie. Tyle wystarczy, żeby góra – ze strachu przed pismakami – robiła w spodnie. A jak oni paskudzą w majty, to ich gówno spada na nas. Nie muszę ci tego chyba tłumaczyć.

Gdy za Walterem zamknęły się drzwi, Rymarski przycisnął guzik na interkomie.

– Pani Małgosiu, proszę przez dziesięć minut z nikim mnie nie łączyć i pod żadnym pozorem nie przeszkadzać.

Później wyjął z szuflady prywatną komórkę i wybrał numer.

ROZDZIAŁ 43

Walter wyszedł z gabinetu szefa z wyraźnym poczuciem, że coś jest nie tak. Spotkanie z Rymarskim było inne niż zwykle. Nie chodziło o omawiany temat. Te zawsze, albo prawie zawsze, są różnej wagi. To coś w atmosferze spotkania nie dawało mu spokoju. Rymarski nie patrzył dziś na niego jak na starego kumpla, któremu zawsze ufał – z wzajemnością – i za którego mógł ręczyć bez najmniejszych wątpliwości. Lata współpracy i ta sama droga, którą obaj musieli przejść, ugruntowały ich znajomość na solidnym, trwałym podłożu. Dzisiaj było inaczej. Naczelnik wyraźnie trzymał dystans. Zachowywał się jak ktoś, kto po latach odkrywa jakąś straszną tajemnicę na temat osoby, którą przez całe życie darzył zaufaniem. Dlaczego nie powiedział wprost, o co mu chodzi? Po co ten teatrzyk? Nie jestem przecież jakimś pierwszym lepszym chłystkiem po szkole, aby mnie tak obcesowo traktować. Walter poczuł przypływ żalu, jakby ktoś wbił wielką drzazgę w jego dumę. Szybko jednak się opanował. Cokolwiek się dzieje, musi być tego przyczyna i ta właśnie nagle wydała mu się całkiem jasna. Jak on zapytał? „A w swojej już pogrzebałeś?”. Tak, to o to chodzi. Nie ufa mi tak jak kiedyś. Ale czy sam na jego miejscu nie myślałbym podobnie? Tylko że, do kurwy nędzy, ja nic nie ukrywam!

Z rozważań wyrwał Waltera dźwięk komórki.

– Jestem u Becker – usłyszał głos Alicji. – Porozmawia z nami jeszcze raz. Będzie gotowa za czterdzieści pięć minut.

– Super. W takim razie do zobaczenia u mnie – rzucił bez zastanowienia.

Przez kilka sekund w telefonie panowała cisza.

– Babka ledwo się trzyma! – Alicja była wyraźnie wzburzona.

– Komenda nie będzie się jej dobrze kojarzyć, a twój gabinet to już w ogóle. Pomyślałeś o tym?

– Ala, daruj sobie ten belferski ton – zganiał ją Walter. – Nie, nie pomyślałem, bo mam, kurwa, sto tysięcy innych rzeczy na głowie! A ty dobrze o tym wiesz. Daj mi jej adres.

– Wyślę ci SMS-em – odparła Alicja po dłuższej chwili. – Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Przepraszam, Roman. Widzimy się za godzinę.

Wyszedł na korytarz, kiedy nadszedł SMS. Alicja podała adres spotkania z Mariolą Becker. Gdy zamykał okno wiadomości, zauważył, że ma jeszcze jedną, nieodczytaną. Nie znał numeru nadawcy. Natychmiast ogarnęło go złe przeczucie. Poczul, jak jego tętno przyspiesza. Wrócił do gabinetu, usiadł na krześle i odczytał wiadomość:

LUBISZ PATRZEĆ? WIEM, ŻE LUBISZ. SZYKUJĘ DLA CIEBIE DRUGI ODCINEK SERIALU. NA RAZIE KRÓTKA ZAJAWKA. CIĄG DALSZY NASTĄPI.

Do wiadomości nadawca dołączył zdjęcie. Krzaki, mnóstwo pustych plastikowych butelek, nylonowych toreb i wszelkiego rodzaju śmieci; w tle druczany płot, za którym widać fragment ulicy. Pod płotem siedzi grupka mężczyzn. Ich wygląd – obdarte swetry, poplamione spodnie, bawełniane czapki i kilkudniowy zarost – nie pozostawia złudzeń. Jeden z meneli przyciska do ust butelkę, a siedzący obok kompan stara mu się wyrwać ją z rąk. Trzeci, najwyraźniej zauważywszy autora zdjęcia, wskazuje na niego brudnym paluchem i śmieje się, jakby zobaczył Świętego Mikołaja niosącego worek pełen ożywczych trunków. Śmieje się pełną gębą, tak że można dostrzec szeroką szparę pomiędzy jego górnymi jedynekami.

ROZDZIAŁ 44

Alicja czekała na Waltera w samochodzie. Mariola Becker zaproponowała wprawdzie, aby poczekała u niej, ale nie skorzystała. Wiedziała, że dla nich obu byłoby to kłopotliwe. Zresztą o czym, poza sprawami związanymi ze śledztwem, miałyby z nią rozmawiać? A tych pierwszych nie chciała poruszać przed przybyciem Waltera.

Była zła. Zła na Waltera. Zachował się jak kabotyn. Nie mogła pojąć, jak on, człowiek, który przeżył osobisty dramat, z którym zmagają się do dziś, mógł zachować się tak bezwzględnie. Jakby zupełnie nie miało dla niego znaczenia, co ta kobieta w tej chwili przeżywa. Śmierć kogoś bliskiego, a tym bardziej śmierć dziecka, jest dla każdego niewypowiedzianą tragedią. Na dodatek ta została okraszona makabrycznym zbezczeszczeniem ciała jej córki. Alicja, choć niezdolna do pełnego pojęcia bezmiaru tej tragedii, wyobrażała sobie, że dla niej z pewnością skończyłoby się to hospitalizacją na oddziale psychiatrycznym. Walter widocznie miał to w nosie. Tylko że to do niego niepodobne! Znała go od lat i nigdy nie zachowywał się jak pozbawiony empatii zimny drań. Coś musi być na rzeczy. Ludzie nie zmieniają się tak drastycznie w ciągu jednego dnia. W końcu ją olśniło. Przecież Walter boryka się z pomówieniem o powiązanie z całą tą sprawą. Powiązany. Boże, jak to brzmi! Alicję przeszły ciarki. O ile nadal nie potrafiła zaakceptować zachowania przełożonego w związku z przesłuchaniem Becker, o tyle w pewnym sensie zaczęła rozumieć jego powody.

Z rozmyślań wyrwało ją energiczne pukanie w szybę od strony pasażera. Na chodniku stał Walter, gestem pokazywał, aby mu otworzyła drzwi. O wilku mowa, pomyślała Alicja, wpuszczając

go do samochodu.

Ledwo zamknął drzwi, zapytał:

– Pamiętasz, jak ci mówiłem, że ta sprawa nie zakończy się na bezgłowej dziewczynie?

– Pamiętam, że miałeś przecucie. Tylko nie mów, proszę, że mamy następną ofiarę... – jęknęła, patrząc na Waltera w oczekiwaniu.

– Jeszcze nie. Ale nasz psychol już się szykuje. Zobacz. – Podał Alicji swój telefon.

Przyjrzała się zdjęciu na wyświetlaczu komórki.

– Mówi ci to coś? – zapytała po chwili.

– Niestety nie. A powinno?

Alicja wyczuła, że rozmowa nieubłaganie wchodzi na grząski grunt, i to na jego własne życzenie. Walter chyba też to poczuł, ponieważ schował telefon do kieszeni i powiedział:

– Obgadamy to później. Najpierw Becker.

Matka Karoliny mieszkała w przedwojennym budynku, jakich wiele wciąż stało w prawie nietkniętej działaniami wojennymi prawostronnej Warszawie. Dzielnica, która swą nazwę zawdzięcza jednemu z osiemnastowiecznych królów, który podobno właśnie tu upodobał sobie spędzać wolny czas, charakteryzuje się gęstą zabudową i wąskimi ulicami, co sprawia, że znalezienie miejsca parkingowego graniczy z cudem. Niedogodność ta jest z nawiązką rekompensowana obfitością zieleni, licznymi kafejkami, galeriami artystycznymi oraz unikalną, nieskażoną koszmarnymi blokowiskami, przedwojenną willową architekturą.

Obok wejścia do budynku mieściła się niewielka galerio-kawiarnia, prawdopodobnie zaadaptowana z jakiegoś pomieszczenia gospodarczego, a sam budynek stał w cieniu wiekowego kasztanowca, który – z racji zimowej pory bezlistny – nie prezentował się zbyt okazale. Na cyferblacie domofonu, który miał chyba tyle lat, co sam budynek, Alicja wybrała numer mieszkania.

Mariola Becker czekała na nich przy otwartych drzwiach mieszkania. Po krótkim przywitaniu zasiedli w pokoju gościnnym przy okrągłym stole. Stół, jak i pozostałe meble, pamiętał przedwojenne lata. W niewielkiej biblioteczce stało kilka książek oraz cała masa różnego rodzaju bibelotów – od porcelanowych filiżanek po figurki baletnic i egzotycznych zwierząt. Przy jednej ze ścian stał nakryty ręcznie dzierganą kapą rozkładany tapczan, a w rogu wiklinowy fotel na biegunach. Walter pomyślał, że tak musiał wyglądać typowy mieszczański pokój gościnny w międzywojniu. Sam wciąż miał w pamięci jakże podobne w wystroju mieszkanie swojej babci na Starych Bielanych.

Gospodyni przyniosła na tacy trzy parujące filiżanki z herbatą. Nie przypominała kobiety, którą kilka godzin temu przesłuchiwali na komendzie. Była ubrana w bawełniany dres. Jej nieumalowana twarz była szara i zapuchnięta, a włosy spięte zwykłą gumką w koński ogon.

– W czym jeszcze mogę wam pomóc? – zapytała, usiadłszy do stołu.

– Przede wszystkim chciałbym jeszcze raz wyrazić swoje głębokie współczucie i podziękować, że w tak trudnej osobistej sytuacji zechciała się pani z nami spotkać – zaczął Walter.

Alicja nie wierzyła własnym uszom. Czyżby w końcu się opamiętał?

– Dziękuję – odparła Becker. – Mam nadzieję, że nie będziecie mnie zbyt długo męczyć.

– Obiecuję, że nie dłużej, niż jest to konieczne.

– Proszę więc pytać.

– Czy od czasu naszej ostatniej rozmowy nie przypomniała sobie pani czegoś? Czegoś, co naprowadziłoby nas na trop osoby, która mogła to zrobić?

– Przecież już tłumaczyłam, że nie znam nikogo, kto mógłby żywić do mojej córki czy też do mnie taką nienawiść, żeby zabić.

– Nie było żadnych pogroźek albo dziwnych telefonów? – zapytała Alicja.

- Nie, nic takiego nie miało miejsca.
- Podczas naszej rozmowy na pani telefon przysłała wiadomość z tą dziwną piosenką... – powiedział Walter.
- Kobieta westchnęła ciężko.
- Tak, zgadza się.
- Wspomniała pani, że to nie pierwszy raz, prawda?
- Tak. Ale później już jej nie dostałam.
- Ale przedtem, jak sama pani stwierdziła, ktoś przysyłał ją na pani numer wiele razy.
- Zaczęłam to dostawać jakieś kilkanaście dni przed, przed...
- Mariola Becker wyraźnie nie była w stanie dokończyć zdania. Wszystko było jednak jasne.
- Widzi pani, uważamy, że ten, kto wysyłał do pani tę piosenkę, ma związek z zabójstwem Karoliny – powiedziała Alicja.
- Jezu, to jakiś pieprzony absurd! Co jakaś idiotyczna piosenka może mieć wspólnego z moją córką?
- Może to nie o nią chodziło? – zasugerował Walter.
- To o kogo, do cholery, chodziło?!
- Może o panią?
- Nastąpiła cisza. Mariola Becker uniosła brwi i odstawiła filiżankę na blat.
- Jak to o mnie? – zapytała cicho.
- Widzi pani, jesteśmy niemal w stu procentach przekonani, że człowiek, który pozbawił życia pani córkę i brata, zna panią – powiedział Walter.
- Skąd takie przypuszczenie?
- Niestety nie mogę się wdawać w szczegóły, ale proszę mi wierzyć, że istnieje związek między nim a panią. Karolina nie zginęła przez przypadek.
- Mariola Becker sprawiała wrażenie odrętwiałej. Nieruchomy wzrok skupiła w jakimś odległym punkcie. Wyglądała tak, jakby w myślach analizowała to, co przed chwilą usłyszała. W końcu pokręciła głową.
- Nie. To niemożliwe. W życiu nikogo nie skrzywdziłam. Nawet złego słowa na nikogo nie powiedziałam.
- Alicja i Walter spojrzeli po sobie. Ostatnie zdanie było

zwykłym, naiwnym kłamstwem. Ale nie o kłamstwo tu chodziło, lecz o nieudolną próbę przedstawienia siebie w nieskazitelnym świetle.

– A sama piosenka nic pani nie mówi? – dociekała Alicja. – Dlaczego ten ktoś wysyłał pani akurat tę piosenkę?

– Nie wiem, na Boga... Nie mam pojęcia. – W tonie kobiety zabrzmiała nuta niepewności. Zaczęła nerwowo trześć dłońmi o kolana.

– Proszę pani, jeśli cokolwiek związanego z tą piosenką przychodzi pani na myśl, to proszę nam o tym powiedzieć. – Walter postanowił nieco ją przycisnąć. – Proszę niczego nie ukrywać.

– Ja niczego nie ukrywam – odparła ze złością. – Skąd u pana taka myśl?

– Mój kolega nie chciał pani urazić. – Alicja starała się załagodzić sytuację. – Chodzi tylko o to, aby podzieliła się pani z nami wszystkim, co przychodzi pani do głowy, nawet jeśli wydaje się to absurdalne czy nieistotne. Ta piosenka to typowy kolonijno-obozowy szlagier z dawnych czasów. Nic w związku z tym się pani nie kojarzy?

Mariola Becker znieruchomiała. Ponownie utkwiała wzrok w przeciwległej ścianie, jakby tam właśnie chciała znaleźć odpowiedzi na pytania, którymi ją dręczono. Po chwili wzruszyła ramionami i spojrzała na Alicję.

– Dawno temu, miałam wtedy osiemnaście, może dziewiętnaście lat, byłam wychowawczynią na letnich koloniach. Byłam bardzo młoda i bardzo głupia. Był tam jeden chłopiec, którego chyba źle potraktowałam, ale to nic, czym warto by się przejmować.

– Mimo wszystko proszę nam o tym opowiedzieć – zdecydował Walter.

Becker westchnęła ze znużeniem.

– Chłopak należał do kategorii ofiar, wiecie, takich nieudaczników, na których inne dzieciaki z lubością się wyżywają.

– Czy wtedy, na tej kolonii, wydarzyło się coś szczególnego?

– Nic takiego, historia jak dziesiątki innych. Ten chłopak

chyba oberwał od kolegów i zsikał się do łóżka. Nie wiedziałam o tym i rano, gdy zobaczyłam zasikane prześcieradło, trochę na niego nakrzyczałam. Tak jak mówiłam, chłopak był słaby i mało wytrzymały. Zamiast się wziąć w garść, on zwiął. Szukali go przez dwa dni. Milicja, straż pożarna, Bóg wie kto jeszcze. Nie przypuszczałam, że zrobi się z tego taka zadyma. Znalazł się w końcu, cały i zdrowy, i jak pragnę zdrowia, był taki jakby... zadowolony z siebie. Pamiętam dokładnie, bo byłam szczerze przerażona, że przeze mnie coś mu się stało, a on po dwóch dniach wrócił jak gdyby nigdy nic. Gnojek jeden!

– Co było potem?

– Nic. Kolonie się skończyły, wszyscy wrócili do domów i tyle.

– Pamięta pani, jak miał na imię ten chłopiec? – zapytała Alicja.

– Przykro mi, ale nie – odparła chłodno Becker.

O tym, że w wyniku całej sprawy zwolniono ją z obowiązków wychowawczynie grupy oraz wpisano naganę do akt, wołała nie wspominać. Choćby kroili ją nożem, nie pisnęłaby też słowa o swoich dość intymnych kontaktach ze starszymi wychowankami z pamiętnych kolonii. No bo po co? Co to ma do rzeczy? Nikogo nie powinno to obchodzić.

– A czy pamięta pani, kto był organizatorem tych kolonii? – zapytał Walter.

– Pewnie jakiś zakład. Nie pamiętam który. Znalazłam się tam, by odbębnić praktyki studenckie, i niewiele mnie obchodziło, kto organizował te kolonie.

– A pamięta pani może, gdzie to było? – zapytała Alicja.

– Gdzieś na Lubelszczyźnie. To była niewielka miejscina... Ludwików czy Ludwikowo... No jakoś tak w każdym razie. Była tam szkoła, w której wszyscy mieszkaliśmy. Może nadal jest.

ROZDZIAŁ 45

1980

Pojedziesz na kolonie – oświadczyła matka tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zbliżały się wakacje. Właśnie skończył piątą klasę. Ta wiadomość wzbudziła w chłopcu mieszane uczucia. Ucieszył się, bo podsłuchał kilka opowieści o tym, że takie kolonie to fajna rzecz. Wyjazd poza miasto, zabawy, ogniska, dyskoteki. Z drugiej strony czuł pewną obawę. Nigdy jeszcze nie spędził wakacji inaczej niż w domu lub u dziadków, którzy mieszkali w tym samym mieście. Pokusa poznania nowego walczyła ze strachem przed nieznanym.

– Czy ja naprawdę muszę tam jechać, mamó? – zapytał nieśmiało.

– Musisz. Ja też potrzebuję trochę czasu dla siebie. Muszę odpocząć. Taki wyjazd dobrze ci zrobi. Poznasz nowych kolegów i nauczysz się dyscypliny.

– Przecież jestem grzeczny – odparł, bliski płaczu. – Wyprowadzam Maksa na spacer i nic a nic ci nie przeszkadzam...

– Nie mazgaj mi się! Na koloniach nie lubią beks! A psa na ten czas wezmą dziadkowie – ucięła dyskusję matka.

Gdy nadszedł dzień wyjazdu, zabrali niewielką tekturową walizkę i udali się na miejsce zbiórki. Zaraz po wyjściu z domu w swej dziecięcej naiwności chłopiec jeszcze raz spróbował odwieść matkę od pomysłu wysłania go na kolonie. Bezskutecznie.

Na miejscu zbiórki stała już spora grupa – dzieciaki, rodzice i kolonijna kadra. Przed wejściem do autobusu dzieci były

liczone, a higienistka, otyła kobieta w kitlu, którego biel była już tylko wspomnieniem, przejrzała ich włosy, sprawdzając, czy aby któreś nie jest zawszzone.

– No proszę! – oświadczyła donośnym głosem, gdy przysła kolej Nikodema, na co kilka twarzy natychmiast zwróciło się w jego stronę. – Mamusia zgoiła łepetynę. Pewnie mieliśmy parę gnid na głowie, co?

Rzeczywiście – dzień przed wyjazdem Nikodem został zaprowadzony do fryzjera. Na wyraźne życzenie matki ten wygolił mu głowę, pozostawiając jedynie szczecinę długości kilku milimetrów. „To dla twojego dobra”, dowiedział się od matki. „Nie przywieziesz do domu żadnego paskudztwa”.

Wśród dzieciaków rozległy się śmiechy.

– Hej, patrzcie! – krzyknął ktoś. – Jedzie z nami wszarz!

– Fuj! – jęknął ktoś inny. – Ja z nim nie siedzę!

– No to jest niesłychane! – zauważyła któraś z nobliwych matron odprowadzających swoją pociechę na miejsce zbiórki.

– Jak można takie dziecko puścić między ludzi? Skandal!

Autokar, obłe szkaradztwo, w którym wycięto otwory na okna i zamontowano podbite płytą pilśniową siedzenia, w końcu ruszył, zostawiając za sobą kłęby dymu i machających odjeżdżającej dziatwie rodziców. Jeden z wychowawców wyjął akordeon. Wkrótce wszyscy, z wyjątkiem trzech wyrostków zajmujących tylne siedzenia, wylili na całe gardła: *...lato, lato, lato czeka...* Po kilku godzinach jazdy dojechali na miejsce. Nikodem całą drogę spędził na miejscu obok kierowcy.

Mieszkać mieli w szkole. Typowy budynek, jedna z tak zwanych tysiąclatek w małym miasteczku, gdzieś we wschodniej Polsce. W salach lekcyjnych, na okres wakacji przerobionych na grupowe sypialnie, mieściło się kilkanaście prycz. Grupa kolonijna była niewielka, więc w trzech pomieszczeniach ulokowano dwie grupy dziewczynek i jedną grupę chłopców. Wśród dwunastu członków tej ostatniej

Nikodem okazał się być najmłodszy.

– Te, łysy – usłyszał, gdy tylko weszli do sali – nie próbuj się kłaść obok mnie!

– Ja też go nie chcę! – odezwał się ktoś inny.

– Łysy, ty to chyba Żyd jesteś? Uciekłeś z Oświęcimia? – Rozległ się ogólny rechot. – Wypierdalaj do pieca, parchu!

– Cisza! – zabrzmiał donośny męski głos. Jeden z wychowawców, dobrze zbudowany wuefista, niepostrzeżenie przyglądał się tej scenie. – Nikodem kładzie się tam. – Wskazał łóżko pod oknem. – I zamknąć jadalnicę, bo pożałujecie!

Postał jeszcze chwilę, po czym odwrócił się na pięcie i wyszedł. Na sali zapadła cisza. Chłopiec podszedł do wskazanego łóżka i zaczął rozpakowywać swoje rzeczy. Instynkt podpowiadał mu, że to nie koniec kłopotów.

Wychowawczynią grupy chłopców została dziewiętnastoletnia pani Mariolka (kazała się tak do siebie zwracać), świeżo upieczona słuchaczka studium nauczycielskiego, która odrabiała obowiązkowe praktyki. Mariolka lubiła dobrze się zabawić. Kierowała się maksymą: *sex, drugs and rock and roll*, choć z racji życia w kraju, w którym cukier wciąż był reglamentowany, a na samochód trzeba było pracować trzydzieści lat, w pełni oddawać się mogła jedynie temu pierwszemu, co czyniła chętnie i z wzajemnością. Ponieważ różnica wieku między Mariolką a starszymi chłopakami z jej grupy była niewielka, jej relacje z nimi bardzo szybko zacieśniały się w krzakach na tyłach szkoły.

Któregoś dnia przed wieczornym apelem, jak zwykle o tej porze, Mariolka poszła na dymka w stałe miejsce spotkań ze swoimi małoletnimi adoratorami. Szesnastoletni amatorzy mocnych wrażeń już na nią czekali.

– Wojtasik, jesteś głupi jak but – zwróciła się do najstarszego z nich. – Jak możesz przy tym wale, wuefiście, zwracać się do mnie po imieniu? Ochujałeś do reszty?

– Oj, wymyskło mi się – odrzekł młokos z udawaną skruchą. – Nie gniewaj się, Mariolka. No chodź, pomasuję ci plecy.

Usiadł okrakiem za wychowawczynią i zaczął masować jej barki. Dziewczyna uśmiechnęła się i głęboko zaciągnęła papierosem. Nieporadny masaż wykonywany przez młodego byczka sprawiał jej wyjątkową, graniczącą z seksualnym podnieceniem przyjemność. W wyobraźni rozdziewiczała masującego ją prawiczka. Wiedziała, że mogłaby z nim zrobić wszystko, na co miałyby ochotę, a on skamlałby niczym pies.

Po skończonej sesji masażu Mariolka odwróciła się do trzech absztyfikantów i zapytała:

– A jak tam nasz kolonijny debilek, ten z łysą pałą? – Zrobiła pełną obrzydzenia minę. – Skąd się tacy biorą? Wczoraj na stołówce oblał mnie kompotem. Ofiara losu! Nie mogę już patrzeć na tego przygłupa! Dlaczego on musi być w mojej grupie...

– Bo innych nie ma, psze pani – odezwał się najmłodszy z trójki.

– Czego „innych”?

– No, grup innych. Tylko jedna chłopaków jest – odparł, wzruszając ramionami.

– Patrzcie, jaki bystrzak! – Mariolka cmoknęła z dezaprobatą.

– Tak czy owak, jak mi to coś jeszcze raz wlezie pod nogi, to nie wiem, co mu zrobię!

– A może damy mu nauczkę? – Wojtasik instynktownie wyczuł okazję na zdobycie dodatkowych punktów u Mariolki. – Damy kurdupłowi popalić! Nauczy się szczył okazywać ci szacunek.

Wtem od strony budynku rozległ się dźwięk szkolnego dzwonka.

– Musimy się stąd zabierać – wychowawczyni urwała dyskusję. – Dzwonią na wieczorny apel. I pamiętajcie, matolki: dla was tam – wskazała ręką na szkolny plac – jestem PANI Mariolka. Zrozumiano?

Plan dojrzał bardzo szybko. Chłopcy postanowili wprowadzić go w życie w ciągu najbliższej nocy. Kilka kamieni wielkości dorodnej śliwki węgierki leżało już w szufladzie szafki jednego

z nich. Z akcją postanowili poczekać godzinę po ogłoszeniu ciszy nocnej. Wiedzieli od Mariolki, że wieczorami kadra przesiaduje w pokoju nauczycielskim i nie żałuje sobie wina kupowanego w pobliskim geesie. Godzina powinna wystarczyć, aby towarzystwo rozhułało się na tyle, by nie słyszeć krzyków dochodzących z sali chłopców.

O dwudziestej trzeciej cała trójka zebrała się przy szafce z kamieniami.

– Na końcu ręcznika zawiążcie spory supeł – szeptem instruował jeden z prowodyrów. – O tak, w ten sposób. – Włożył jeden z kamieni do supła i zaciągnął go z całej siły. – Zróbcie to mocno, tak aby kamień nie wypadł.

W końcu cała trójka stanęła w gotowości z ręcznikami w dłoniach. Obciążone kamieniami supły dyndały złowieszczo.

– Ty, wstawaj! Pomożesz nam. – Wojtasik wyciągnął z łóżka jednego z przypadkowych współlokatorów. – Weź poduszkę i przykryj nią jego łeb. – Wskazał na Nikodema. – Tylko nie spieprz, bo będziesz następny!

Tego wieczoru Nikodem szybko zasnął. Leżał obrócony twarzą do ściany. Zawsze spał w takiej pozycji. Wmawiał sobie wtedy, że jest sam i nic złego mu się nie stanie, a koszmar, w którym bierze udział, już wkrótce się skończy.

Pierwszy cios trafił go w biodro. Nikodema obudziło jego własne wycie.

– Na co, kurwa, czekasz?! Zatkaj mu ryja tą poduszką! – usłyszał nad głową.

Kolejne ciosy padały jeden za drugim. Nikodem instynktownie przybrał pozycję embrionalną, chroniąc najwrażliwsze części ciała. Przeróżający ból, jakiego jeszcze nigdy w życiu nie zaznał, z każdym uderzeniem mocniej i mocniej wdzierał się we wszystkie zakamarki jedenastoletniego ciała. Wydawało mu się, że ta udręka nie będzie mieć końca, że będą go tłuc przez całą noc. Dławił go szloch. A potem nie czuł już nic. Uderzenia były już niczym więcej, jak stłumionymi, rytmicznymi plaskami. Zamiast bólu pojawiło się coś gorszego. Przeróżliwy strach. Zaczął się bać, że nie doczeka końca tego koszmaru. Brakowało mu powietrza.

Poduszka na jego twarzy, w połączeniu ze łzami i smarkami, skutecznie odcinała dostęp powietrza. Podjął jednak walkę. Instykt przetrwania nie pozwalał mu się poddać. Na oślep wymacał ręce przyciskające poduszkę. Resztką sił złapał jedną z tych rąk i zaczął dotkliwie drapać. Gdy na skórze pojawiły się pierwsze krople krwi, agresor z wrzaskiem odskoczył od wezglowia ofiary. Natychmiast zdał sobie sprawę, że jego krzyk z pewnością dotarł do uszu kolonijnych wychowawców, więc na wszelki wypadek wskoczył do łóżka i ukrył się pod kołdrą. Pozostała trójka, widząc, co się dzieje, poszła w jego ślady.

Nikodem znieruchomiał. Leżał pod kołdrą i cicho szlochał. Nie płakał już ani z bólu, ani ze strachu. Płakał nad swoją bezsilnością. Kuląc się pod kołdrą, niczym pod osłoną chroniącą go przed światem, nie poczuł płynącego po nogach ciepłego strumienia moczu. Leżał nieruchomo aż do pierwszego brzasku, kiedy zmęczenie w końcu pozwoliło mu zapaść w płytki, krótki sen.

– Wstawać, kawalerka! Za godzinę apel! – Mariolka energicznie otworzyła drzwi sali, donośnym głosem budząc grupę chłopców. – Raz, dwa, raz, dwa, gamonie! – Przechadzała się między łózkami, klaszcząc w ręce.

W łóżku stojącym w narożniku sali nikt się nie poruszył. Widząc, że dotychczasowe wysiłki nie przynoszą spodziewanego rezultatu, Mariolka postanowiła wzmocnić akcenty akustyczne. Zwłaszcza że doskonale wiedziała, kto śpi w tym łóżku. Podeszła i ile sił w płucach dmuchnęła w sędziowski gwizdek, z którym się nie rozstawała. Ku jej zdumieniu nie było żadnej reakcji. Wypluła gwizdek i energicznym ruchem zrzuciła kołdrę na podłogę. Jej oczom ukazał się zwinięty w kłębek Nikodem. Zacisnęła zęby i resztką sił powstrzymała się od uderzenia chłopca.

– W tej chwili wstawaj! – wrzasnęła nad uchem chłopca. – Przez ciebie cała grupa dostanie karę! Ruszaj się! – Złapała go za rękę, usiłując wyciągnąć z łóżka. Wtedy ją zobaczyła. Sporej wielkości żółta plama wsiąknięta w prześcieradło. Złapawszy

się pod boki, wydarła się na całe gardło, tak aby każdy ją słyszał: – Już wiem, dlaczego nie chcesz wyjść z łóżka! Zeszczaleś się i teraz ci wstyd! Matka w domu nie nauczyła i teraz leje pod siebie! Nie jest ci wstyd, świntuchu jeden?!

W sali rozległy się pojedyncze rechoty, które po chwili przeszły w głośny śmiech i wytykanie palcami. Nagle zagrzmiął donośny, męski głos:

– Co tu się dzieje?!

Momentalnie zapadła cisza. Wuefista, wysoki i dobrze zbudowany, podszedł do łóżka Nikodema.

– O co chodzi, Mariola?

– Chłopak się zmoczył i teraz nie chce wstać – odparła wychowawczyni, nie bez satysfakcji. – Ciągłe z nim jakieś problemy, a teraz to. – Wskazała na żółtą plamę.

– Nikodem, wstań. – Nauczyciel nachylił się nad chłopakiem i delikatnie klepnął go w biodro. – Musisz iść do łazienki. – Nikodem zakwilił cicho i jeszcze bardziej skulił się w sobie. – Co się stało? Dlaczego płaczesz? – Głos mężczyzny był ciepły i pełen troski. Nikodem jednak nie odpowiadał, tylko nieustannie kręcił głową. – Mogę zobaczyć? – Wuefista najdelikatniej, jak tylko potrafił, o kilka centymetrów zsunął chłopcu spodnie od pizamy. Jego oczom ukazał się fioletowoczerwony krwiak wielkości spodka od szklanki. Wyprostował się i rozejrzał po sali. Wszyscy w milczeniu obserwowali rozgrywającą się scenę. – Kto ci to zrobił? – zapytał cicho, jakby nie chciał jeszcze bardziej stresować Nikodema. Podobnie jak poprzednio jedyną odpowiedzią było kręcenie głową. Mężczyzna zwrócił się więc do gapiów, a jego ton stał się ostry i rzeczowy: – Kto mu to zrobił? – Nie spodziewał się żadnej odpowiedzi. To nie były jego pierwsze wakacje z młodzieżą szkolną. Doskonale wiedział, jak to wygląda. Zawsze jest jakaś ofiara i zawsze znajduje się prześladowca, a dzieci potrafią być okrutne. Wiedział, że jeśli Nikodem nie wskaże sprawców, to szanse na ich identyfikację są marne. Pochylił się nad chłopcem i starając się oszczędzić mu dodatkowych cierpień, wziął go na ręce. Nikodem nie zmienił swojej pozycji. Nadal był skulony, jakby strach przed

wyprostowaniem się sparaliżował jego wolę. Wtulił jedynie głowę w potężną klatkę piersiową mężczyzny. – Idę z nim do higienistki, a potem jedziemy do lekarza – zwrócił się do wychowawczynie. – Znajdź mu, proszę, jakieś czyste rzeczy i przynieś do gabinetu.

Był śliczny lipcowy poranek, tydzień po dramatycznej nocy. Na błękitnym niebie próżno było szukać chmur. Okoliczne pola aż po horyzont falowały złocistymi kłosami zbóż.

Badanie lekarskie nie wykazało żadnych poważniejszych uszkodzeń narządów wewnętrznych. Większość ciosów padła na nogi i pośladki chłopaka. Nikodem, choć mocno posiniaczony, nie odczuwał już fizycznego bólu. Jedynym zewnętrznym śladem otrzymanych tydzień temu razów było lekkie kulenie na prawą nogę. Choć winni się nie przyznali, wuefista, podejrzewając, kto za tym stał, odbył męską rozmowę z Wojtasikiem. Od tego czasu Nikodem miał spokój. Nikt go nie zaczepiał, a wychowawczynie omijała go szerokim łukiem.

Tego ranka grupa poszła na pieszą wycieczkę. Polna droga wiała się wśród pól. Nikodem siedł na końcu. Wolał być sam, a i pozostałym odpowiadał brak jego towarzystwa. Był zamyślony. Tęsknił za domem, który w porównaniu z miejscem, w którym obecnie przebywał, wydawał się ostoją bezpieczeństwa. Nie zauważył, kiedy obok niego pojawił się Wojtasik.

– Jak tam, fujaro? – usłyszał. – Myślisz, że to koniec? Kolonie jutro się kończą. Kiedy wrócimy, nie będzie już obok ciebie tego zasranego wuefisty. – Chłopak klepnął go w plecy i pobiegł do przodu.

Nikodem stanął, sparaliżowany strachem. Wrócił lęk przed prześladowcami. Musi uciec, musi zniknąć im z oczu! Być może na zawsze... Skoczył w bok i niczym pływak zanurzył się w toń złotego żyta. Biegł, nie zważając na biczące jego twarz kłosa. Gołe nogi nie czuły ani ukłuć, ani drobnych rozcięć. W końcu opuściły go siły. Zdyszany, padł na plecy. Błękitne niebo rozmazało się pod wpływem łez, które zalały mu oczy. Leżał

nieruchomo. Ciszę wokół przerywał jedynie szum zboża, którego dojrzałe, pełne ziarna kłosa kiwały się, poruszane delikatnym, ciepłym wiatrem. Nagle chłopiec usłyszał ciche kwilenie, dochodzące zza jego głowy. Pobudzony ciekawością, na czworakach zaczął się skradać w kierunku tego dźwięku. Wśród kłosów żyta, kilkanaście centymetrów nad ziemią, w gnieździe, kwiląc cichutko, siedziały cztery pisklęta. Chłopak przez chwilę przyglądał się im, a potem palcem wskazującym zaczął głaskać małe opierzone łebki. Czuł, jak maleńkie dzióbki delikatnie skubią opuszki jego palców. Pisklaki odruchowo garnęły się do siebie, machając skrzydełkami i kwiląc coraz głośniej. Wyjął z gniazda jedno z piskląt, zamknął je w dłoni i przystawił do ucha. Słyszał, jak ptaszek kwili, przestraszony. W pewnym momencie ręka Nikodema się zacisnęła. Palec za palcem, przykurczony do wnętrza dłoni, zamieniał ją w twardą pięść. Kwilenie było coraz bardziej żalosne. Po chwili usłyszał chrzęst łamanych kostek. Wewnątrz pięści poczuł ciepłą wilgoć. Rozpostarł palce. Pisklę przypominało teraz bezkształtną formę ulepioną z brudnoszarej plasteliny. Zgarnął na ziemię mokre szczątki. Wytarł dłoń o spodnie, wstał i ruszył w kierunku budynku szkolnego. Jego oczy były już zupełnie suche, oddech spokojny, a kąciki zaciśniętych ust wykrzywiły się w ledwo widoczny uśmiech. Wreszcie ogarnął go spokój.

ROZDZIAŁ 46

Sprawa z gimnazjalistką ze zdjęć Gojnego utknęła w martwym punkcie. Dziewczyna, jak zeznał Łukasz, poszła z nieznanym i tyle ją było widać. Jej przygłupi chłopak nie wysilił się, by cokolwiek sprawdzić. Po prostu zgarnął parę stów i nic więcej go nie obchodziło. Maciek postanowił, że przycisnie go jeszcze raz. Może nawet weźmie go do fabryki, żeby stworzyć portret pamięciowy faceta, z którym ostatni raz widziano Nikolę. Teraz jednak miał na głowie coś innego. Walter kazał mu pojechać do jakiejś dziury na Lubelszczyźnie i odnaleźć szkołę, w której na początku lat osiemdziesiątych były organizowane kolonie letnie dla młodzieży. Według Marioli Becker, matki zamordowanej Karoliny, w czasach, gdy ona sama pracowała tam jako wychowawczyni, zdarzył się pewien incydent. I choć Becker usilnie starała się zbagatelizować jego znaczenie, evergreen o harcerzu i polnej stokrotce wysyłany na jej komórkę tuż przed i po zabójstwie jej córki był niczym wielki kierunkowskaz wymalowany kredą na środku asfaltowej szosy.

Rankiem, następnego dnia po rozmowie z Walterem, Maciek ruszył w drogę. Z ulgą stwierdził, że aura mu sprzyja. Na karoserii służbowej fabii tym razem nie zalegał śnieg, a silnik odpalił za pierwszym razem.

Za Zakrętem ruch nieco zelżał. Część kierowców jechała dalej, na wschód, w kierunku Terespolu, a część, tak jak Maciek, odbiła na południowy wschód, w kierunku Lublina. Nie śpieszył się. Nie było powodów, żeby gnać. Do przejechania miał jakieś sto osiemdziesiąt kilometrów drogą przebiegającą przez dziesiątki wiosek i kilka miasteczek. Widok za oknem był dość monotony – szare, nijakie, niczym nieróżniące się od siebie wsie, pola pokryte wciąż zalegającym śniegiem i śniade,

porozstawiane według nieodgadnionego klucza przydrożne prostytutki, które mimo chłodu i zimowej pluchy z pełną determinacją, najprawdopodobniej odpowiednio motywowaną, usiłowały sprzedać swe wdzięki.

Po trzech godzinach jazdy minął tablicę z napisem: Ludwikowo. Nie przejechał więcej jak trzysta metrów, gdy znalazł się na głównym placu miasteczka. Wcześniej, podczas postoju na stacji benzynowej, w wyszukiwarce na smartfonie wpisał nazwę miejscowości i zapoznał się z jej długą, choć mało ciekawą historią. Szkoła, jak zresztą chyba wszystko inne, była położona nie dalej niż pięćset metrów od rynku. Maciek zaparkował samochód przed wejściem. Umieszczone na budynku tablice informowały, że stoi przed szkołą podstawową oraz gimnazjum imienia Traugutta i że budynek został wzniesiony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym szóstym roku ze składek ofiarnego społeczeństwa w ramach akcji „Tysiąc szkół na Tysiąclecie Państwa Polskiego”.

Zamiast spodziewanego harmidru na szkolnym korytarzu Maciek słyszał jedynie stukot swoich butów, uderzających o wypolerowaną lastrykową posadzkę. Zaskoczyło go to, podobnie jak panujący wokół porządek. Wszystko było tak inne niż w elitarnym warszawskim gimnazjum, które ostatnio odwiedził. Ścianę zapełniały gabloty poświęcone kołom zainteresowań, osiągnięciom sportowym i innym typowo szkolnym informacjom. Widać było, że ktoś o to wszystko dba – gabloty nie były zakurzone, a na wiszących w środku arkuszach i zdjęciach na próżno było szukać zagiętych rogów. Na parapetach licznych okien po drugiej stronie korytarza ustawiono donice z kwiatami. O nie najwyraźniej również dbano.

Rozległ się dzwonek i z klas wysypał się tłum rozwrzeszczanych dzieciaków. Pod tym względem było jak wszędzie. Głośno i chaotycznie. Maciek podszedł do nauczycielki, która wyłoniła się z jednej z sal. Kobieta, mniej więcej trzydziestoletnia, była bardzo atrakcyjna. Jej gęste włosy

w odcieniu ciemnego blondu były spięte w pozornie niedbały kok. Bładoróżowa szyfonowa bluzka, spod której subtelnie prześwitywała koronka stanika, doskonale współgrała z prostą, szafirową spódnicą przed kolano i narzuconym na ramiona, rozpinanym kardiganem. Przed sobą w skrzyżowanych ramionach kobieta trzymała dziennik lekcyjny.

– Gdzie znajdę gabinet dyrektora? – zapytał Maciek, ponieważświe refleksyjnie, że nawet się nie przedstawił.

Kobieta obrzuciła go badawczym spojrzeniem, po czym się uśmiechnęła. Uśmiech był ciepły, niewymuszony i bez wątpienia szczery. Maciek już wiedział – był pewien – że właśnie tak mogłaby wyglądać kobieta jego życia.

– Proszę za mną – powiedziała głosem równie ciepłym, jak jej urzekający uśmiech. – Chętnie pana zaprowadzę.

– Dziękuję bardzo. Bo wie pani, ja z Warszawy przyjechałem – powiedział Maciek i od razu zdał sobie sprawę, jak idiotycznie to zabrzmiało.

– Z Warszawy? No, no! A cóż gościa z samej stolicy sprowadza w nasze skromne progi? – zapytała z lekką ironią.

– Jestem policjantem. Przyjechałem po pewne informacje.

– Ach, tak. Rozumiem. W takim razie proszę za mną.

Gdy dotarli do drzwi z tabliczką „Sekretariat i dyrekcja”, kobieta nacisnęła klamkę i wpuściła Maćka przodem.

– Pani Marzenko, proszę dwie kawy. Mamy gościa aż z samej stolicy – powiedziała do siedzącej za biurkiem sekretarki, po czym zwróciła się do Maćka: – A pana zapraszam do mojego gabinetu. Nazywam się Maria Lubińska i jestem dyrektorką tej szkoły. W czym mogę panu pomóc?

ROZDZIAŁ 47

1980

Witam was po wakacjach – donośny głos nauczycielki uciszył panujący w klasie gwar. – Mam nadzieję, że wszyscy mieliście udane wakacje i pełni energii poświęćcie się teraz szkolnym obowiązkom. Jak pewnie zauważyliście, macie w klasie trzech nowych kolegów. – Na tyłach sali, w ostatnim rzędzie siedziało trzech nowych. Już na pierwszy rzut oka było widać, że wyraźnie różnią się od pozostałych dzieciaków. Mniej więcej o głowę wyżsi, lepiej zbudowani i starsi o kilka lat od reszty, kompletnie nie pasowali do grupy. – Pan kurator oświaty z naszego rejonu – ciągnęła nauczycielka patetycznym tonem – podjął decyzję o przeniesieniu ich do naszej szkoły, aby dać im szansę ukończenia szóstej klasy i kontynuowania nauki w pobliskiej przyzakładowej szkole zawodowej w ramach specjalnego programu. Jestem niezmiernie dumna, że pan kurator pokłada w naszej szkole tak duże nadzieje, i liczę, iż nowi koledzy efektywnie wykorzystają daną im szansę.

Z tyłu sali rozległo się donośne, przeciągłe beknięcie, wzbudzając powszechny chichot. Nikodem ukradkiem odwrócił głowę. Nie wierzył własnym oczom. W ostatniej ławce siedział Waldek Wojtasik, jego prześladowca z letnich kolonii.

Do szkoły Nikodema przeniesiono grupę tak zwanych trudnych dzieciaków, pozbieranych z kilku okolicznych podstawówek. Każdy z nich po raz kolejny powtarzał którąś z klas, a niektórzy mieli na koncie drobne kradzieże oraz udział w bójkach. Ze względu na młody wiek i tak zwaną niską szkodliwość społeczną czynu udawało im się konsekwentnie unikać skierowania do domu poprawczego, co dało panu kuratorowi zielone światło do realizacji eksperymentalnego programu. W zamyśle eksperyment miał skupić młode męty

w jednym miejscu, by jak najszybciej raz na zawsze się ich pozbyć.

Nikodemowi przez jakiś czas udawało się unikać kłopotów, lecz wiedział, że wróg go obserwuje. Wiedział też, że do bandy wyrostków przystąpił ten, którego kiedyś potraktował doniczką. Podskórnie wyczuwał nadchodzące problemy. Zaczęło się od drobnych prowokacji. Znikała jego teczka, rzucona przed klasą w czasie przerwy, którą następnie znajdował w kontenerze na śmieci, w kieszeniach kurtki natrafiał na ogryzki i inne śmieci, a na drzwiach toalety pojawiły się wulgarne rysunki z nim w roli głównej.

Pewnego zimowego dnia na lekcjach nie pojawił się ani jeden z grupy szkolnych „spadochroniarzy”. Reszta dzieciaków nie kryła radości z tego powodu. Trwała akurat lekcja biologii, gdy ktoś zapukał do drzwi. Do klasy wszedł uczeń z młodszych roczników.

– Pse pani – zaseplenił – Maleta ma pójść do higienistki.

– Do higienistki? A po co? – odparła zdziwiona nauczycielka.

– Nie wiem. Kazali powiedzieć, to psysłem – odpowiedział malec, wbijając wzrok w czubki swoich butów.

– Dobrze. Nikodem, idź. Tylko zaraz potem wracaj do klasy.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, mały dał nogę i zniknął za rogiem.

Nikodem nie pamiętał, kiedy ostatni raz miał okazję przechadzać się pustym szkolnym korytarzem. Znana mu przestrzeń sprawiała teraz tak inne wrażenie, była zupełnie niepodobna do tej z międzylekcyjnych przerw. Kroki chłopca odbijały się echem od wysokiego sklepienia i ściennych lamperii. Zza okien od strony dziedzińca dochodziły stłumione głosy. Nikodem stanął na chwilę i spojrzał za okno. Na boisku trwała lekcja wychowania fizycznego. Przekrzykując się wzajemnie, dwie drużyny grały w dwa ognie. Ruszył powoli, mijając znajome gablotki, gazetki ścienne oraz portrety wieszczów i bohaterów narodowych. Znał je na pamięć – wszystkie puchary, medale i dyplomy zdobyte przez uczniów

w konkursach sportowych i naukowych. Zwykle, gdy inni chłopcy biegali za piłką, on podczas przerw samotnie podpierał ściany szkolnych korytarzy.

Czekali na niego za rogiem, na wysokości wejścia do toalety. Czterech dryblasów. Dwóch z nich zaszło go od tyłu, odcinając drogę ucieczki.

– Cześć, frajerze! – Największy z nich, Wojtasik, założył ręce na piersiach i szeroko rozstawił nogi.

– Muszę iść do higienistki – odparł niepewnie Nikodem.

– Serio? Nie gadaj! – Dryblas strzyknął śliną przez zęby. – Bo widzisz, chcieliśmy sobie z tobą pogadać. Znajdziesz dla nas chwilę?

– Muszę wracać do klasy. – Nikodem odwrócił się na pięcie, ale wtedy któryś ze stojących za nim potężnym uściskiem złapał go za kark, jednocześnie wykręcając mu rękę i zmuszając do przyjęcia pochylonej pozycji.

– Pójdiesz, jak ci pozwolimy. Na razie pogadamy sobie w kibelku. – Wojtasik otworzył drzwi do toalety i wepchnął Nikodema do środka.

Chłopiec niemal stracił równowagę. W ostatniej chwili złapał się za umywalkę. Cały dygotał, choć starał się nie okazywać strachu. Wiedział, że nie ucieknie. Stali między nim a drzwiami. W panice spróbował oszacować czas, który pozostał do końca lekcji. Przerwa mogłaby go uratować. Do toalety pewnie weszliby inni uczniowie, a może nawet któryś z nauczycieli. Niestety, dzwonek milczał jak zakłęty. Prześladowcy dobrze dobrali czas pogawędki.

– Zapalizz? – Wojtasik wyciągnął z kieszeni paczkę sportów i podstawił Nikodemowi pod nos.

– Nie chcę.

– Patrzcie na tego ćwoka! – Młokos zwrócił się do kompanów.

– Boi się, że mamusia go skrzyczy! – Splunął ponownie, tym razem trafiając w buty Nikodema. – Bierz fajkę i nie wkurwiał mnie! – Wyjął papierosa i rzucił w twarz swojej ofiary.

Nikodem powoli się schylił. W tym samym momencie otrzymał z tyłu potężnego kopniaka. Czubek buta napastnika trafił go prosto w mosznę. Chłopiec zwinął się z bólu i upadł na

kolana. Drżącą ręką podniósł papierosa, tak jakby nie wiedział, co z nim zrobić, i niepewnie wstał na nogi.

– Jak żyję, nie widziałem takiej cioty! – Herszt bandy pokręcił głową, po czym wyjął z kieszeni zapalniczkę. – Wsadź go w gębę i ciągnij, ćwoku! – Spodziewali się przedstawienia z kaszlącym i dławiącym się Nikodemem w roli głównej, jednak spotkał ich zawód. Nikodem bowiem już od jakiegoś czasu popalał matczyne klubowe. Mimo to teraz palił niepewnie. Stał ze spuszczoną głową, z rzadka zaciągając się dymem. – Fajnie było na koloniach, co? – Kolejny raz ślina trafiła na jego spodnie. – Szkoda, żeście nie widzieli, jak spieprzał w krzaki, kiedy go Mariolka przydybała na szczaniu w gacie. Dwa dni go potem szukali. – Nagle zamilkł. Złapał Nikodema za poły koszuli i przyciągnął do siebie. – Przez ciebie, gnoju, odwołali pożegnalną dyskotekę – wysyczał. – Mogłem zaliczyć tę cipę, ale spierdoliłeś i kierownik ją wywalił! No i ani dyskoteki, ani dupczenia! – Odepchnął go z taką siłą, że Nikodem znów o mało nie upadł. – Musisz dostać nauczkę – powiedział po chwili, celując w swoją ofiarę palcem wskazującym. – Takie łajzy jak ty powinny znać swoje miejsce. – Spojrzał po twarzach kumpli. – Co z nim zrobimy, panowie?

– Spuśćmy mu wpierdol i po krzyku – odparł któryś.

– Nurkowanie w sraczu! – dodał po chwili inny.

Coraz bardziej wymyślne pomysły posypały się jak z rękawa. Żaden z nich jednak nie przypadł przywódcy do gustu. Wojtasik potrzebował czegoś specjalnego. Czegoś, o czym ta mała łajza nie zapomni do końca życia.

Wreszcie zapadła cisza. Krople wody kapiące z zakamienionego kranu niczym tykanie zegara odmierzały czas, który dla Nikodema wydawał się nie mieć końca.

– Na kolana, szmato! – ryknął Wojtasik, po czym z całej siły uderzył Nikodema w splot słoneczny.

Chłopak stracił oddech i zgiął się w pół. Jego kolana uderzyły o posadzkę. Desperacko próbował złapać oddech, lecz każda próba przynosiła tylko duszący ból. Po chwili powrócił płytki oddech, ale wtedy pojawiły się nudności. Zwymiotował, paskudząc podłogę i buty swojego oprawcy. W powietrzu

rozniósł się kwaśny zapach.

Wojtasik cofnął się o krok i spojrział na niego z obrzydzeniem.

– Ty świniou! Zarzygałeś mi buty! – Pochylił się i złapał Nikodema za włosy. – Zlizuj to, mendo!

Nikodem, choć naprężony jak struna, nie miał siły mu się przeciwstawić. Uległ. Pozwolił, by sadysta umoczył jego twarz w wymiotach. Po wszystkim leżał nieruchomo – niczym zwierzę udające, że jest martwe, w nadziei, że agresor uzna swoją wygraną i odejdzie.

Wojtasik patrzył na leżącego Nikodema z pogardą i nienawiścią. Wiedział już, co mu zrobią. Wymyślił sposób ostatecznego upokorzenia chłopca, którym bezgranicznie gardził. Szyderczy uśmiech wykrzywił jego usta.

– Wyciągać fujary, panowie – rozkazał, rozsuwając swój rozporek.

Na twarzach pozostałej trójki zagościła konsternacja.

– No co ty? Chyba nie chcesz, aby nam brał? – odezwał się jeden z chłopaków. Jego obawy zostały rozwiane, gdy na głowę leżącego Nikodema popłynął strumień moczu.

– Na co czekacie? – Wojtasik spojrział gniewnie na kompanów. – Nie widzicie, że zasraniec jest cały zarzygany? Przyda mu się ciepły prysznic!

Tego nie musiał im powtarzać. Zgodnie stanęli wokół Nikodema i z perwersyjną przyjemnością, głupekowato chichocząc, ulżyli sobie, ponizając go ostatecznie. Gdy na jego głowę padały ostatnie krople moczu, rozległ się dzwonek na przerwę. Wtedy cała czwórka, omijając kałużę szerokim łukiem, bez słowa opuściła toaletę.

Gdy po dłuższej chwili Nikodem podniósł się z posadzki, uchyliły się drzwi jednej z kabin. Ze środka, niepewnym krokiem, wyszedł nieznany mu chłopiec. Przez chwilę bez słów patrzyli sobie w oczy. Nikodem do końca życia nie zapomni tych oczu. Oczu, które przez szparę w uchylonych drzwiach wszystko widziały, które były świadkiem jego zwierzęcego ponizenia. Patrzyły i czekały, aż zostanie upokorzony. A wystarczyło, żeby tamten wybiegł z toalety. Miał przecież blisko do drzwi. Nie złapałoby go. Wtedy to wszystko by się nie

stało. Nie odważyliby się zrobić tego, co zrobili, wiedząc, że ktoś ich widział i być może podniesie alarm. Skończyłoby się na jednym kopniaku i oplutych spodniach. Ale on stał, bezpieczny w tej kabinie, i patrzył, i patrzył, i patrzył...

Nikodem nie wrócił na lekcje. Przeczekał przerwę w zamkniętej toalecie, po czym pobiegł prosto do domu. Matka była jeszcze w pracy. Zdjął ubrania, wrzucił do wanny i zalał je wodą. Przepłukał je pobieżnie i rozwiesił na sznurze do bielizny. Wiedział, że matka o nie nie zapyta. Ona nigdy o nic nie pytała. Potem sam wszedł do wanny. Mył się długo, drapiąc głowę i twarz prawie do krwi. Wciąż czuł spadający na niego strumień.

W końcu wyszedł z łazienki. Założył czyste rzeczy, zagwizdał na psa i wyszedł z nim na dwór. W pobliżu osiedla, na którym mieszkał, rósł niewielki las, choć to skupisko drzew bardziej przypominało zakrzaczony zagajnik. Często tam chodzili. Pies biegał samopas; był posłuszny i zawsze wracał na wołanie. Tym razem jednak Nikodem nie spuścił go ze smyczy. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy, tylko walające się puste butelki i opakowania po papierosach. W szkołach trwały jeszcze lekcje, więc amatorzy piwa i jaboli jeszcze się tu nie pojawili. Nikodem wszedł głębiej w zagajnik. Po chwili spaceru wypatrzył odpowiednie drzewo. Niewielki, kilkuletni klon o korze pooranej ostrzem noża. Ktoś wyznał swoją miłość do Anity z szóstej klatki, inny informował, że Paweł spod czwórki lubi ciągnąć. Nikodem owinął smycz wokół pnia drzewa. Pies grzecznie usiadł, z zainteresowaniem obserwując swojego właściciela. Po chwili chłopiec znalazł to, czego szukał. Konar o grubości jego ramienia, niedawno ułamany, znakomicie się nadawał. Pies do ostatniej chwili merdał ogonem i patrzył mu w oczy z ufnością. Nikodem nie liczył ciosów. Tłukł do czasu, aż krew zabarwiła śnieg na różowo. Później usiadł na ziemi. Sapiąc, wypuszczał kłęby pary z ust. Zamknął oczy i wyobraził sobie oczy tamtego – patrzące przez szparę uchylonych drzwi. Podchodzi do niego powoli, w rękę trzyma kij do bejsbola.

Szybkim ruchem otwiera drzwi, łapie go za kołnierz i powala na podłogę. Unosi kij i już wie, że te oczy nigdy więcej nie będą na niego patrzeć.

ROZDZIAŁ 48

Otrząsnąwszy się z wrażenia, jakie wywarła na nim informacja, że ta niesamowita superlaska z dziennikiem lekcyjnym w rękę jest jednocześnie dyrektorem gimnazjum, Maciek niczym karny uczeń wszedł do jej gabinetu.

– Cóż więc pana do nas sprowadza? – zapytała Lubińska, gdy zasiedli przy kawie. – Bo domyślam się, że nie walory naszej uroczej miejscowości?

Maciek pomyślał, że od kilkunastu minut te walory zaczęły nabierać zupełnie innego wymiaru. Mimo pokusy, by zacząć tę rozmowę jakąś błyskotliwą ripostą, postanowił jednak profesjonalnie przejść do rzeczy:

– Mój zespół prowadzi pewną sprawę i mam nadzieję, że będzie nam pani mogła pomóc. – Wiedział, że tak skonstruowane zdanie, nawet jeśli w detalach nieco różniło się od rzeczywistości, doda mu prestiżu w oczach pięknej pani dyrektor.

– A cóż to za sprawa? – zapytała kobieta, unosząc nieznacznie brwi.

– Niestety, nie mogę zbyt wiele powiedzieć. Wie pani, dla dobra prowadzonego śledztwa, jak to mówią. – Maciek po raz kolejny tego dnia zauważył, że robi z siebie głupka. Lubińska upiła łyk kawy. Z całą pewnością dostrzegła, że jej profesjonalny rozmówca gapi się na nią jak ciele w malowane wrota. – Chodzi o to, że... Chodzi o to, że prowadzimy sprawę pewnego bardzo brutalnego mordercy, który być może kiedyś przebywał w pani szkole – powiedział na jednym wydechu.

– W mojej szkole? U nas? Jak to możliwe? – Dyrektorka była wyraźnie zaintrygowana.

– Och, proszę się nie obawiać. Nie sądzę, że był tu ostatnio. Jeśli w ogóle, to raczej kilkadziesiąt lat temu.

– A co takiego miałyby u nas robić brutalny morderca? Myśli

pan, że to jakiś nasz były uczeń?

– Uważamy, że jako dziecko mógł spędzać tu wakacje.

– W naszej szkole? – Lubińska była coraz bardziej zaskoczona. – A kto spędza wakacje w szkole?

– Chodzi o kolonie letnie – doprecyzował Maciek. – Kiedyś w czasie wakacji powszechnie wykorzystywano do tego budynki szkół.

– Ach, tak... To rzeczywiście musiało być dawno temu – odparła dyrektorka po chwili namysłu. – Od lat nikt u nas nie organizuje tego rodzaju wypoczynku, choć nie miałabym nic przeciwko, gdyby do budżetu szkolnego wpadło parę złotych... Ale nieistotne. Więc myśli pan, że ta osoba spędzała u nas wakacje?

– Owszem. Mam nadzieję, że w państwa archiwach są dane dotyczące instytucji, z którymi zawierano umowy na prowadzenie takich przedsięwzięć?

– Myślę, że tak. Moi poprzednicy dbali o porządek w papierach, więc z pewnością znajdziemy interesujące pana informacje.

Maciek z satysfakcją stwierdził, że prowincjonalna szkoła zarówno dziś, jak i kilkadziesiąt lat temu, w innych czasach i w innej rzeczywistości, była bardzo skrupulatnie prowadzoną placówką. W szkolnym archiwum, przy pomocy wiekowej pani z administracji, udało im się bez większych problemów ustalić, że aż do roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego jedyną instytucją korzystającą ze szkolnego budynku w czasie przerw wakacyjnych był zakład pracy, którego nazwa dziś już nic nikomu nie mówiła. Archiwistka doradziła Maćkowi, aby namierzył tę instytucję na podstawie danych przechowywanych przez właściwy urząd gminy. Niestety, szkoła nie prowadziła rejestru uczestników kolonii letnich, gdyż to nie należało do jej obowiązków.

– Jestem pani niezmiernie wdzięczny za okazaną mi pomoc – rzekł do Lubińskiej, gdy opuścili szkolne archiwum.

– Nie ma sprawy – odparła. – Jeśli rzeczywiście pomogłam,

to bardzo się cieszę.

Maciek zerknął na zegarek.

– Zrobiło się późno. Może zatrzymałbym się tu na noc?

– W naszej wsi? – Kobieta nie kryła zdziwienia. – Ale tu nie ma żadnego hotelu!

– Po drodze widziałem sympatyczny zajazd. Mam nadzieję, że będą mieli wolne pokoje. – Maciek spojrział na nią badawczo.

– Na pewno. To mało atrakcyjna turystycznie okolica.

– Jestem innego zdania. – Uśmiechnął się głupkowato i odważył się na desperacki krok: – A może dałaby się pani zaprosić na kolację? Na ich tablicy reklamowej zauważyłem informację o wyśmienitych stekach. Chyba nam się należy? – Wyrzucał z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego.

– Jaki pan miły. – Lubińska uśmiechnęła się uroczo. – Niestety, jestem wegetarianką. Ale chętnie zaproszę pana na kolację do siebie. – W głowie Maćka zagrały fanfary. Nie mogło być lepiej! Zaoszczędzi na hotelu (Walter w życiu nie zaakceptowałby takiego wydatku) i spędzi czas w domu ponętnej pani dyrektor, gdzie na pewno będzie się czuła swobodniej. A że będzie musiał jeść zieleninę zamiast solidnej porcji krwistego mięsa – cóż, cel uświęca środki. Już miał ochoczo przystać na jej propozycję, gdy Lubińska dodała: – Moi rodzice z przyjemnością pana poznają i posłuchają o fascynującej pracy w warszawskiej policji.

Maria Lubińska wychodziła z łazienki, gdy rozbrzmiał dzwonek jej telefonu. Aspirant Maciej Krępy dzwonił, by poinformować ją, że niestety musi zrezygnować ze spotkania. Niespodziewanie został wezwany na komendę. Po wymienieniu standardowych formułek wyrażających żal i nadzieję, że może kiedy indziej, usiadła w wygodnym fotelu i wróciła do rozpoczętej poprzedniego dnia lektury. Ten wieczór mógł być inny. Po kiego diabła wyskoczyła z tymi rodzicami? Chłopak, choć nieco nieopierzony, był miły i nawet jej się spodobał. Cóż, poczyta, wypije lampkę ulubionego chardonnay i położy się spać. Znowu samotna.

Maciek zatrzymał się na stek w przydrożnym zajeździe. Nie zawiódł się – obietnica z tablicy reklamowej zmaterializowała się w postaci pysznej, soczystej, czterystugramowej porcji mięsa, podlanej pikantnym sosem na bazie masła czosnkowego. Do szczęścia brakowało mu tylko kufła zimnego piwa, ale to będzie mógł wypić dopiero w domu. Przegryzając rozpluwające się w ustach kęsy, zaczął snuć fantazje o uroczej pani dyrektor. W pewnym momencie przyszło mu nawet do głowy, że może popełnił błąd. Niestety, wykonał ten głupi telefon i zatrzasnął sobie drzwi przed nosem, przynajmniej na dzisiejszy wieczór.

Z postanowieniem, że kiedyś jeszcze wróci do Ludwikowa, wszedł do samochodu i włączył radio. Z głośników popłynęły nuty rzewnej piosenki. Już miał przełączyć na inną stację, gdy usłyszał słowa refrenu: *A może byśmy tak, najmiłszy, wpadli na dzień do Tomaszowa?*

– Niech mnie – mruknął pod nosem, po czym odpalił silnik i zawrócił w stronę miasteczka.

ROZDZIAŁ 49

1985

Od pierwszej chwili przyciągnęła uwagę Nikodema. Ładna blondynka, zawsze w grupie roześmianych, pewnych siebie licealistów. Byli tak inni od tych kretynów z jego podstawówki. Jakby z innego świata. Zachowywali się inaczej, mówili innym językiem. Tacy swobodni i wyluzowani.

Ostatni rok podstawówki minął spokojnie. Zgodnie z założeniem kuratorskiego eksperymentu wszystkie męty znalazły się w zawodówkach. Nikodem nie miał planów. Nie wiedział, co chce w życiu robić. Za radą szkolnego pedagoga złożył podanie o przyjęcie do liceum. Padło na szkołę położoną na drugim końcu miasta. Jak najdalej od domu. Wiedział, co robi. Chciał uciec od szkolnych kolegów, od towarzystwa z osiedla, od wszystkiego, od wspomnień ostatnich lat. Wszedł w nowe życie z wielką nadzieją na odmianę losu.

Nikodem przeszedł wewnętrzną przemianę. Kokon, w którym dotąd tkwił, zaczął pękać i wyłoniła się z niego zupełnie nowa istota. Chorobliwa nieśmiałość, wieczne zakłopotanie i niewytłumaczalny opór w nawiązywaniu relacji z rówieśnikami zostały gdzieś tam, w poprzednim życiu. W ciągu kilku tygodni udało mu się nawiązać kontakt z grupą rówieśników. Czasami po lekcjach grał z kolegami w piłkę albo wspólnie szli do ulubionej knajpki. Mimo wszystko nigdy nie czuł, że jest częścią tej grupy, pełnoprawnym członkiem licealnej paczki. Zawsze pozostawał gdzieś z boku.

Pod koniec listopada w trzeciej klasie grupa zmówiła się na wspólny wypad w góry. Nie chodziło o jakieś wielkie wędrowanie, raczej o spędzenie dwóch nocy poza domem, z gitarą i paroma butelkami wina. Anna jechała z nimi. Nikodem, podobnie jak wszyscy w szkole, wiedział, że ten

dupek ją zostawił. Nie potrafił zrozumieć, co w nim widziała. Owszem, mógł jej zaimponować sukcesami w międzyszkolnej lidze sportowej, był przystojny, no i wszystkie te ciuchy z Zachodu, nieosiągalne płyty z muzyką i sprzęt grający – wszystko to mogło zawrócić w głowie głupiej panience. Ale ona nie była głupia, przynajmniej Nikodem święcie w to wierzył. Teraz, kiedy wreszcie ten pozer zniknął, nadzieja na zdobycie jej serca całkowicie nim zawładnęła.

Po kilku godzinach jazdy pociągiem dotarli do miejsca, z którego od schroniska dzieliła ich jeszcze dość długa wędrówka. Dochodziła piętnasta. Śnieg sypał wielkimi płatami, pokrywając świat kilkunastocentymetrową warstwą puchu. Nisko wiszące chmury nie zapowiadały rychłej poprawy pogody. Nie byli na to przygotowani, ale nie mieli też dość zdrowego rozsądku, aby się wycofać.

– To tylko dwie godziny! Pójdziemy według szlaku i raz dwa będziemy na miejscu – zachęcał pomysłodawca wyprawy.

– Byłeś tu kiedyś? – rzucił ktoś inny. – Skąd możesz to wiedzieć?

– Byłeś, byłeś. Nie byłem, ale mam przewodnik. Trasa jest dobrze opisana.

– Moje buty chyba nie za bardzo się nadają na ten śnieg – jęknęła jedna z dziewczyn.

– Rany, ale marudzicie! Jest nas ośmioro. Damy radę! A u góry odpalimy winko i będzie gites! – Przewodnik ekipy ulepił ze śniegu kulę i rzucił nią w koleżankę.

Ścieżka z początku wznosiła się łagodnie. Minęli ostatnie domy i zagłębili się w świerkowy las. Majestatyczne drzewa zapierały dech w piersi. Grube czapy śniegu pokrywały ich wielkie iglaste gałęzie, czubki ginęły kilkadziesiąt metrów nad ziemią – w coraz ciemniejszym, ołowianym niebie.

Szli gęśigo, drobiąc kroki. Raz po raz ktoś potykał się o schowane pod śniegiem korzenie i nierówności górskiej ścieżki, która w pewnym momencie zaczęła się ostro piąć. Nikodem powoli tracił czucie w stopach. W jego

przemoczonych sportowych półbutach chlupała lodowata woda. Parł jednak do przodu, wpatrzony w plecy i kształtne, wyraźnie zarysowane pod obcisłymi dżinsami pośladki idącej przed nim Anny. Dziewczyna ewidentnie słabła. Potykała się co kilka kroków, aż w końcu, nastąpiwszy na śliski kamień, upadła jak długa. Widząc to, Nikodem rzucił się jej na pomoc.

– Jesteś cała? – zapytał, wyciągając do niej rękę.

– Chyba tak – jęknęła.

– Dawaj, pomogę ci wstać. – Przyjęła jego dłoń i gramoląc się, stanęła na nogi. – Nic cię nie boli? – zapytał, szczerze zatroskany.

– Walnęłam się. Nie dość, że nie czuję już nóg, to teraz jeszcze to... – Zaczęła masować potłuczone pośladki. – I ten cholerny plecak!

Nikodem już nie czuł zimna. Czuł natomiast, że w tej chwili mógłby zrobić dla niej wszystko – o cokolwiek by poprosiła. Jego serce waliło jak młot w kuźni szalonego kowala.

– Daj ten plecak – zaproponował. – Mój nie jest ciężki. Poniosę oba.

– Nie trzeba, poradzę sobie – zaprotestowała, patrząc mu w oczy.

– Mówię serio. Dla mnie to pryszcz!

– No dobrze. – Nie musiał jej dłużej namawiać. – Dzięki. W schronisku zrobię ci za to gorącą herbatę.

Nikodem niemal szybował ponad szczytami gór. Niestraszne mu były śniegi, zamiecie i drętwiące stopy. Anka tu była i z nim rozmawiała. Przyjęła jego pomoc i po raz pierwszy spojrzała mu w oczy. Będzie mieć dwa dni, aby ją zdobyć albo przynajmniej się do niej zbliżyć. Cała reszta była nieważna.

Było dobrze po dziewiętnastej, gdy zziębnięci i przemoczeni do suchej nitki dotarli do schroniska. Drewniana góralska chałupa stała na zboczu niewielkiej polany. Pogoda zmieniła się jak za dotknięciem magicznej różdżki. Na granatowym niebie rozbłysły tysiące gwiazd, jakich w światłach wielkiego miasta nikt z nich jeszcze nie widział. Zdjęli mokre ubrania

i ogrzawszy się przy starym kaflowym piecu, przyłączyli się do grupy studentów grających na gitarach. Towarzystwo siedziało w kręgu, z rąk do rąk krążył kubek uzupełniany tanim owocowym winem. Kilka lamp naftowych rozwieszonych w narożnikach izby dawało ciepłe, nastrojowe światło. Nikodem, ośmielony i podbudowany swym wyczynem, od razu usiadł obok Anny. Panująca w kręgu ciasnota pozwalała mu poczuć ciepło jej ciała, a wino ośmielało i rozluźniało. Odnalazł jej dłoń i delikatnie zaczął ją głaskać. Dziewczyna nie oponowała, a po chwili zaczęła odwzajemniać pieśczętę. Taniec ich dłoni wydawał się trwać wiecznie.

Gdy brakło już wina i piosenek do śpiewania, a w głowach coraz bardziej szumiało, towarzystwo postanowiło iść spać. Rolę zbiorowej sypialni pełnił strych chałupy. Warunki były raczej spartańskie. Wzdłuż więźby, jeden obok drugiego, leżały wypełnione słomą sienniki, przykryte sfatygowanymi kocami. Po strychu hulał wiatr, wpadając ze świstem przez szczeliny między klepkami gontu na dachu. Nikodem i Anna złączyli swoje śpiwory, zsuwając ich zamki, i przykryli się kilkoma kocami. Umilkły rozmowy, pogasły światła świec, zapadła cisza. Leżeli, zwrócenii do siebie twarzami, w ciepłym kokonie śpiwora. Chłopak po omacku poszukał twarzy Anny i opuszkami palców zaczął błądzić po jej policzkach. Po chwili dziewczyna ujęła jego dłoń i zaczęła delikatnie całować jej wnętrze. Jej język leciutko muskał jego palce. Nikodem nachylił się ku niej i pocałował jej ciepłe, wilgotne usta. Dziewczyna wsunęła jego rękę pod swoją bluzkę. Poczul cudowną miękkość jej skóry, na której odznaczały się twarde, sterczące sutki, i... odpłynął. Nagle i bez zapowiedzi było po wszystkim.

Zesztywniał, a po chwili odwrócił się na bok.

– Co jest? – szepnęła Anka.

– Nic, wszystko w porządku – odparł. – Śpijmy już.

Jakby nie słysząc, co do niej mówi, dziewczyna wsunęła dłoń w jego spodnie. Wtedy Nikodem delikatnie ujął jej rękę i odsunął od siebie. Milczał. Był sparaliżowany wstydem. Dziewczyna westchnęła i odwróciła się od niego.

Rano, gdy się obudził, Anki już nie było. Schronisko wypełniał gwar rozmów i porannej krzątaniny. Nikodem zszedł na dół i zastał swoją ekipę przy wielkim drewnianym stole. Każdy trzymał w dłoni grubą pajdę wiejskiego chleba omaszczoną smalcem ze skwarkami. Anna też tam była. Chciał usiąść obok niej, ale nie było miejsca. Przywitał się więc zdawkowo i usiadł na końcu ławy.

Dzień był ciepły i słoneczny. Po krótkiej naradzie postanowili wybrać się na halę, gdzie latem wypasano owce. Z opowieści stałych bywalców schroniska dowiedzieli się o rozpościerającym z niej niesamowitym widoku, a że pogoda była obiecująca, mieli nadzieję, że zobaczą szczyty zachodnich Tatr.

Przez całą drogę Nikodem milczał. Wciąż krążył wokół Anki, starał się być obok, ale nie potrafił wydusić z siebie słowa. Po prostu nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Grupa była w doskonałym nastroju. Śmiechom i żartom nie było końca, a on jakby był dla nich niewidzialny. W pewnym momencie poczuł ucisk pęcherza. Krzyknął, żeby poczekał, i odszedł na stronę. Gdy wrócił, ich już nie było. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się zachowali. Przecież szli razem. Byli jedną grupą. Czy nie słyszeli, że chce iść na stronę? Jak mogli go tak olać? A Anka? Czy dla niej też był niewidzialny? Zaciśnął pięści, a z oczu popłynęły mu łzy. Nie będę was gonić, pomyślał. Mam was w dupie, łajzy zasrane!

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę schroniska.

Ekipa wróciła po paru godzinach. Nikodem siedział na ganku, paląc papierosa.

– Nikoś, gdzie się zgubiłeś? – usłyszał nad głową. – Żałuj, bo widok był naprawdę zajebisty!

– Jak to gdzie byłem? Poszedłem się odlać, a wy mnie zostawiliście!

– Co ty gadasz? Czekaaliśmy, ale długo to trwało, więc pomyśleliśmy, że wróciłeś na dół.

– Co ty pieprzysz! – odpalił ze złością. – Byłem, kurwa, się

odlać! Kilka metrów od was. Nikomu nie przyszło do łba, żeby mnie zawołać?!

– Oj, stary, nie wściekaj się, no. Tak wyszło.

– Tak wyszło?! Wiecie co? Pocałujcie mnie wszyscy w dupę! – Nikodem zgasił papierosa i wszedł do chałupy.

Grupa stała przez chwilę w milczeniu, jakby nie potrafili pojąć istoty sytuacji.

– On jednak jest dziwny, nie sądzicie? – odezwał się ktoś.

– Taa, coś z nim nie halo – rzucił ktoś inny.

– Ja zawsze przy nim czuję się nieswojo – stwierdziła któraś z dziewcząt.

– Ołać to. Chodźmy coś zjeść, a wieczorem impreza!

Anna została sama na ganku. Zastanawiała się, czy ktoś mógł ją widzieć podczas ostatniej nocy. Dlaczego pozwoliła, aby stało się to, co się stało? Nie potrafiła zrozumieć, co nią kierowało. Przecież on nawet jej się nie podobał! Nie żeby był jakiś strasznie brzydki. Przeciętny facet. Nie odstraszał urodą, ale taki jakiś... dziwny. Dlaczego tak nieswojo się przy nim czuje? Fakt, że wieczorem wypila trochę za dużo. Straciła nad sobą kontrolę i chyba gdzieś w duszy chciała się też odegrać na tym dupku, który ją zostawił. Ale dlaczego właśnie z nim? Było przecież tylu fajnych studentów. Starszych, przystojnych i dowcipnych, a ona wlaźła do śpiwora Nikodemowi. Była na siebie zła, ale jeszcze większą złość czuła na tego dziwaka. Postanowiła, że już nigdy więcej tak głupio nie postąpi. A ten odludek lepiej niech trzyma się od niej z daleka!

ROZDZIAŁ 50

Maciek stał przed biurowcem ze szkła i stali, wśród tłumu zmierzających do pracy przechodniów. W sumie nie był specjalnie zdziwiony. W ciągu ostatnich dwudziestu lat miasto zmieniło się nie do poznania; wiele budynków albo zmieniło swoje przeznaczenie, albo po prostu przestało istnieć, a na ich miejscu wzniesiono nowe domy mieszkalne, centra handlowe albo – jak w tym przypadku – „office parki”. Pomyślał, że sprawdzi w Internecie, czy firma, której szukał, nie przeniosła swojej siedziby w jakieś inne miejsce. Niestety, po wstukaniu nazwy w wyszukiwarce na swoim tablecie przeczytał, że zakład pod koniec lat dziewięćdziesiątych ogłosił upadłość i z powodu braku inwestora, który mógłby po wpompowaniu pieniędzy w upadający interes przedłużyć jego egzystencję, został zlikwidowany. Nieruchomość wraz z kilkoma sąsiednimi budynkami i terenem, na którym się mieściły, została sprzedana przez skarb państwa międzynarodowemu holdingowi, który w ciągu trzech lat w tym miejscu wybudował zespół biurowców, przed którym właśnie stał Maciek.

Wrócił do samochodu i ponownie odpalił Internet, tym razem po to, by sprawdzić, czy jakaś instytucja nie archiwizuje interesującej go dokumentacji. Po kilku minutach znalazł to, czego szukał. Ruszył w kierunku Urzędu Wojewódzkiego.

Gdy dotarł na miejsce, okazało się, że jego służbowa legitymacja w połączeniu z najbardziej czarującym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć, działają cuda. Bardzo szybko dotarł do odpowiedniego działu i sympatycznej pani, która, choć z pewnym oporem i zapewniając, że robi coś, czego nie powinna, udostępniła „panu władzy” odpowiednie archiwum. Ku uldze Maćka okazało się, że interesujące go materiały w zeszłym roku zostały zdigitalizowane, dzięki czemu nie musiał kartkować dziesiątek stron dokumentów. Wkrótce

jednak mina nieco mu zrzędła. Przekonał się bowiem, że i tak przeglądanie setek stron zajmie mu kilka, jeśli nie kilkanaście godzin. Rozejrzył się i stwierdziwszy, że uczynna urzędniczka wyszła z pokoju, wyjął z kieszeni pendrive'a i skopiował zarchiwizowany folder. Gdy archiwistka wróciła, podziękował jej uprzejmie i wyszedł.

Na korytarzu poczuł wibracje telefonu. Nie znał numeru, który się wyświetlił. Głos, który zabrzmiał w słuchawce, był jednak dziwnie znajomy.

– Halo, pan Krępy?

– Zgadza się. Z kim rozmawiam?

– Tu Łukasz.

– Łukasz? Jaki Łukasz?

– Chłopak Nikoli. Rozmawialiśmy jakiś czas temu. Pamięta pan?

– A tak, zgadza się. Czego chcesz?

– Prosił pan, żebym zadzwonił, jak sobie coś przypomnę. No więc dzwonię. – Chłopak był wyraźnie zdenerwowany.

– Stało się coś?

– Spotkajmy się, proszę. Czy może pan teraz?

Czemu nie? – pomyślał Maciek. Lepsze to niż grzebanie w papierach.

– Dawaj adres. Tylko nie wystaw mnie do wiatru, bo będę zły, kapujesz?

– Jasne, jasne. Będę na pewno. Niech pan zapisze...

Maciek zanotował adres, wszedł do samochodu i ruszył na Bemowo.

ROZDZIAŁ 51

1986

Po powrocie z gór Nikodem znów zamknął się w sobie. Przez krótki czas miał jeszcze nadzieję, że Anna go zaakceptuje, niestety, od feralnej nocy dziewczyna traktowała go jak powietrze, a on też nie potrafił się zdobyć na żaden gest w jej kierunku.

Któregoś dnia spotkał ją na ulicy. Szła pod rękę z tym samym facetem, który kilka miesięcy temu porzucił ją jak zabawkę, która przestała go cieszyć. Minęli go bez słowa. Jakby był powietrzem. Nikodem przystanął i odwrócił się za nimi. Chłopak prawą ręką obejmował Ankę, trzymając dłoń na wysokości jej pośladków. Nie mógł oderwać wzroku od tego łąpska bezczelnie głaszczącego zgrabny tyłek Anki. Nie mógł też znieść tego widoku. Poczuł, że narasta w nim gniew. Serce tłukło mu się w piersi jak po długim biegu, a z przygryzionej wargi zaczęła płynąć krew.

Nagle ogarnął go lodowaty chłód, świat zaczął kręcić piruety, a potem wszystko zniknęło.

– Kolego, halo! Wszystko z tobą w porządku? – Kobieta ze sklepu obok szarpała go za ramię.

– Tak... chyba tak – wyjąkał Nikodem i podniósł się powoli, otrzepując spodnie.

– Nawąchałeś się czegoś czy co? Zabieraj się stąd, bo zadzwonię na milicję! Będzie mi narkoman jeden klientów odstraszać! – darła się kobieta.

– Nie jestem żadnym narkomanem, ty głupia cipo! – odpalił już całkiem przytomnie. – Zabieraj swoją grubą dupę i spierdalaj z powrotem za ladę!

Ekspedientka oniemiała. W życiu nie spodziewała się podobnej reakcji u licealisty. Już miała zbesztać gówniarza

i pokazać mu, gdzie jego miejsce, gdy głos uwiązał jej w gardle. Jego oczy. Coś było z nimi nie tak. To, co w nich zobaczyła, zmroziło ją do szpiku kości. Bez słowa odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła do swojego sklepu.

Nikodem podniósł z ziemi torbę i też ruszył w swoją stronę. Wciąż przed oczami miał dłoń chłopaka głaszczącą tyłek Anki. Dłoń, która z wyjątkiem jednego palca była zaciśnięta. Ten jeden, środkowy palec wysyłał mu wiadomość. Jasną i klarowną.

ROZDZIAŁ 52

Nowy telefon z dziewiczą kartą prepaid, tak jak było ustalone, znalazł w skrytce na Dworcu Centralnym. Nie sprawdził na miejscu instrukcji, które miały być tam zamieszczone, tylko włożył telefon do kieszeni i udał się do jednego z licznych dworcowych barów serwujących kebaby. Miał do nich słabość. Skrawki mięsa, nierzadko wątpliwego pochodzenia, podlane sosem i zawinięte w cienki pszenny placek stanowiły podstawę jego menu. Kiedyś w wolnej chwili przeszedł się ulicami stolicy, kosztując ten przysmak bliskowschodniej kuchni straganowej w spotykanych po drodze budach, po to tylko, by kolejny raz dojść do wniosku, że te serwowane na Dworcu Centralnym są i pozostaną bezkonkurencyjne.

– Witam! – Śniadolicz sprzedawca przywitał swojego stałego klienta.

– Cześć, Ahmed. Co słyhać? – Podał mu rękę.

– Nic nie wie? – Ahmed oparł rękę na kontuarze.

– A co niby miałbym wiedzieć?

– Kopa w dupę dostajemy!

– Kopa? Jak to?! – Ta informacja bardzo go zaniepokoiła.

– Po prostu. Mają przebudować dworzec, wie, europejskie standardy! – Ahmed nawet nie starał się ukryć sarkazmu.

– Co ty gadasz! Zresztą stary czy nowy, gdzieś jeść trzeba, co nie?

– Och, jedzenia nie braknie. Ale kebabów na pewno!

– Dlaczego akurat kebabów ma braknąć? Gadasz od rzeczy, Ahmed!

– Nas na nowe czynsze nie będzie stać! Co innego sieciówki. Tych tu nie braknie. Tych wszystkich burgerów, donaldów i czikenów! Tyle w temacie – zakończył mężczyzna, rzucając szmatę do zlewu. – To co, podać coś?

– Jak długo tu jeszcze będziecie?

– Jakieś cztery, może pięć tygodni? Nie dłużej.

Mężczyzna poczuł ulgę. Pięć tygodni? Wystarczy. Czasu aż zanadto.

– Dobra, dawaj dwa w cienkim – rzucił z uśmiechem.

– Już się robi. – Ahmed spojrzał na niego podejrzliwie. – Już się robi... – powtórzył dużo ciszej.

Pochłonawszy dwie solidne porcje, obficie podlane pikantnym sosem, starł z ust resztki jedzenia i w poczuciu kulinarnej satysfakcji sięgnął do kieszeni po telefon. Chwilę po uruchomieniu aparatu i nawiązaniu łączności z siecią na ekranie pokazało się okno wiadomości. „Znajdziesz go w krzakach przy centrum handlowym na Jubilerskiej. Spotyka się tam codziennie z kumplami od butelki. Jest twój. Pamiętaj o dokumentowaniu”. Do wiadomości dołączono zdjęcie. Mężczyzna, na oko pięćdziesięciokilkuletni, siedzący pod jakimś ogrodzeniem, ubrany w dżinsową, podbitą sztucznym futerkiem kurtkę i czarne, drelichowe spodnie. Na głowie miał rozciągniętą wełnianą czapkę z pomponem. Czapka była w jaskrawe, czerwono-żółte paski, co kuriozalnie kontrastowało z pozostałą częścią jego garderoby. Mężczyzna trzymał w ręku butelkę taniego owocowego bełta. Miał zamglone, półprzymknięte oczy i z całą pewnością był pijany. Jego charakterystycznie zapuchnięta twarz nie pozostawiała najmniejszych złudzeń.

Już na dworze sięgnął do kieszeni kurtki po paczkę papierosów, wyjął jednego, zapalił i głęboko zaciągnął się dymem. Miał doskonały humor. Dostał namiary. Wie, gdzie go znaleźć. Tylko tego potrzebował. Żadne dodatkowe informacje nie były konieczne. Wiedział wszystko. Wiedział, kim był ten mężczyzna i na co zasługiwał. Wiedział też, co go czeka. Nie wiedział tylko, jak się do tego zabrać, ale ten etap nie powinien nastęrczyć mu zbyt wielu trudności. Facet był alkoholikiem. Zapitym ścierwem i pasożytem. Trochę sprytu, gry na zaspokojenie jego płytkich potrzeb, a pójdzie za nim, merdając ogonem niczym wierny piesek za swoim panem. Tak, to nie

powinno być specjalnie trudne, pomyślał i rozgniół butem niedopałek. Zanim zrobił pierwszy krok, z zaskoczeniem zdał sobie sprawę, że jego członek jest w pełnym wzwodzie. Uśmiechnął się do siebie i zasunął zamek czarnej parki. Potem ruszył w kierunku sklepu z używanymi ubraniami.

ROZDZIAŁ 53

Maciek zastał chłopaka w parku na ławce, tam, gdzie się umówili. Lutowy dzień wyjątkowo rozpieszczał promieniami słońca, więc można było spędzić trochę czasu na powietrzu. Sądząc po liczbie niedopałków piętrzących się na ziemi, Łukasz musiał spędzić na tej ławce ładnych parę godzin albo po prostu odpalał jednego papierosa za drugim. Już na pierwszy rzut oka Maciek dostrzegł, że chłopak jest bardzo zdenerwowany. Miał rozbiegane oczy i kulił się, obejmując rękami kolana, tak jakby chciał się przed kimś schować. Maciek usiadł obok niego. W niedbalej pozie wyciągnął nogi do przodu i wyjął z paczki papierosa. Od czasu znalezienia bezgłowego ciała Karoliny Becker coraz częściej popalał i sam nie był pewien, czy to nadal tylko nikotynowy flirt, czy może już regularny nałóg. Chciał zapytać Łukasza o powód jego zdenerwowania, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Niech łeppek sam zacznie mówić, pomyślał.

Łukasz odezwał się po dłuższej chwili:

– Dzięki, że pan przyszedł.

– Mam nadzieję, że nie będę tego żałować – odparł Maciek, po czym znów nastała cisza. – Fajnie się z tobą siedzi – podjął po chwili – ale mam wrażenie, że marnujesz mój czas. Wydusisz coś z siebie w końcu?

Łukasz wbił wzrok w czubki swoich butów.

– Nie powiedziałem panu wszystkiego. Wtedy w klubie. Sam nie wiem dlaczego, chyba po prostu byłem głupi.

– I co takiego nawróciło cię na ścieżkę mądrości?

– Wtedy nie myślałem, że cała ta sprawa to będzie jakieś wielkie halo. Poza tym nie wierzyłem, że Nikoli coś mogło się stać. Wie pan, ona należy do takich lasek, które robią, co chcą, i nie mają w zwyczaju uprzedzać o swoich zamiarach.

– Jakich na przykład? – Maciek mimowolnie pozbył się pozy

wyluzowanego twardego i obrócił się w stronę chłopaka.

– Na przykład takich, że nie tylko swojej babci potrafiła zniknąć na jakiś czas. Mnie też od czasu do czasu odwalala takie numery, a ja nie miałem pojęcia, co robi, gdzie i z kim jest...

– I teraz założyłeś, że jest tak samo?

– Tak, dokładnie tak.

– Dlatego postanowiłeś rznąć głupa – zauważył Maciek z przekąsem.

– A jak miałem się zachować? Nie miałem ochoty na miłe rozmówki z panem „mam wielki pistolet w kaburze i bój się mnie, bo jestem z policji”. Zwłaszcza jeśli miały dotyczyć panny, która lubi chadzać własnymi ścieżkami. – Kolejny niedopałek uzupełnił zalegającą na ziemi kolekcję.

– Co się więc zmieniło od tego czasu?

– To, że jej chyba rzeczywiście stało się coś złego.

– Dlaczego tak cię to martwi? Nie gniewaj się, ale nie wyglądasz mi na gościa, który oddałby za tę laskę choćby drugie śniadanie.

– A z pana to niby taki psycho-kurwa-terapeuta?

– Jak już, to psycho-kurwa-log, matolku. I nie, nie jestem psychologiem ani żadnym znawcą ludzkich dusz. Ty po prostu masz to wypisane na gębie, i to wielkimi drukowanymi literami, więc przestań w końcu ściemniać i gadaj, co tu robimy, bo widzę, że ze strachu zaraz zlejesz się pod siebie.

Łukasz wziął głęboki oddech, poruszył kilka razy grdyką, jakby siłował się z przelknięciem wyjątkowo dużej kluski, i skupił wzrok na niewidocznym celu, gdzieś na wysokości koron otaczających ich drzew.

– To było jakieś kilka dni temu, w każdym razie nie dawniej niż tydzień – zaczął. – Staliśmy z Nikolą przed wejściem do tej galerii, gdy podszedł do nas ten facet...

– Jaki facet? – przerwał mu Maciek.

– Ten z klubu, który zaproponował Nikoli sesję fotograficzną.

– Możesz go jeszcze raz opisać?

– Starszy koleś, z brzuszkiem. Ja wiem, może koło pięćdziesiątki, średniego wzrostu.

– Żadnych nietypowych cech?

– Nic sobie nie przypominam. To był zwykły, niczym niewyróżniający się typek. Jeszcze tam, w klubie, wyśmiałem go i kazałem spieprzać, ale facio był namolny. Cały czas powtarzał, że fotografia to jego hobby i że dobrze nam za te kilkadziesiąt minut zapłaci. Wie pan, z kasą zawsze krucho. No i Nikola szepnęła mi do ucha, że może byśmy się zgodzili, bo dziadek niegroźny i jakby co, to najwyżej spuścimy mu wpierdol i zwiejemy.

– O, to ciekawa taktyka – mruknął Maciek.

– Powiedział, że niedaleko ma samochód i możemy pojechać do niego, a po wszystkim odwiezie nas z powrotem.

– Więc jednak pojechałeś z nimi?

– No... tak. – Łukasz spuścił głowę.

– Pamiętasz, jaki to był samochód?

– Taka duża terenówka.

– Duża terenówka? Co ty jakaś blondyna jesteś? Nie znasz się na samochodach jak normalny facet?

– Ale pan się czepia! To był chyba starszy model land cruisera.

– Jesteś pewien? – naciskał Maciek.

– A czy stwierdzenie „chyba” to sugeruje? – odciął się chłopak.

– Ja ci sugeruję, żebyś nie pyskował, tylko gadał dalej.

– Coś jeszcze sobie przypomniałem – powiedział Łukasz, tym razem ignorując złośliwe wtręty. – Gość mógł być jakimś myśliwym czy kimś w tym rodzaju.

– Dlaczego tak sądzisz?

– W jego bagażniku widziałem taką zieloną kurtkę i czapkę z daszkiem, z jakimś emblematem. No i pojechaliśmy do niego, gdzieś pod Warszawę. Chyba w kierunku...

– Nieważne, mów dalej – przerwał mu Maciek, który wiedział już, o kim mowa.

– Nie chce pan wiedzieć, dokąd pojechaliśmy? – Łukasz nie krył zdziwienia.

– To nie jest istotne, mów dalej.

Chłopak wzruszył ramionami.

– No dobrze, nie to nie. W każdym razie typek miał chałupę, taki klocek pod lasem. Gdy zajechaliśmy na miejsce, powiedział, żebym poczekał na zewnątrz, bo nie chce, żebym przeszkadzał.

– I posłuchałeś go?

– Nie podobało mi się to, ale gość dał mi kasę, więc odpuściłem. Pomyślałem, że jak nie wyjdą za pół godziny, to wejść do środka i zakończę tę zabawę. Wypaliłem kilka fajek, a Nika wciąż nie wracała. Już miałem tam pójść, gdy pod dom podjechał inny samochód, z którego wysiadł ten drugi z kimś jeszcze...

– Ten drugi? – Maciek znów wszedł mu w słowo. – Kogo masz na myśli?

– Ten, którego zobaczyłem dziś, jak wchodził do mojego mieszkania. – Łukasz wyjął następnego papierosa.

– No dobrze, wróćmy do początku – westchnął Maciek. – To znaczy do momentu, kiedy zobaczyłeś tych dwóch. Czy mógłbyś podać jakieś szczegóły?

– Tak jak mówiłem. Miałem zamiar tam wejść, kiedy nadjechali ci dwaj. Zaczęli łomotać w drzwi, tamten otworzył i coś tam gadali, ale nie mam pojęcia, o czym. Zaraz po tym wyszła Nikola.

– Zaraz po czym?

– No... Jak coś uzgodnili, a przynajmniej tak mi się wydawało, bo gościu wrócił do domu i wyszedł już z Nikolą.

– A tamci dwaj?

– Nadal stali przed drzwiami. No i ten jeden, ten, który był dziś w mojej chacie, zaczął jej się przyglądać. No po prostu gapił się na Nikolę przez cały czas.

– A ten drugi? Nie był zainteresowany?

– Chyba nie. Stał nieruchomo z rękami w kieszeniach.

– Czyli z Nikolą wszystko było w porządku? Wyszła od tamtego cała i zdrowa? I co dalej?

– Nic. Jakoś dostaliśmy się z powrotem do miasta i wszystko było OK, do czasu gdy znów przyczepił się ten koleś.

– Znowu? Jak to możliwe? – Maciek był szczerze zdziwiony.

– Nie „znowu”. Tym razem to nie był ten pstrykacz, tylko

jeden z gości, co go odwiedzili. Ten, co tak się gapił na Nikolę.

– A to ciekawe. I cóż on od was chciał?

– Powiedział, że też jest fotografem i że po tym, co usłyszał od tego pierwszego, chce zrobić profesjonalną sesję z Nikolą.

– Bez jaj! Znowu fotograf? Uwierzyłeś mu? Zgodziliście się?

– Nie. Mimo że obiecywał dwa razy tyle, co ten pierwszy, Nikoli się nie spodobał. Kazała mu spadać w diabły.

– Jak zareagował?

– Coś tam gadał, że szkoda, że zmarnowana szansa i że Nika będzie żałować. W końcu sobie poszedł. Ale to był ostatni dzień, kiedy ją widziałem. A dziś zobaczyłem go wchodzącego na moją chatę.

– Wiem, to już mówiłeś. Ale co dalej? Gonił cię? Uciekłeś?

– Nie, nawet mnie nie widział. Piętro nade mną mieszka moja ciotka. Starsza kobieta, która całymi dniami nie wychodzi z domu. Od czasu do czasu robię jej zakupy i tak też było tym razem. Zanim poszedłem do siebie, postanowiłem zanieść jej te rzeczy. Wie pan, to jest stara, przedwojenna kamienica ze schodami ciągnącymi się dookoła klatki w taki sposób, że jak się stoi na wyższym piętrze, to dobrze widać drzwi z piętra poniżej. Dlatego go zobaczyłem. Skurwiel otworzył sobie, jakby wchodził do własnej chawiry! Poczekalem więc, aż wejdzie do środka, po czym wybiegłem i zadzwoniłem do pana.

– Dawno to było?

– Ja wiem, dwie, może trzy godziny.

– Daleko to stąd?

– Stąd na Bielany samochodem będzie z dwadzieścia minut.

– Ruszaj dupsko, jedziemy.

ROZDZIAŁ 54

Wrócił do domu wczesnym wieczorem. Rzucił na podłogę torbę z zakupami, zdjął kurtkę i zamknął za sobą drzwi, zabezpieczając je trzema solidnymi zamkami Yale. Dom, w którym przebywał – typowy klocek z czasów późnego Gomułki – mieścił się w jednej z podwarszawskich miejscowości. Lokal zaspokajał wszelkie jego potrzeby: nie rzucał się w oczy, do najbliższego sąsiada było nie mniej niż dwieście metrów, no i miał dużą piwnicę. Umeblowanie czy wyposażenie kuchni były dla niego kwestiami drugorzędnymi.

Klucze do domu wraz z adresem znalazł kilka miesięcy temu w tej samej skrytce, z której dziś odebrał telefon. Na kartce znalazł też zwięzłą instrukcję na temat historii, którą ma się posłużyć, gdyby ktoś był za bardzo ciekawski, oraz listę obowiązków, o których jako lokator nieruchomości powinien pamiętać (śmieci, liczniki i tym podobne). Dowiedział się też, że nie musi zaprzętać sobie głowy kwestiami opłat – te będą za niego regulowane. W skrytce było coś jeszcze – koperta z kartą płatniczą. Na wewnętrznej stronie koperty ołówkiem zapisano PIN oraz wskazanie dotyczące tygodniowego limitu wypłat gotówkowych. Przez kilka tygodni nie mógł zrozumieć, na co mu tyle pieniędzy. Nie wydawał więcej niż czterysta złotych tygodniowo. Przyszedł jednak czas, kiedy docenił możliwość dysponowania większą gotówką. Akcja z córką i bratem tej kurwy pochłonięła sporo pieniędzy. Nie podołałby temu zadaniu bez odpowiednich środków. Gdyby ograniczyć zadanie tylko to gówniary, jak wstępnie planował, nie wymagałoby to takiego nakładu czasu i pieniędzy, ale los chciał inaczej. Napatoczył się drogi wujcio, gajowy erotoman, wielbiciel dziewczynek w krótkich spódniczkach, jedyny brat tej suki. Nie mógł tego tak zostawić. Wiedział, że nie zazna spokoju, dopóki ta ździra nie zapłaci, i to podwójnie. Teraz ten etap miał za

sobą.

Przez kilka dni pomiędzy zabójstwem dziewczyny i jej wuja a otrzymaniem dzisiejszej informacji czuł się jakoś dziwnie. Inaczej, niż się spodziewał. Podczas przygotowań do pierwszego zadania doświadczał wręcz euforycznego podniecenia. Żył w stanie ciągłej ekstazy, objawiającej się krystaliczną jasnością myśli. Jeśli samo planowanie doprowadzało go do takiego stanu, to czego zazna, gdy w końcu zrealizuje swój plan? Czy poczuje wszechmoc, nieskończoną siłę? Czy wszelkie ograniczenia znikną, a on odrodzi się niczym feniks z popiołów: nowy, czysty, inny i wielki? Bez przeszłości, za to z jasną, świetlistą przyszłością? Wierzył w to szczerze i bezgranicznie. I jakże się rozczarował! Nie poczuł bowiem nic, a cała radosna euforia zniknęła bez śladu. Nie mógł w to uwierzyć. Bał się, że został oszukany, że nie ma siły, która może odmienić jego los. Ukarał tę sukę za wszystkie jej grzechy, za próżność i rozwiązłość, w której żyła. Zabrał jej to, co najcenniejsze – i to w dwójnasób. Spełnił swoje zadanie i wyrównał rachunki, więc dlaczego nic nie czuje? Dlaczego w lustrze widzi tę samą osobę, którą spotykał od lat? Olśnienie i niewypowiedziana ulga nadeszły zupełnie niespodziewanie. Dlaczego oczekuje nagrody, jeśli zadanie nie zostało wykonane? Czyż to nie naiwne? Jest przecież dopiero na początku drogi do wielkiego celu. Zostało jeszcze tyle do zrobienia. Kamień spadł mu z serca. Ale prawdziwy błogostan ogarnął go po odczytaniu wiadomości, która wyświetliła się w telefonie. Zaraz potem pojawiło się tak dobrze mu znane ekstatyczne uczucie, z którego jeszcze nie tak dawno czerpał całymi garściami.

ROZDZIAŁ 55

Na Bielany dotarli w kilkanaście minut. Przedwojenna kamienica była wciśnięta pomiędzy dwa nowoczesne apartamentowce – typowy przykład architektonicznego bezładu stolicy. Odpadający gdzieś tynk odsłaniał czerwone cegły, a z większości drewnianych ram okiennych farba łuszczyła się całymi płatami. Kamienica była niczym stary, spróchniały ząb, dla którego nie ma już innej drogi, jak tylko usunięcie wraz z korzeniami.

Gdy Maciek zamykał drzwi służbowej fabii, przyszło mu do głowy, że może powinien poinformować o swoich działaniach kogoś z ekipy. Już sięgał po telefon, gdy odstąpił od tego zamiaru. W końcu są we dwóch, a tamten sam; poza tym ma w kaburze służbową klamkę, którą w razie czego będzie mógł spacyfikować kolesia. Nie przyszło mu do głowy, że jedyne, co dotychczas pacyfikował, to wrogie zastępy obcych najeźdźców lub żywych trupów rodem z gier wideo, a tych kilkadziesiąt strzałów, które oddał z prawdziwej broni, trafiło w kartonową sylwetkę na policyjnej strzelnicy.

Drzwi wejściowe do kamienicy były w nie lepszym stanie niż fasada budynku, ale, o dziwo, wyposażono je w nowoczesny domofon z klawiaturą dotykową – dokładnie taki sam jak w bloku Maćka. W chwili gdy Łukasz wcisnął ostatnią cyfrę kodu, Maciek trzepnął go w rękę.

- Co jest, kurwa?! – oburzył się Łukasz.
- Chcesz mu obwieścić naszą wizytę? – zapytał Maciek.
- O co panu chodzi?
- Przecież jak wstukujesz kod, w mieszkaniu słychać piknięcie. Nie wiesz o tym?
- No niby tak. – Chłopak wzruszył ramionami. – Sorry, nie pomyślałem.
- Otwórz kluczem – polecił Maciek.

– Bardzo chętnie, tylko jest mały problem.
– Zgubiłeś, nieboraku?
– Nie, panie władzo. Nie mam klucza. Ostatnio wymieniali zamek w drzwiach wejściowych i jakoś o mnie, kurwa, zapomnieli. Dlatego wchodzę na kod.

Maciek przewrócił oczami.

– Wspominałeś coś o ciotce – zauważył.

– No... tak, a co?

– A pstro! Wybierz numer jej mieszkania i poproś, żeby otworzyła. Uprzedź ją też, że teraz do niej nie przyjdiesz. Lepiej, żeby ciotunia nie wychodziła ze swojej dziupli.

– I tak praktycznie nie wyściubia nosa za drzwi. W ogóle mało chodzi, więc spoko. No, ale jak pan chce.

Łukasz wstukał numer mieszkania ciotki. Po kilkudziesięciu sekundach w domofonie odezwał się głos starszej kobiety. Chwilę trwało, zanim chłopak przekonał ją, że to właśnie on stoi na dole. W końcu usłyszeli charakterystyczny brzęczyk i kamienica stanęła przed nimi otworem.

Na końcu ciemnego korytarza rozpościerał się dziedziniec. Stały na nim dwie ławki, a w centralnym miejscu – charakterystyczna dla ocalałych z wojny kamienic podwórkowa kapliczka. Na jednej z ławek siedziała starsza kobieta. Z jej dłoni zwisał różaniec. Łukasz ukłonił się jej, a ona, nie przerywając modlitwy, odwzajemniła pozdrowienie ledwo widocznym skinieniem głowy. Maciek spojrzał w górę, na rzędy okien.

– Bez obaw – rzucił domyślnie Łukasz. – Moje wychodzą na drugą stronę.

Ruszyli w stronę lewej klatki schodowej. Schody, zgodnie z opisem Łukasza, pięły się spiralnie, tworząc pośrodku wewnętrzny dziedziniec o kształcie prostokąta. Drewniane stopnie skrzypiały niemiłosiernie pod ich butami, a wymyślne tralki poręczy chwiały się tak, jakby zaraz miały wypaść z otworów.

– Które piętro? – zapytał Maciek, przystanąwszy na półpiętrze.

– Drugie. A co? Zasapał się pan?

– Masz bardzo wysublimowane poczucie humoru, chłopcze. Te schody tak skrzypią, że facet zaraz będzie nas miał jak na talerzu.

– Bez obaw. Zapewniam, że wewnątrz nic nie słyhać.

– Dobrze. Posłuchaj teraz uważnie. – W głosie Maćka zabrzmiał poważny ton. – Kiedy staniemy przed twoim mieszkaniem, otworzysz drzwi jak gdyby nigdy nic. Potem się wycofasz i będziesz czekał na zewnątrz tak długo, aż cię zawołam. Jasne?

– Jak słońce. Nie wchodzę i czekam – Łukasz powtórzył instrukcję.

– Opisz mi w skrócie rozkład mieszkania.

– Nie ma co opisywać. To zwykła kawalerka. Pierwsze wejście po lewej prowadzi z przedpokoju do kuchni, kolejne za nim – do pokoju, a za jedynymi drzwiami po prawej jest łazienka. Kuchnia jest mała, więc jeśli on dalej tam jest, to pewnie siedzi w pokoju.

– Czy pomieszczenia mają drzwi?

– Kuchnia nie. Łazienka i pokój tak.

Gdy stanęli przed progiem mieszkania Łukasza, chłopak zgodnie z poleceniem przekręcił klucz w zamku i się wycofał. Maciek wyjął z kabury pistolet, odbezpieczył go i nacisnął klamkę. Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem.

Maciek postanowił zacząć od kuchni. W duchu podziękował temu, kto wpadł na pomysł wyłożenia podłogi wykładziną dywanową, która skutecznie tłumiała jego kroki. Czuł narastające napięcie i nadzieję, że jednak nikogo tu nie zastanie. Zatrzymał się tuż przed framugą i przyłgnął plecami do ściany. Przez głowę przeleciały mu wszystkie wskazówki i zalecenia, jakie uzyskał podczas policyjnego szkolenia. Przypomniawszy sobie też, że nie powinien, jeśli to tylko możliwe, wkraczać do akcji bez niezbędnego wsparcia. No tak, pomyślał, moje wsparcie stoi na korytarzu i pewnie robi w spodnie. Zresztą jak tak dalej pójdzie, sam nie obejdę się bez pampersa. Poczul krople potu ściekające mu po plecach. Cały czas jeszcze mógł się wycofać. Coś jednak pchało go do przodu, nie pozwalało mu zawrócić.

Wziął trzy głębokie oddechy i trzymając oburącz glocka, błyskawicznym ruchem, na szeroko rozstawionych nogach i w lekko pochylonej pozycji, stanął w progu kuchni. Omiótł wzrokiem niewielkie pomieszczenie. Było puste. W pierwszej chwili poczuł ulgę, ale zaraz pojawiło się zdwojone napięcie. Jeśli gościa nie ma w kuchni, to znaczy, że czeka w pokoju. Usłyszał czy nie? Jeśli tak, to na pewno jest przygotowany, choć z drugiej strony spodziewa się kogoś innego – Łukasza, bezbronnego, nieświadomego chłopaczka.

Maciek ruszył w stronę pokoju. Przesuwał się wzdłuż ściany, dostawiając nogę do nogi. W ostatniej chwili zauważył przed sobą niewielką półeczkę, a na niej kamionkowy wazon. Niewiele brakowało, a straciłby go łokciem. Podobnie jak poprzednio zatrzymał się tuż przed wejściem i tym razem bez większego namysłu wkroczył do środka. Na obrotowym fotelu, plecami do Maćka, siedziała jakaś postać.

– Nie ruszaj się. Jestem z policji. Wstań powoli, chcę widzieć twoje ręce – zażądał Maciek spokojnie, choć stanowczo. Mężczyzna powoli zaczął się podnosić z fotela. – Chcę widzieć twoje ręce! – warknął Maciek, gdyż ten wciąż trzymał ręce wzdłuż tułowia. Miał na sobie długi, grafitowo-czarny prochowiec; Maćkowi wydawało się, że próbuje prawą ręką sięgnąć do jego kieszeni, mężczyzna jednak uniósł obie ręce na wysokość barków. – Bardzo dobrze. A teraz obróć się do mnie, tylko powolutku, rozumiesz? – Nieznajomy milczał, skinął tylko lekko głową i się odwrócił. Maćkowi na chwilę głos uwiązł w gardle. – C... co jest, kurwa...? Co pan tu robi? – wydusił w końcu.

Przed nim we własnej osobie stał były komisarz policji i poprzednik Waltera, jak również niedawny konsultant z ramienia ministerstwa – Maurycy Niski, powszechnie znany jako Wicherek.

– Spokojnie, panie aspirancie – odezwał się. – Nie ma powodu do nerwów. Ja tu tylko czekam.

– Jak to pan czeka? Na kogo? – Maciek opuścił broń. – Przecież pana w ogóle nie powinno tu być...

Zreflektował się o pół sekundy za późno.

Wicherek z całej siły pchnął nogą masywny, obrotowy fotel. Mebel z impetem uderzył w Maćka, przez co ten zgiął się wpół. Wtedy Wicherek z niespodziewaną zręcznością doskoczył do niego, sięgając prawą ręką do kieszeni prochowca. W jego dłoni załśnił zaopatrzone w tłumik pistolet. Zanim Maciek zdążył się zorientować, co się właśnie wydarzyło, poczuł na policzku chłód stali.

– Rzuć kłamkę, psie, i ani drgnij – wysyczał Niski.

Maciek czuł, że ręce drżą mu tak, że broń sama za chwilę z nich wypadnie. Dlaczego nie kazałem mu paść ryjem na podłogę? – pomyślał poniewczasie. Powoli, nie spuszczać wzroku z Wicherka, położył pistolet na podłodze. Wyprostował się i ogarnęła go panika. Oczyma wyobraźni widział siebie leżącego u stóp Wicherka w kałuży krwi. W książkach, w których się niegdyś zaczytywał, nieszczęśnikowi w podobnej sytuacji z reguły przewijały się przed oczami obrazy z całego życia, klatka po klatce, niczym film. On nie widział nic poza własną przestreloną głową na wykładzinie dywanowej. Wkrótce jednak spłynął na niego zupełnie nieoczekiwany spokój.

– I co teraz zrobisz? – zapytał głosem wyciętym z emocji.

– Na początek sobie porozmawiamy – odparł Wicherek.

– A o czym, jeśli można spytać?

– Zaraz się dowiesz. Na początek usiądź, proszę, na tym foteliku. – Maciek przesunął fotel pod ścianę naprzeciwko wejścia do pokoju i usiadł. – Tak, greczny chłopczyk. Tylko odsuń się od wejścia. Nie chciałbym, żeby strzelił ci do łba jakiś głupi pomysł.

Wicherek stanął pomiędzy Maćkiem a drzwiami nie spuszczać wzroku z aspiranta, nogą odsunął jego broń. Musiał dzięki temu poczuć się bezpiecznie, bo własną opuścił wzdłuż tułowia. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wolną dłonią Wicherek zaczął gładzić niesforną zaczeskę, jakby się zastanawiał nad jakimś ważnym pytaniem. I nagle za jego plecami z ciemności przedpokoju wyłoniła się czyjaś ręka. Trzymała kamionkowy wazon, który Maciek niemal stracił kilka minut wcześniej. Wazon wzniósł się i gruchnął Wicherka

w dopiero co dopieszczoną zaczeskę. Strzaskane skorupy rozsypały się po podłodze. Pod Niskim ugięły się nogi. Odruchowo złapał się za głowę, jednocześnie upuszczając broń. Maciek nie zastanawiał się ani sekundy. Skoczył na równe nogi i z impetem zaatakował byłego komisarza. Wicherek jednak nie stracił trzeźwości umysłu. Odskoczył w bok, zapewne z nadzieją, że zmyli policjanta. Niestety, plan udał się tylko połowicznie. Maciek zdołał przewidzieć jego zamiary i w ostatnim momencie skorygował kierunek natarcia. Obaj wpadli na ścianę. Maciek złapał przeciwnika za szyję i wkładając w to całą swoją siłę, próbował rąbnąć głową Wicherka w ścianę. Ten jednak, mimo niepozornej postury, okazał się godnym przeciwnikiem. Jednym szybkim uderzeniem w splot słoneczny pozbawił Maćka tchu. Wykorzystując chwilę jego słabości, odepchnął się od ściany i obaj runęli na podłogę. Maciek, który znalazł się pod Niskim, zaczął tracić energię do walki. Siedząc na nim okrakiem, Wicherek rąbnął go z główki prosto w nos. Z nozdrzy Maćka trysnęła krew, która błyskawicznie zaczęła zalewać mu oczy i usta. Coraz bardziej rozjuszony, Wicherek złapał go za głowę i zaczął nią tłuc o podłogę.

– Zatłukę cię, skurwysynu! – rzeził, dysząc ciężko. – Rozpieprzę ci ten łeb na miazgę! Będiesz pierwszy, chociaż nie brałem cię pod uwagę! Zabawne! – Zaśmiał się dziko. – Na nią też przyjdzie kolej, oj, przyjdzie! A na deser będzie ON! Wisienka na torcie!

Maćka opuściły ostatnie siły. Czuł, że zaraz straci przytomność. I wtedy usłyszał dziwny dźwięk. Coś jakby odgłos mokrej szmaty rzuconej na betonową posadzkę. Wyraźne „plask”. Wicherek utkwił w nim dziwny, nieruchomy wzrok, a potem bezwładnie osunął się na bok.

Postać stojąca nad Maćkiem trzymała w ręku pistolet z lufą zakończoną tłumikiem. Skądś znał tę postać, nie potrafił jednak sobie przypomnieć skąd... Chwilę później odpłynął w nicość.

ROZDZIAŁ 56

W lumpeksie, który odwiedził po odczytaniu wiadomości, znalazł prawie wszystko, czego potrzebował. Puchowa, pikowana kurtka z gigantycznym logo Hilfigera na plecach, workowaty, popielatoszary sweter z golfem oraz spodnie z denimu, które wyglądały, jakby obsłużyły już niejednego właściciela. Nie znalazł tylko butów. Sklep nie prowadził sprzedaży używanego obuwia. Stwierdził, że po drodze do domu wstąpi do jednej z obuwniczych sieciówek i za kilkadziesiąt złotych kupi pierwsze lepsze zimowe buty. Bez problemu udało mu się nabyć właściwą parę. Po powrocie włożył je do miski z wodą, żeby wyglądały na stare i zużyte. Stał przed lustrem. Kurtka była na niego trochę za duża, ale cały zestaw nadawał się doskonale. Za trzy dni, w ciągu których jego twarz porośnie krótka szczecina, nie będzie się odróżniać od menela, którego odwiedzi. Gdyby tylko mógł, zrobiłby to już dzisiaj – teraz, zaraz. Musiał jednak wszystko przygotować, a to wymagało czasu. Obmyślił swój plan w każdym detalu. I nie mógł dopuścić do tego, by przez pośpiech coś poszło nie tak.

Do centrum handlowego przy Jubilerskiej dojechał zamówioną uprzednio taksówką. Roztropnie nie zamówił jej pod adres, gdzie mieściła się jego baza, lecz kilka przecznic dalej. Uzgodnił z taryfiarzem, że ten na niego poczeka, nawet gdyby to miało potrwać godzinę, i że nie będzie mieć obiekcji, jeśli w drogę powrotną udadzą się z dodatkowym pasażerem, i to niekoniecznie w najświeższym stanie. Kilka banknotów stużłotowych załatwiło sprawę.

Menel ze zdjęcia, tak jak ostatnio, stał z dwoma innymi w krzakach na tyłach centrum handlowego. Wokół cuchnęło stęchlizną i moczem. Na ziemi zalegały porozrzucane kartony,

szmaty i dziesiątki potrzaskanych butelek. Gdy szedł w ich kierunku, słyszał charakterystyczne mlaskanie podeszew swoich butów. Nie chciał nawet myśleć, jakiego rodzaju breja wciska się w protektory. Ale cel uświęca środki, a buty i tak wylądują w koszu.

Wszyscy trzej palili papierosy i żywo o czymś dyskutowali. Dwóch wyraźnie się kiwało. Byli już niezłe wstawieni. Podeszedł do nich, trzymając w ręku plastikową torbę, w której pobrzękiwały dwie butelki czystej wódki.

– Czołem, panowie – pozdrowił towarzystwo.

Rozmowa ucichła. Spojrzeli na niego ze zdziwieniem i lekką podejrzliwością. Niby wyglądał na swojaka, ale widzieli go po raz pierwszy, a oni nie lubili obcych. Kto wie, co to za menda i po co tu lezie?

– Czego chcesz? – zapytał ten, po którego tu przyszedł.

– Chcę się napić, można?

– No to się napij! W kiblu w handlusie! – wychrypiał inny, ledwo stojący na nogach, po czym cała trójka zaczęła radośnie rechotać.

– Chcę się napić, ale tego. – Sięgnął do torby po butelkę. – A nie lubię pić sam, więc pomyślałem, że łyknę se z wami.

– No, panie kolego, to trzeba było tak od razu! – zawołał z nagłym entuzjazmem ten ze zdjęcia, po czym wyjął flaszkę z jego rąk i otworzył ją sprawnym, przez lata wyćwiczonym ruchem. Przytknął do ust i pociągnął kilka solidnych haustów.

– Uch... toś nam tu, panie kolego, chyba z nieba spadł – wybełkotał, wycierając usta grzbietem dłoni. Beknął przeciągle i podał butelkę stojącemu obok koledze. – Bo myśmy właśnie kombinowali, jak by tu jakąś flaszkę skrócić. Jestem Waldek, a tych dwóch zasrańców to Leszek i Maniek. – Wskazał na kompanów.

– Marek jestem – przedstawił się pierwszym lepszym imieniem, które przyszło mu do głowy, i przejął butelkę.

– No, Mareczku, nie przetrzymuj flaszki, bo mnie ssie okrutnie! Widzisz, tych dwóch capów nie poczekają na mnie i wydoili całą wódkę sami i tak sobie myślę, że może mają już dość. – Waldek ze złością zamachnął się na stojącego najbliżej

kolegę.

– Spokojnie, nie zabraknie – odparł i podał mu butelkę. – Ale... – przysunął się do niego bliżej i wyszeptał konfidencyjnie: – ...gdybyś się ich pozbył, to zawsze więcej dla nas, no nie?

Waldek wyciągnął z kieszeni niedopałek papierosa, zapalił i zaciągnął się głęboko. Stał przez chwilę w milczeniu, jakby nad czymś dumał. W końcu odwrócił się do swoich towarzyszy i rzekł:

– Wiecie co, zachlane mordy? Nie mam zamiaru dłużej się z wami zadawać. Wydoiliście wszystko beze mnie, więc teraz spierdalać. – Wyciągnął rękę, wskazując kierunek, w którym powinni się udać. – Won!

Spojrzeli na niego w osłupieniu.

– Ale, Walduś... no, co ty... no? – wybełkotał jeden.

Waldek pchnął go w pierś tak mocno, że ten upadł jak długi.

– Powiedziałem: wypierdalać! – Był od nich wyraźnie większy i masywniejszy, ale też młodszy, co było widać, nawet pomimo zniszczonej alkoholem i pooranej brudami twarzy.

Mężczyzna niezdarnie gramolił się na nogi. Jego kumpel próbował mu pomóc, ale pomimo dobrych chęci zachwiał się i dołączył do leżącego. Scena ta tak rozbawiła wciąż jeszcze w miarę trzeźwego Waldka, że zaczął się śmiać do rozpuku, klepiąc się po udach.

– Patrz, Maruś, na tych ciuli! – Rechotał tak, że aż zaczął kaszleć. – Ja nie mogę!

Wypluł zgniłozieloną flegmę, po czym osuszył butelkę do ostatniej kropli. Spojrzał na nią, jakby z pretensją, i odrzucił w kierunku zalanych kolegów.

– Waldek, zostawmy ich – powiedział darczyńca. – Mam trochę forsy. Weźmy taryfę i jedźmy do mnie. Chata jest wolna, w lodówce pełno żarcia i nie tylko...

Waldkowi, który zaczął już odczuwać działanie krążącego w żyłach alkoholu, perspektywa nakreślona przez nowego kumpla wydała się bardzo kusząca. Ani przez chwilę się nie zastanowił, dlaczego ktoś nieznajomy, poznany kilkanaście minut temu, zaprasza go do swojego domu, ot tak po prostu.

Ale to nie było w tej chwili istotne! Ważne, że jest chata i woda i że nie będzie trzeba sterczeć w tych zasranych krzakach w towarzystwie zaprutyh meneli.

– Maruś, mordo ty moja! Jedziemy! – Obiema rękami złapał głowę towarzysza i dwa razy cmoknął go w czoło. Nagle spojrzał na niego jakby przytomniej. – Czekaj, czekaj... Czy ja cię już gdzieś nie spotkałem?

– A co? Przypominam ci kogoś? – zapytał Marek, symulując pijacki bełkot.

– Bo ja wiem... Tylu ludzi na świecie. Sam nie wiem. – Waldek machnął ręką.

Wkrótce sobie przypomnisz. Już ja ci w tym pomogę, Walduniu. Uśmiechnął się do swoich myśli. Przypomnisz sobie każdy szczegół.

ROZDZIAŁ 57

Krótkie przeblýski świadomości na przemian pojawiały się i znikwały. Maciek nie był w stanie w pełni uświadomić sobie własnego położenia. Po pewnym czasie, mógł to być zarówno tydzień, jak i rok, świadomość coraz skuteczniej konkurowała z pustką. Teflonowe rurki, butelka z jakimś przezroczystym płynem podwieszona obok wezglówia łózka, dziwne uczucie kłucia w lewej dłoni, charakterystyczne pikanie, dochodzące gdzieś z boku, i gama dziwnych zapachów, które podświadomie zapamiętał z dzieciństwa, gdy odwiedzał chorego dziadka.

Był w szpitalu. Z niemałym wysiłkiem przekręcił głowę i zauważył dwie postacie stojące obok łózka. Obraz nadal pozostawał niewyraźny; to wyostrzał się, to nabierał impresjonistycznych barw i kształtów. Gdy w końcu udało mu się zapanować nad niesfornym wzrokiem, rozpoznał Alicję i Waltera. Spojrzał na nich, bezgranicznie zdziwiony. Dopiero wtedy przyszły racjonalne myśli. Co ja tu robię? Co oni tu robią? To musi być jakiś koszmarny sen! Zamknął oczy, jakby w nadziei, że gdy je otworzy, znajdzie się w innym miejscu i w innych okolicznościach. Niestety – plastikowe rurki wciąż płątały się wokół niego, a tych dwoje nadal tu było. Jedyne Alicja przysiadła obok niego na łózk. Ponownie przymknął powieki i nagle wszystko wróciło. Kamienica na Bielanych, Maurycy Niski tłukący jego głowę o posadzkę i jakiś chłopak – tak, teraz sobie przypomina – Łukasz, stojący nad nim z pistoletem zaopatrzoną w ogromny tłumik.

– Jak się czujesz? – usłyszał głos Alicji.

– Świetnie. – Uśmiechnął się zawadiacko, choć sprawiło mu to przeszywający ból. – Zgubiłem klucze do domu, więc postanowiłem przenocować tutaj.

– Nasz Maciek jest zdrow jak ryba – zaśmiała się Alicja. – Widać nie oberwał zbyt mocno, bo nadal plecie po swojemu.

Komisarz westchnął ciężko.

– Oj, stary... Napędziłeś nam niezłego strachu.

– Przepraszam, szefie. Wiem, że spartoliłem.

Walter przysunął krzesło do łóżka i usiadł. Przez chwilę patrzył na Maćka z nieomal ojcowską troską.

– Teraz to nie jest ważne – odparł po dłuższej chwili. – Grunt, że jesteś cały.

– Dzięki, szefie. Sam nie wiem, co powiedzieć.

– A tak w ogóle, czy ty powinienes z nami rozmawiać? Masz na tyle sił? – zapytała Alicja.

– Dudni mi trochę w głowie, ale poza tym wszystko OK.

– Miałeś sporo szczęścia. Łapiduchy mówią, że jakby jeszcze trochę cię poobijał, to mogłoby się naprawdę źle skończyć.

– Tak mówili?

– Dokładnie. Chłopak być może uratował ci życie.

– A co z nim? – Maciek poruszył się nerwowo.

– Cóż, sytuacja trochę go przerosła – odparł Walter. – Na początku trudno było z niego cokolwiek wydusić, ale po rozmowie z naszą terapeutką doszedł do siebie i wszystko opowiedział. W każdym razie tak twierdzi. Podstawowe w tym momencie pytanie brzmi: co, do kurwy nędzy, robił tam Wicherek?

Alicja odruchowo zerknęła w stronę uchylonych drzwi, żeby sprawdzić, czy soczystym przekleństwem Walter nie wzbudził zainteresowania personelu szpitalnego.

– Niski siedział w tym gównie po same uszy – powiedział Maciek. – Chłopak widział, jak wchodzi do chaty Gojnego, i to w czasie, gdy ten jeszcze żył. Pewnie się z nim spiknął na jakimś pedofilskim forum i zaczęli razem działać. Po drodze coś się między nimi spieprzyło, może pojawił się jakiś szantaż, Wicherek sprzątnął gajowego. Pech chciał, że panna puszczalska i jej chłopak przyuważyli go, jak wchodził do leśnika, więc na wszelki wypadek postanowił się pozbyć świadków. Panna zniknęła i jakoś nie mam dobrych przecuć co do jej losu. Chłopak miał być następny, ale skończyło się, tak jak się skończyło.

– Na pierwszy rzut oka to ma ręce i nogi – odparła Alicja po chwili namysłu. – Jednak jest parę aspektów, które nie pasują.

– Na przykład?

– Choćby cały spektakl z siostrzenicą Gojnego. Po co to wszystko, jeśli mamy do czynienia z wendetą między pedofilami? I po jaką cholereę ta przesyłka, w dodatku zsynchronizowana z czasem przesłuchania Marioli Becker?

– I filmy wysyłane na moją komórkę – dodał Walter. – Oboje z Alą doszliśmy do wniosku, że Niski ewidentnie był zamieszany w tę sprawę, ale to nie on był głównym rozgrywającym. Widzisz, z jakiegoś powodu, choć nie do końca rozumiem z jakiego, jestem z tym wszystkim powiązany.

– Jezu! – Maciek zrobił wielkie oczy. – O czym szef mówi?

– Wiesz przecież, że na moją komórkę przyszedł film z zabójstwa Karoliny. Dołączony do niego tekst nie pozostawiał złudzeń. – Do Maćka wreszcie zaczęła docierać logika wyводу komisarza. – Teraz wypłynął nam Niski, choć twoja teoria nie jest do końca błędna. On chyba rzeczywiście chciał się pozbyć świadków. Pamiętasz, co mówił chłopak o tym, kiedy zobaczył Wicherka po raz pierwszy?

– Mówił, że poza Niskim i naszym leśnikiem był tam ktoś jeszcze.

– No właśnie! Pytanie: kto? No i dlaczego Wicherek się nie krył? Mieliliśmy go praktycznie na tacy.

– Bo tak miało być – odparł Maciek.

– Dokładnie. – Walter żywo pokiwał głową. – Miał nas obserwować. I trzeba przyznać, że do pewnego stopnia dobrze się wywiązał ze swojego zadania.

– Ale dlaczego on? – Tego jednego Maciek nie mógł zrozumieć. – Przecież to były glina!

– Wicherek miał na pieńku z naszym szefem – odparła Alicja.

– Sprawa z przeszłości. Pewnie obwiniał Romana za załamanie się jego kariery, choć to nieprawda. Był niekompetentnym policjantem i to go wykończyło. Ale kto wie, co mogło się uroić w jego chorej głowie?

– OK, ale jakim cudem pałający żądzą zemsty Wicherek spiknął się z tym drugim, jak mniemam, szukanym przez nas psycholem?

– Dobre pytanie – przyznała Ala. – Tego się dowiemy, kiedy

już uda nam się go odnaleźć.

– Maciek, odwaliłeś kawał dobrej roboty. Mam na myśli sprawę uczestników kolonii w Ludwikowie – Walter zmienił temat. – Kiedy już tu odpoczywałeś, Ala przejrzała tę bazę danych. Mamy zestaw kilku nazwisk. Jak wydobrzejesz, będzie trzeba się tym zająć. Maciek spojrzał na nich czujnie.

– Grzebałiście w moich rzeczach?

– Wybacz, musieliśmy – odparła Alicja.

– Wybaczam, ale nie zapomnę. – Puścił do niej oko.

– Lekarze mówią, że poleżysz jeszcze parę dni. Przyniosłem ci laptopa. Może jak się lepiej poczujesz, to pogrzebiesz w sieci? – zaproponował Walter.

– Zrobi się, szefie. Z nudów to poczytałbym nawet książkę telefoniczną.

Walter i Alicja wstali.

– Pójdziemy już. – Komisarz lekko klepnął Maćka w ramię. – Odpoczywaj i wracaj do nas szybko.

– Trzymaj się, Maciuś. – Alicja nachyliła się i cmoknęła kolegę w czoło.

Nagle Maciek spochmurniał.

– Szefie, coś mi się przypomniało... – odezwał się cicho. – Jak Niski mnie tłukł, to krzyczał, że ja nie byłem w planach, czy coś takiego... a potem powiedział, że na nią też przyjdzie czas, a on będzie na deser. Walter ściągnął brwi.

– Jesteś tego pewien?

– W stu procentach. – W oczach Maćka pojawił się niepokój.

– Szefie, czy on miał na myśli... was?

Alicja i Walter spojrzeli po sobie. Czy to możliwe, że ta historia ma mieć epilog z nimi w rolach głównych?

– Nie wiem, Maćku – odparł Walter. – Bezpiecznie jednak będzie założyć, że nasz szalenciec rozpiisał dla nas jakieś role. Naszym zadaniem jest za wszelką cenę nie dopuścić do rozegrania wszystkich aktów tego przedstawienia.

Wsiadając do samochodu, Walter poczuł w kieszeni wibracje telefonu.

ROZDZIAŁ 58

1994

Na piątym roku studiów Nikodem poznał Elżbietę. W pewnym sensie była taka jak on – przeciętna, niewyróżniająca się w gronie studentek, zawsze z boku. Nawet jej uroda, skutecznie maskowana pod niemodnymi, bezbarwnymi ubraniami, wydawała się nijaka. Nie było mężczyzny, który obejrzałby się za nią na ulicy. Elżbieta jednak, choć z pozoru kobieta ascetycznego usposobienia, miała swoje potrzeby, a ciało domagało się ich spełnienia. Dawno już odkryła swoją cielesność i słodki smak rozkoszy, zaspokajając się w pokoju akademickim, gdy jej współlokatorka spała albo znikwała na studenckich popijawach. Wciąż miała jednak wrażenie, że jej samotne igraszki przypominają lizanie ciastka przez szybę. Elżbieta szukała więc okazji. I któregoś dnia ją znalazła. Chłopak był sam, tak jak ona. Nie musiała przedzierać się przez gąszcz konkurentek. Był do wzięcia, więc postanowiła go zdobyć. Na początek zadbała o to, aby znaleźli się w tej samej grupie seminaryjnej.

Pierwszy – zarówno dla niej, jak i dla niego – raz był nie do końca taki, jak sobie wyobrażała. Któregoś dnia zasugerowała Nikodemowi, że mogą wspólnie się przygotować do następnych zajęć. Spotkali się wieczorem w jej pokoju. Wiedziała, że współlokatorki nie będzie i nikt im nie przeszkodzi. Powiedziała, żeby się rozgościł, i poszła do łazienki. Zdjęła ubranie, rozpuściła włosy i stanęła przed lustrem. Jej figura, mimo że daleka od ideału, nie prezentowała się najgorzej. Małe, lecz jędrne piersi, kobiece biodra, szczupłe nogi, lekko zarysowana krągłość brzucha i naturalnie, delikatnie owłosione łono mogły się podobać. W gruncie rzeczy była całkiem atrakcyjną kobietą. Wyszła z łazienki, owinięta tylko ręcznikiem. Nikodem nie krył zaskoczenia. Nie spodziewał się

takiego rozwoju wypadków. Podobnie jak inni mężczyźni nie widział w Elżbiecie nic interesującego, a teraz stała przed nim niemal naga. Podeszła do niego. Ręcznik spadł na podłogę. Stojąc przed Nikodemem, zaczęła gładzić jego krocze. Rozpięła mu spodnie i wsunęła rękę pod bokserki.

Po kilku minutach było po wszystkim. Elżbieta wróciła do łazienki, a Nikodem wyszedł bez słowa pożegnania. Była nawet zadowolona, że zniknął. Czowała lekkie zażenowanie. Czy się nie wygłupiła? Czy nie zachowała jak żdzira? Co o niej pomyślał? Czy zechce się jeszcze spotkać? Jej pierwszy chłopak. Co prawda, nie był rozmowny ani jakoś specjalnie przystojny, ale w końcu ona też nie była królową balu. Lepszy rydz niż nic, pomyślała i postanowiła nie wypuszczać Nikodema z rąk.

Spotykali się regularnie, choć ich relacje ograniczały się do aktów seksualnych. Pomimo usilnych starań ze strony Elżbiety, by wykrzesać z chłopaka odrobinę uczucia, Nikodem był zimny jak skała, wciąż nieobecny myślami, jakby był gdzieś daleko. W końcu dziewczyna z bólem uświadomiła sobie, że ich związek nie ma przyszłości. Choć Nikodem zaspokajał ją seksualnie, nie widziała już w nim kandydata na mężczyznę, z którym chciałaby spędzić resztę życia. Na domiar złego, mimo skrupulatnie prowadzonego kalendarzyka, dziewczyna od kilku tygodni nie miała okresu. Wizyta u lekarza potwierdziła jej obawy. Była w ósmym tygodniu ciąży.

Zdecydowała się nie usuwać ciąży. Zakomunikowała Nikodemowi, że nie ma zamiaru sama radzić sobie z dzieckiem i oczekuje, że zachowa się jak prawdziwy mężczyzna i ożeni się z nią. Nie protestował. W głębi duszy pomyślał nawet, że może tak będzie dla niego lepiej. Nie zapomniał o Annie, każde związane z nią wspomnienie wywoływało mocniejsze bicie jego serca. Ale mógł już ją tylko wspominać.

Zamieszkali w wynajętym dwupokojowym mieszkaniu na jednym z typowych blokowisk. Nikodem znalazł pracę w urzędzie dzielnicy. Spędzał osiem godzin dziennie na przewracaniu papierów w gronie nieciekawych i znudzonych urzędników. Pieniądze, które zarabiał, z trudem wystarczały na utrzymanie mieszkania i rodziny. Elżbieta nie pracowała. Całe

dnie spędzała zamknięta w czterech ścianach, ograniczając swoją aktywność do gotowania i oglądania telewizji. Tak mijały tygodnie i miesiące. Elżbieta powoli zaczynała uświadamiać sobie beznadziejność sytuacji, w jakiej się znalazła. Żyła z człowiekiem, któremu była zupełnie obojętna. Jeśli w ogóle ze sobą rozmawiali, to o pieniądzach, których wiecznie brakowało. Nie mieli przyjaciół. Nikt ich nie odwiedzał, oni też u nikogo nie bywali. Dla Nikodema nawet dziecko nie było ważne. Czasami się zastanawiała, czy w ogóle pamięta, jak ma na imię ich syn. Oboje byli dla niego tylko powietrzem.

Z czasem Elżbieta zaczęła popijać. Początkowo wino wieczorem, lampkę lub dwie, aby zasnąć; później otwierała butelkę już w okolicach południa. Nierzadko, gdy Nikodem wracał z pracy, była już nieźle wstawiona. Mieszkanie, o które nigdy specjalnie nie dbała, zaczęło przypominać zapuszczoną norę, a Elżbieta coraz częściej była wobec męża agresywna. Któregoś dnia uświadomiła sobie, że go nienawidzi. Sam jego widok przyprawiał ją o napady wściekłości. Jego kompletny brak zainteresowania nią, dzieckiem, domem stał się dla niej nie do zniesienia. Przestali ze sobą sypiać.

Tamtego dnia Nikodem jak zwykle po pracy wrócił do domu. Zwykle jadał późny obiad, o ile Elżbieta coś ugotowała, a następnie siadał w fotelu i do późnego wieczora czytał albo oglądał telewizję. Elżbieta jednak wpadła w furję.

– Znowu przez cały wieczór będziesz trzymał dupę na tym cholernym fotelu?! – Stała nad nim z założonymi rękami, wyraźnie chwiejąc się na nogach.

– A od kiedy ci to przeszkadza? – zdziwił się.

– Od zawsze!

– To jakaś nowość – odparł beznamytnym tonem.

– Wypierdziałeś już w nim pewnie sporą dziurę, co? – W jej oczach pojawił się złośliwy błysk.

– O co ci chodzi?

– O to, że niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę!

– Chlapij kolejnego drinka, to ci przejdzie – mruknął, przewracając stronę gazety.

– Pewnie, że tak zrobię! Tak jak wczoraj, przedwczoraj

i jeszcze wcześniej! To jedyny sposób, żebym nie ześwirowała w tym domu! – Elżbieta obróciła się na pięcie i wyszła do kuchni, z całą siłą trzaskając drzwiami.

Do uszu Nikodema dochodziły trzaski nerwowo otwieranych i zamykanych szuflad. Po chwili usłyszał charakterystyczny dźwięk i cel poszukiwań stał się jasny – korkociąg. Jak mogła zapomnieć, gdzie go dała? Przecież używa go bez przerwy. Włączył telewizor, aby obejrzeć wieczorne wiadomości, gdy ponownie pojawiła się w pokoju.

– Co ja w tobie, kurwa, widziałam? – zaatakowała bez zbędnych wstępów. – Dlaczego zainteresowałam się takim zerem? Chyba mi na mózg siadło! – Zaśmiała się szyderczo. – A tyłu facetów było wokół mnie!

Nikodem, na pozór wciąż spokojny, wewnątrz zaczął się spinać.

– Alkohol chyba wyżarł ci mózg – prychnął. – Żaden z nich nawet by na ciebie nie splunął.

– A z ciebie to niby casanova był? Po prostu jebaka, jak się patrzy! Lew salonowy od siedmiu boleści! Gdybym cię wtedy za fiuta nie złapała, to do dziś waliłbyś gruchę, siedząc w sraczu i marząc o prawdziwej kobiecie!

– To akurat się nie zmieniło. – Ubódł ją tymi słowami do żywego. Potwierdził to, o czym wiedziała od dawna, choć wciąż wypierała ze świadomości: nic dla niego nie znaczyła. Elżbieta wpadła w furję. Gromadzony żal, złość i frustracja wylały się z niej rwącym potokiem. Butelka, którą ścisnęła w dłoni, poleciała w kierunku telewizora, z hukiem rozbijając kineskop. Nikodem zerwał się na równe nogi. – Co robisz, kobieto?!

– Ty skurwysynu! – zawyła. – Zmarnowałeś mi życie! Jak ja cię nienawidzę! Żeby cię szlag trafił, pieprzony nieudaczniku! Przeklinam dzień, w którym cię spotkałam! Co za matka urodziła takiego potwora? Nie powinieneś chodzić po świecie! Powinni cię wyskrobać, zanim się urodziłeś!

– Zamknij pysk, bo pożałujesz – warknęła, czując, że traci nad sobą kontrolę.

– Będę mówić, co mi się podoba! Wykrzyczę wszystko, żeby cały blok wiedział, jakie z ciebie bydlę!

– Ostrzegam cię! – Zaciśnął pięści, aż zbieleły mu knykie.

– Ty nawet w łóżku jesteś zerem! Zerem! Zerem! Zerem! – Elżbieta z trudem łapała oddech. Jej twarz nabrała koloru purpury, zalały ją łzy, a z kącika ust popłynęła strużka śliny. Żal i rozpacz zupełnie ją sparaliżowały. Oparła się o ścianę i bezwładnie osunęła na podłogę. Spuściła głowę i zaczęła rysować palcem nieokreślone wzory na wykładzinie. Wydawało się, że się uspokaja. Posiedziała tak chwilę, po czym wstała i wygładziła zmiętą spódnice. – Jak zdechniesz, to przyjdę i naszczam na twój grób – powiedziała spokojnie, patrząc Nikodemowi prosto w oczy. Potem odwróciła się w stronę wyjścia.

Nie zrobiła nawet jednego kroku, gdy poczuła potężne uderzenie w tył głowy. Zrobiło jej się ciemno przed oczami, w uszach zabrzmiał przeraźliwy pisk. Odwróciła się ponownie z niemym zdziwieniem na twarzy. Nie mogła uwierzyć, że ją uderzył! Dotknęła ręką głowy i poczuła ciepłą, lepką ciecz. Spojrzała na swoją dłoń – czerwoną od krwi – po czym przeniosła wzrok na stojącego przed nią męża, jednocześnie drugą ręką opierając się o stojący obok stół. Nikodem trzymał wielką, kryształową popielnicę. Zaciśkał wargi w bezkrwistą, cienką kreskę, a jego rozszerzone nozdrza poruszały się rytmicznie przy każdym oddechu. Był błydy jak ściana. Z powiększonych źrenic wyzierała bezdenna czeluść. Uniósł rękę z popielnicą i ponownie się zamachnął. Skroń Elżbiety pękła niczym skorupka jajka. Kobieta runęła na podłogę, ściągając ze stołu obrus. Kolejnych ciosów już nie poczuła.

Wezwany przez zaniepokojonych hałasem sąsiadów patrol wyważył drzwi. Oczom policjantów ukazał się mężczyzna siedzący okrakiem na ciele kobiety. W rękę trzymał zakrwawiony, przypominający szklane naczynie przedmiot. Głowa kobiety w połowie była krwawą miazgą.

W drzwiach sąsiedniego pomieszczenia, w bawełnianym kombinezonie z podobizną Myszkę Miki na piersiach, stał mały przerażony chłopiec.

ROZDZIAŁ 59

Zobacz, co przed chwilą dostałem. – Walter podał Alicji swój telefon.

LUBISZ PATRZEĆ? WIEM, ŻE LUBISZ. OBIECANA DRUGA CZĘŚĆ SERIALU. MIŁEGO SEANSU!

– Ja piernicę – mruknęła Ala. – Zaczynam się czuć jak na jakimś pieprzonym rollercoasterze. Odpalasz to?

– Absolutnie nie! Dostałem wyraźne instrukcje od techników, żeby w żadnym razie nie otwierać tych plików. Mówią, że zaraz po ściągnięciu na mój telefon są automatycznie usuwane z serwera, na którym je umieszczono. Tłumaczyli mi to dokładnie, ale niewiele z tego załapałem. Najważniejsze, co wbili mi do głowy, to żeby nie dotykać tego przed nimi. – Komisarz spojrział na zegarek. – Zasuwamy do fabryki!

– Piotr! Mam kolejną wiadomość! – zawołał, wpadając do pokoju informatyków.

– Mam nadzieję, że nie dotykał pan tego? – zapytał Piotr, obracając się na krześle.

– Nawet nie odblokowałem ekranu. – Walter wręczył mu swój telefon.

– No dobrze. Zobaczmy, co możemy z tym zrobić – odparł informatyk, ziewając przeciągle.

Komisarz spojrział na niego podejrzliwie.

– Co z tobą, chłopie? Zabalowałaś wczoraj? – zapytał, nie kryjąc rozdrażnienia.

– Nic z tych rzeczy, panie komisarzu. Niech pan się nie denerwuje. Proszę usiąść. Zaraz wszystko panu wytłumaczę. – Walter zajął miejsce na krześle i po raz kolejny utwierdził się

w przekonaniu, że wszyscy, no, może prawie wszyscy informatycy to banda dziwolągów, którzy w dodatku są w stanie wmówić wszystkim dookoła, że są potrzebni i niezastąpieni. – Widzi pan – kontynuował Piotr – rozmyślałem troszkę, jak by tu tego gostka przydybać...

– Zamieniam się w słuch – przerwał mu Walter – tylko błagam, daruj sobie ten informatyczny bełkot. Wyobraź sobie, że mówisz do dyletanta.

– No tak. – Piotr spojrział na Waltera w taki sposób, że ten zaczął żałować swoich słów. – Serwer, na którym facet umieszcza te filmy, mieści się na Tajwanie. Moglibyśmy poprzez Interpol zwrócić się do tamtejszych władz o uzyskanie zgody na dostęp administracyjny, co pozwoliłoby nam pogrzebać w danych i z dużym prawdopodobieństwem namierzyć klienta.

– I parę tygodni w plecy.

– Dokładnie tak. Dlatego musimy, że się tak wyrażę, wejść tam tylnymi drzwiami.

– Po twojej minie widzę, że już znalazłeś te drzwi? – Walter uniósł brew.

– Ano znalazłem – odparł Piotr z wyraźną satysfakcją. – Ale to dopiero początek.

– Mów dalej.

– Jak już wiadomo, facet umieszcza te pliki w opcji „one time access”, co oznacza, że po ściągnięciu plik źródłowy automatycznie się kasuje. Dodatkowo ginie jakikolwiek ślad po użytkowniku umieszczającym ten plik w zasobach serwera. A żeby było jeszcze ciekawiej, ten sam plik, jeśli się go nie pobierze, po siedmiu dniach ulega samoistnemu skasowaniu, czyli mamy taki sam efekt jak po jego ściągnięciu.

– Zaraz, zaraz... – Walter znów mu przerwał – chcesz przez to powiedzieć, że niezależnie od tego, czy go pobierzemy, czy nie, i tak wszystko pójdzie w pizdu?

– No niby tak, ale... – Piotr uśmiechnął się tajemniczo.

– Ale?

– Zakładam, że gościowi zależy, aby pan komisarz zobaczył to, co dla pana przygotował.

– To więcej niż pewne.

– Damy więc upust jego pragnieniom i sprowokujemy do ponownego załadowania pliku, którego pan komisarz z niewiadomych powodów nie ściągnie na czas na swoją komórkę.

– A co nam to da, jeśli mogę zapytać?

– Tak jak powiedziałem, znalazłem tylne wejście i zhakowałem ten ich serwerek. Krótko mówiąc, na jakiś czas, przynajmniej dopóki się nie połapia, mam uprawnienia administratora. Dzięki temu mogłem im podrzucić mojego pomysłu robaczka, który jak tylko facet ponownie załaduje ten swój plik, przepłynie sobie niepostrzeżenie na twardy dysk jego kompa. Wtedy koleś będzie nasz.

– Czyli co? Zlokalizujemy go?

– To akurat nie będzie takie proste. Ale jeśli tylko pojawi się w sieci, zyskamy dostęp do wszystkich danych, takich jak serwisy społecznościowe, konta e-mail i tym podobne. Dzięki temu, po nitce do kłębka, być może go namierzemy.

– To twoje „być może” trochę mnie martwi. – Walter spojrzał na Piotra czujnie.

– Są dwa słabe punkty w tej układance – odparł informatyk.

– Po pierwsze, facet, ładując ponownie plik, musi użyć tej samej nazwy.

– A drugi punkt? – zapytał Walter.

– Gość nie wygląda mi na fana Facebooka...

ROZDZIAŁ 6o

Wizja kilkudniowego oczekiwania nie dawała Walterowi spokoju. Nieustannie nękał Piotra telefonami, zadając wciąż te same pytania, jakby miał nadzieję, że coś w ten sposób zdoła przyspieszyć. Informatyk, choć z natury cierpliwy, za którymś razem grzecznie, lecz stanowczo poprosił komisarza, aby ten dał mu w końcu spokój. Obiecał też, że da mu znać nawet w środku nocy, jeśli cokolwiek w tej sprawie się ruszy. W odpowiedzi usłyszał, że nie musi już się obawiać ponaglących telefonów, ale jeśli w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin jego pomysł nie wypali, to on, Walter, chce mieć ten plik i nieważne, jakie będą tego następstwa.

Komisarz właśnie odkładał słuchawkę, gdy w drzwiach stanął Maciek.

– Cześć! – powitał go z szerokim uśmiechem. – Dobrze wyglądasz!

Maciek pomyślał, że się przesłyszał. Choć minęło już trochę czasu, a w szpitalu zajęli się nim najlepiej, jak mogli, nie zdołał jeszcze w pełni dojść do siebie. Był błydy i pomimo prochów, którymi go faszrowali, wciąż cierpiał na uciążliwe bóle głowy. Pod pachą trzymał tekturową teczkę.

– Witam, szefie – odparł z grymasem, który od biedy można by uznać za uśmiech.

– No i jak tam? Zwiąłeś tym łapiduchom?

– Mało brakowało. Mają tak beznadziejne zarcie, że zagroziłem strajkiem głodowym, jeśli nie pozwolą mi iść do domu.

– Trzeba było dzwonić do nas! Alicja na pewno coś by ci upichciła. Znasz kulinarne zdolności naszej pani komisarz. – Walter puścił do Maćka oko i wskazał mu krzesło. – Co tam taszczysz?

Maciek usiadł i wyjął z teczki kilka zadrukowanych kartek.

– Tak jak szef poprosił, jeszcze w szpitalu przejrzałem te dane. – Przesunął papiery w stronę Waltera.

– Mamy coś ciekawego? – zapytał komisarz.

– Kilkadzieśiat nazwisk. Wszyscy uczestnicy tamtej kolonii w Ludwikowie, nie wyłączając kadry. Wśród pracowników pojawia się nazwisko naszej pani Becker.

– O! No to przynajmniej wiemy, że chłopak, o którym wspominała, gdzieś tu musi być! Dobra robota, Maciek.

Walter pochylił się nad listą nazwisk, akurat gdy do gabinetu weszła Alicja.

– Cześć, Maciek! – Uśmiechnęła się promiennie na widok kolegi. – Jak się czujesz?

– Bywało lepiej, ale nie narzekam. – Maciek odwzajemnił jej uśmiech.

– Nie próżnował i przygotował listę nazwisk uczestników kolonii letnich, na których Mariola Becker pracowała jako wychowawczyni grupy – Walter w kilku słowach wprowadził Alicję w temat.

– Duża ta lista?

– Trzydzieści pięć imion i nazwisk. Obok każdego data urodzenia oraz imiona rodziców.

– Mariola Becker, wspominając o incydencie z tamtych czasów, mówiła o jakimś chłopcu, prawda? – przypomniała Alicja.

– Zgadza się. – Walter kiwnął głową. – Możemy więc śmiało wykreślić wszystkie nazwiska dziewcząt. – Sięgnął po czarny marker i zaczął zamazywać odpowiednie imiona.

Po chwili lista ograniczyła się do piętnastu imion. Chłopców było zdecydowanie mniej niż dziewcząt. Wodząc palcem po kartce, komisarz odczytywał kolejne nazwiska. W końcu zatrzymał się przy jednym z nich. Skądś je znał. Tylko skąd? Któryś z zatrzymanych? Jakiś świadek z rozprawy?

– Wojtasik, Wojtasik... – powtarzał pod nosem, jakby mógł w ten sposób wyciągnąć z zakamarków pamięci zagubiony obraz. Spojrzał na swoich współpracowników. – Ze wszystkich nazwisk tylko to wydaje mi się znajome. Nie potrafię jednak

powiązać go z żadnym wydarzeniem z mojego życia. – Wzruszył ramionami.

– Ale niewątpliwie jesteś tu jednym z graczy – westchnęła Alicja. – Komórka Gojnego z twoim numerem telefonu, SMS-y, film...

– No i Niski też o szefie wspomniał – zauważył Maciek. – O tobie, Ala, też, ale chyba w trochę innym kontekście.

– Nie mam pieprzonego pojęcia, o co chodzi! Równie dobrze mógłbym teraz się dowiedzieć, że zabójcy Papąły mieli moje zdjęcie w portfelu! – Walter wstał i ciężko oparł się o biurko. – Mariola Becker... Trzeba do niej wrócić. Może ta lista coś jej przypomni. Może skojarzy Waldemara Wojtasika i powie, co naprawdę tam się stało. Ala, bierz tę listę i poszperaj w bazie, w sieci czy gdzie tam trzeba. Jak tylko coś znajdziesz, dzwoń. Ty – komisarz spojrzal na Maćka – zasuway do domu. Wciąż nie wyglądasz najlepiej. Ja jadę do Beckerowej.

ROZDZIAŁ 61

Burdel mieszczący się przy jednej z głównych arterii miasta, zwany salonem odnowy dla panów, znał niczym własną kieszeń. Maurycy Niski, pięćdziesięciolatek o nazwisku idealnie pasującym do jego postury i życiowych osiągnięć, był jego regularnym gościem. Lubił zawitać tam dwa, trzy razy w miesiącu, a od czasu, gdy stracił pracę, gościł tam prawie każdego tygodnia. Odpowiadała mu panująca w tym miejscu atmosfera. Nigdy nie czuł się skrępowany, a dla dziewczyn nie było ważne, że ich klient jest nędznego wzrostu, nie należy do zadbanych i często roztacza wokół siebie charakterystyczny zapaszek. Przybytek wolnej, płatnej miłości zapewniał swoim klientom pełną dyskrecję i możliwość spełnienia wszystkich, nawet najbardziej wyuzdanych potrzeb. Swego czasu Niski poprosił o szesnastolatkę i po chwili, ku jego zdziwieniu, do pokoju, w którym czekał, wkroczyła drobna dziewczyna w kusej, kraciastej sukience i białej koszuli, zawiązanej w supeł na wysokości pępka. Gdy było po wszystkim, stwierdził, że seks z nastolatką lepiej wypada w marzeniach niż w rzeczywistości. Jej ciało było młode i świeże, miała gładką, jędrną skórę, a jej piersi mogłyby doprowadzić do zawału mięśnia sercowego niejednego podstarzałego casanowę, czegoś jednak brakowało. Była bierna. Zachowywała się niczym dmuchana lala z silikonu, a on potrzebował ze strony kobiety więcej aktywności. Niski miał bowiem problemy z potencją. Co prawda, magiczna tabletką stawiała jego sprzęt na baczność, lecz co z tego, gdy kończył w kilka sekund. Tak właśnie się stało, gdy wszedł w leżącą w niemym letargu nimfetkę. Stwierdził wtedy, że szkoda pieniędzy na eksperymenty, i postanowił, że będzie odwiedzał już tylko Anitę, doświadczoną kobietę po trzydziestce, która знаła jego potrzeby i słabości. Ona jak nikt inny potrafiła zapewnić Niskiemu rozkosz.

Była jesień. Niski od kilku miesięcy był bezrobotny. Mimo kurczących się zasobów finansowych wiedział, że dziś znów odwiedzi „salon odnowy”. Anita jak zawsze powitała go promiennym uśmiechem i matczynym całusem w oba policzki i czoło, co uwielbiał. Zawsze przy tym uważała, aby nie zburzyć jego misternie ułożonej zaczeski. Wiedziała, że ma kompleks na tym punkcie.

– Witaj, tygrysie – wymruczała. – Jak minął dzień?

– Do dupy, kochana – westchnął Niski, rzucając płaszcz na łóżko.

– Wiesz, że jestem lekiem na całe zło. – Anita lekko pchnęła go na materac. – Na co masz dzisiaj ochotę? – Płynnym gestem rzuciła z ramion jedwabny szlafrok.

Anita była atrakcyjną kobietą i w odróżnieniu od większości koleżanek po fachu nie poprawiała natury – miała naturalne, średniej wielkości piersi, a jędrności pośladków mogłaby jej pozazdrościć niejedna dwudziestolatka. Gęste, naturalne włosy w odcieniu ciemnego blondu spływały na szczupłe, wyprostowane ramiona. Drobny, lekko zadarty nos i wyraźnie zarysowane kości policzkowe nadawały jej lekko wschodni urok. Kiedyś Niski zapytał ją o jej pochodzenie. Nie miała wschodniego akcentu, lecz był prawie pewien, że przybyła z dawnych rubieży Rzeczypospolitej. Dowiedział się, że rzeczywiście pochodzi ze wschodu, ale tego w obecnych granicach kraju, a któryś z jej przodków, jak twierdziła babka Anity, był Tatarem.

– Kulki – odparł bez wahania. – Dzisiaj chcę kulki.

– Oj, widzę, że będzie ostro. – Anita puściła do niego oko, po czym z szuflady stojącej obok łóżka komódki wyjęła przypominający gigantyczny różaniec, półmetrowej długości sznur i tubkę z wazeliną.

Po kilkunastu minutach leżeli na wznak, przypatrując się swym obliczom w wielkim lustrze zawieszonym pod sufitem. Niski był zadowolony. Anita jak zawsze stanęła na wysokości zadania. Martwił się tylko nieco o kondycję swoich

hemoroidów.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Niski usiadł gwałtownie i zaczął się nerwowo rozglądać za czymś, czym mógłby przykryć swą nagość. W ostatniej chwili zasłonił się prześcieradłem i napinając wątłą pierś, rzucił w stronę intruza:

– Co jest, kurwa?! Słyszałeś jakieś „proszę”?!

– Uspokój się, kurdupu. Musimy pogadać – odezwał się nieznajomy. – A ty, Anita, wypierdalaj! – Wskazał kobiecie drzwi.

ROZDZIAŁ 62

Walter wybrał numer mieszkania Marioli Becker na panelu domofonu. Elektroniczny dzwonek zabrzączał kilka razy, jednak na próżno. Już miał ponowić próbę, gdy ktoś od wewnątrz otworzył drzwi. Jakaś nastoletnia para, zupełnie nie zwracając na niego uwagi, wybiegła na zewnątrz, zostawiając za sobą drzwi otwarte na oścież.

Próby dostania się do mieszkania również nie przynosiły skutku. Dzwonek nie działał, więc Walter pukał kilkakrotnie, za każdym razem wkładając w to nieco więcej siły, lecz ze środka odpowiadała mu tylko głucha cisza. Przyłożył ucho do drzwi. Nic. Żadnego skrzypienia desek podłogowych, szurania kapciami czy dźwięków telewizora. Może po prostu nie ma jej w domu? – pomyślał. Mogłem zadzwonić, sprawdzić, umówić się... Sięgnął do kieszeni po komórkę i zorientował się, że nie ma jej numeru. Wybrał numer Maćka. Jeden sygnał w słuchawce, drugi, trzeci. Nic. Została Ala. Może nie była jego ostatnią deską ratunku, ale nie chciał dzwonić do dyżurnego. Zanim ten trafi palcem wskazującym w odpowiedni klawisz na klawiaturze komputera, minie kilka zdrowasiek, a Walter nie lubił czekać. Alicja na szczęście odebrała. Po krótkiej wymianie zdań wysłała mu SMS-em numer telefonu Beckerowej. Zapisał go w pamięci telefonu i wybrał opcję „połącz”. Zza drzwi rozległa się melodia popularnej piosenki. Wybrzmiała mniej więcej do połowy drugiej zwrotki i ucichła. W słuchawce telefonu odezwał się mechaniczny głos z prośbą o pozostawienie wiadomości. Walter spróbował po raz drugi – z tym samym skutkiem. Wyszła? Bez telefonu? Kto dziś wychodzi z domu bez telefonu? To tak jakby wyjść bez butów, w samych kapciach lub półnago! Przynajmniej on tak się czuł, gdy od czasu do czasu, przy cięższym kacu, zdarzało mu się zapomnieć telefonu. Jego ręka powędrowała w stronę klamki.

Nacisnął. Zabrzmiało ciche kliknięcie. Drzwi ustąpiły.

– Halo, pani Mariolu – rzucił w pustą przestrzeń ciemnego przedpokoju. – Tu komisarz Walter ze stołecznej. Czy mogę wejść?

Odpowiedziała mu cisza. Ostrożnie zrobił dwa kroki do przodu i zamknął za sobą drzwi. Mieszkanie najwyraźniej było puste. Wiedział, że nie powinien wchodzić do środka, ale... Nie mógł już się wycofać.

Telefon Marioli Becker leżał na półce pod garderobą. Na wieszakach wisiały dwa płaszcze, a po lewej stronie stało w rzędzie kilka par butów. Minęła chwila, zanim jego wzrok przyzwyczaił się do panującego półmroku. Gdy w końcu zaczął rozróżniać szczegóły, dostrzegł, że spod drzwi na końcu korytarza wypływa kałuża wody. Tknięty impulsem, zdecydowanym krokiem ruszył w tamtym kierunku. Pociągnął do siebie drzwi łazienkowe i zapalił światło.

W wypełnionej po brzegi wodą wannie leżały nagie zwłoki Marioli Becker.

Choć spodziewał się tego widoku, odruchowo cofnął się o krok. Na kilka sekund zamknął oczy. Gdy je otworzył, upewnił się, że kobieta jest martwa. Kolor jej skóry i zanurzona pod wodą twarz nie pozostawiały żadnych wątpliwości.

Zadzwoił do Alicji, poinformował o swoim znalezisku i poprosił, aby przekazała ekipie adres. Miał co najmniej kilkanaście minut, zanim zaczęła tu się kręcić przeróżnej maści specjaliści od kryminalistyki.

Ponownie spojrzął na ciało denatki. Na pierwszy rzut oka nie zauważył żadnych śladów przemocy. Ściana łazienki nie była zachlapaną, a niewielka kałuża, która doprowadziła go tutaj, powstała w wyniku przelania się wody w wannie. Mariola Becker sprawiała wrażenie zrelaksowanej, a wręcz... zadowolonej? Jej zastygłe usta wykrzywiały się w delikatnym uśmiechu. Nigdzie – na twarzy, szyi, brzuchu czy udach – nie znalazł żadnej rany, zadrapania ani siniaka. Wypadek? Zasnęła i zachłysnęła się wodą? Oszacował wielkość wanny: zwykła, nie

dłuższa niż metr czterdzieści. Kolana denatki były dość mocno ugięte. Mało prawdopodobne, aby we śnie bezwładnie osunęła się pod wodę. Zostaje więc samobójstwo. Prawdopodobna teoria, którą być może potwierdzą specjaliści.

Walter wyszedł z łazienki. Z ostatniej wizyty w mieszkaniu Marioli Becker zapamiętał, że salon mieści się po prawej stronie, patrząc w kierunku wyjścia. Salon połączony z sypialnią. Wszedł tam i rozejrzał się. Wszystkie meble były na swoim miejscu, szafki pozamykane, książki na półkach. Na niewielkim stoliku sterta gazet. Ta leżąca na samym szczycie otwarta na stronie z artykułem poświęconym jakiejś aferze finansowej. Tak jakby gospodyni wyszła na zakupy i za dziesięć minut miała wrócić. Żadnych śladów włamania, szperania, przetrząsania. Żadnych śladów intruza. Obok stolika z gazetami stał przestronny, obity z lekka wytartym już aksamitem fotel.

Walter usiadł w nim i jego wzrok znów powędrował w kierunku sterty czasopism. Wtedy zauważył dodatkową półkę umieszczoną pod blatem stolika. Na półce leżały dwa pojemniki. Jeden z nich skojarzył mu się ze szpitalem. Wykonany z połyskującej stali nierdzewnej, z owalnym uchwytem na pokrywce. W dzieciństwie często takie widywał w gabinetach pielęgniarskich przy okazji szczepień czy zastrzyków podczas szczególnie ciężkiego przeziębienia. Matka mówiła mu, że w takich naczyniach sterylizuje się narzędzia lekarskie, gotując je w wodzie. Dziś, w epoce jednorazówek, rzecz już niespotykana.

Wstał i poszedł do kuchni. Na parapecie znalazł pękatą rolkę papierowego ręcznika. Urwał kilka listków i wrócił do salonu. Przez ręcznik, starając się nie dotykać metalu gołymi rękami, podniósł pojemnik i położył go sobie na kolanach. Przytrzymując jedną ręką dolną jego część, drugą pociągnął za uchwyt. Wieko odskoczyło z charakterystycznym zgrzytem metalu trącego o metal. Odłożył je na blat stolika. W pojemniku leżały dwie strzykawki. Szklane, cylindryczne pojemniki, połyskujące chromem tłoki i obudowy. W jednej z nich wciąż tkwiła igła. W rogu pojemnika leżały cztery puste

ampułki. Walter delikatnie wyjął jedną i podniósł pod światło na wysokość oczu. Na szkle widniał napis: „Morphini Sulfas WZF”.

Odłożył ampulkę, po czym poszedł do łazienki. Dopiero teraz zauważył to, co poprzednio przeoczył. Niewielki strupek, o bardziej zsiniałych obrzeżach, na wewnętrznej stronie lewego przedramienia kobiety. Stąd to zadowolenie, pomyślał i wrócił do salonu.

Zamknął metalowy pojemnik, odłożył na miejsce i z niezmienną ostrożnością sięgnął po drugie pudełko. Mała, ciemnowiśniowa drewniana skrzyneczka z wieczkiem na zawiasach. Od frontowej strony niewielki zatrzask, pełniący raczej rolę ozdobnika niż funkcjonalnego elementu wyposażenia. Nadrukowany na wieczku napis informował, że pudełko pierwotnie było przeznaczone na herbatę pewnej powszechnie znanej firmy. Drewniane wieczko po podważeniu ozdobnego zatrzasku odskoczyło bez żadnego oporu. Wewnątrz leżała sterta fotografii. Nie więcej niż dwadzieścia, może trzydzieści zdjęć. Na pierwszym z góry Mariola Becker z córką. W tle jakieś jezioro, może Zegrze? Karolina na zdjęciu nie miała więcej niż trzynaście lat. Walter ujął zdjęcie pomiędzy kciuk a palec wskazujący i ostrożnie odłożył na blat. Kolejna fotografia była zrobiona nad tym samym jeziorem, z tą różnicą, że i matka, i córka, zapewne namówione przez fotografa, robiły śmieszne miny, zezując i wywalając języki. Na trzecim zdjęciu, choć tło pozostało bez zmian, obok Marioli Becker stał jej brat, Tadeusz Gojny. Kolejne w większości przedstawiały Mariolę z córką lub samą Karolinę – w siodle lub prowadzącą za uzdę konia. Nic nadzwyczajnego. Walter już miał odłożyć odbitki z powrotem do pudełka, gdy jego uwagę przykuło wystające ze sterty zdjęcie. W odróżnieniu od pozostałych było czarno-białe. Złapał ostrożnie za jego brzeg i wysunął. Nie było najlepszej jakości; najprawdopodobniej wywołane w amatorskiej ciemni, o czym świadczyły przebarwienia i niewielkie, acz widoczne zacieki. Było zrobione na jakiejś łące. W tle pole i łąny zboża, a na horyzoncie korony drzew. Na rozłożonym kocu, w stroju bikini, ze skrzyżowanymi po turecku nogami, siedziała

o kilkadziesiąt lat młodsza Mariola Becker. Była roześmiana. Mimo kiepskiej jakości zdjęcia można było dostrzec błysk w jej oczach. Rozpuszczone blond włosy, rozwiane letnim wiatrem, w nieładzie opadały jej na czoło. Nie była sama. Za nią, obejmując ją ciasno, siedział zdecydowanie młodszy od niej chłopak. Jego prawa dłoń, w porę ujęta przez Mariolę Becker, wyraźnie wędrowała w stronę jej kształtnej piersi. Drugą położył na zgrabnym brzuchu dziewczyny. Chłopak, podobnie jak Mariola Becker, był zadowolony. Wyglądał tak, jakby właśnie zdobył główną nagrodę w zawodach sportowych. W jego szeroko uśmiechniętych ustach widać było pełen garnitur uzębienia i sporej wielkości szparę pomiędzy górnymi jedynkami. Walter wziął głęboki oddech i zatrzymał na chwilę powietrze w płucach. Znał go. Był tego pewien, choć w tamtych czasach nie określiłby go inaczej, jak gnojek, palant i kawał sukinsyna. Ta szpara między jedynkami i ten zawadiacki uśmiech pewnego siebie księcia osiedlowych podwórek. Niektórych ludzi się nie zapomina. Wystarczy impuls i wszystko powraca.

Sięgnął po telefon, gdy ten zaczął dzwonić.

– Cześć, Ala – rzucił. – Właśnie miałem do ciebie dzwonić.

– No popatrz, telepatia czy co? – zażartowała Alicja. – Prosiłeś o sprawdzenie nazwisk z listy. Zaczęłam od tego, które podkreśliłeś... – Przerwała, czekając na jego reakcję.

– Mów dalej.

– Waldemar Wojtasik. Chodziłeś z nim do szkoły podstawowej. Wiedziałaś o tym?

– Jeszcze godzinę temu nie do końca, ale teraz już wiem – odparł. – Właśnie patrzę na zdjęcie, na którym czule obejmuje świętej pamięci Mariolę Becker.

– Co ty mówisz? – W głosie Alicji zabrzmiało szczere zdziwienie. – Był jej kochankiem?

– Możliwe. Ale czy piętnastolatek może uwieść dwudziestoletnią kobietę?

– O czym ty gadasz, Roman?

– Ala, to zdjęcie było zrobione na tych koloniach letnich, o których opowiadała Beckerowa. Wojtasik, jeśli dobrze

pamiętam, nie miał wtedy więcej niż piętnaście lat! – Walter nadstawił uszu w stronę drzwi wejściowych. – Muszę kończyć, Ala. Ekipa już tu jest – uciał. – Widzimy się u mnie za dwie godziny.

ROZDZIAŁ 63

W taksówce Waldkowi udało się prawie opróżnić drugą butelkę. Pił tak łapczywie, jakby się bał, że flaszka zaraz zniknie. Gdy dojechali na miejsce, ledwo wytoczył się z samochodu. Do domu było kilkaset metrów. Taszcząc na plecach półprzytomnego Waldka, w końcu dotarł na miejsce. Mógł poprosić taryfiarza o podwózkę pod same drzwi, ale stwierdził, że byłoby to niepotrzebnym ryzykiem. A nuż facet ma pamięć do twarzy?

W korytarzu zrzucił z siebie nieprzytomnego menela i zatrzasnął drzwi. W gruncie rzeczy był zadowolony, że ten tak szybko odpłynął. Zaoszczędziło mu to zachodu. Otworzył drzwi prowadzące do piwnicy i ciągnąc Waldka za rękę, powłókł go na dół. Mimo że ten spał jak zabity, na wszelki wypadek przykuł go do rurki od kaloryfera. Na koniec splunął mu w twarz, po czym wrócił na górę. Oszacował, że ma mniej więcej trzy, cztery godziny, zanim tamten dojdzie do siebie. Powinien ze wszystkim zdążyć.

Najpierw pozbył się ubrania. Kurtka, sweter, spodnie z lumpeksu i buty wylądowały w kartonowym pudle. Później spali je w piecu. Wyjął z komody biały, jednoczęściowy papierowy kombinezon, założył go i zamknąwszy na zamek drzwi wejściowe, zszedł z powrotem do piwnicy.

Piwnica była spora. Zajmowała powierzchnię niemal równą podstawie budynku. Była praktycznie pusta, jeśli nie liczyć pieca i kotła centralnego ogrzewania, niewielkiego, stojącego na wypłowiłym chodniku drewnianego stołu z dwoma prostymi, kuchennymi krzesłami oraz skrzyniowej zamrażarki pod jedną ze ścian. Na tej samej ścianie, tuż pod sklepieniem, znajdowało się niewielkie okno, które w zamierzeniu miało zapewniać dodatkową wentylację, było jednak szczelnie zamknięte, a jego szyby zamalowano białą farbą. Podłoga była

pokryta betonową wylewką, a w jej centralnym punkcie umieszczono kratkę odpływową. Dokładnie nad tą kratką zainstalował w suficie dwa solidne haki wraz z bloczkami kółkowymi. Zgodnie z zapewnieniami producenta każdy z nich miał utrzymać ciężar do siedemdziesięciu kilogramów. Trzeci bloczek zamocował w podłodze, w odległości mniej więcej półtora metra od pionowego rzutu bloczków sufitowych.

Gdy półprzytomny Waldek zaczął mamrotać pod nosem, postanowił zabrać się do roboty. Rozkuł go, odsunął od kaloryfera, po czym ponownie zakuł mu nadgarstki. Przeciągnął mężczyznę pod zainstalowane w suficie haki i za pomocą karabińczyka przymocował do kajdanek linkę wspinaczkową. Specjalnie taką wybrał. Chciał mieć pewność, że wytrzyma i w kulminacyjnym momencie przedstawienia nie sprawi mu żadnej przykrej niespodzianki. Drugi koniec linki przeciągnął przez zainstalowane w podłodze i na suficie bloczki i zaczął podciągać. Gdy mężczyzna stracił grunt pod nogami, zablokował linkę, przywiązując jej koniec do solidnego żeliwnego kaloryfera. Zasapał się. Waldek nie należał do najłżejszych; jego potężne brzuszysko zwisało znad paska spodni.

Usiadł przy stole i postanowił trochę odpocząć. Czeka go jeszcze mnóstwo pracy, i to dużo bardziej męczącej. Nie ma się co śpieszyć, jest sporo czasu. Zapalił skręta, wydmuchując niebieski dym prosto w nozdrza swojej ofiary.

Waldek się ocknął. Nie wiadomo, czy zdążył nieco wytrzeźwieć, czy z letargu wyrwał go ból wpijających się w nadgarstki kajdanek. Otworzył oczy i błędnym wzrokiem omiół otoczenie. Jego spojrzenie wyrażało nieme zdziwienie i absolutną dezorientację.

– Co jest, kurwa? – wybełkotał. – Gdzie ja jestem?

– A czy to ważne? – odparł bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem jego kumpel od butelki.

– Dlaczego ja wiszę? Kurwa! Zaraz, zaraz... Przecież mieliśmy obalić razem flaszkę! – Waldek zaczął się szamotać, bezskutecznie próbując uwolnić ręce.

– Szarp się, szarp. Nawet śmiesznie to wygląda! – Wstał

i poklepał go po policzku, po czym złapał go za włosy i przyciągnął głowę, tak że ich nosy niemal się zetknęły. – A to dopiero początek!

Z impetem uderzył czołem w twarz nieszczęśnika. Przez moment pomyślał, że trochę przesadził. Nie spodziewał się, że i jemu zakręci się w głowie. Potarł dłonią czoło i spojrzał na wiszącego. Jego głowa wisiała bezwładnie, a z rozbitego nosa sączyły się gluty zmieszane z krwią. Ponownie złapał go za włosy i szarpnął. W tym momencie w oczy chlusnęła mu krwawa plwocina z czymś małym, lecz twardym. Grzbietem dłoni otarł twarz i spojrzał na rękę – w brunatnej plamie majaczył zepsuty siekacz. Wycofał się na dwa kroki. Waldek dyszał ciężko. Odchrząknął i splunął jeszcze raz. Pod jego nogi upadł kolejny ząb. Podniósł wzrok na oprawcę, który wrócił na krzesło.

– Długo będziesz mnie jeszcze tłuc?

– To zależy.

– Od czego?

– Raczej „od kogo”.

– Ode mnie? Dobra, gadaj, czego chcesz.

– Żebyś zapłacił.

– Zapłacił?! Za co? Człowieku, nie znam cię i nie jestem ci nic winien! – Znów się szarpnął i syknął z bólu.

– Daruj sobie, bo nic ci to nie da. Chcesz papierosa?

– Wsadź se w dupę swojego papierosa! – Waldek nieudolnie usiłował odciążyć obolałe nadgarstki, próbując przenieść ciężar prawie stukilogramowego ciała na ledwo co dotykające podłogi stopy. Starając się opanować panikę, ocenił swoją sytuację. Zorientował się, że jest w piwnicy. Wypity alkohol wciąż szumiał mu w głowie, ale buzująca w żyłach adrenalina otrzeźwiła go na tyle, że powoli zaczynał logicznie myśleć. Postanowił zmienić taktykę. – Cholernie mnie suszy. Mógłbyś skołować coś do picia? – poprosił cicho.

– Pewnie! Piwko? – Oprawca sięgnął pod stół i wyjął butelkę ze stojącej tam skrzynki. – Lubisz takie?

– Może być – mruknął Waldemar.

Kilka pierwszych łyków pochłonął niczym gąbka, lecz po

chwili spienione piwo, wlewane mu do ust na siłę, zaczęło go dławić. Ściekająca po twarzy piana zalała nozdrza Waldka. Kaszlał i krztusił się, aż w końcu jego ciałem wstrząsnęły torsje i cała zawartość żołądka wyładowała na podłodze. Po wszystkim bezwładnie zwiesił głowę na piersi. Sadysta dał mu kilka chwil spokoju, po czym – już delikatniej – unióś jego głowę i wlał w usta resztkę piwa. Później wrócił do stołu i zapalił papierosa.

– Mam dla ciebie dobrą wiadomość – powiedział. – Wystąpisz w filmie. Widzisz to? – Wskazał na leżącą obok kamerę wideo. – Tym małym, cyfrowym sprzętem uwiecznię twoje aktorskie zmagania. Cieszysz się? – Waldemar znów zaczął bełkotać. – Co tam gadasz? Nic nie słyszę.

– Jesteś chorym, popierdolonym skurwysynem...

– Hmm. Pewnie masz rację.

Przez chwilę trwała cisza. Mężczyźni patrzyli sobie w oczy. I nagle w głowie Waldemara jakby zaczęło się rozjaśniać. Wcześniej był zdrowo zalany, a tu, w piwnicy, na dłużej nie zatrzymał wzroku na oczach nieznajomego. Teraz jednak zaczął sobie przypominać. Twarz była inna, pociągła i bardziej wyrazista niż wtedy. Wtedy, gdy był smarkaczem, jedenasto-, może dwunastoletnim mazgajem, z którego wszyscy się śmiali. Teraz siedział przed nim szczupły, dorosły mężczyzna. Mężczyzna, który miał nad nim całkowitą władzę. Tylko jego oczy się nie zmieniły. Zawsze było w nich coś niepokojącego, coś, co wzbudzało pierwotny lęk. Nienawidził go za to.

– Żałuję, żeśmy cię wtedy nie zajebali... – wycharczał nagle.

Oprawca spojrział na Waldka, po czym wzruszył ramionami, podniósł kamerę i ruszył w kierunku statywu. Zatrzymał się w pół kroku i odwrócił w stronę wiszącego.

– Wiesz co, Walduś? Nie miałem tego w planie, ale co tam. Będzie ciekawie.

Podszedł do stojącej pod ścianą skrzyniowej zamrażarki. Uchylił wieko i zajrzał do środka, po czym spojrział na Waldka i puścił do niego oko. Był wyraźnie zadowolony. Jego twarz wyrażała chłopcę, szczerą radość. Nachylił się nad nieczynną zamrażarką i z wyraźnym wysiłkiem zaczął z niej coś wyciągać.

ROZDZIAŁ 64

Walter wpadł do pokoju informatyków, niemal wrywając drzwi z zawiasami.

– Piotrek, dawaj ten film! – huknął od progu. – Chcę go natychmiast zobaczyć!

Piotr podniósł głowę znad klawiatury i ze stoickim spokojem spojrział na zadyszanego komisarza.

– Niepotrzebne te nerwy – odparł, prostując się na fotelu. – Plik jest już na pana dysku.

– Jak to? – Walter nie krył wzburzenia. – I dopiero teraz mi o tym mówisz?!

– A kiedy miałem powiedzieć, skoro nie dalej niż piętnaście minut temu gość zrobił to, co przewidziałem. Nie musieliśmy czekać siedmiu dni. – Na zwykle niewzruszonej twarzy Piotra pojawił się cień irytacji.

– Siedmiu dni? – Mina Waltera wyraźnie świadczyła o tym, że trochę się pogubił.

Informatyk westchnął ciężko.

– Pamięta pan, jak mówiłem, że plik po siedmiu dniach ulega automatycznemu skasowaniu, jeśli adresat go nie ściągnie? Pomysł był taki, żeby gość załadował go tam ponownie, a wtedy ja...

– Tak, tak, pamiętam. Ale przecież nie minął jeszcze tydzień?

– Widać facet jest niecierpliwy. Może bał się, że coś poszło nie tak i nie może pan ściągnąć tego pliku? Nie wiem. – Piotr wzruszył ramionami. – Jedno jest pewne – nie dalej niż kwadrans temu zrobił *reload*.

– Yhm... no OK. Czyli wpuściłeś mu tego robaka? – Walter spuścił nieco z tonu.

– Tak, panie komisarzu. Robak zaflancowany. Niestety, nie jestem w stanie określić, kiedy będą jakieś efekty i czy w ogóle będą, ale jestem dobrej myśli.

Walter już chciał warknąć, że woli wyniki od dobrych myśli, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Odwrócił się na pięcie i wyszedł.

– Miłego seansu, komisarzu – rzucił za nim Piotr, ale nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 65

1994–2000

Rodzice Elżbiety musieli trochę powalczyć o prawo do opieki nad chłopcem. Kurator sądowy, stara panna, wysuszona niczym święteczna śliwka, zachowywała się tak, jakby jej nadrzędnym celem było umieszczenie dzieciaka w placówce opiekuńczej. No bo czy dziadkowie nie są za starzy, żeby opiekować się kilkuletnim wnukiem? Czy będą w stanie zapewnić dziecku po tak ciężkiej traumie odpowiednie warunki i klimat? Koniec końców, dziadek, wyczerpany niekończącą się szarpaniną, zadzwonił do dawnego kolegi z wydawnictwa, w którym kiedyś pracował. Syn kolegi był wziętym dziennikarzem, pracującym dla ogólnopolskiej gazety. Zapoznawszy się ze sprawą, obiecał złożyć wizytę pani kurator. Wizyta najwyraźniej odniosła oczekiwany skutek, bo już nazajutrz dziadkowie i dziennikarz dostali sygnowane przez Sąd Rejonowy pismo potwierdzające przyznanie prawa do pełnej opieki.

Michał, syn Nikodema Malety, ku uldze dziadków i czuwającej nad nim pani psycholog już kilkanaście dni po tragedii, której był świadkiem, nie wykazywał żadnych objawów traumy pourazowej. Nie płakał, miał apetyt, dobrze spał. Psycholog stwierdziła, że jest zbyt mały, aby tragedia zostawiła w jego psychice jakiś głębszy ślad. Zaleciła też, by jak najdłużej chronić chłopca przed prawdą na temat tego, co się stało. Zgodnie z jej zaleceniem Michał dowiedział się, że jego mama umarła i jest w niebie z aniołkami. Wraz z dziadkami co tydzień chodził na cmentarz, by położyć na grobie matki świeże kwiaty. Z czasem stało się to dla niego zwykłą niedzielą

tradycją, której największą atrakcją była jazda tramwajem na drugi koniec miasta. O ojca, który zgodnie z wersją przekazaną przez dziadków wyjechał za granicę, czasem pytał. Zawsze jednak słyszał tylko jedną odpowiedź: „Tatusi nie wróci, Michałku”.

Na rozpoczęcie roku szkolnego Michał poszedł odprowadzony przez babcię i dziadka. W ramionach ścisnął pełen łakoci kartonowy róg obfitości. Podczas uroczystej akademii pierwszoklasiści siedzieli w honorowym rzędzie, rodzice tuż za nimi. Przy którejś z kolei deklamacji w wykonaniu starszych kolegów Michał zaczął się wiercić i rozglądać. Wtedy po raz pierwszy to dostrzegł. Za kolegami i koleżankami tak podobnymi do niego siedzieli dorośli zupełnie niepodobni do jego dziadków. Byli inaczej ubrani, w większości szczupli, ich włosy miały różne kolory, ale u nikogo nie były białe, twarze mieli gładkie i świeże. Babcia i dziadek – choć niewiele po sześćdziesiątce – wydali się Michałowi tak bardzo, bardzo starzy.

Po akademii wrócili do domu, a że w telewizji właśnie nadawano kolejny odcinek *MacGyvera*, myśli chłopca pomknęły w dużo ciekawsze, przyjemniejsze rejony.

Rok później, kilka dni przed Dniem Matki, na zajęciach z plastyki wychowawczyni poprosiła, aby każde dziecko na kartoniku z brystolu kolorowymi kredkami przygotowało dla swojej mamy zaproszenie na szkolną uroczystość. Na tablicy, dużymi literami, napisała treść, którą dzieci miały przepisać: „Kochana mamusiu, z okazji Twojego święta zapraszam Cię na akademię, która odbędzie się w naszej szkole we wtorek o godzinie piętnastej”.

– Kto chce, może oczywiście wymyślić własny tekst – powiedziała z uśmiechem i zaczęła się przechadzać po klasie.

Dzieci z zapalem wzięły się do pracy. W sali panowała pełna skupienia cisza, zagłuszana jedynie cichym tarcieniem kredek tańczących po powierzchni białego brystolu. Większość uczniów, wybrawszy drogę na skrót, przepisała tekst z tablicy.

Sprawniejsi w pisaniu bardzo szybko zajęli się rysowaniem na zaproszeniach fantastycznych ozdobników.

Michał Maleta siedział w przedostatnim rzędzie. Jego kartka była pusta. Odwrócony w stronę okna, chłopiec patrzył w dal. Wychowawczyni stanęła za nim i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

– Dlaczego nie rysujesz? – zapytała łagodnie.

Michał ze smutkiem spojrział jej w oczy.

– Moja mama nie żyje. Co tydzień z babcią i dziadkiem odwiedzamy jej grób – odparł cicho i ponownie odwrócił się w stronę okna.

– No tak... Rzeczywiście, twoja mama... – Nauczycielka zastanawiała się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji. – Wiesz co? Możemy zaprosić na akademię twoją babcię.

– Babcie na Dzień Mamy? – mruknął Michał, nie odrywając wzroku od szyby.

– Wiem, że babcia nie jest twoją prawdziwą mamą, ale przecież jest dla ciebie jak mama, prawda? – Mały tylko wzruszył ramionami. – Pozwolisz, że usiądę obok ciebie? Pomogę ci w tym. – Nie czekając na odpowiedź, nauczycielka zajęła miejsce obok chłopca. Mimo szczyrych wysiłków nie udało się jej zachęcić go do współpracy. Ostatecznie zaproszenie wyszło spod jej rąk. Wręczyła je Michałowi, który bez zaangażowania mruknął coś pod nosem. W Dniu Matki Michał oświadczył, że źle się czuje i chciałby zostać w domu. Babcia od razu dała mu termometr – rzeczywiście miał wysoką gorączkę. Wysłała wnuka z powrotem do łóżka. Gdy kilka dni później postanowiła wyprać tornister chłopca, wśród pomiętych papierków i drobnych śmieci znalazła złożoną na pół kartkę brystolu. Rozłożyła ją i z jej oczu zaczęły płynąć łzy.

ROZDZIAŁ 66

Walter zamknął na klucz drzwi gabinetu i usiadł obok Alicji. Z dwóch szklanek, stojących na biurku, parowała aromatyczna herbata earl grey, mile drażniąc zmysł powonienia.

Alicja najechała kursorem na folder, w którym informatyk umieścił plik ściągnięty z tajwańskiego serwera. Kliknęła dwa razy i na monitorze pojawiło się okno odtwarzacza. W nieruchomym kadrze widać było pomieszczenie bez okien, oświetlone trupio bladym halogenowym światłem, dochodzącym spoza obiektywu kamery. Brak okien sugerował, że mogła to być piwnica. Ściany były nieokreślonego koloru, a jedynym widocznym w kadrze elementem wyposażenia była stojąca pod jedną z nich skrzynia, wykonana z bliżej nieokreślonego materiału. Mniej więcej na środku pomieszczenia, pod sufitem podwieszony za ręce wisiał nagi mężczyzna. Nie ruszał się. Jego głowa zwisała bezwładnie, a stopy ledwo co dotykały podłogi. Po chwili podeszła do niego jakaś postać, sądząc po sylwetce – także mężczyzna. Ubrany był w biały, jednoczęściowy kombinezon z kapturem, który skrywał jego głowę. Przemysłowe okulary ochronne, jakie noszą drwale czy pracownicy rzeźni, przysłaniały jego oczy, pozostawiając na wierzchu jedynie nos i usta. Mężczyzna od tyłu złapał wiszącego za tułów i obrócił do obiektywu kamery, następnie za włosy uniósł jego głowę. Drugą ręką wyjął z kieszeni niewielki, prostokątny przedmiot i skierował go w stronę kamery. W tym momencie twarz nagiego mężczyzny wypełniła cały kadr. Była spuchnięta, z jego nosa i ust sączył się płyn, którego kolor nie pozostawiał wątpliwości – tuż przed rozpoczęciem nagrania ofiara musiała być dotkliwie pobita. Mężczyzna uniósł ciężkie, obrzmiałe powieki. W przekrwionych białkach z trudem można było dostrzec zielone tęczęwki. Mimo słabego światła jego źrenice miały rozmiar główki od szpilki.

Patrzył prosto w obiektyw kamery, ale tak, jakby nie był świadomy, na co patrzy.

– Zatrzymaj na chwilę – poprosił Walter. Alicja kliknęła w przycisk pauzy. – Możesz wyświetlić to wcześniejsze zdjęcie?

– To z trzema pijakami?

– Dokładnie. – Na monitorze pojawiło się zdjęcie meneli siedzących pod drucianym płótem. Jeden z nich, śmiejąc się, wyciągał przed siebie palec, jakby wskazywał na fotografa. – Możesz powiększyć ten fragment? – Z dwóch równoległych okien na Alicję i Waltera patrzyły oczy tego samego mężczyzny. Ta sama nieogolona, poorana bruzdami twarz, ten sam zamglony wzrok. Jediną różnicę stanowiły usta: na zdjęciu pod płótem były wygięte w krzywym uśmiechu, na zatrzymanym filmowym kadrze – spuchnięte, zaślinione, pokryte skrzepami krwi. – Odpal Phantomasa – rzucił komisarz. – Zobaczmy, co wypluje.

Alicja wykadrowała powiększoną twarz roześmianego kłozarda, zaznaczyła obszar do skopiowania i wkleiła zdjęcie do programu pomagającego w rozpoznawaniu twarzy. Jeśli osoba ze sprawdzanego zdjęcia kiedykolwiek była notowana w policyjnym rejestrze centralnym, powinni otrzymać jej dane osobowe. Nie minęło więcej niż pół minuty, gdy na monitorze pojawił się wynik poszukiwań. Mężczyzną ze zdjęcia był Waldemar Wojtasik.

Alicja i Walter spojrzeli po sobie. Nie musieli nic mówić. Oboje spodziewali się takiego rezultatu. Walter wiedział, że tamten prowadzi z nim grę. Wszystkie nagrania i poprzedzające je wiadomości miały go gdzieś doprowadzić. Ekspozycja okrucieństwa wobec ofiar psychopatycznego mordercy nie była jedynym celem nagrań. Walter miał dojść po nitce do kłębka. Czy była to próba sił, czy misternie planowana pułapka? Słowa wypowiedziane przez Niskiego na chwilę przed śmiercią sugerowały to drugie, lecz motyw wciąż pozostawał zagadką. Biorąc pod uwagę historię z Mariolą Becker, sprawa była dość oczywista, przynajmniej z perspektywy chorego z nienawiści człowieka. Jaka jednak była w tym rola Wojtasika? I które skrzypce grał Walter? Na te pytania wciąż nie znał

odpowiedzi.

Alicja ponownie uruchomiła nagranie. Zakapturzony mężczyzna przez chwilę stał nieruchomo. Wyglądało to tak, jakby coś mówił. Po chwili klepnął wiszącego Wojtasika w plecy i skierował się do widocznej za nim skrzyni. Otworzył wieko i z wyraźnym wysiłkiem zaczął z niej coś wyciągać.

– Zatrzymaj – znów poprosił Walter. – Zrób zbliżenie. Czy to nie jest...

– Zamrażarka – dokończyła Alicja. – Skrzyniowa zamrażarka. Wygląda, jakby była przyniesiona z jakiegoś złomowiska.

Film znów ruszył. Oprawca Wojtasika wytargał z zamrażarki coś, co przypominało ludzkie ciało. Ciągnął je po podłodze w stronę ściany. Początkowo widoczne były tylko skrępowane, bezwładne nogi. Gdy dowlókł ciało na miejsce i oparł je w pozycji siedzącej, oczom Alicji i Waltera ukazała się kilkunastoletnia dziewczyna. Ręce miała skrępowane w nadgarstkach i prawdopodobnie była nieprzytomna.

Tym razem komisarz sam zatrzymał nagranie i zrobił zbliżenie na twarz dziewczyny. Poczul na plecach gęsią skórę. Znał tę twarz.

– Roman, czy to nie jest... – Alicja zawiesiła głos.

– Tak, to Nikola Szymowska, gimnazjalistka ze zdjęcia w komputerze Gojnego. Chryste, mam nadzieję, że nie będzie się z nią rozprawiał na naszych oczach...

– Przekonajmy się. Puszczaj dalej.

Mężczyzna klepnął nieprzytomną dziewczynę w policzek. Nie zareagowała. Klepnął ponownie, tym razem mocniej. Wymamrotała coś pod nosem, ale nadal była nieświadoma. Oprawca na chwilę zniknął z kadru. Wrócił, niosąc coś białego – ręcznik lub dużą chustkę. Podsunął to pod nos dziewczyny. Nikola szarpnęła się i zaczęła kręcić głową. Po chwili otworzyła oczy. Zaczęła wodzić wokół półprzytomnym wzrokiem niczym wyrwany z głębokiego snu człowiek. Gdy jej wzrok zatrzymał się na stojącym przed nią mężczyźnie, zaczęła krzyżeć. Właściwie trudno było nazwać to krzykiem. Głos, który wydobywał się z jej gardła, przypominał zwierzęce kwilenie.

Ciche i żalodne. Mężczyzna uklęknął przy niej i zaczął coś mówić. Nikola wytrzeszczyła oczy i zaczęła gwałtownie kręcić głową. Gdy znów się odezwał, znieruchomiała. Jej wzrok wyrażał bezbrzeżny strach. Musiała zauważyć umocowaną na statywie kamerę, bo spojrzała prosto w obiektyw. Z szeroko otwartych oczu popłynęły łzy.

Oprawca wstał i na chwilę znów zniknął przed obiektywem. Gdy wrócił, w prawej ręce trzymał pałkę. W pewnym momencie podniósł ją i zbliżył do obiektywu. Alicja i Walter rozpoznali kij bejsbolowy. Nie był to jednak zwykły sportowy przyrząd – z jego czubka sterczało kilkanaście długich gwoździ. Kij przypominał średniowieczne narzędzie walki.

Mężczyzna podszedł do wiszącego Wojtasika. Padł pierwszy cios. Pałka trafiła mężczyznę w bok, kilkanaście centymetrów pod lewą pachą. Waldek zawył przeraźliwie i zaczął się szarpać. Mężczyzna w kombinezonie opuścił rękę. Stał teraz z zadartą głową, opierając ręce na biodrach. Jego sylwetka sugerowała zadowolenie, jakby podziwiał skuteczność pierwszego ciosu, jednocześnie rozkoszując się męczarnią ofiary. Wkrótce zaczęły padać kolejne ciosy. Raz za razem tłukł z zapamiętaniem, niczym w morderczym szale. Celował w bez mała każdy fragment ciała Wojtasika, które wkrótce pokryło się szkarłatnymi strugami. Na podłodze u stóp mężczyzny rozlewała się coraz większa kałuża krwi zmieszanej z nieczystościami – efektem niekontrolowanego wypróżnienia się dręczzonego mężczyzny.

Człowiek w kapturze milczał. Nie sapał, nie wykrzykiwał obelg w ekstatycznym uniesieniu, nie groził. Był jak niemy kat.

– Słyszałaś? – zapytał nagle Walter.

– Nie. Co niby miałam słyszeć?

– Zatrzymaj i cofnij o kilka sekund. – Alicja wykonała polecenie i ponownie uruchomiła odtwarzanie. – Moment, kiedy Wojtasik zacznie kręcić głową. O, teraz! Słyszałaś?

Do ich uszu dobiegły niewyraźnie wypowiedane słowa. Waldemar coś mówił.

– Tak, teraz tak – odparła Ala. – Co on mówi? Jakby go o coś prosił?

– Przewiń jeszcze raz i zwolnij. – Alicja cofnęła film i zmniejszyła szybkość do dziewięćdziesięciu procent oryginalnej prędkości. – Wypowiedział jego imię! Słyszałaś?

– Tak, tym razem słyszałam wyraźnie.

– Coś ci to mówi? – Walter już znał odpowiedź.

– To nieczęste imię. No i jest na naszej liście.

Spojrzeni po sobie wymownie. Potwór, którego poszukiwali, nagle nabrał ludzkich cech. Przestał być anonimowy. Zyskał imię i nazwisko.

Walter pierwszy przerwał ciszę:

– Zobaczymy to do końca. Później zapędzimy to bydlę tam, gdzie jego miejsce.

Waldemar Wojtasik z ogromnym wysiłkiem uniósł głowę. Wtedy po raz drugi usłyszeli jego słowa:

– Nikodem, skończ już... Błagam...

Oprawca odłożył pałkę i zwolnił zablokowaną linę. Gdy Wojtasik runął na podłogę, popchnął go nogą i odwrócił na wznak. Ich spojrzenia się spotkały. Patrzyli na siebie w milczeniu. Po chwili uklękł przy jego głowie, pochylił się i coś powiedział. Gdy wstał, w oczach Wojtasika widać było zdziwienie zmieszane z niedowierzaniem. Zaraz potem kloszard zaczął się śmiać. Nie był to histeryczny śmiech, tak częsty w obliczu nieuniknionego. Wojtasik śmiał się cicho, do siebie, jakby to, co usłyszał, było dowcipem zarezerwowanym tylko dla jego uszu. Wtedy na jego twarz wąskim strumieniem zaczęła się lać parująca ciecz. Żółty płyn zalewał oczy, nozdrza i usta ofiary. Wojtasik prawie nie reagował. Najwyraźniej był na skraju wyczerpania. Stojący nad nim kat strzepnął ostatnie krople moczu, zapiął rozporek i ponownie sięgnął po kij. Złapał go oburącz, stanął w rozkroku i jednym, przerażająco silnym i skutecznym ciosem zakończył swoje krwawe dzieło. Rzucił kij na ciało Wojtasika i wyszedł z kadru. Przez minutę, może nieco dłużej, kamera rejestrowała nieruchome, zakrwawione ciało leżące na betonowej posadzce. Za nim, pod ścianą, z zamkniętymi oczami siedziała Nikola. Później film się

skończył.

– Ala, ona może jeszcze żyć – odezwał się po chwili Walter.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Facet robi spektakl z każdego zabójstwa. Pewnie zostawił ją na potem.

– A Gojny?

– Co Gojny?

– Jego załatwił poza obiektywem.

– Gojny mógł być przypadkową ofiarą, kimś nieistotnym w jego scenariuszu.

– A dziewczyna jest istotna? Jaki ma związek z Beckerową, Wojtasikiem i tym świrem Nikodemem Maletą?

Walter westchnął.

– Nie wiem, czy w ogóle ma z nimi związek. Ale zniknęła już jakiś czas temu, a on trzyma ją żywą w tej cholernej zamrażarce. Gdyby chciał pozbyć się jej, tak jak pozbył się Gojnego, to już dawno leżałaby gdzieś w lesie.

– Po jaką cholere w ogóle wyjął ją z tej skrzyni? – Alicji to wszystko przestawało się mieścić w głowie.

– Ala, facet w swym szaleństwie jest bardzo metodyczny. Myślę, że to była kolejna zapowiedź. Wcześniej wysłał mi zdjęcie Wojtasika, a teraz przesyła nową wiadomość: „Ona będzie następna”. Dlatego uważam, że dziewczyna jeszcze żyje.

– Masz jakiś pomysł, jak ją znaleźć? – Alicja spojrzała na Waltera z nadzieją. – To nagranie mogło być zrobione wszędzie. Takich piwnic są tysiące. W jaki sposób namierzymy tę konkretną? – Komisarz nie odpowiedział. Siedział w milczeniu, przyciskając dłonie do skroni. Coś nie dawało mu spokoju. Miał bardzo wyraźne przeczucie, że coś mu umknęło. Ta myśl pojawiła się nagle i drażyła jego mózg niczym wiertło. Wstał i zaczął nerwowo chodzić po pokoju. – Co jest, Roman?

– spytała Alicja z niepokojem.

– Mam nieodparte wrażenie, że coś przegapiliśmy.

– O co ci chodzi?

– O ten film.

– Co mogło nam umknąć? To nagranie było jak horror z gatunku gore. Wszystkie szczegóły jak na dłoni.

– No właśnie. I na tym byliśmy skupieni. Jatka, jaką Maleta sprawił Wojtasikowi, pochłoneła naszą uwagę na tyle, że zapomnieliśmy o dziewczynie. Puść to jeszcze raz od momentu, jak zaczyna tłuc Wojtasika. – Alicja w milczeniu wykonała polecenie. – A teraz nie patrz na Wojtasika, skup się na dziewczynie.

W momencie gdy oprawca rozpoczął swój makabryczny taniec, Nikola zacisnęła mocno powieki, uniosła skrępowane ręce, założyła je za głowę i przycisnęła przedramiona do uszu. Jej wargi cały czas poruszały się rytmicznie.

– Spójrz na jej usta! – zawołał Walter. – Ona coś mówi!

Alicja cofnęła nagranie o kilka sekund. Powiększyła obraz, tak że na ekranie była widoczna tylko twarz Nikoli, i uruchomiła odtwarzanie w zwolnionym tempie. Niestety, nie byli w stanie usłyszeć jej głosu. Wrzask katowanego Wojtasika skutecznie ją zagłuszał.

Walter złapał za słuchawkę telefonu. Na szczęście Piotr był u siebie.

– Potrzebuję cię, i to zaraz! – rzucił komisarz i się rozłączył.

Po mniej więcej dwóch minutach w drzwiach stanął Piotr. Przyniósł ze sobą laptopa.

– Czy jesteś w stanie wyodrębnić to, co ona mówi? – zapytał komisarz, gdy skończyli oglądać fragment nagrania.

– Powinienem dać radę – odparł informatyk.

– Ile czasu potrzebujesz?

– Maksymalnie pół godziny.

– Daj mi znać, gdy tylko skończysz.

Alicja i Walter wyszli na zewnątrz. Znowu spadła temperatura i zaczął prószyć drobny śnieg. Od zachodu wolno, choć nieubłagane, nadciągały ciężkie, ołowiane chmury. Koniec ferii zimowych w stolicy i załamanie pogody skutkowało miały paraliżem komunikacyjnym, o czym nie omieszkały informować wszystkie rozgłośnie radiowe i stacje telewizyjne.

– Możesz mnie poczęstować? – zapytała Alicja, zerkając na paczkę papierosów, którą Walter wyciągnął z kieszeni.

W normalnych okolicznościach zdziwiłaby go jej prośba. Ileż razy prawila mu kazania na temat zgubnych skutków palenia, namawiała do podjęcia psychoterapii czy wypróbowania kolejnego cudownego medykamentu. Teraz jednak po prostu wyciągnął paczkę w jej stronę.

Potrzebowali kilku minut, aby w ciszy przetrwać kolejną makabrę zafundowaną im przez mordercę. Tych parę chwil, aby się pozbierać i na chłodno, bez niepotrzebnych emocji pójść dalej. Alicja, wstrząśnięta okrucieństwem wszystkich tych zabójstw, doskonale zdawała sobie sprawę, jaki ciężar nosił w tej chwili na swoich barkach Walter. Tym bardziej że wciąż nie miał bladego pojęcia, jaki jest jego udział w tej okrutnej grze. Jedyne wspólne mianownik to Waldemar Wojtasik, z którym chodził do szkoły. Ale co mają do tego Mariola Becker, jej córka i brat? Skąd i dlaczego znalazł się w tym wszystkim Niski?

Nikodem. Nazwisko na liście. Imię wypowiedziane przez Waldemara. Nikodem, Nikodem... Trzeba go znaleźć, zanim znów kogoś zabije, zanim rozprawi się z uwięzioną w piwnicy Nikolą. Trzeba go znaleźć i wszystko się wyjaśni.

W kieszeni Waltera zabrzmiał dzwonek komórki. Dzwonił Piotr.

– Masz coś? – zapytał komisarz bez zbędnych wstępów. – Doskonale. Zaraz u ciebie będę.

Gdy czekali na windę, zadzwoniła komórka Alicji. Na wyświetlaczu pojawiło się zdjęcie jej mamy.

– Cześć, mamu... – Przerwała, wsłuchując się w głos po drugiej stronie. – Tak, tak, to ja. Tak, oczywiście, zaraz będę. – Rozłączyła się i spojrzała na Waltera.

– Coś się stało? – zapytał, szczerze zaniepokojony.

Alicja niepewnie pokiwała głową.

– Dzwonili ze szpitala. Moja matka miała wylew. – Jej głos drżał lekko, choć próbowała okiełznać emocje. – Przepraszam

cię, Roman, ale muszę tam jechać.

Walter objął ją i przytulił mocno. Później ujął jej głowę w dłonie i spojrzał głęboko w oczy.

– Zasuwał tam i niczym innym się teraz nie przejmuj, jasne?
– Pocałował ją w czoło i delikatnie pchnął w kierunku wyjścia z komendy.

ROZDZIAŁ 67

Niski ubierał się, zerkając ukradkiem na intruza, który tak bezceremonialnie wtargnął do alkowy, w której realizował swoje erotyczne fantazje. Mężczyzna był wysoki i dobrze zbudowany. Miał krótko obcięte, miejscami przyprószone siwizną, czarne włosy i pociągłą twarz z wyraźnie zaznaczonym podbródkiem. Jego oczy były dość głęboko osadzone i w przytłumionym świetle Niski nie był w stanie określić ich koloru, za to z łatwością ocenił jakość i wartość garnituru, a także zegarka, który nieznanomy nosił na lewym nadgarstku. On, Maurycy Niski, z całą pewnością nigdy nie mógł i prawdopodobnie nigdy nie będzie mógł pozwolić sobie na podobne.

– Jutro pojedziesz pod ten adres. – Mężczyzna rzucił na materac obok Niskiego kartonik wielkości wizytówki.

Niski dopiął ostatnie guziki koszuli i wziął kartonik do ręki.

– O co chodzi? Po co mam jechać do więzienia? – zapytał, nic z tego nie rozumiejąc.

– Spotkasz się tam z kimś – odparł lakonicznie nieznanomy.

– Z kim? Kto to taki? – Wicherek rzucił kartonik na podłogę i wstał z zamiarem wyjścia. – A może nie mam ochoty z nikim się spotykać. Odpieprz pan się ode mnie!

Nie zdążył zrobić jednego kroku, gdy mężczyzna jednym zdecydowanym pchnięciem usadził go z powrotem.

– To nie jest prośba – odezwał się. – A jeśli potrzebujesz zachęty, to możemy podesłać twojej żonie coś ciekawego. Możesz nawet wybrać. – Wyciągnął smartfona i wyświetlił zdjęcie, na którym Niski, goły, jak go Pan Bóg stworzył, klęczał w pozycji „na pieska” przed nagą kobietą. Kobieta jedną ręką opierała się o jego nagi pośladek, a drugą wyciągała z jego tyłka sznur z nanizanymi kulkami wielkości dorodnych winogron. Wicherek parę razy przesunął palcem po ekranie, wyświetlając

kolejne ujęcia. Zdjęć wystarczyłoby na kilka wydań magazynu dla wielbicieli zabaw sadomaso. Podniósł głowę i spojrzął na podwieszona na suficie lustro. Ileż to razy stymulował podniecenie, obserwując w nim swoje erotyczne zmagania. Teraz przeklął je w myślach. – Masz tam być dokładnie o dwunastej w południe – kontynuował mężczyzna. – Nie możesz się spóźnić. Wiesz, co będzie, jeśli nawalisz. Jak tylko zajedziesz, zadzwoń pod ten numer. – Wręczył Niskiemu drugi kartonik. – Zostaniesz poinstruowany, co masz dalej robić. Wszystko jasne?

– Tak. – Wicherek utkwiał wzrok w czubkach swoich butów. Nagle podniósł głowę. – A co ze zdjęciami? Dostanę je, jeśli zrobię to, czego pan chce?

– Nie. Ale nie dostanie ich nikt inny, a chyba zależy ci na dyskrecji, prawda? – Schował smartfona do wewnętrznej kieszeni marynarki i ruszył w stronę wyjścia. W progu odwrócił się i dodał: – Teraz jedź do domu. I nie spóźnij się.

ROZDZIAŁ 68

2009

W ogólniaku Michał poznał Damiana. Od początku wywarł na nim ogromne wrażenie – był z rodzaju tych, co to wystarczy, że się pojawiają, a wszystkie oczy od razu kierują się w jego stronę. Na początku Michała trochę to denerwowało, ale szybko zepchnął to uczucie na margines świadomości i tak jak inni pozwolił, by Damian po prostu go oczarował.

Któregoś dnia na lekcji wychowania fizycznego, nie zważając na paskudną pogodę, grali w piłkę nożną. Małe, asfaltowe boisko z trzech stron było otoczone ścianami kamienic, a z czwartej oddzielone dwumetrowym murem od sąsiadującego z nim cmentarza. Ponad dwadzieścia lat temu dyrekcja szkoły zapobiegliwie wyposażyła mur w półorametrową siatkę, lecz po latach z siatki zostało tylko wspomnienie, a źle kopnięta piłka często lądowała wśród nagrobków po drugiej stronie muru. Lekcja dobiegała końca. Drużyna Michała przegrywała trzy do czterech. Michał, choć nie był sportowym beztalenciem, nie był też mistrzem w tej dyscyplinie. Zdecydowanie lepiej radził sobie w siatkówce. Pod koniec meczu bramkarz wyrzucił piłkę na drugą stronę boiska, wprost pod nogi Michała, który całkiem niezłe ją przyjął.

– Dawaj! Dawaj tutaj! – Michał usłyszał krzyk i zobaczył, że kapitan drużyny stoi niekryty na prawo od bramki przeciwników.

Szybka decyzja, wykop i piłka poszybowała w kierunku kapitana. Niestety przeleciała kilka metrów nad jego głową i zniknęła za cmentarnym murem.

– Ja pierdołę! – Kapitan drużyny złapał się za głowę. – Pojechało cię?! Mogliśmy zremisować!

– Sorry, tak wyszło... – Michał rozłożył ręce w przeproszającym geście.

– Sorry? Tak wyszło? Tyle masz do powiedzenia, sieroto?

SIEROTO! Ten niewybredny epitet dla Michała był niczym szpila wbita w czuły punkt.

– Co powiedziałeś? – Zrobił kilka kroków w kierunku kapitana.

– Że jesteś łamaga i sierota!

Michał był już pewien, że tamten wie, co mówi – że celowo uderza w tę strunę. I wtedy poczuł, że traci kontakt z rzeczywistością. Gniew i żal przelały czarę goryczy. Nie bacząc na to, że z barczystym, wysportowanym i o kilka kilogramów cięższym od niego chłopakiem nie ma większych szans, rzucił się na niego, machając pięściami na wszystkie strony. Walka zapewne skończyłaby się solidnym łomotem, gdyby nie wuefista. Potężny mężczyzna bez trudu rozdzielił walczących uczniów i w kilku żołnierskich słowach nakazał im powrót do szatni.

– Co cię tak wkurwiło? – usłyszał za plecami Michał, gdy już wychodził ze szkoły.

– Że co? – Odwrócił się, zaskoczony.

Obok drzwi wyjściowych, podpierając ścianę, z nonszalancko podwiniętą nogą, stał Damian.

– No, na wuefie.

– Nieważne – rzucił. – Cwany dupek. Myśli, że jest jakimś zasranym Maradoną.

– Muszę przyznać, że masz jaja. Gościu przy tobie wygląda jak szafa przy taborecie.

– Szafa przy taborecie? – Michał parsknął śmiechem. – To z jakiegoś filmu?

– No. Z *Reksia* – zaśmiał się Damian i dodał: – Chodź, pójdziemy gdzieś zajarać.

– Na boisko? – zaproponował Michał, bo zwykle tam podczas dużej przerwy zbierali się koneserzy nikotyny.

– Nie. Znam lepszą miejscówkę. Tylko trzy przystanki siódemką stąd.

Kawiarnia o nazwie Skandal wśród obdrapanych, szaroburych kamienic wyglądała niczym kolorowy kwiat rosnący na pogorzeliisku. Zawieszony nad wejściem neon błyszczał czerwonym i niebieskim światłem, a ze środka, mimo wczesnej pory, docierał gwar rozmów prowadzonych przy dźwiękach Daft Punk, w kłębach błękitnego dymu.

- Byłeś tu kiedyś? – zapytał Damian, gdy weszli do środka.
- Nie. – Michał pokręcił głową. – A ty skąd znasz to miejsce?
- Po prostu znam. – Damian uśmiechnął się szelmowsko.

Po lewej stronie sali ciągnął się kontuar, a przy nim w rzędzie stały wysokie krzesła barowe. Michał zaczął się rozglądać za wolnym miejscem. Jego uwagę przykuły napisy na ścianach – fragmenty artykułów pochodzących z pierwszych stron anglojęzycznej prasy. Wytłuszczone czcionki krzyczały: „Znany wokalista M.M. znowu pijany na koncercie!”; „Frontman popularnej grupy rockowej zdjął spodnie na środku sceny!”; „Mąż celebrytki powoduje wypadek pod wpływem kokainy!”.

– Podoba ci się? – zapytał Damian, który od dłuższej chwili obserwował kolegę.

- Ciekawy pomysł – przyznał Michał.
- Mój.
- Co?
- No, te napisy. Ja to wymyśliłem. – Chłopak pękał z dumy.
- Są prawdziwe? – zapytał Michał z uznaniem.

Damian wzruszył ramionami.

– A kogo to obchodzi? Ważne, że przykuwają uwagę. W każdym razie mówią o prawdziwych zdarzeniach. – Pchnął Michała w stronę, gdzie kończył się kontuar. – Chodź, klapniemy na zapleczu. Mam tam wygodne fotele.

Michał w końcu nie wytrzymał. Postanowił zadać pytanie, na które Damian najwyraźniej czekał, od kiedy weszli do lokalu.

– Słuchaj, czy ty masz coś wspólnego z tą knajpą? Czy ona jest twoja?

– Formalnie należy do mojego starego – odparł z dumą Damian. – Ale to tak, jakby była moja, brachu. Weźmiemy po browarku i wszystko ci opowiem.

– No i teraz mój cudem odzyskany staruszek nadrabia lata nieobecności. Wiesz, ten bar, zagraniczne wycieczki i cały ten szajs. W ostatnie wakacje pływaliliśmy jachtem po Morzu Egejskim. Stary nauczył mnie żeglowania, a na koniec wakacji w plecaku znalazłem papiery żeglarskie. Czujesz? Ze zdjęciem, pieczętkami i w ogóle. Ma gościu chody, bez dwóch zdań.

– Niezła historia – przyznał Michał, gniotąc niedopałek w popielnicze. – Co właściwie robi ten twój tatko?

– Nie wiem, kurwa. – Damian machnął ręką. – Eksport, import czy chuj go wie. Szczerze mówiąc, mam to gdzieś. Ważne, że przy nim wreszcie żyję jak król. – Zgarnął ze stołu puste szkło i zniknął za drzwiami. Po kilku minutach wrócił, niosąc kolejne piwa.

– Nie kontrolują, ile tego lejesz? – Michał mrugnął do niego porozumiewawczo.

– Pogięło cię? Przecież to jakby moja speluna. Mogę brać, co chcę i kiedy chcę. I nawet TO mam. – Damian pomachał koledze przed nosem małym foliowym woreczkiem.

Michał od razu zdał sobie sprawę, na co patrzy.

– Trawa – rzucił.

– Jarałeś już?

– Raz, może dwa, na jakiejś imprezie – skłamał.

– Ta jest specjalna. Podwójny kop prosto z Holandii. Podobno wali tak, że nie chcesz już potem żadnej innej.

Gdy wyszli ze Skandalu, zmierzchało. Mieszanka piwa i marihuany pobudziła krew i wyobraźnię. Szli przed siebie, co chwilę wybuchając niekontrolowanymi atakami śmiechu. Na co dzień zwykle, wręcz ignorowane przedmioty teraz nabierały nowego wymiaru. Krawężnik zmienił się w urwisko, a kałuża po wieczornym deszczu urosła do wielkości

mazurskiego jeziora. Doszli do skweru. Kilka ławek, parę klombów. Usiedli, oddychając głęboko. Damian wyjął z kieszeni paczkę lucky strike'ów, zapalił jednego i podał pudełko Michałowi. Palili w milczeniu. Euforia ustąpiła miejsca zadumie i nagle znów było jak zawsze – podniszczone ławki, dziurawy chodnik, miejski wieczorny gwar.

– Zazdroszczę ci – odezwał się Michał.

– Czego? Skandalu? – zapytał obojętnie Damian.

– Nie. Zazdroszczę ci ojca.

– Przestań. – Chłopak machnął ręką. – Jest spoko, ale twój chyba też w porządku, co nie?

– Nie mam pojęcia. Nie ma go – wyznał Michał. – Zniknął w pizdu. Nawet go nie pamiętam.

– Przykro słyszeć. Czyli byłeś chowany pod skrzydłami matki tak jak ja. – Damian pokiwał głową.

– Matka leży na Bródnowskim. Zmarła, jak miałem dwa lata.

ROZDZIAŁ 69

Walter znów wpadł do pokoju informatyków jak po ogień. Pierwsze, co zauważył, to pełen zadowolenia wyraz twarzy Piotra. Informatyczny geniusz triumfował. Z wyodrębnieniem głosu uwięzionej dziewczyny uporał się w kilkanaście minut. Piotra nie interesowało, co chciała przekazać Nikola – najważniejsze, że odniósł sukces.

– Co ona mówi? – rzucił komisarz od progu.

– Proszę, niech pan sam posłucha. – Informatyk uruchomił odtwarzanie.

W głośnikach zabrzmiał szum. Dźwięk przypominał monotonne buczenie, coś jak generator lub lodówka. Gdzieś w tle, jakby zza ściany, przedzierał się stłumiony wrzask dręczonego Wojtasika. Nagle usłyszeli głos Nikoli. Choć nie brzmiał naturalnie, był czysty i dość wyraźny. Dziewczyna kilkukrotnie powtórzyła trzy słowa: „Wołomin, ulica Zakole”.

Walter aż się wzdygnął. Czyżby dziewczyna podawała im adres, pod którym znajduje się ta piwnica? Czy w takich okolicznościach byłaby w stanie pozbierać myśli i złapać się tej ostatniej deski ratunku? I dlaczego tamten nie zareagował? Nie słyszał jej? Pewnie wrzaski katowanego Wojtasika zagłuszyły głos Nikoli. Dziewczyna wykorzystała moment, gdy oprawca stał do niej tyłem. Najpewniej domyśliła się, że to nagranie do kogoś trafi, i postanowiła dać sobie szansę. Jeśli tak właśnie było, to są już blisko. Bardzo blisko.

– Wygoogluj mi tę ulicę – polecił.

Po paru sekundach na ekranie laptopa pojawiła się mapa. Ulica Zakole była niewielka – sto, może dwieście metrów długości. Nikola nie podała bardziej szczegółowych informacji, lecz ile domów może stać przy tak krótkiej ulicy? Dziesięć, piętnaście? Nie powinno być problemów ze znalezieniem tego właściwego.

Dzielna dziewczyna, przyznał Walter w duchu i wybrał numer do szefa antyterrorystów. Później zadzwonił do Maćka.

Ulica Zakole, zgodnie ze swoją nazwą, miała kształt łuku. Najwyraźniej w planach zagospodarowania przestrzennego nie była umieszczona na liście priorytetów, bo jej nawierzchnia przypominała trasę rajdu terenowego. Jedynym dowodem na to, że włodarze Wołomina nie zapomnieli o jej istnieniu, była pachnąca nowością niebiesko-czerwona tablica z nazwą, przymocowana do koślawo wbitego słupa. Walter pomyślał, że tylko dzięki niej Nikola mogła zidentyfikować miejsce, do którego ją przywieziono.

Jeszcze podczas jazdy Walter dostał potwierdzenie, że przy ulicy Zakole mieszczą się tylko dwie nieruchomości. Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że jedna z nich to pusta rudera, w której ktoś powybił większość okien. Nie było więc wątpliwości, gdzie powinni się udać.

Dom stał na nieogrodzonej działce, której granice wytyczał murowany fundament. Gdyby nie on, można by odnieść wrażenie, że budynek stoi w szczerym polu. Nie było tu żadnych drzew, ozdobnego krzewu czy choćby śladu trawnika. Dom był typowym klokiem, jakich w Polsce tysiące, wyglądał na niedokończoną przed laty inwestycję. Wyblakłą czerwień cegieł nieotynkowanych ścian kryły zgniłozielone plamy porostów, a na niewielkim tarasie rosło kilka samosiejek, których korzenie wrosły w szczeliny popękanej betonowej wylewki. Przed budynkiem było pusto, a w środku – ciemno. W domu jednak ktoś mieszkał, bo z komina wystającego ponad pokryty papą dach unosił się wąski słup siwego dymu, a na prowadzącej do drzwi ścieżce widniały wydeptane w śniegu ślady.

Policijni komandosi w czarnych uniformach zajęli pozycje. Wszystko odbyło się sprawnie, szybko i bez hałasu. Stalowy łom bez trudu poradził sobie z drzwiami i komandosi dostali się do środka. Walter i Maciek w bezpiecznej pozycji czekali na zewnątrz. Maciek, choć nadal nie czuł się najlepiej, po telefonie

od szefa ani przez chwilę nie rozpatrywał odmowy. Po kilku minutach, które zdawały się ciągnąć godzinami, w drzwiach domu stanął jeden z komandosów.

– Czysto, możecie wejść! – zawołał.

– Sprawdziliście piwnicę? – zapytał Walter, idąc w jego stronę.

– Tak. W rogu pod brezentową płachtą leży trup. Mężczyzna. Wiek trudno określić, zresztą sam pan zobaczy.

– Już widziałem. A co z zamrażarką? – Walter zignorował zdziwienie w oczach komandosa.

– Z jaką zamrażarką?

Komisarz wyminął komandosa i zbiegł do piwnicy.

– Facet wszystko filmował. Stąd wiemy – wyjaśnił krótko Maciek i podążył na dół za Walterem.

Skrzyniowa zamrażarka była zamknięta. Do wieka i frontowej ściany ktoś przymocował solidny skobel zabezpieczony kłódką. Szarpnęli za wieko, jednak puściło może na pół centymetra.

– Macie coś, czym można ruszyć to cholerstwo? – Walter odwrócił się do obserwującego ich zmagania komandosa. Gdy ten zniknął na schodach prowadzących na górę, komisarz zauważył, że boczna ściana skrzyni jest podziurawiona w kilkunastu miejscach. Może się nie udusiła, pomyślał i przykucnąwszy, zbliżył twarz do podziurawionego boku. – Nikola, słyszysz mnie? – zawołał łagodnie. – Jestem z policji. Zaraz cię stąd wyciągniemy. Słyszysz? – mówił spokojnie, lecz na tyle głośno, aby mieć pewność, że będzie słyszany. Odpowiedziała mu cisza. Walter powtórzył całą kwestię i ponownie przyłożył ucho do ścianki. Wydało mu się, że słyszy cichy jęk. A potem – i tego był już całkowicie pewien – usłyszał delikatne stuknięcie. – Gdzie jest ten łom, do jasnej cholery?!

W tym samym momencie komandos wrócił do piwnicy. Zakrzywioną, płaską końcówką łomu podważył skobel i szarpnął zdecydowanym ruchem. Kłódka i skobel wylądowały na podłodze.

Z gwałtownie bijącym sercem Walter podniósł wieko.

Wewnątrz, skulona w pozycji embrionalnej, leżała Nikola Szymowska. Miała zakneblowane usta i cała drżała. Komisarz zdjął knebel i dotknął jej czoła. Było rozpalone. Musiała mieć z czterdzieści stopni gorączki.

– Maciek, pomóż mi ją wyciągnąć! Dawajcie tu jakiś koc! I niech ktoś zadzwoni po karetkę!

Po kilku chwilach dziewczyna, owinięta przeciwWSTRZĄSOWĄ folią, leżała na polarowym kocu. Walter nachylił się nad nią ostrożnie, żeby jej nie wystraszyć.

– Nikola, słyszysz mnie? – zapytał cicho.

Z trudem otworzyła oczy. Miała błędny wzrok. W wydechany przez usta powietrzu Walter wyczuł jakieś chemikalia. Zaczęła coś niewyraźnie mamrotać. Zrozumiał, że dziewczyna majaczy i w tej chwili na pewno niczego sensownego się od niej nie dowie.

Po kilku minutach usłyszeli syrenę karetki i do piwnicy zeszli ubrani w czerwone uniformy ratownicy.

– Trzeba natychmiast zabrać ją do szpitala. Dziewczyna jest czymś odurzona i ma wysoką gorączkę – poinformował ich Walter.

Jeden z ratowników uklęknął przy Nikoli, ujął jej nadgarstek, a następnie za pomocą niewielkiej latarki sprawdził odruch źrenic. Na koniec stetoskopem osłuchiwał klatkę piersiową dziewczyny.

– Puls słaby, ale stabilny. Źrenice reagują prawidłowo. Powinna z tego wyjść, choć pewności nabierzemy dopiero po dokładnych badaniach.

– Kiedy będzie można z nią porozmawiać? – zapytał komisarz.

Ratownik spojrział na niego i wzruszył ramionami.

– Wrózką nie jestem, panie...

– Nadinspektor Roman Walter.

– Panie nadinspektorze. Nie wiadomo, czym jest odurzona. Tak jak mówiłem, badania są niezbędne.

– Gdzie ją zabieracie? – zapytał Maciek.

– Najszybciej będzie do powiatowego.

– Jedź z nimi – zarządził Walter. – Nie zostawiaj jej, dopóki

ktoś cię nie zmieni. Jeśli coś powie, od razu daj mi znać.

– Jasne, szefie – odparł Maciek. – Wraca pan do firmy?

– Tak. Spróbuję wygrzebać coś o tym Malecie. Musimy dorwać drania, i to jak najszybciej.

Gdy karetka odjechała, Walter wsiadł do swojej octavii i zapalił papierosa. Uratowali tę dziewczynę, więc dlaczego nie czuł ulgi? Technicy prześwietlą dom, w którym poszukiwany bandyta z pewnością zostawił mnóstwo śladów, i niewykluczone, że śledztwo nabierze rozpędu. A mimo wszystko czuł dziwne przygnębienie. Coś go trapiło, lecz nie potrafił powiedzieć co.

Zanim ruszył, postanowił sprawdzić, co u Alicji. W słuchawce usłyszał jednak tylko komunikat o niedostępności abonenta.

ROZDZIAŁ 70

2009

Dzień wypalonego wspólnie jointa wyznaczył początek wielkiej i szalonej, choć, jak się miało okazać, krótkiej przyjaźni. Michał i Damian niemal wszystko robili razem, uzupełniali się wręcz doskonale. Towarzyska dusza Damiana, jego łatwość w nawiązywaniu kontaktów, wrodzony luz i brak uprzedzeń stały się dla Michała bezterminową przepustką do szkolnego i pozaszkolnego establishmentu. Zaczął poznawać ludzi, którzy w innych okolicznościach nawet by na niego nie spojrzeli, bywał na imprezach, o których istnieniu wcześniej nie miał pojęcia. Podobało mu się to. Lubił takie życie, lubił nowe towarzystwo, lubił pieniądze, których Damian zawsze miał sporo. Żyli w doskonałej symbiozie. Damian dawał Michałowi to, czego tamten ze względu na brak pieniędzy nie mógłby mieć, a sam z chęcią korzystał z inteligencji swojego przyjaciela i łatwości w przyswajaniu wiedzy. Mniej więcej w połowie klasy maturalnej tę czystą relację zaburzyła mała rysa.

W tym czasie Skandal stał się popularnym miejscem spotkań okolicznych licealistów; dzieciaki przesiadywały tam godzinami, popijając piwo lub kawę, surfując po Internecie lub po prostu prowadząc ważne dyskusje. Tamtego dnia, krótko przed studniówką, Michał wyjątkowo poszedł do lokalu sam. Damian musiał pojechać gdzieś ze swoim ojcem i chyba nie chciał wtajemniczać przyjaciela w szczegóły. Na scenie samplował jakiś domorosły artysta i większość klientów skupiała się na słuchaniu muzyki.

Nagle Michał poczuł, że ktoś trąca go w ramię.

– Przepraszam, możemy się do ciebie dostać? Nie ma już wolnych miejsc, a chyba jesteś sam?

Obok stały trzy dziewczyny. Musiały właśnie przyjść, bo miały na sobie zimowe płaszcze, a ich uszy i nosy były zaczerwienione od mrozu. Ta, która zadała pytanie, była wyższa od pozostałych i jeden rzut oka wystarczył, aby Michał stwierdził, że jest najładniejsza z całej trójki.

– Jasne, siadajcie – odparł ochoczo i wskazał wolne krzesła.

Dziewczyny podziękowały, zamówiły napoje i zajęły się sobą. Michał popijał wodę gazowaną, raz po raz spoglądając na dziewczynę, do której koleżanki zwracały się imieniem Agata. Nie przedstawili się sobie, nie zamienili nawet jednego słowa, lecz wiedział, że mogłaby być miłością jego życia. Im dłużej ją obserwował, tym bardziej utwierdzał się w tym przekonaniu. Wiedział też, że jeśli zaraz czegoś nie wymyśli – nie wpadnie na pomysł, jak do niej zagadać – to panna wkrótce zniknie i wszystko trafi szlag. Gdy pisał opowiadania na zajęcia kółka literackiego, snucie intrygi, budowanie scen i ról dla bohaterów nie przysparzało mu najmniejszego problemu, jednak teraz nie miał bladego pojęcia, jak zacząć. Gdy w końcu postanowił po prostu się przedstawić, z nadzieją, że sprawy potoczą się same, dziewczyny wstały i rzuciwszy zdawkowe „cześć”, odeszły w swoją stronę.

W nocy przyśniła mu się Agata. Byli razem na studniówce i byli w sobie szaleńczo zakochani. Gdy się obudził, postanowił, że jeśli kiedykolwiek jeszcze ją spotka, nie zmarnuje drugiej szansy.

Okazja nadarzyła się już za kilka dni. Niestety, nie wykorzystał jej. Ubiegł go Damian. Michałowi nie pozostało nic poza przyglądaniem się, jak dziewczyna jego marzeń rozplywa się w blasku jego przyjaciela niczym wosk w płomieniu świecy.

ROZDZIAŁ 71

Matka Alicji mieszkała sama. Gdy kilka lat temu owdowiała, nie zdecydowała się przeprowadzić do córki, pomimo że ta uparcie ją do tego nakłaniała. Nie chciała zamienić starego, zawilgoconego mieszkania na nowoczesny apartament na Ursynowie. Wciąż powtarzała, że chce być u siebie i przeżyć ostatnie lata w miejscu, z którym wiązało się tyle dobrych wspomnień. „Starych drzew się nie przesadza”, mawiała często. Nawet gdy po niefortunnym upadku złamała kość biodrową i wdrapywanie się na trzecie piętro stało się dla niej gehenną, uparcie trwała przy swojej decyzji. Alicja odwiedzała matkę najczęściej, jak mogła; robiła zakupy i pomagała w domowych obowiązkach, lecz wciąż dręczyły ją wyrzuty sumienia, że nie poświęca jej wystarczająco dużo czasu. Regularnie nawiedzały ją też ponure wizje, że któregoś dnia nie zdąży.

Teraz, gdy wkładała kluczyk do stacyjki, ta myśl wróciła. Alicja zacisnęła powieki. Nie rozklej się! – pomyślała. Działaj!

Aura w błyskawicznym tempie weryfikowała ponure wizje meteorologów. Z zachodu, niczym ostatnia armia rzucona do walki w przegranej już wojnie, nadciągały ciężkie, ołowiane chmury. To, co jeszcze kilkanaście minut temu można było nazwać delikatnym śniegiem, zamieniało się w białą kurtynę ciężko opadającą na ulice miasta. Przechodnie, zaskoczeni ponurym kaprysem pogody, stawiali na sztorc kołnierze płaszczy, szczelnie zawijali się szalikami, a co bardziej przewidujący rozkładali parasole, starając się uchronić wierzchnie okrycia.

Widoczność spadała z każdą minutą. Alicja widziała już tylko światła jadących przed nią samochodów. Wycieraczki z trudem nadążały za napierającymi płatami śniegu. Podłoże zmieniało

się w marznącą, brudną breję. Laweciarze już zacierali ręce, licząc na spory zarobek.

Niewiele brakowało, a Alicja na własnej skórze doświadczyłaby zgubnego wpływu kapryśnej pogody. Na pierwszym ostrym zakręcie prawie otarła się o nadjeżdżającego z naprzeciwka tira. Szofer ciężarówki, typ o fizjonomii jaskiniowca, wymachując gniewnie ręką, zapewne obrzucił ją niewybrednymi epitetami, których na szczęście nie usłyszała.

Do szpitala na Bródnie miała niecałe osiem kilometrów. Piętnaście minut jazdy w normalnych warunkach. Te dzisiejsze, niestety, dalekie były od normalnych, w dodatku ponieważ zorientowała się, że wybrała najgorszą drogę z możliwych – kierowała się w stronę wiecznie zakorkowanej i remontowanej Trasy Toruńskiej. Powinna przecież wiedzieć, czego może się spodziewać, zwłaszcza przy takiej pogodzie.

Decyzja była szybka. W dupę z przepisami! – pomyślała Alicja, po czym wyjęła ze schowka policyjnego koguta i włączyła syrenę.

Kilka chwil później wjechała na – wyjątkowo pusty – szpitalny parking. Budynek kliniki zbudowanej w latach siedemdziesiątych przypominał gigantyczne, białoniebieskie klocki ułożone na niewielkim wzgórzu. Każdy, kto po raz pierwszy przekraczał próg szpitala, czuł się przytłoczony i zagubiony w kilometrowych labiryntach korytarzy i schodów.

Alicja zerknęła na zegarek. Dwadzieścia minut! Mogłam być prędzej, idiotka! – skłęła się w duchu i w tej samej chwili kolejne przekleństwo, tym razem głośno i donośnie, popłynęło z jej ust:

– Kurwa, torebka!

Zostawiła ją na biurku. W środku miała dokumenty z historią leczenia matki. Świadoma słabego stanu zdrowia staruszki, zawsze nosiła przy sobie tę teczkę. Na wszelki wypadek. Taki, jaki zdarzył się dzisiaj. Tymczasem ona pognąła do samochodu, nie myśląc o niczym.

Pierwsza myśl: Walter. Nie. Wykluczone. Przecież jest teraz zagrzebany w syfie z Waldkami, Mariolami, Nikosiami i szlag

wie, kim jeszcze... Parszywa sprawa. Maciek? Biedak, nie doszedł jeszcze do siebie. Trudno. Sięgnęła po telefon i wybrała numer. Po kilku sygnałach usłyszała jednak tylko automat poczty głosowej. Rozłączyła się i spróbowała ponownie. Ścisnęła telefon w dłoni tak mocno, że pobieleły jej knykcie. Znowu poczta. Nie ma wyjścia.

– Maciek, tu Ala – powiedziała, wysiadając z auta. – Mam do ciebie gorącą prośbę, to bardzo ważne. Czy mógłbyś...

Poczuła, że sztywnieje jej kark. Sekundę później pogrążyła się w nieświadomości.

ROZDZIAŁ 72

Obudził go dzwonek telefonu. Był sam. Żona, jak w każdą niedzielę, poszła do kościoła. Już kilka lat temu darował sobie odgrywanie cotygodniowego spektaklu. Nie wierzył w Boga i nie zamierzał udawać, że jest inaczej.

– Na twoim miejscu ruszyłbym dupę – usłyszał głos w słuchawce. – Masz być punktualnie, pamiętasz?

– Spokojnie zdążę – zapewnił Niski. – Poza tym skąd wiesz, że jestem w domu?

– Jak na byłego glinę jesteś cholernie naiwny.

Natychmiast zrozumiał, że zachował się jak kompletny ignorant. Mieli co najmniej kilka sposobów, by sprawdzić jego lokalizację: od ustawienia pod domem obserwatora po monitorowanie jego komórki.

– Zaraz wyjeżdżam – rzucił i się rozłączył.

Zerknął na zegarek. Nie powinien mieć problemu z dojechaniem na czas. Co ich tak pili, kurwa? – pomyślał z irytacją. Więzienie to nie pieprzony przystanek autobusowy!

Załóżyl te same ubrania, które poprzedniego wieczoru rzucił na podłogę sypialni, wzuł buty i napisał na kartce krótką wiadomość dla żony: „Nie czekaj z obiadem. Wrócę wieczorem”.

Klnąc pod nosem na swoją sytuację, zamknął drzwi na klucz i udał się na parking. Widok piętnastoletniego rżęcha nie poprawił mu humoru. Wsiadł do peugeota, westchnął głęboko i przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Miałeś pan, kurwa, być dziesięć minut temu! – usłyszał w słuchawce, gdy wybrał numer otrzymany od nieznanego. – Zaraz po pana zejść. Niech się pan nigdzie nie rusza!

Maurycy Niski stał przy bramie wjazdowej na teren zakładu

karnego. Od bramy w obu kierunkach rozpięta była kilkumetrowej wysokości siatka, zakończona u góry zwojem z drutu kolczastego. Między siatką a betonowym murem, za którym zaczynał się teren właściwego więzienia, niczym ziemia niczyja ciągnął się kilkumetrowy pas zieleni. Mur postawiony na planie wielokąta przypominał historyczną twierdzę – z wieżyczkami w narożach. Niski znał to miejsce z czasów, gdy nosił policyjną odznakę. Był to jeden z najcięższych i najlepiej strzeżonych zakładów karnych w kraju.

– Najpierw pretensje, że się spóźniłem, a teraz muszę czekać... – wymamrotał i postanowił zapalić papierosa.

Nie zdążył wyjąć paczki z kieszeni, gdy ktoś klepnął go w ramię. Niski aż podskoczył. Spodziewał się, że ktoś nadejdzie od strony zakładu, a nie zaskoczy go od tyłu.

– Pan Maurycy Niski? – zapytał nieznajomy. – Proszę za mną.

Ruszyli w kierunku wartowni. Mężczyzna podszedł do strażnika, podał mu rękę i zamienił z nim kilka słów. Wartownik kiwnął głową i dał znać, że mogą wejść. Przeszli przez pas zieleni i stanęli pod dużą, stalową bramą prowadzącą na wewnętrzny teren więzienia. Mężczyzna nacisnął przycisk interkomu.

– Słucham? – rozległo się w głośniku.

– To ja – rzucił.

Po chwili usłyszeli brzęczyk odblokowującego się zamka. Weszli do środka. Mężczyzna przywitał się z kolejnym strażnikiem i coś do niego szepnął. Tamten bez słowa kiwnął głową i otworzył kolejne drzwi.

Niski, choć starał się tego nie pokazywać, był szczerze zdziwiony. Wchodził na teren więzienia, a nikt nie pofatygował się nawet, aby sprawdzić jego dane osobowe. Nikt też nie zrewidował jego kieszeni ani nie zapytał o cel wizyty. Cała ta sytuacja zupełnie mu nie pasowała. Cokolwiek miało się wydarzyć, jego – Maurycego Niskiego – oficjalnie tu nie było. Gdyby z jakiegoś powodu nigdy już nie wyszedł na zewnątrz, nikt by tego nie zauważył. Podążał w ślad za nieznajomym, targany coraz większym niepokojem.

Pokonawszy jeszcze dwa strzeżone przejścia i labirynt korytarzy, stanęli przed kolejnymi drzwiami.

– Proszę wejść do środka – powiedział nieznajomy. – Jak skończycie, będę tu na pana czekać.

Niski spodziewał się zobaczyć nieumeblowane, puste pomieszczenie, coś w rodzaju ponurego pokoju widzeń, tymczasem jego oczom ukazał się pokój najwyraźniej pełniący funkcję biura. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stały regały wypełnione segregatorami. Zapach papierosowego dymu zdawał się sączyć z każdego kąta. W centralnym miejscu stało biurko, a przy nim – plecami do wejścia – siedział jakiś mężczyzna. Odwrócił się, dopiero gdy za Niskim zamknęły się drzwi.

– Miał pan być wcześniej – powiedział. – Czy instrukcje mojego człowieka nie były dość wyraźne? – Niskiemu odjęło mowę. Mężczyzną, który wstał zza biurka, był Robert Jaszczuk, szerzej znany jako Miotła. Gangster, który w zemście za śmierć swojego syna porwał i z zimną krwią zamordował żonę i córkę komisarza Romana Waltera. – Niech pan nie stoi jak słup soli! Mam mało czasu. – Miotła wskazał krzesło.

– Nic nie rozumiem... – Niski nie krył konsternacji. – Co ja tu robię?

– Zaraz wszystko pan zrozumie. Tylko proszę mi nie przerywać. Proszę też się nie obawiać. To pomieszczenie jest czyste. Nikt nie będzie nas słyszeć. Kosztowało mnie to wiele zachodu. Mam nadzieję, że nie będę musiał powtarzać tego, co zaraz powiem, więc skup się pan, jasne?

ROZDZIAŁ 73

2012

Refleksy zachodzącego za horyzont słońca odbijały się od gładkiej tafli wody. Znad rozpalonych ognisk unosiły się słupy dymu, a nieruchome, rozgrzane powietrze niosło dźwięki gitary. Nadchodziła bezwietrzna noc i jezioro było praktycznie puste. Kończył się jeden z najgorętszych dni lata; lokalna stacja meteorologiczna odnotowała najwyższe od jedenastu lat wskazanie temperatury – trzydzieści trzy i trzy dziesiąte stopnia Celsjusza.

Dyżurny meteorolog właśnie kończył zmianę, gdy z regionalnego biura nadeszła informacja opatrzona czerwoną chorągiewką. W tytule dużymi literami zapisano: „PILNE!”. Synoptyk przeczytał dwukrotnie treść wiadomości. Po chwili wahania podniósł słuchawkę i wybrał numer Mazurskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

– Cześć, Adam – powiedział, gdy usłyszał znajomy głos. – Jak minął dzień?

– Siema, Heniu. Jak to przy takiej pogodzie. Ciuciubabka z pijusami. Słońce wali ludziom w czachę. Parę piwek dla ochłody i scenariusz znasz. Co ci będę gadał.

– Polski standard wakacyjny – podsumował Heniu. – Słuchaj, wysłałem ci coś. Chyba powinieneś to zobaczyć.

– Właśnie czytam. Wygląda na to, że czeka nas ciekawa noc.

– Sześćdziesiąt milimetrów opadu i wiatr ponad sto dwadzieścia na godzinę.

– Zadzwoń do starego, pewnie ściągniemy kilku chłopaków na nocny dyżur.

Na nabrzeżu mariny, jeden obok drugiego, siedziało dwóch młodych mężczyzn i kobieta. Ładna szatynka o regularnych rysach i oliwkowej cerze, z lekko zarysowanymi kośćmi policzkowymi, które nadawały jej słowiańskości nieco orientalny wdzięk, była dziewczyną jednego z nich. Kawalek dalej siedziała blondynka przypominająca nordycką księżniczkę ze skandynawskiej sagi. Choć stanowili jedną paczkę, blondynka sprawiała wrażenie nieobecnej. Miała zaciśnięte usta, a na jej policzkach, kontrastując z jasną karnacją, płonęły czerwone plamy.

Wzdłuż nabrzeża stały zacumowane jachty – w większości nieprzekraczające dziesięciu metrów jednomasztowe kabinówki, czarterowane na kilkunastodniowe rejsy. Większość była pusta. Hałas i dźwięki szant dochodzące z pobliskiej tawerny nie pozostawiały wątpliwości, gdzie przebywały załogi. Tylko na niektórych pokładach rodziny spożywały wieczorny posiłek.

– Gdzie on się podział? – szatynka zwróciła się do siedzącego po lewej stronie młodego mężczyzny. W jej głosie brzmiała nuta irytacji.

– Nie mam pojęcia. – Wzruszył ramionami.

– Najlepszy kumpel Damiana nie wie, gdzie zniknął jego przyjaciel?

– Iza, daj spokój Michałowi. Źle ci? – Jej chłopak objął ją ramieniem.

– Po prostu nie chce mi się tu dłużej siedzieć. Chciałabym wrócić na skarpę – odparła, podnosząc się.

Kameralne miejsce, które odkryli kilka dni temu, było jednym z ostatnich, gdzie mogli zapalić ognisko i spędzić czas przy gitarze, z dala od towarzystwa wortalionowych dresach i dobiegającej z przenośnych odtwarzaczy rąbarki disco polo.

– Agata, dzwoniłaś do niego może? – zapytał Michał.

Blondynka, z rękami założonymi na piersiach, wpatrywała się w horyzont.

– Ma wyłączoną komórkę.

Michał zauważył, że dziewczyna ma w oczach łzy. Od samego rana czuł, że między Agatą a Damianem coś jest nie tak. Jego

przyjaciel jak zwykle nie okazywał emocji. Z jego twarzy czy zachowania zwykle trudno było wywnioskować, w jakim naprawdę jest nastroju. Tym, którzy nie znali go zbyt dobrze, wydawał się luzakiem, trzymającym niezobowiązujący dystans do wszystkich i wszystkiego. Michał jednak dobrze znał Damiana. Znał też Agatę, w której od zawsze był beznadziejnie zakochany. Z piątki przyjaciół, którzy wybrali się na wakacyjny rejs, ich trójka znała się od lat.

– Pójdę sprawdzić, czy nie siedzi w Żęzie – zdecydował. – Idziesz ze mną?

– Idź sam – odparła Agata, wciąż zapatrzona w dal. – Mam po dziurki w nosie tej speluny. Chociaż wcale się nie zdziwię, jeśli go tam znajdziesz.

Michał nie chciał zostawiać dziewczyny samej w tak ponurym nastroju, z drugiej strony jednak wyraziła się jasno – miała dość klimatu Żęzy. Jeden rzut oka na Izę i Pawła wystarczył, aby tę dwójkę też odpuścił. Para obściskowała się namiętnie, zapomniawszy o bożym świecie.

Tawerna leżała w odległości kilkudziesięciu metrów od portu jachtowego. Nie trzeba było pytać o drogę ani specjalnie wyteżać wzroku – zgiełk i dudniąca z głośników szantowa muzyka prowadziły jak po nitce do kłębka.

Na lokal zaadaptowano zbudowaną z kamienia stajnię, która do końca drugiej wojny światowej stanowiła jedno z licznych zabudowań gospodarczych majątku Lehndorffów, starego mazurskiego rodu o korzeniach sięgających początku piętnastego wieku. Czasy świetności tych zabudowań, z których poza odrestaurowaną stajnią, kilkoma budynkami gospodarczymi i popadającym w ruinę szkieletem dawnego pałacu nic więcej nie zostało, podobnie jak z setek im podobnych, przerwało nadejście czerwonoarmistów.

W tawernie, na powierzchni dwustu metrów kwadratowych, w kilku rzędach stały drewniane stoły. Za ladą uwijało się paru barmanów, a na niewielkiej scenie trzyosobowa kapela rżnęła nieśmiertelne hity o wilkach morskich, czterech piwach

i pięknych dziewczynach z gorącej Hiszpanii. W powietrzu unosiła się charakterystyczna mieszanina zapachów – chmielowego nektaru, dymu papierosowego, kiełbasy z rusztu, frytek i wszystkiego tego, co od początku lat dziewięćdziesiątych zdążyło wsiąknąć w podłogę, ściany i strop żeglarskiej karczmy.

Michał zauważył Damiana, gdy tylko stanął w progu Żęzy. Chłopak był w doskonałym humorze – na oko między trzecim a czwartym piwem. Zawiesiwszy jedno ramię na siedzącej obok dziewczynie, a drugie na jakimś facecie, zdierał gardło w chóralnym śpiewie. Jego dłoń raz po raz wędrowała w okolice piersi dziewczyny. Gdy w końcu dostrzegł Michała, obie jego ręce błyskawicznie znalazły się nad głową.

– Chodź do nas! Zajebista impreza! – Damian machał z entuzjazmem.

– Ocipiałeś?! Mieliśmy płynąć na skarpe! – wykrzyczał Michał, przedzierając się między stolikami. – Czekamy na ciebie!

– Wyluzuj, skarpa nie ucieknie. A tu jest po prostu, kurwa, zajebiście! A tak w ogóle to jest Monika, a to Jacek. – Damian wskazał na swoich towarzyszy. – A to, kochani, mój najlepszy kumpel, Michał. – Michał kiwnął głową na przywitanie i już chciał poprosić Damiana na stronę, ale ten energicznie przesunął po stole pełny kufel piwa. – Ty się napij, a ja po nich pójde – zaproponował. – Zdążymy na skarpe. Pójdziemy na silniku i będzie gites, ale na razie zostajemy tutaj.

Damian wyszedł, a Michał zaczął przyglądać się parze, z którą został przy stoliku. Byli mniej więcej w tym samym wieku. Okazało się, że są z Węgorzewa i podjechali do Sztynortu w nadziei na jakąś imprezę. Chłopak pracował w miejscowym warsztacie samochodowym, dziewczyna sprzedawała tandetę w sklepie z pamiątkami. Szybko też się dowiedział, jaki z jego przyjaciela jajcarz i w ogóle „cool” facet. Po chwili Damian,

jakby ściągnięty tęsknymi myślami węgorzewskiej pary, zmaterializował się obok. Byli z nim Iza i Paweł, a także – ku zdumieniu Michała – Agata.

Cały Damian, pomyślał Michał. Jeszcze kilkanaście minut temu wszyscy byli na niego wkurwieni, a teraz grzecznie, jak kurczaki za kwoką, wmaszerowują za nim do świątyni piwa i szant. Nawet Agata, rozpromieniona, wisiła na jego ramieniu. Tak było zawsze. Gdy Damian czegoś chciał, gdy na czymś mu zależało, potrafił każdego owinać sobie wokół małego palca. Miał rzadki dar zjednywania ludzi i robił to w białych rękawiczkach. Stanowiło to część jego natury – jak umiejętność latania u ptaków czy instynkt łowiecki u kota.

Kończyli trzecią kolejkę piwa. Zespół zapowiedział kolejne gitarowo-skrzypcowe trio, które dla odmiany miało zagrać repertuar country. Gwar przybierał na sile; ktoś próbował namówić schodzącą ze sceny kapełę, by zagrała jakiś nikomu nieznaną kawałek, ktoś inny, fałszując niemiłosiernie, zawył *Góralu, czy ci nie żal?*, z tyłu rozległ się brzęk tłuczonego szkła.

– Nie wiem jak wy, ale ja rzygam tym country – zawołał nagle Damian, wprawiając towarzystwo w osłupienie. – Jak słyszę te zawrota, to mi się bebechy skręcają!

– Damian, co ty pieprzysz?! Przecież twój stary robi sponsoring w Mrągowie! – zauważył ze śmiechem Paweł.

– Wielki mi sponsoring! Parę billboardów i tyle.

– Tak czy siak, powinieneś być fanem – do rozmowy włączył się Michał.

– Kurwa, wystarczy, że przez starego siedziałem tam w zeszłym roku! Wiercie lub nie, ale w połowie drugiego dnia marzyłem o tym, żeby pojechać na festiwal disco polo, obojętne tylko nie słuchać tego beczenia zarzynanych baranów!

– Damian, głuptasie – parsknęła Agata. – Przecież country to taka muzyka od serca.

Chłopak zerknął na nią, tak jakby właśnie wyrosła jej broda.

– Mnie raczej przyprawia o zawał serca – zripostował. – To co, spadamy?

Pożegnawszy się z Moniką i Jackiem, ekipa wyszła na zewnątrz. Paweł z Izą od razu pobiegli przodem. Muzyka dudniąca za ich plecami z każdym krokiem cichła, a do uszu Agaty, Damiana i Michała zaczął dochodzić śpiew samotnego artysty gitary i pióra, wyśpiewującego ballady w głuchą toń jeziora. Nagle Damian się zatrzymał. Podniósł rękę i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć. Pstryknął jednak tylko palcami, odwrócił się na pięcie i ruszył z powrotem w stronę Zezy.

– Stój! – zawołała za nim Agata, wyraźnie poirytowana. – Co robisz?

– Idźcie, ja zaraz wrócę – rzucił przez ramię. – A ty, Michał, skołuj oświetlenie. Za dnia na pewno nie dopłyniemy.

Tym razem Damian dotrzymał słowa. Wrócił po dziesięciu minutach w towarzystwie Moniki i Jacka.

– Mamy dwóch nowych członków załogi – oświadczył. – Monia i Jacek płyną z nami.

Michał i Agata milczeli, skonsternowani kolejnym spontanicznym pomysłem Damiana. Wprawdzie nowi znajomi przy piwie wydawali się fajni, ale łódź to nie knajpa. Agata już w tawernie zauważyła, że Damian niby przypadkiem, ale regularnie muska Monikę po karku i plecach. Wiedziała też, że nie ona jedna to dostrzegła. Chłopak Moniki też to widział, ale nie reagował. W pewnym momencie chyba nawet mrugnął do Agaty, uśmiechając się dwuznacznie. Tym bardziej oniemiała, gdy Damian wymyślił, że ściągnie tych dwoje na pokład. Odwróciła się i bez słowa przeszła na dziób.

– No, no, niezła krypa – zauważył Jacek, wchodząc na pokład. – Musicie mieć bogatych starych.

Michał dostrzegł w jego oczach błysk zawiści i coś jeszcze, co wzbudziło w nim dziwny niepokój.

– Pożyczona – skłamał.

Jacek zaczął wyjmować z plecaka butelki. Podważając kapsle zapalniczką, otworzył je i podał kolejno Damianowi i Michałowi. Z trzecią butelką ruszył w kierunku Agaty,

siedzącej na dziobie. Przykucnął za nią tak blisko, że poczuła na karku jego ciepły oddech. Przełożył ramię nad jej barkiem, pocierając kark dziewczyny.

– Co ty wyprawiasz? – Wzdrygnęła się.

– Przyniosłem ci piwo – odparł cicho, zbliżając usta do jej ucha. – Nie chcesz?

– Nie mam ochoty. – Agata zerwała się z miejsca.

– Ty chyba nie jesteś zadowolona z tego, że tu jesteśmy. – Jacek uśmiechnął się cynicznie.

Agata miała nieodparte wrażenie, że w jego oczach dojrzała dziwny, niepokojący błysk.

– Szczerze? Nie jestem. Ale to nie moja łódź i nie moja decyzja. A teraz bądź tak miły i idź do kokpitu.

Po chwili rozległ się rytmiczny warkot dwusuwowego silnika Yamahy i łódź, manewrując pomiędzy labiryntem drewnianych kei, wypłynęła na jezioro. Trzymając się want, Agata wciąż stała na pokładzie dziobowym. Rozejrzała się wokół. Byli jedyną łodzią na wodzie. Na linii brzegowej po obu stronach jeziora gdzieś mrugały światła ognisk. Odchyliła głowę, pozwalając, by wiatr tańczył w jej włosach. Gdy znów omiotła wzrokiem horyzont, poczuła niepokój. Zamiast ciepłych barw zachodzącego słońca, nad wodą widniał złowrogo czarny pas chmur, rozświetlany raz po raz błyskiem wyładowań atmosferycznych.

– Damian, chodź tu, zobacz! – zawołała. – Coś chyba jest nie tak.

– Co się dzieje? – rzucił chłopak, podając Jackowi butelkę z przezroczystym płynem.

Agata ze złością zerknęła w ich stronę.

– Mało wam piwa? Już wóde chlejecie?

– Daj spokój, księżniczko. – Szelmowski uśmiech nie schodził z ust Jacka. – Wszystko pod kontrolą.

– Nie przejmuj się, mała. Na pewno zdążymy dopłynąć przed burzą – zapewnił Damian i podkręcił obroty silnika.

Agata ponownie spojrzała na horyzont. Linia brzegu, jeszcze

przed chwilą wyraźnie widoczna, teraz rozmyła się w ołowianoszary kształt. Przeszła do kokpitu i sięgnęła do achterpiku po kamizelkę. Mocowała się z poplątanymi taśmami, gdy usłyszała za sobą głos Jacka:

– Pomogę ci, księżniczko.

Intruz wyrwał jej kamizelkę z rąk i markując pomoc, wsunął jej rękę pod koszulkę.

– Odpieprz się, ty świnió! – krzyknęła, odpychając go od siebie.

Jacek uśmiechnął się lubieżnie i w tym samym momencie poczuł silne uderzenie w tył głowy. Odwrócił się, zaskoczony.

– Odwal się od niej, gnoju!

Michał stał na szeroko rozstawionych nogach, zaciskając pięści.

– Co ty, kur...? – Jacek nie dokończył. Potężna siła zwała go z nóg i runął jak długi, uderzając głową w skrzynię mieczową.

Nadszedł szkwał.

ROZDZIAŁ 74

W zaciszu gabinetu Walter ślęczał przed ekranem komputera. Na jego biurku, oprócz sterty papierów, stały dwie szklanki z niedopitą herbatą. Dopił swoją, a potem przelał sobie resztkę ze szklanki Alicji. Odkąd kilka dni temu postanowił zrobić sobie przerwę od alkoholu, rozsmakował się w specyficznym aromacie earl grey. Uwielbiał cierpki posmak, który zostawiała na języku, zwłaszcza gdy mógł wzbogacić go wciąganiem w płuca dymem papierosowym.

Wstał, przekręcił klucz w zamku i mimo szalejącej za oknem śnieżycy uchylił okno. Sięgnął po paczkę i wyjął jednego z ostatnich papierosów. Zapalił. Sam nie wiedział, który już raz tego dnia. Gryzący dym wypełnił pomieszczenie. Walter zerknął na sufit, sprawdzając, czy plaster, którym miesiąc temu zakleił czujnik, jest na swoim miejscu. Był. Taśma Scott niezawodnie spełniała swoją rolę. Zaciągnął się jeszcze kilka razy i sprawnym pstryknięciem posłał peta za okno. Nagły podmuch wiatru, niosący ze sobą drobiny śniegu, uderzył go w twarz. Zamknął okno, zasunął roletę i wrócił za biurko.

Nikodem. Nikodem Maleta. Jedno z nazwisk na liście Maćka. Z jego imieniem na ustach Wojtasik dokonał żywota. Wiadomo, że obaj byli na tych samych koloniach letnich i że coś tam się wydarzyło. Coś, za co już kilka osób zapłaciło życiem. Tylko co? Co spowodowało tak tragiczne w skutkach następstwa? Jakie wydarzenie zrodziło bestię, która po tylu latach morduje z zimną krwią? Mariola Becker już nie odpowie na to pytanie. Wojtasik, który czule obejmował ją na starym zdjęciu, też zamilknął na wieki. Co było między tą dwójką? Co zrobili Malecie? Za jakie grzechy matki zapłaciła jej córka i brat? I co on, Walter, ma z nimi wszystkim wspólnego? Przecież nigdy nie był na koloniach letnich. Nie spędzał wakacji w Ludwikowie. Mariolę Becker spotkał po raz pierwszy podczas

jej przesłuchania. Leśnika Gojnego też wcześniej nie znał. Z Wojtasikiem sprawa wyglądała nieco inaczej – był wspólny mianownik. Alicja odkryła, że uczęszczali do tej samej podstawówki. Ale co z Maletą? Może on też uczył się w tej samej szkole?

Odpalił wyszukiwarkę i wpisał adres oraz numer szkoły. Na ekranie pojawiły się pełne dane teleadresowe. Podniósł słuchawkę i wystukał numer. Po kilku sygnałach zgłosiła się automatyczna sekretarka. Bezbarwny głos uprzejmie poinformował, że w związku z feriami zimowymi sekretariat szkoły będzie nieczynny do tego a tego dnia.

– Szlag... – mruknął pod nosem.

Może powinien zadzwonić do Alicji? Przeszkadzać jej, kiedy jest w szpitalu przy matce? Wylew to poważna sprawa. Do diabła! Przecież nie ma czasu na odkrywanie tego, do czego ona już doszła! Musi z nią porozmawiać! Nie zastanawiając się dłużej, złapał za komórkę i wybrał numer. „Abonent czasowo niedostępny”. Ponowił próbę. To samo. Jasny gwint, czyżby z jej matką było tak źle, że wyłączyła telefon?

Nagle go olśniło. Szkoła ma ferie, ale kuratorium oświaty chyba nie! Szybko znalazł dane w sieci.

– Kuratorium, słucham. – Ton głosu, który zabrzmiał w słuchawce, nie rokował dobrze. Królowa sekretariatu była wyraźnie znudzona i zła, że ktoś miał czelność zawracać jej głowę.

W pierwszym odruchu Walter zamknął oczy i w myślach policzył do dziesięciu.

– Dzień dobry. – Próbował nadać swojemu głosowi niską, matową barwę. – Nazywam się Roman Walter. Dzwonię z Komendy Stołecznej Policji.

– Z policji? – W pytaniu zabrzmiało zdziwienie z domieszką niepokoju.

– Tak, ale proszę się nie obawiać, nie mam zamiaru pani aresztować – zażartował, choć wiedział, że nie był to dowcip najwyższych lotów.

– Aresztować? A za co miałby mnie pan aresztować? – odfuknęła kobieta.

– Proszę się nie gniewać – odparł, próbując ratować sytuację.
– To tylko mały żart.

– Ha, ha, dobre sobie, aresztować! – Sekretarka zaśmiała się, wyraźnie rozbawiona.

– Słyszę, że ma pani poczucie humoru. To rzadkość. – Komisarz postanowił kuć żelazo, póki gorące.

– Wie pan, ja bardzo lubię się śmiać. Wszyscy uważają mnie za wesołą babeczkę.

Starał się pozbyć obrazów, które podsuwała mu wyobraźnia. W innych okolicznościach mógłby sobie pozwolić na krótką zabawę kosztem oświatowej urzędniczki, dziś jednak nie miał na to ani czasu, ani ochoty.

– Mam do pani wielką prośbę.

Nie wiadomo, czy zadziałał wykreowany na potrzebę chwili urok osobisty Waltera, czy po prostu urzędniczka miała dobry dzień, ale komisarz szybko zdobył potrzebne informacje. Okazało się, że w archiwach kuratorium istnieje interesujący go spis uczniów. Pani Marzenka, jak przedstawiła się na koniec, obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, aby w ciągu godziny przesłać na jego skrzynkę mailową dane osobowe ucznia, którego Walter poszukuje. O ile oczywiście do nich dotrze. Walter podziękował jej najbardziej serdecznie, jak potrafił, po czym odłożył słuchawkę, wyciągnął nogi na biurko i zapalił kolejnego papierosa.

Wrócił myślami do lat swojego dzieciństwa. Nie miał szczególnych wspomnień z podstawówki. Ani dobrych, ani złych. Choć nie należał do grupy fighterów, przeszedł przez szkolną dżunglę w miarę spokojnie. Miał nieczęstą, acz bardzo przydatną umiejętność niewychylania się. Nigdy nie był ostatni, czy to w nauce, czy w sporcie, nie zyskał więc upokarzającego statusu szkolnego popychadła. Nie należał też do grupy lizusów i kujonów wystawianych na scenie w auli przy okazji zakończenia roku szkolnego. Z drugiej strony, będąc zmuszonym do konfrontacji, co od czasu do czasu się zdarzało, nie podwijał ogona i odważnie stawał do walki. Z reguły

obrywał, ale zawsze walczył – i to wystarczyło.

Waldus Wojtasik. Teraz już sobie przypominał. Wyrośnięty „spadochroniarz”. Nie był tępakiem, po prostu był zły. Kawał gnoja z aspiracjami do przywództwa nad szkolnymi bandziorami. Pamiętał, jak w kinach grano *Wejście smoka* z Bruce’em Lee. Walter sam widział ten film chyba kilkanaście razy. Szał na karate ogarnął większość dzieciaków; przeróżnej maści szkoły walk rosły jak grzyby po deszczu. Pamiętał też modę na koszulkę z wizerunkiem karateki rozcapierzającego w drapieżnym geście palce dłoni. Na jego klatce piersiowej widniały rany zadane mu przez Hana, czarny charakter filmowej opowieści. Pół szkoły pobiegło na Różyckiego, bo każdy chciał mieć taką koszulkę. Moda nie ominęła również Waldusia, choć on dla odmiany postanowił się upodobnić właśnie do Hana. Któregoś dnia Waldus przyszedł do szkoły, dzierżąc w dłoni nunchaku. Kroczył korytarzem, a za nim jak zwykle ciągnęło się kilku przydupasów. Wywijał pałkami na wszystkie strony. Pierwszą ofiarą została stojąca na parapecie doniczka. Jej skorupy rozprysnęły się we wszystkich kierunkach, gdy z impetem uderzył w kamionkę. Waldus potrzebował jednak mocniejszych wrażeń. Chłopak mógł chodzić do drugiej, może trzeciej klasy. Gdy po tygodniu wrócił do szkoły, jego usta wciąż przypominały dwa bordowe serdelki, a po dolnych i górnych siekaczach zostało tylko wspomnienie. Taki właśnie był Waldus. Jednego tylko Walter do dziś nie potrafił zrozumieć: dlaczego ten cham, bydlę, sadysta miał takie powodzenie wśród dziewcząt, nawet tych grzecznych, noszących na rękawach czerwoną tarczę. Co w nim widziały?

Ze wspomnień wyrwał go sygnał nadchodzącej wiadomości e-mail. Pani Marzenka pozdrawiała go serdecznie i informowała, że w załączniku znajdzie skan akt osobowych ucznia o nazwisku Maleta Nikodem wraz z jego zdjęciem ze szkolnej legitymacji. Pośpiesznie przesłał wyrazy wdzięczności, po czym otworzył załączony plik. To, co zobaczył, właściwie go nie zdziwiło. Tak jak przypuszczał, Wojtasik, Maleta i on uczęszczali do tej samej szkoły. Co do tego nie było już żadnych wątpliwości. Z samych akt jedna informacja mogła mieć

znaczenie – adres zamieszkania. To samo osiedle, na którym i on się wychował. Gigantyczne blokowisko anonimowych budynków, a w nich jeszcze bardziej anonimowi mieszkańcy. Kto wie, może nadal tam mieszka? Może nie wyrwał się jeszcze spod matczynej spódnicy? Trzeba to sprawdzić.

Wstawał od biurka, gdy zadzwoniła jego komórka.

– No cześć, Ala – powiedział, narzucając kurtkę na ramiona.
– Co u mamy?

– Mama cała i zdrowa. Natomiast Ala... hmm... trudno powiedzieć – odpowiedział mu męski głos.

Walter poczuł, jak włosy na całym ciele stają mu dęba. Opadł z powrotem na krzesło i przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa. Wiedział, kto dzwoni. Ta świadomość spadła na niego bez uprzedzenia. Jego mózg wyświetlił mu krótką informację wielkimi, jaskrawymi literami: ALICJA JEST W ŚMIERTELNYM NIEBEZPIECZEŃSTWIE!

– Wiem, kim jesteś – odparł, gdy już odzyskał głos.

– Naprawdę? Gratulacje!

– Czego chcesz? – zapytał bez emocji, choć zastrzyk adrenaliny zaczął już działać.

– Ciebie – usłyszał po drugiej stronie. – Chcę ciebie, komisarzu.

– W porządku. Gdzie mam przyjechać?

– Nie wiesz? Zastanów się dobrze.

– Słuchaj, Maleta, odpuść sobie te zagadki!

– „Słuchaj, Maleta”? – W głosie Nikodema Walter wyczuł kpinę. – To ty słuchaj, komisarzu. Rusz głową, bo czasu jest mało. Każda historia ma swój początek i koniec. Ta zakończy się tam, gdzie się zaczęła. Tam, gdzie wszystko się zaczęło. Pamiętaj, masz mało czasu.

Walter przez chwilę wpatrywał się w swoją komórkę. Odruchowo, nie myśląc, dlaczego to robi, ponownie wybrał numer Alicji. „Abonent czasowo niedostępny”. Wsunął telefon do kieszeni i spojrzął za okno, jakby gdzieś tam, w śnieżnej zamieci, mógł znaleźć odpowiedź na dręczące go pytania.

„Tam, gdzie wszystko się zaczęło”. Jego głos brzmiał dziwnie, jakby odbijało go echo.

Sięgnął po wydruk skanu nadesłanego z kuratorium. Zdjęcie było niewyraźne, czarno-białe i lekko rozmyte, ale skojarzył tę twarz. Wiedział już, skąd ją znał. Wszystko wróciło. Wyraźnie i namacalnie. „Tam, gdzie wszystko się zaczęło...”

ROZDZIAŁ 75

2012

Ściana wody, jakby wydmuchiwana pod ogromnym ciśnieniem, i wyjący tubalnym basem huraganowy wiatr uderzyły w bakburkę łodzi. Powietrze zapachniało zardzewiałym żelazem z domieszką stęchlizny. Jacht przechylił się gwałtownie o kilkadziesiąt stopni, tak że relingi przy sterburcie znalazły się pod wodą. Spod pokładu rozległ się łoskot spadających z półek naczyń i brzęk tłuczonego szkła, przez który z trudem przebijał się histeryczny wrzask Izy. Damian zorientował się, że jeśli zaraz nie zacznie działać, to ta sytuacja może mieć tragiczny finał.

– Paweł, Iza, wypierdalać spod pokładu! – wrzasnął, usiłując przekrzyczeć wichurę. – Trzymać się, czego się da! – Wykrzykując polecenia, sam rzucił się do steru. Rumpel był odchylony maksymalnie w stronę bakburty. Wiedział, że musi za wszelką cenę wyostrzyć pod wiatr, inaczej przyjmą kolejne uderzenie, tym razem w sterburkę. Stał w rozkroku, by zapewnić sobie większą równowagę, zapał się plecami o umocowany do relingu trap, podkręcił obroty silnika i złapał za rumpel. Ten ani drgnął. Przez głowę błyskawicznie przebiegła mu myśl, że wpakowali się na mieliznę. Dlaczego, do kurwy nędzy, ta pieprzona płetwa sterowa jest zablokowana?! – kłął w duchu. Natychmiast uzmysłowił sobie jednak, że jest w błędzie. Gdyby siedzieli na mieliznie, wywaliłoby miecz ze skrzyni. Ten sięga znacznie głębiej pod lustro wody niż płetwa sterowa. Wiedział też, że za chwilę scenariusz sprzed kilkunastu sekund się powtórzy i dostaną w sterburkę. Rufa właśnie zaczęła przekraczać linię wiatru.

– Wszyscy na drugą burkę! Trzymać się z całych sił! – wrzeszczał ile tchu w płucach. – Agata, ty obok mnie! – Gestem

wskazał dziewczynie miejsce po swojej prawej stronie. Agata posłusznie wykonała polecenie i wcisnęła się między Damiana a Michała. Ona jedyna z całej siódemki miała na sobie kamizelkę ratunkową. – Wszystko będzie dobrze – zapewnił Damian, choć wyraz jego twarzy zdecydowanie przeczył tym słowom.

Agata zerknęła na wciąż nieprzytomnego Jacka. Leżał wciśnięty pomiędzy skrzynię mieczową a ściankę pokładu, kompletnie nie zdając sobie sprawy z sytuacji. Pomyślała, że paradoksalnie znajduje się w najbezpieczniejszym położeniu. Chyba że... Nie, to niemożliwe! Natychmiast odsunęła od siebie przerażające myśli.

Łódź ponownie ustawiła się burtą do wiatru. Wydawało się, że wichura uderzyła ze zdwojoną siłą. Relingi ponownie znalazły się pod wodą, która zaczęła się wdzierać na pokład. Damian zerknął za siebie i stwierdził, że spod lustra wody wystaje miecz łodzi. Położy nas, kurwa, jak babcię Kocham! – pomyślał ze zgrozą. Po kiego chuja lażem do tej Zęzy?! Bylibyśmy już dawno na miejscu, a tak wszyscy się tu potopimy!

Jak tylko mogli, starali się przeciwważyć bezlitosną siłę wiatru, ale ich łódź nie została zaprojektowana do pływania w warunkach ekstremalnych i jedynym punktem zaczepienia dla ich stóp były drewniane gretingi, których przydatność w tej sytuacji można było porównać do deskorolki w czasie podróży przez Saharę. Wszyscy z wyjątkiem Izy mieli na nogach sportowe obuwie. Dziewczyna, z niezrozumiałych powodów, gdy tylko wchodzili na pokład, zdejmowała to, co akurat miała na nogach, niepomna kilkukrotnych urazów przy nadeptnięciu na bloczek. Teraz, gdy Damian zauważył wynurzający się spod wody miecz, bosa stopy Izy nie wytrzymały i dziewczyna, wykonując salto w tył, znalazła się za burtą. Zaciskając kurczowo dłonie na linie relingu, patrzyła w górę z przerażeniem. Paweł i Michał natychmiast złapali ją za ręce. Nie krzyczała. Miała zaciśnięte usta, a z jej szeroko otwartych oczu wyzierało przerażenie. Łódź zaczęła ostrzyć pod wiatr, ponownie się pionizując. Damian, obserwując wysiłki Michała

i Pawła wciągających Izę na pokład, pomyślał, że to jakiś cud, że się przy tym nie położyli. Łódź jeszcze bardziej wyostrzyła i nagle Damian poczuł, że rumpel od steru ożył. Niczym pod wpływem jakiegoś zaklęcia oderwał się od bakburty i zaczął płynnie podążać w przeciwną stronę. W tym momencie chłopak doznał olśnienia. Już wiedział, co się stało. Drewniana, ponadmetrowej długości płetwa sterowa, która w pozycji pionowej względem rufy powinna być zanurzona pod wodą, pływała swobodnie poziomo tuż pod jej powierzchnią niczym ogon jakiejś potężnej prehistorycznej ryby. Przy huraganowym wietrze kręcącym łodzią nie było szans, aby za pomocą krótkiego ramienia rumpla zapanować nad sterem. A wszystko to dlatego, że on, sternik z kilkuletnim doświadczeniem, olał naprawę liku blokującego linkę utrzymującą płetwę sterową w pozycji pionowej. Lik puścił, płetwa wypłynęła i łajba straciła sterowność w najgorszych warunkach, jakie można sobie wyobrazić. Prawo Murphy'ego w pełnej krasie.

Kątem oka zauważył, że Iza jest już na pokładzie. Agata, starając się zachować równowagę i nie podzielić jej losu, rzuciła się na pomoc przyjaciółce. Łódź na chwilę jakby się zatrzymała. Nie było czasu do stracenia. Musiał wykorzystać chwilę względnego spokoju i naprawić ster. Owinął luźno zwisającą linkę sterową wokół dłoni i z całej siły pociągnął. Płetwa sterowa powoli zaczęła się zanurzać. Damian miał wrażenie, że to nie woda, tylko budyń lub kisiel, tak opornie to szło. Walcząc ze sterem, zerknął w kierunku dziobu. Jeszcze parę sekund, a cholerna krypa znów przekroczy rufą linię wiatru i cały koszmar zacznie się od nowa! W końcu płetwa zeszła na dół. Damian błyskawicznie umocował linkę sterową wokół rumpla. Sprawdził i wreszcie poczuł ulgę – ster chodził jak należy! Podkręcił obroty silnika i maksymalnie wyostrzył pod wiatr. Nareszcie mnie słuchasz, ty ździro! – pomyślał, gdy łódź z oporem zaczęła płynąć w pożądanym kierunku. Agata znów usiadła obok niego. Objął ją, przyciągnął do siebie i pocałował w skroń.

– Wszystko w porządku – powiedział z satysfakcją. – Dałem radę. Agata milczała.

Bujało jak diabli, wanty tłukły się o siebie, potężny bom grota przelatował z jednej burty na drugą, ale łódź płynęła i trzymała kurs. Nawałnica zaczęła tracić na sile, przechodząc w jednostajną ulewę. Wyglądało na to, że najgorsze mają za sobą.

Gdyby ktoś zapytał Damiana, ile czasu minęło od pierwszego uderzenia nawałnicy do chwili, w której zapanował nad łodzią, odpowiedziałby bez wahania, że kilkanaście, może dwadzieścia minut. W rzeczywistości nie minęło więcej niż pięć.

Ustalił kurs i upewniwszy się, że wszystko w porządku, rozejrzał się po pokładzie. Jacek, już przytomny, choć wyraźnie zdezorientowany, masował potylicę. Paweł obejmował zapłakaną i zmarzniętą Izę; nie wiadomo skąd, wygrzebał gumowy sztormiak i opatulił nim dziewczynę. Michał, błądy jak ściana, siedział za nimi, tuż na wysokości masztu. Przerażonym wzrokiem patrzył w dal.

Wtedy Damian poczuł, że coś jest nie tak. Monika zniknęła.

ROZDZIAŁ 76

Gdy Walter przyjechał pod szkołę, zapadał zmrok. Ciężkie chmury, które przeszły nad miastem, niosąc ostatnie tego roku tchnienie zimy, zniknęły na wschodzie. Na niebie lśniła żółta kula księżyca. Wiatr, który jeszcze kilkanaście minut temu wzniewał białe tumany, oczyścił powietrze ze spalin i dymu z kominów. Niebo było tak przejrzyste, że bez trudu można było dostrzec wygasłe kratery i suche oceany na powierzchni księżyca.

Od czasu, kiedy Walter był tu ostatni raz, budynek szkoły właściwie się nie zmienił. Poza odświeżoną elewacją oraz wymienionymi oknami wszystko wyglądało tak jak kiedyś. Potężny, trzypiętrowy gmach z czerwonej cegły, rzędy wysokich, łukowych okien i okalające ściany gzymsy – wszystko to nadawało budynkowi dostojności, ale też przytłaczało swoją surowością.

Główne wejście mieściło się od strony dziedzińca. Na placu, od jednej strony zamkniętym budynkiem szkoły, a od trzech pozostałych przylegającymi doń kamienicami, mieściły się asfaltowe boisko do piłki nożnej oraz niewielki plac zabaw ze sprzętami, które zapewne pamiętały zamierzchłe czasy dzieciństwa Waltera. Wszystko przykryte było połyskującym w świetle księżyca białym puchem. Kilka latarni rozstawionych w narożnikach placu rzucało bladożółte światło; choć wspomagane księżycową poświatą, było na tyle słabe, że Walter nie potrafił ocenić, czy poza nim na placu znajduje się ktoś jeszcze. Zauważył, że drzwi do budynku są lekko uchylone, ale śnieg przed wejściem nie był udeptany. Jeśli ktoś był w środku, musiał się tam znaleźć, jeszcze zanim przez miasto przeszła zamieć.

Odbezpieczył pistolet i wszedł do środka. Budynek tonął w ciemnościach. W pierwszym odruchu Walter zaczął się

rozglądać za jakimś włącznikiem światła, lecz szybko zrezygnował z tego pomysłu. Równie dobrze mógłby zacząć wołać: „Halo, przyszedłem, gdzie jesteście?”. Nie miał przy sobie latarki. W ogóle nie przyszło mu do głowy, aby ją zabrać. Pomyślał o zapalniczce, ale przecież tak małym płomykiem mógłby sobie oświetlić najwyżej czubki butów. Nagle przypomniał sobie o telefonie. Przecież te nowe aparaty są niczym kolejne wcielenie szwajcarskiego szczyryka! Maciek nie raz prezentował mu, jakie fantastyczne funkcje ma jego komórka. Waltera szczerze bawiła ta fascynacja gadżetami, nie potrafił też zrozumieć, dlaczego aspirant zakleił logo producenta ich służbowych laptopów białą nalepką w kształcie jabłka. Dla niego telefon to telefon – z definicji miał służyć do prowadzenia rozmów. Teraz jednak wyjął smartfona z kieszeni i odnalazł na wyświetlaczu właściwą ikonkę. Strumień światła generowany przez urządzenie był na tyle jasny, żeby nie potknąć się o własne nogi, i wystarczająco skoncentrowany, by oświetlić tyle, ile Walter chciał zobaczyć.

Trzymając się blisko ściany, powoli wszedł na pierwsze piętro. Toaleta mieściła się tuż za rogiem. Była zamknięta. Nie było sensu wyważać drzwi. Został zaproszony, a gościom przychodzącym z proszoną wizytą nie zamyka się drzwi przed nosem. Przeszedł na drugie piętro, ale i tam drzwi toalety były zamknięte. Została jeszcze jedna, ostatnia łazienka po tej stronie budynku – na trzecim piętrze. Tym razem drzwi były uchylone. Walter słyszał szybkie i miarowe uderzenia swojego serca. Schował smartfona, wyjął z kabury pistolet i pociągnął za klamkę. Zaciśnął zęby, spodziewając się charakterystycznego skrzypienia, ale zawiasy nie wydały żadnego jęku. Powoli uchylił skrzydło drzwi na tyle, aby móc zajrzeć do środka. Przykleił się do ściany i trzymając pistolet w zgiętych do połowy rękach, ostrożnie przesunął głowę w kierunku szczeliny między drzwiami a ościeżnicą. Przypomniał sobie, że jakiś szalony projektant wymyślił układ toalet tak, że ościeżnica wejściowych drzwi przylegała bezpośrednio do toaletowych kabin. Dzięki temu, nie wchodząc do środka, mógł zlustrować prawie całe pomieszczenie przez niewielką szparę. Gdy uświadomił sobie,

jakie znaczenie w tej sytuacji ma słowo „prawie”, poczuł na plecach dreszcz. Rząd kabin ciągnął się przez całą długość toalety. W każdej z nich za zamkniętymi drzwiami mógł się czaić jego wróg. A on nie miał wyboru – musiał go znaleźć. Otworzył szerzej drzwi, chcąc wejść do środka, gdy usłyszał jakieś trzaski. W tej samej chwili poczuł, że tężeje mu kark, a nogi odmawiają posłuszeństwa. Później runął bez czucia na posadzkę.

Był przytomny, ale niczego nie czuł, jakby sparaliżowało go od stóp do czubka głowy. Z jego półotwartych ust płynęła strużka śliny, a język był jak kołek. Na szczęście mógł oddychać i myśleć. Ciało chwilowo się poddało, głowa wciąż walczyła. Przyklejony do podłogi, tuż przy swoim nosie zauważył dwie stopy w tekstylnych butach. To dlatego go nie usłyszał. Zwierzyna złapana w pułapkę – myśliwy triumfuje.

Właściciel butów pochylił się nad nim. W ręku miał paralizator. Urządzenie zatrzeszczało, ponownie przepuszczając przez kark Waltera kilka tysięcy woltów. Komisarz stracił przytomność. Wtedy mężczyzna z bocznej kieszeni drelchowych spodni wyjął strzykawkę i zdjął z igły plastikową osłonkę. Podwinął rękaw koszuli Waltera, odsłaniając przegub przedramienia. Wyprostował jego rękę i kilka razy dwoma palcami uderzył w odsłonięte żyły. Gdy pod skórą pojawiła się bladoniebieska struktura, wbił igłę i nacisnął tłok strzykawki.

ROZDZIAŁ 77

2012

Gdzie jest Monika?! – krzyknął Damian. Michał nie reagował. Siedział w milczeniu, zupełnie odrętwiały. – Michał, kurwa, ocknij się! Co z Moniką?!

– Michał, spójrz na mnie – poprosiła Agata. – Co się stało?

– Ja, ja... Ja nie wiem... Ona chyba wypadła – wyjąkał chłopak.

– Jak to „wypadła”? Kiedy? Przecież jeszcze przed chwilą tam siedziała! – Damian zaczął panikować.

– Nie wiem... Może wtedy, jak wyciągaliśmy Izę? – Michał spojrzał na niego niepewnie. Mówił tak, jakby ktoś z zewnątrz sterował jego głosem.

– Ja pierdołę... Kurwa! Nie, to niemożliwe! Zawracamy. Szukajcie jakichś latarek. Musimy ją znaleźć!

Damian bez zastanowienia zawrócił łódź. Bom grota, wciąż niezabezpieczony, z luźno zwisającą talią, z loskotem przeleciał tuż nad głową siedzącego na podłodze Jacka. Paweł rzucił się pod pokład. Wrócił po chwili z solidną latarką turystyczną. Dotąd leżała bezpiecznie w zamkniętej szafce, dzięki czemu nie podzieliła losu potłuczonych naczyń i sterty innych gratów, które walały się w bezładzie po całej łodzi. Na wzburzoną tafle jeziora popłynął ostry, skupiony strumień światła, przecinany ukośnymi kreskami zacinającego deszczu.

– Kurwa, nie świeć tak daleko! – wrzasnął Damian.

– To gdzie mam świecić? Pod nogi? – warknął Paweł.

– Chcę widzieć wodę nie dalej niż kilka metrów od nas, bo jeszcze na nią najedziemy!

– A jak będzie gdzieś dalej, to co? Miniemy ją, bo każesz świecić pod nosem?

– Genialnie! – wtrąciła się Agata. – Rzućcie się sobie do

gardel, a dziewczyna w tym czasie pójdzie na dno.

Damian westchnął z irytacją.

– Mamy tylko jedną latarkę?

– A zabrałeś drugą? – zapytała Agata, choć doskonale знаła odpowiedź.

– Michał, a ty? Nie masz jakiejś? – Michał spojrzał na przyjaciela i pokręcił głową. – Pięknie, kurwa... Ja pierdołę! – Damian wiedział, że jeśli nie znajdą Moniki, jeśli ona utonie, to cała wina spadnie na niego. Tylko on z ich paczki miał uprawnienia sternika jachtowego i zgodnie z prawem na wodzie był za nich odpowiedzialny. Jeśli do tego wyjdzie na jaw, że jest po alkoholu, to jak nic wyląduje w kryminale. Skończy wśród mętów i bandziorów i nawet ojciec mu nie pomoże. – Widzisz ją gdzieś?

Michał znów pokręcił głową.

– Może wezwijmy pomoc? – zasugerowała Agata.

– Niby jak? – zachnął się Damian. – Przecież tu nie ma jebanego zasięgu!

– A ten satelitarny, który dostałeś od ojca?

Damian pacnął się w czoło i natychmiast otworzył klapkę achterpiku. Ojciec dał mu ten telefon na wszelki wypadek. Najnowsza kieszonkowa motorola. Powiedział, że łączy się przez satelitę. Ponoć wybulił na nią kilka tysięcy. „Ma solidne akumulatory. Jak naładujesz przed wyjazdem, wystarczy do końca”, zapewnił i zaraz dodał: „Odzywaj się czasem. Chcę wiedzieć, że u ciebie jest wszystko w porządku”.

Gdy Damian wyjmował ze schowka aparat, uzmysłowił sobie, że ani razu nie zadzwonił do ojca. Ale w tym momencie to był jego najmniejszy problem. Przycisnął włącznik i ekran telefonu rozbłysnął bladopomarańczowym światłem. Logo producenta zatańczyło do dźwięku krótkiej melodii. Za chwilę w miejsce animacji pojawił się komunikat: „Szukam sieci”. Dwa słowa pojawiały się i znikaly. Damian wpatrywał się w nie jak zahipnotyzowany. Po chwili, która dłużyła się w nieskończoność, telefon się wyłączył.

– Dupa! Bateria zdechła. – Odrzucił bezużyteczny aparat pod pokład łodzi.

Wtedy wszyscy usłyszeli słaby głos stojącego za ich plecami Jacka:

– Co się stało? – Był wyraźnie zdezorientowany. Rozejrzał się wokół i zatrzymał wzrok na Pawle, wciąż trzymającym w dłoni latarkę. – Co ty robisz? Zaraz, co jest grane? Monika... Gdzie jest Monika? – Rozejrzał się znowu, teraz bardziej nerwowo. – Co się stało z moją siostrą? Mówcie, do cholery!

– Jacek, uspokój się. Monika wpadła do wody. Szukamy jej – odparł Damian, starając się nadać swojemu głosowi spokojne brzmienie.

– Co ty pierdolisz?! Jak to wpadła do wody?!

– Był szkwał. Zjechał się ster. Łódź straciła sterowność. O mało co się nie położyliśmy. Wtedy musiała wypaść.

– Musiała?! – Jacek coraz bardziej podnosił głos. – To znaczy, że nikt tego nie widział? Czy to jest jakiś pieprzony krążownik, czy zwykły jacht? Przecież, kurwa, siedzimy tu wszyscy na kupie! Jak mogliście tego nie zauważyć?!

– Iza też była za burtą, byliśmy zajęci ratowaniem jej – wtrąciła niepewnie Agata. – Możliwe, że wtedy to się stało.

– Dawaj to światło! – Jacek wyrwał latarkę z rąk Pawła, wskoczył na górny pokład i trzymając się jedną ręką masztu, zaczął nerwowo przeczesywać jezioro. – Monika! Mooniiiiikaaa! – krzyczał raz za razem. Bez efektu. W końcu zszedł na dół i zrezygnowany stanął obok Damiana. – Widzisz te światła na drugiej? – Skierował strumień latarki na brzeg. – Płyn tam.

– Co tam jest? – spytał niepewnie Damian.

– Ośrodek wypoczynkowy. Zadzwonimy stamtąd po WOPR i policję.

Damiana przeszły ciarki.

– Po co od razu po policję? Może jeszcze poszukajmy? Dawaj latarkę!

– Popierdoliło cię?! – wrzasnął Jacek. – Będziesz zapierdalać tą krypą po całym jeziorze? Ona praktycznie nie umie pływać, może być wszędzie! – Spojrzał na Damiana z bezgraniczną nienawiścią i wycedził: – Utopiłeś mi siostrę, pijany skurwielu, i bekiesz za to. Zgnijesz w pierdłu, zasnany bananiarzu! Macie

przejebane!

– Wszyscy popiliśmy, a ty przytaszczyłeś jeszcze więcej flaszek – odciął się Damian.

– A czy ja się tu wpraszałem? – Jacek doskoczył do niego, jakby chciał go uderzyć. – Sam mnie tu wciągnąłeś, bo miałeś ochotę zerznąć Monikę!

– Chyba cię pojechało! – parsknął Damian. – Przecież mam dziewczynę!

– Ty pieprzony hipokryto! Cały wieczór pakowałeś łapy pod jej bluzkę, a teraz mi nawijasz, że masz dziewczynę? Zasuważ, gdzie mówię, albo nie rękę za siebie!

– Wiesz co? Pieprzę cię i to wszystko. – Damian puścił ster i w teatralnym geście uniósł rękę do góry. – Mam to w dupie! Płyn sobie sam.

Pozbawiona kontroli łądz, pchana od baksztagu porywistym wiatrem, zaczęła gwałtownie skręcać. Jacek rzucił się w kierunku steru. W tej samej chwili rozległ się metaliczny łośkot. Damian kątem oka zauważył stojącego przy maszcie Michała. Wążąca bez mała dziesięć kilogramów belka – bom grota, w pędzie zwielokrotniającym energię dynamiczną, uderzyła Jacka w skroń. Rozległ się plusk wody i Jacek, tak jak kilkanaście minut wcześniej jego siostra, znalazł się za burtą.

Nikt nie zareagował.

Było kilka minut po południu, gdy dwa terenowe SUV-y wjechały na polanę. Z pierwszego wysiedli Robert Jaszczuk i mężczyzna w rogowych okularach, niosący pod pachą skórzaną aktówkę. Mimo że była niedziela, a oni znajdowali się w środku lasu, obaj mieli na sobie ciemne, szyte na miarę garnitury. Kierowca drugiego samochodu, barczysty, prawie dwumetrowy typ, miał na sobie luźne dockersy i seledynową koszulkę polo. Gdy tylko wysiadł z SUV-a, wyjął złotą papierośnicę i zapalił brązową cygaretkę.

– Cześć, tato – odezwał się niepewnie Damian.

– Nic nie mów – uprzedził Jaszczuk i zwrócił się do pozostałych: – Wy też się nie odzywacie. Odpowiadacie tylko

zapytani. Czy to jasne?

– Tak, proszę pana – odparł Michał, a reszta kiwnęła potakująco.

Miotła znów spojrzał na syna.

– Dlaczego nie zadzwoniłeś wcześniej?

– Bateria zdechła. Musiałem podładować od akumulatorów z łodzi. Tato, co ter...

– Chyba jasno się wyraziłem? – przerwał mu ojciec.

– Tak, przepraszam.

– Czy którekolwiek z was w ciągu ostatnich godzin z kimkolwiek się kontaktowało? Informowaliście, co robicie i gdzie jesteście? – Tym razem wszyscy zgodnie zaprzeczyli. – Lubicka i Sosnowski to wy.

– Tak – odparł Paweł.

– Czy rodzina, znajomi wiedzą, gdzie spędzacie wakacje?

– Mówiłam tylko, że jadę na Mazury. Bez szczegółów.

– Ja podobnie – dodał Paweł. – Zresztą ostatnio jakoś nie gadam ze starymi.

– A ty? – Mężczyzna zwrócił się do Agaty.

– Mówiłam, że płynę na rejs z Damianem.

– Kiedy ostatnio kontaktowałaś się z rodziną?

– Jakies trzy dni temu. Później na pewno już nie.

– Michał.

– Tak, proszę pana?

– Dziadkowie wiedzą, gdzie jesteś?

– Oni czasem nie wiedzą, gdzie sami są. – Chłopak wzruszył ramionami. – Starość.

– Dobrze – podsumował Miotła. – Teraz słuchajcie. Wpakowaliście się wszyscy po uszy w gówno. Od was i ode mnie zależy, czy wyjdziecie z tego szamba ubabrani, czy nieskazitelnie czyści. Zakładam, że zależy wam na tym drugim. Ty i ty – wskazał na Iżę i Pawła – zadzwonicie wieczorem do rodziców i powiecie, że wylądowaliście w Mrągowie na festiwalu. Od trzech dni jesteście zameldowani w pewnym pensjonacie. Mój sekretarz – kiwnął głową w stronę mężczyzny w rogowych okularach – zawiezie was tam i po drodze wszystko wytłumaczy. Agata, poinformujesz starych, że dwa

dni temu ostro pokłóciłaś się z Damianem. W twojej obronie stanął Michał. Damian powiedział, żebyście oboje poszli w diabły. Spakowałaś się więc i pojechaliście do Gdańska. W Gdańsku są ludzie, którzy potwierdzą, że jesteście z nimi od dwóch dni. Szymon po drodze wyjaśni wam wszystko, co trzeba.

Szymon poprawił rogowe okulary i zapraszającym gestem wskazał samochód, którym przyjechał mężczyzna w koszulce polo. Agata, Michał, Iza i Paweł wrzucili do bagażnika swoje worki żeglarskie. Nie zdążyli się pożegnać, bo auto z piskiem opon odjechało z polany.

Wtedy Jaszczuk zwrócił się do wielkoluda w koszulce polo:

– Malina, wiesz, co zrobić z łodzią?

– Wszystko jest jasne, szefie. Nie trzeba mi powtarzać.

– Widzimy się jutro wieczorem. A ty – spojrzał swojemu synowi prosto w oczy – wsiadaj do samochodu. Jedziemy do Węgorzewa.

Miotła pozamiatał. Sprawie ukręcono łeb, zanim zdążyła ujrzeć światło dzienne. Monika i Jacek Socha zaginęli dwunastego lipca. Ciało Moniki znaleziono dwa dni później na brzegu nieopodal wsi Pierkunowo. Ciało jej brata nie odnaleziono. Żadna z przesłuchiowanych przez policję osób, która znała rodzeństwo, nie była w stanie określić, gdzie mogli przebywać tamtego feralnego dnia. Do Sztynortu policja nie dotarła.

Po rejsie cała piątka spotkała się tylko raz. Nie mieli o czym ze sobą rozmawiać. Udawanie, że nic się nie stało, też nie miało sensu. Czuli się winni, ale jeszcze bardziej bali się konsekwencji, więc solidarnie milczeli. Wymienili kilka banalnych zdań i każdy poszedł w swoją stronę.

Agacie po tym spotkaniu coś nie dawało spokoju. Miała nieodparte wrażenie, że Damian był naćpany. Choć nie byli już parą, wciąż żywiła do chłopaka ciepłe uczucia. Po kilku

miesiącach zebrała się na odwagę i zadzwoniła. Telefon Damiana nie odpowiadał. Kolejne próby połączenia również spęły na niczym. W końcu zadzwoniła do Michała. W jego głosie wyczuła chłód, który zmroził ją do szpiku kości.

– Michał, nie mogę się dodzwonić do Damiana. Co się z nim dzieje?

– Nie czytasz wiadomości? Damian nie żyje.

– O Boże... Co się stało?

– Poszukaj w sieci. Wszystkiego się dowiesz.

Agacie głos uwiązł w gardle. Szlochała cicho, łykając łzy.

– Michał... – odezwała się po dłuższej chwili. – Co tak naprawdę stało się na tej łodzi?

Połączenie zostało przerwane.

ROZDZIAŁ 78

Miarowy, jednostajny stukot odbijał się echem od ścian. Kap, kap, kap. Powietrze wypełniała woń środków dezynfekcyjnych zmieszana z jakimś innym zapachem – słodkim i mdlącym.

Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Nie miał pojęcia, co się z nim działo, zanim się ocknął. O dziwo, czuł się całkiem nieźle. Nic go nie bolało, choć miał problem z utrzymaniem ostrości obrazu. Zamrugał kilka razy, lecz niewiele to dało. Wciąż miał wrażenie, że ogląda świat spod lustra wody. Chciał poruszyć dłońmi, lecz coś mu w tym przeszkodziło. Po chwili zorientował się, że ręce ma skrępowane za plecami. Poczul na skórze punktowe ciepło i domyślił się, że jest przykuty do kaloryfera. Starego, solidnego grzejnika z pękatymi żeliwnymi żeberkami.

Kaloryfer, na lewo szereg kabin i pisuarów, po prawej rząd umywalek. Toaleta. Tyle był w stanie stwierdzić. Chyba jednak nie ta sama. W tamtej nie było pisuarów. I było dużo ciemniej. Ta, jak wydedukował, musi znajdować się bliżej jednej z zewnętrznych latarni. Żółtawe światło przedzierało się przez okna, zalewając bladą poświatą pomieszczenie, w którym na pewno już kiedyś był.

Gdy dotarło do niego, że jest sam, ogarnęło go lodowate przerażenie. Gdzie jest Maleta? Gdzie Alicja? Czyżby go oszukał? Przecież to jego chciał dorwać! Po co mu Alicja? Ona nie miała z tym wszystkim nic wspólnego! Niech go diabli!

– Maleta! Gdzie jesteś, draniu?! – zaczął krzyczeć. – Nie chowaj się jak szczur i chodź tutaj. Zakończmy to wszystko! No, na co czekasz, złamasie?

Zaskrzypiały zawiasy drzwi. Tych dozorca najwidoczniej nie naoliwił. Do łazienki, pchana przez postać z twarzą ukrytą pod czarną kominiarką, wjechała kozetka. Leżała na niej Alicja. Mężczyzna miał na sobie bawełnianą bluzę z kapturem, czarne

drelichowe spodnie z bocznymi kieszeniami i sportowe, tekstylne trampki z charakterystyczną białą gwiazdką na zewnętrznej stronie.

– Twoja przyjaciółka chyba nie czuje się najlepiej – Walter usłyszał płynący spod kominiarki głos.

Mężczyzna obszedł kozetkę, nachylił się i pogłaskał Alicję po głowie.

– Nie dotykaj jej, gnoju! – Komisarz szarpnął się odruchowo.

– Jak na kogoś w twojej sytuacji jesteś wyjątkowo niegrzeczny – stwierdził beznamiętnie mężczyzna.

– To mnie chciałeś. Ze mną miałeś wyrównać rachunki. Zostaw ją w spokoju.

– Zgadza się. Chciałem ciebie, żebyś raz jeszcze popatrzył. Popatrzysz i jak zwykle nic nie zrobisz.

– Nic wtedy nie widziałem! – Walter znów podniósł głos. – Wyszedłem, kiedy już było po wszystkim! A nawet gdybym widział, to co? Co mogłem zrobić?

– Zawsze coś można zrobić. Jeden krok, twój jeden mały krok minutę wcześniej mógł zmienić wszystko. Ale ty wolałeś patrzeć. Stał ci wtedy? Poczuleś podniecenie? To było takie męskie, samcze, tyle fiutów naraz!

– O czym ty gadasz? Mówię prawdę. Nic nie widziałem. Słyszałem, że coś się dzieje, ale nie chciałem się wtrącać. Rozumiesz?

Mężczyzna westchnął, zniecierpliwiony.

– To nie ma już znaczenia. Musisz zapłacić. Wszyscy muszą zapłacić. Do ostatniego.

– Co masz na myśli? – Walter czuł, że nadchodzi najgorsze.

– Patrz i wspominaj. – Mężczyzna obrócił kozetkę o sto osiemdziesiąt stopni, tak że głowa Alicji znalazła się na wprost oczu Waltera.

– Nie! – krzyknął komisarz. – Maleta! Nikodem, daj spokój! Proszę! Puść ją, masz przecież mnie!

– „Maleta, Nikodem. Nikodem, Maleta” – przedrzeźniał go tamten. – Aleś się wziął! Mam dość tej twojej gadki. – Podeszedł do Waltera i wcisnął mu w usta szalik, który wcześniej zdjął z szyi Alicji.

Następnie wrócił do kozetki. Podniósł głowę Alicji i wsunął jej pod kark jakiś wałek, przez co jej szyja wygięła się w łuk. Napastnik położył dłoń na jej czole, drugą ujął za podbródek i pociągnął w dół, otwierając kobiecie usta. Z bocznej kieszeni drelichowych spodni wyciągnął mały pakunek. Białe, papierowe opakowanie z dużym symbolem w kształcie czerwonego krzyża. Rozerwał je i odrzucił papier na podłogę. Oczom Waltera ukazała się sporych rozmiarów bawełniana płachta o strukturze siatki. Gaza opatrunkowa. Standardowe wyposażenie zestawów pierwszej pomocy. Przez chwilę tylko patrzył na swoją ofiarę, jakby rozważał następny krok. W końcu podjął decyzję. Złożył gazę w formę knebla i wcisnął w otwarte usta policjantki. Z drugiej kieszeni spodni wyjął plastikową butelkę. Pozbył się zakrętki i podszedł do umywalki. Ostrożnie, jakby każda kropla wody była na wagę złota, napenił pojemnik. Zakręcił kran i ponownie stanął u wezglowia kozetki. Poprawił wałek pod karkiem Alicji, jeszcze bardziej odchylając jej głowę do tyłu.

– Czyż nie tak to wtedy wyglądało? – zwrócił się do zakneblowanego Waltera. – Patrzyłeś sobie i nic nie zrobiłeś. Teraz też sobie popatrzysz. Chciałbyś coś zrobić? Och, nie! Nie możesz nic powiedzieć. Jaka szkoda. Ale widzę, że dla niej zrobiłbyś wiele, prawda? Kolejna kobieta umrze na twoich oczach, ale ty nic nie zrobisz. Będziesz tylko patrzył. Zapamiętasz każdy szczegół. I nigdy nie zapomnisz.

Lewą ręką ujął głowę Alicji, a prawą zaczął wylewać wodę z butelki na wcisnięty w jej usta knebel. Powoli i metodycznie. Nie śpieszył się. Alicja, wciąż nieprzytomna, zaczęła się krztusić i rzucać konwulsyjnie. Cienki strumyk wody nieustannie sączył się do jej ust. Oprawca przenosił wzrok to na Waltera, to na krztuszącą się kobietę. Butelka była już w trzech czwartych pusta. Woda zalewająca usta i nos Alicji pieniała się niczym mydliny w gorącej łaźni. Bąbelki, początkowo pękające, z sekundy na sekundę stawały się coraz mniejsze.

Walter wył niczym potępiona dusza, lecz szalik wetknięty w usta skutecznie tłumił jego żalodne wołania. Szarpał skutymi dłońmi, zdzierając skórę do krwi. „Kolejna kobieta umrze na

twoich oczach”. Skąd ten skurwiel mógł o tym wiedzieć?! Niski?! Od niego? Pomagał mu! Ale skąd się znali? Gdzie się znaleźli? Nic z tego nie rozumiał. Patrzył na konającą Alicję. Na ostatnią kobietę w jego nędznym życiu, na której mu zależało. Patrzył, jak umiera, jak walczy ostatkiem sił. Jak powoli się poddaje, odpuszcza, uchodzi w nicość. A on nie może nic zrobić. Nie może? Czy na pewno nic nie może?

Walter ujął obiema dłońmi stalową rurkę, za którą przecignięto łańcuszek kajdanek. Wiedział, że ma tylko jedną szansę. Jeśli nie uwolni się za pierwszym razem, napastnik rozpozna jego zamiary i zastrzeli go lub w najlepszym razie ponownie ogłuszy. Z całych sił zacisnął palce, uniósł nogi i wyrzucił je przed siebie. Coś trzasnęło i komisarz poczuł na plecach gorącą wodę. Szarpnął skutymi rękami, wyginając pękniętą rurkę. Potem błyskawicznie przeturlał się po podłodze i wyładował u stóp zamaskowanego mężczyzny. Leżąc na boku, ponownie wyrzucił nogi przed siebie, uderzając go od tyłu w staw kolanowy. To wystarczyło, aby tamten stracił równowagę. Upadając, upuścił plastikową butelkę. Walter usiadł, zacisnął skute dłonie i zamierzył się w kierunku twarzy powalonego mężczyzny. Gdyby był o ćwierć sekundy szybszy, gdyby w jego żyłach nie krążył wstrzyknięty narkotyk, może by się udało. Niestety, mężczyzna zdążył się uchylić. Pięści Waltera uderzyły w posadzkę, a z jego gardła wydobył się rozzwierający krzyk. Wtedy porywacz z całej siły kopnął go w skroń. Walterowi zadzwoniło w uszach. Zamknął oczy, a gdy je otworzył, stwierdził, że to już koniec. Mężczyzna w wyciągniętej przed siebie dłoni trzymał nóż.

Sekundę później padł strzał.

ROZDZIAŁ 79

W drzwiach toalety stał Maciek. Jego twarz miała kolor schnącego gipsu. Był spocony i trzęsły mu się ręce. Spotkanie z Wicherkiem, zakończone kilkudniową i zbyt wcześnie przerwana hospitalizacją, w połączeniu z sytuacją, w której właśnie wziął udział, były ponad jego siły. Był bliski omdlenia, co nie uszło uwagi napastnika, którego przed chwilą postrzelił.

Mężczyzna błyskawicznie rzucił się w kierunku Maćka. Wtedy padł kolejny strzał. Kula trafiła w okno. Na zewnątrz poleciały kawałki szkła. Trzeci nabój trafił napastnika w udo. Musiał jednak ominąć kość i tętnice, gdyż mężczyzna szedł dalej, jakby nic nie poczuł, jakby jego ciało działało niezależnie od sygnałów wysyłanych przez mózg. Niczym koń naszpikowany sterydami w szalonym wyścigu. Gdy wpadł z impetem na Maćka, pod policjantem ugięły się nogi i obaj upadli na podłogę. Mężczyzna zerwał się i rzucił do ucieczki. Maciek z nieczłowieckim wysiłkiem dźwignął się na nogi. Wycelował i oddał czwarty strzał w ciemność szkolnego korytarza. Uciekinier zatrzymał się na chwilę, a potem runął jak długi. Spod zakrytej kominiarką głowy wypłynęła brunatna plama krwi.

Dopiero wtedy do uszu Maćka doszło słumione wycie. Walter przywoływał go, szarpiąc się i wierzgając nogami. Aspirant Krępy wyrwał szalik kneblujący usta komisarza.

– Alicja, kurwa! – wrzasnęła ochryple Walter. – Ratuj ją!

Maciek natychmiast wyszarpnął z ust Alicji nasączoną szmatę. Kobieta nie oddychała. W umyśle Maćka, niczym na wielkim, białym ekranie, wyświetlił się schemat czynności przy udzielaniu pierwszej pomocy. Na ćwiczeniach robił to nieraz, lecz zawsze z manekinem. Teraz miał ratować człowieka z krwi i kości. Osobę, którą lubił i szanował. Kobieta, którą traktował trochę jak starszą siostrę. Odchylił jej głowę do tyłu i pociągnął

za żuchwę, otwierając usta. Położył obie dłonie na mostku i rozpoczął masaż serca. Po kilkudziesięciu uciskach zatkał jej nos, wziął głęboki oddech i trzymając za żuchwę, zaczął właczać w płuca powietrze. Raz, drugi, trzeci. Nic. Czwarty, piąty. W końcu chlusnęła woda. Kobieta zaczęła kaszleć. Jej klatka piersiowa unosiła się i opadała miarowo. Oddychała, choć nadal była nieprzytomna.

Wtedy usłyszeli wycie syren. Nie minęła minuta i w łazience pojawiło się wsparcie.

– Skąd ty się tu właściwie wzięłeś? – zapytał Walter, gdy był już pewien, że Alicja znajduje się pod fachową opieką ratowników.

Maciek opowiedział mu o dziwnym telefonie od Alicji. Gdy na komendzie dowiedział się, że Walter wypadł jak poparzony, nabrał przekonania, że coś jest nie tak. Ponieważ nie mógł się dodzwonić ani do komisarza, ani do Alicji, przypomniał sobie o lokalizatorach, w które były wyposażone ich służbowe telefony. Te działały nawet przy wyłączonej komórce. Okazało się, że oba sygnały są nadawane z tego samego adresu. Zaalarmował kolegów z prewencyjnego, po czym, nie czekając na grupę, wsiadł do samochodu i przyjechał do szkoły. Gdy zobaczył na parkingu auto Waltera, był pewien, że dobrze trafił.

– Spisałeś się – przyznał Walter, gdy podeszli do leżącego na podłodze ciała mężczyzny. – Możesz sprawdzić jego kieszenie? Chciałbym się pozbyć tego cholerstwa. – Podniósł ręce. Na jego nadgarstkach wciąż tkwiły bransolety kajdanek, choć ktoś przeciął już łańcuch. Maciek zdjął przykrywającą ciało płachtę. Wsunął rękę do tylnej kieszeni i od razu trafił na kluczyk. Po chwili komisarz rozmasowywał obolałe nadgarstki. – Pieprzony Maleta... – mruknął. – Niewiele brakowało.

– Szefie, to nie może być on – powiedział cicho Maciek.

– Jak to? – Walter spojrzał na niego czujnie.

– To nie może być on. Nikodem Maleta siedzi w więzieniu za zabójstwo żony. Ma wyjść w przyszłym roku.

– W takim razie kim jest ten facet?

Walter pochylił się nad trupem, obrócił go na plecy i zdecydowanym ruchem zdał kominiarkę z jego głowy. Na szkolnym korytarzu leżał dwudziestoparoletni mężczyzna.

ROZDZIAŁ 8o

W rozgrzanym słońcem powietrzu unosił się zapach bzów. W radiu Maryla Rodowicz częściej niż zwykle śpiewała o Małgoście z Saskiej Kępy, a kobiety śmieiej odsłaniały nogi i dekolty. O ile woń kwitnących drzew niesiona podmuchem wiatru od czasu do czasu docierała na więzienny dziedziniec, o tyle widok smukłych dziewczęcych ud nie był przeznaczony dla pensjonariuszy zakładu karnego w Sztumie.

Nikodem Maleta, mimo pięknego, słonecznego dnia, zrezygnował z wyjścia na spaceriak. Siedemnaście wiosen, pomyślał. Czymże ta ma się różnić od wszystkich poprzednich? Ten sam spaceriak, te same łyse, wytatuowane pały, ten sam kwadrat nieba nad głową. Dyżurnemu klawiszowi zgłosił, że kiepsko się czuje, i poprosił o zgodę na pozostanie w celi. Wyciągnął się na pryczy, założył ręce pod głowę i zamknął oczy. Nie myślał o niczym. Wolny od gadających, rechoczących, chrapiących współlokatorów, po prostu kontemplował ciszę. Był to jedyny znany mu sposób na przetrwanie, jedyna możliwość ucieczki od demonów przeszłości. Tylko wypierając to wszystko, mógł na co dzień jeść i spać. Choć ograniczony murami i kratami, mógł żyć. Sięgnął po najnowszą powieść Stephena Kinga, swojego ulubionego autora, którego historie pochłaniał niczym pyszne danie serwowane w starej, sprawdzonej restauracji. Otworzył książkę w miejscu, w którym przerwał lekturę, gdy usłyszał odgłos przekręcanego w zamku klucza. Zaskrzypiały zawiasy i w drzwiach stanął więzienny strażnik.

– Masz gościa, Maleta. Zbieraj się na widzenie – zakomunikował.

Nikodem podniósł się z pryczy. Na jego twarzy zagościł uśmiech. Odłożył książkę na półkę, wyszedł przed celę i zgodnie z regulaminem stanął w pozycji zasadniczej, czekając,

aż oddziałowy zamknie solidne, stalowe drzwi. Potem ruszył za nim do pokoju widzeń.

Jeśli nie liczyć siedzącego plecami do drzwi wysokiego mężczyzny, sala była pusta. Mężczyzna nie był jednak tym, kogo Nikodem Maleta spodziewał się zobaczyć.

– Wyglądasz na zdziwionego – powiedział gość. – Czyżbyś umówił się z kimś innym?

– Co ty tu... Co pan tu robi?

– Siadaj. Musimy porozmawiać.

– O czym? O co chodzi? – Na twarzy Nikodema rysowało się szczere zdziwienie.

– Zaangażowałaś się w więzienne kółko teatralne? – Mężczyzna cynicznie uniósł brew. – Muszę przyznać, że nieźle grasz.

– Niczego nie odgrywam. I nie mam pojęcia, jaki jest cel tej wizyty.

– Może jeszcze powiesz, że nie wiesz, kim jestem?

– Wiem. Media nie dały mi o tobie zapomnieć, nadkomisarzu Walter.

– Panie nadkomisarzu.

– Oczywiście. Panie nadkomisarzu Walter.

Nadkomisarz Roman Walter założył ręce na piersiach, przechylił lekko głowę i przez dłuższą chwilę patrzył Malecie prosto w oczy. Zastanawiał się, kiedy tamten spuści wzrok. Gdyby reagował typowo, powinien zacząć nerwowo mrugać, strzelać oczami albo właśnie spuścić wzrok. Powinien ugiąć się pod spojrzeniem osoby, która zna prawdę i w każdym calu ma nad nim przewagę. On jednak trwał nieruchomo, na jego spokojnej twarzy nie drgnął żaden mięsień.

– Kilka tygodni temu zginęły trzy osoby – podjął w końcu Walter. – Dwie z nich zostały zamordowane w bestialski sposób. Nadal nie wiesz, co tu robię?

– Nie wiem.

– Mariola Szuszczyk, Waldemar Wojtasik. Mówią ci coś te nazwiska?

Maleta odruchowo zeszywniał. Wciąż patrzył policjantowi prosto w oczy.

– Tak, mówią – odezwał się w końcu. – Bardzo wiele. Co z nimi?

– Oboje nie żyją. Mariola Szuszczyk popełniła samobójstwo po tym, jak jej córka została bestialsko zamordowana, a Waldemara Wojtasika ktoś zatłukł na śmierć.

– I uważa pan, że mam z tym coś wspólnego.

– Tak.

– Jakim cudem? Od siedemnastu lat siedzę i nigdy nie wyszedłem na przepustkę.

– Wiem. Ale wiem też, że w ciągu ostatnich miesięcy ktoś cię regularnie odwiedzał. – Walter wyjął fotografie z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył je na stole. – Nie musisz udawać, że nie wiesz, kto to jest. Wszystko zostało odnotowane w rejestrze wizyt. – Przesunął odbitkę w kierunku Malety.

– To mój syn. – W głosie Nikodema zabrzmiało zdenerwowanie. – Skąd ma pan jego zdjęcie?

– To on zamordował córkę i brata Marioli Szuszczyk – obok zdjęcia syna Malety Walter położył fotografię przedstawiającą Karolinę i Mariolę Becker w towarzystwie nadleśniczego – oraz znanego ci dobrze Waldemara Wojtasika. – Kolejna fotografia wylądowała na stole. – Na twoje nieszczęście nie zdążył wykonać planu w całości.

– Jakie morderstwa? O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz? – Maleta podniósł się gwałtownie, przewracając krzesło.

– Mówię o tym, co zaplanowaliście w waszych chorych głowach, a co twój jeszcze bardziej chory syn wykonał – wycedził komisarz. – Na szczęście morderstwo, które miało być zwieńczeniem waszego makabrycznego planu zemsty, nie doszło do skutku, lecz i tak zgnijesz w pierdłu!

Maleta patrzył na zdjęcia, z niedowierzaniem kręcąc głową.

– Co się stało z moim synem? – zapytał po chwili.

– Został zastrzelony – poinformował sucho Walter. – Chciałbym powiedzieć, że mi przykro, ale nie jest mi przykro.

Więzień podszedł do drzwi i walnął w nie pięścią.

– Koniec wizyty – zawołał. Zanim wyszedł, odwrócił się jeszcze do Waltera i dodał: – On odwiedzał tu kogoś jeszcze. Kogoś, kogo bardzo dobrze znasz.

Gdy współlokatorzy spod celi wrócili ze spacerniaka, w pierwszej chwili pomyśleli, że Maleta się modli. Zdziwił ich ten obrazek, gdyż nigdy nie widzieli Nikodema na kolanach. Klęczał z zadartą głową przy ścianie, zwrócony do nich plecami. Kędzierzawa czupryna opadała mu na kark. Dopiero gdy podeszli bliżej, ich oczom ukazała się jego sinoczerwona twarz. I zaciśnięty na szyi stryczek z potarganego prześcieradła.

ROZDZIAŁ 81

Mężczyzna, który bez pardonu przerwał Niskiemu miłosne igraszki, został głównym kontaktem między nim a siedzącym w sztumskim więzieniu gangsterem. To od niego Niski odbierał wszelkie instrukcje i to jemu zdawał relacje. Na Wicherka czekało stanowisko w resorcie spraw wewnętrznych. Któregoś poniedziałku po prostu zgłosił się do osoby, którą wskazał mu jego opiekun, bez zbędnych pytań podpisał jakieś papiery i został wciągnięty na listę płac jako zewnętrzny konsultant z pensją dużo powyżej stołecznej średniej.

Po kilkunastu dniach pracy w charakterze konsultanta widmo odebrał telefon od swojego opiekuna. Miał nawiązać kontakt z jakimś Joachimem Gojnym, nadleśniczym z podwarszawskiego Leszna, a prywatnie wielbicielem nieletnich dziewcząt. Jego zadaniem było doprowadzić do spotkania Gojnego z tym drugim mężczyzną – na tym jego rola miała się skończyć. Tak się jednak nie stało. Nawiązanie znajomości z Gojnym okazało się dla Wicherka banalnym zadaniem. Dowiedział się, że w związku z popadającym w ruinę budynkiem nadleśnictwo poszukuje kontrahentów do prac budowlanych, zgłosił się więc do Gojnego jako właściciel niewielkiej firmy budowlano-remontowej, obiecując ekspresowe terminy i konkurencyjne ceny. Pod pretekstem omówienia szczegółów na miejscu inwestycji wyciągnął Gojnego na przejażdżkę swoim samochodem. Tam, niby przypadkiem, spod fotela pasażera wystawało kilka czarno-białych zdjęć z rozneglizowanymi nimfetkami. Niski wyraźnie widział błysk w oku Gojnego. Od słowa do słowa panowie przyznali, że mają wspólne hobby, i umówili się na wymianę kolekcji. To tamtego dnia Niski zapytał Gojnego, czy może go odwiedzić ze znajomym, osobą, która dzieli ich wspólną pasję i może wiele wnieść w ich rozwijającą się przyjaźń. Gojny,

początkowo nieufny, ostatecznie się zgodził i zaprosił obu do swojego domu.

Mężczyzna, którego Niski miał przedstawić Gojnemu, czekał na niego w umówionym miejscu. Bez słowa wszedł do samochodu i mimo podejmowanych przez Wicherka prób nawiązania konwersacji przez całą drogę milczał. Siedział nieruchomo, wpatrując się w jeden punkt. Na głowie miał obszerny kaptur bawełnianej bluzy, odsłaniający tylko czubek jego nosa. Nie zdjął go przez całą drogę. Cały czas palił też papierosy. Jednego za drugim. Gryzący dym drażnił Niskiego, lecz nie protestował. Czuł wobec nieznanego jakiś dziwny respekt, graniczący z narastającym strachem. Gdy dojechali na miejsce, odetchnął z ulgą. Zapukali i po kilku chwilach drzwi się otworzyły. Zamiast twarzy Gojnego, ujrzeli jednak ładną buzię kilkunastoletniej dziewczyny. Miała na sobie granatowy sweter ze znaczkiem znanego warszawskiego gimnazjum społecznego. W ręce trzymała kurtkę. Niski miał wrażenie, że oczy dziewczyny skanują ich twarze, zapisują obraz na twardym dysku. Po chwili wyminęła ich i odeszła w kierunku jezdnii. Niski odprowadził ją wzrokiem. Jak się wkrótce okazało, nie on jeden. Na dziewczynę ktoś czekał. Chłopak ubrany w czarną, skórzaną kurtkę. Wziął ją za rękę i oboje szybko się oddalili. Wtedy w progu stanął Gojny i zaprosił gości do środka. Mężczyzna w kapturze szedł za leśnikiem, na końcu podążał Niski. Weszli do obskurnego salonu umeblowanego politurowanymi meblami z końca lat sześćdziesiątych. Na środku stały stół i cztery krzesła. Gojny już miał zaproponować gościom herbatę, a może nawet coś mocniejszego, gdy otrzymał potężny cios pięścią w skroń. Odruchowo złapał się za głowę i z niemym zdziwieniem spojrzął na zakapturzonego mężczyznę. Później osunął się na podłogę. Siedząc, kiwał się w przód i w tył niczym zamroczony alkoholem deliryk. Mężczyzna zdjął z palców kastet, włożył go do kieszeni, po czym przewrócił jedno z krzeseł. Kolejnym kopniakiem uderzył w nogę od krzesła, która pękła niczym sucha gałązka. Wziął ją do ręki i uklęknął przy kiwającym się na podłodze Gojnym. W ostatniej chwili podniósł wzrok na

Niskiego.

– Co ty tu jeszcze robisz? – zapytał. – Zabieraj się. Nie jesteś mi już potrzebny. Na razie.

Niskiemu nie trzeba było powtarzać. Po wizycie u Miotły wiedział, że pakuje się w śliską sprawę. Nie przypuszczał jednak, że wdepnie po uszy w śmierdzące gówno. Odwrócił się na pięcie i szybkim krokiem opuścił dom nadleśniczego.

Opiekun zadzwonił na drugi dzień. Po pierwsze, Niski miał się zgłosić do naczelnika Edwarda Rymarskiego, który oczywiście został o wszystkim uprzedzony. W Komendzie Stołecznej miał też się zbliżyć do nadkomisarza Romana Waltera i jego zespołu oraz być na bieżąco ze sprawą, którą prowadzili Walter i jego ludzie. Po drugie, miał znaleźć dziewczynę i chłopaka, świadków ich wizyty u Gojnego. Nie chciał myśleć, dlaczego jego mocodawcom zależy na namierzeniu pary świadków. Nie zastanawiał się nad tym. Nie chciał dociekać.

Dalej było coraz gorzej. Początkowo nie potrafił zrozumieć, w jakim celu miał zadzwonić do opiekuna dokładnie w momencie, gdy Walter zacznie przesłuchiwać Mariolę Becker, matkę zamordowanej w lesie dziewczyny. Gdy w końcu dotarło do niego, co było w paczce, którą przyniósł, skądinąd znajomy, kurier, strach, który zaczął odczuwać podczas ostatniej wizyty u Gojnego, pozostał już tylko nieistotnym wspomnieniem. Paczka z głową zamordowanej dziewczyny – jak się domyślił, dzięki niemu dostarczona we właściwe miejsce i o właściwym czasie – zaczęła mu się śnić po nocach. W końcu, zdesperowany, zadzwonił do opiekuna.

– Mam dość. Wypisuję się z tego bajzlu! – rzucił do słuchawki. – Jak chcesz, to wysyłaj te zdjęcia mojej starej. Mam to w dupie.

– Z tego, co widziałem, to niejedno już w niej miałeś – odparł głos po drugiej stronie.

– A żebyś wiedział! I powiem ci coś jeszcze – czekam na dzień, gdy ta stara raszpla zniknie z mojego życia, a ja w końcu

pofolguję sobie na całego. Więc do dzieła!

– A co tam słyhać u mamusi? – zapytał niespodziewanie opiekun.

– Co? – Niski zeszywniał. – U jakiej mamusi?

– Przecież nie mojej, zakuta pało. Jak się miewa staruszka?

– Nie twój zasrany interes!

– Na pewno się ucieszy, jak ją odwiedzisz, choć pewnie wolałaby widzieć cię w całości, a nie tylko od szyi w górę. Jak sądzisz? – Niskiego zatkało. Tu już nie chodziło o szantaż. W grę wchodziło jego życie. A po ostatnich wydarzeniach wiedział, do czego są zdolni. – No to jak? Dalej chcesz się wypisać? – usłyszał po chwili.

Gdy czekał w mieszkaniu Łukasza, chłopaka Nikoli, poważnie rozważał opcję samobójstwa. W pewnym momencie był nawet całkiem blisko, lecz wtedy napatoczył się aspirant Maciej Krępy. Wraz z nim odeszły ponure myśli, ustępując miejsca wściekłości i tłumionej nienawiści. Teraz mógł przynajmniej pośrednio odpłacić Walterowi za wszystkie upokorzenia, których zaznał z jego powodu. I niewiele zabrakło, by mu się udało.

EPILOG

Alicja wsiadła do samochodu, wciąż niezdecydowana, którą drogę wybrać. Zerknęła na błękitne niebo. Po wczorajszych burzowych chmurach nie było śladu. Wznoszące się nad horyzont słońce przedzierało się przez pokryte gęstym listowiem gałęzie drzew. Podjęła decyzję i ruszyła drogą sześćset trzydzieści siedem w stronę Stanisławowa. Ciągący się od Rembertowa wzdłuż drogi las był bardziej kuszący niż usiana tirami krajowa „dwójka”. Do Kałuszyna dotarła kilka minut po południu. Nie zapowiedziała swojej wizyty, ale była pewna, że go tam zastanie. Kropka oznaczająca jego telefon od dwóch tygodni trwała nieruchomo na ekranie lokalizatora GPS. Do końca terapii miał jeszcze tydzień. Wiedziała, że alkoholikom nie można do końca ufać. Zresztą wyznał jej kiedyś, że sam sobie nie ufa. Ale trwał. I miał trwać przez kolejne dni. Bała się, że sprawa z Maletą pograży go do końca. Gdy wyszło na jaw, kto stał za morderstwami, Walter zaczął się obwiniać o przyczynienie do jego samobójstwa. Wbrew wszelkim obawom okazał się jednak nadspodziewanie silnym facetem. „Muszę zacząć od nowa, Ala”, powiedział, gdy wyznał jej, że zamierza poddać się terapii. „Wiem, że jeśli nie przestanę pić, demony mnie nie opuszczą. Każdy łyk sprowadza je do mnie, a ja nie chcę ich więcej oglądać. Chcę pamiętać, ale inaczej. Bez bólu. Joanna i Anetka muszą zacząć się uśmiechać. A jak piję, widzę tylko ich łzy”.

Dziewiętnastowieczny dworek był położony w zaniedbanym parku. Alicja pomyślała, że kremowo-biały budynek wygląda całkiem uroczo. Osłonięty wiekowymi dębami, niewidoczny od strony ulicy, był niczym angielska rezydencja zamieszkała przez podupadłą, szlachecką rodzinę rodem z powieści Jane

Austen.

Ignorując znak zakazu, przejechała przez dwuskrzydłową, pokrytą śnieżką kutą bramę. Po prawej stronie na ceglanych murze umocowano metalową tablicę. „Ośrodek terapii uzależnień – Nowy Dzień” – głosiły białe, wielkie litery. Zaparkowała i wyjęła telefon komórkowy. Już miała wybrać numer, gdy zorientowała się, że to bez sensu. Zgodnie z zasadami panującymi w ośrodku wszyscy pensjonariusze byli zobowiązani do zdeponowania swoich telefonów, laptopów i tabletów – wszystkiego, co służyło do kontaktu ze światem zewnętrznym. Jedyнным przywilejem były odwiedziny, dopuszczalne jednak dopiero po drugim tygodniu pobytu.

Schowała telefon z powrotem do torebki i ruszyła w kierunku wejścia, gdy za jej plecami rozległ się znajomy głos:

– Czekam na ciebie już godzinę.

Walter siedział na ławce w cieniu gałęzi kilkusetletniego dębu. Dlatego wcześniej go nie dostrzegła.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się i usiadła obok. – Skąd mogłeś wiedzieć, o której przyjadę?

– Nie wiedziałem. Co nie zmienia faktu, że czekałem. – Ucałował ją na powitanie w policzek. – Od rana zaglądałem na parking.

Alicja poczuła miłe mrowienie w brzuchu; była prawie pewna, że się zaczerwieniła.

– Jak ci tu, Roman? – zapytała z powagą.

– Patrzysz na mnie, jakbyśmy nie widzieli się z dziesięć lat – stwierdził, uśmiechając się szeroko.

– Bo nie mogę się nadziwić. Wyglądasz fantastycznie.

– I tak się czuję. – Roman nie spuszczał z niej wzroku. – Jest naprawdę w porządku. Na początku trochę się bałem tych sesji, tego siedzenia w kółku i prania przed innymi swoich brudów. Wiesz, mówi się o rzeczach, o których człowiek wstydzi się mówić przed lustrem, a co dopiero przed żywymi ludźmi. Teraz jednak wiem, że nie ma innego sposobu. Trzeba to wszystko z siebie wyrzucić i po prostu się przyznać. Do tego, kim naprawdę się jest. Tylko wtedy można zrobić krok do przodu.

– Jesteś wśród ludzi, którzy mają ten sam problem

i doskonale cię rozumieją – powiedziała łagodnie Alicja. – Prawdopodobnie wszyscy walczyli z tymi samymi demonami. Ale za jakiś czas wrócisz do zwykłego świata, do stresów, presji w robocie i... – Zawiesiła głos.

– I do wszechobecnego alkoholu – dokończył za nią. – Wiem. Spojrzała na niego spod zmarszczonych brwi.

– Nie boisz się?

– Boję się. Ale wierzę, że mi się uda. Jestem trzeźwy od kilku tygodni i naprawdę czuję się z tym świetnie. Zresztą terapia nie zakończy się wraz z wyjazdem z ośrodka. Tam, na zewnątrz – wskazał głową w kierunku bramy – pociągnę to dalej. Dowiedziałem się, że paru chłopaków z firmy chodzi na mityngi, więc będę miał dobre towarzystwo. – Mrugnął porozumiewawczo.

– To dobrze. – Alicja pokiwała głową. – Będę trzymać kciuki.

– A co tam u Maćka? – Roman zmienił temat.

– Aspirant Krępy chyba się zakochał – odparła szeptem, jakby przekazywała mu wielką tajemnicę.

– No co ty? – Komisarz nie krył zdziwienia. – Czyżby się okazało, że jest na świecie coś atrakcyjniejszego niż konsola do gier?

– Najwyraźniej tak. Maciek zabujał się w jakiejś nauczycielce i w każdy weekend jeździ na Lubelszczyznę.

– Wszystko jasne. To pewnie ta babka ze szkoły w Ludwikowie. Wspominał mi o niej, ale żeby zaraz miłość, no, no...

Alicja parsknęła śmiechem.

– Mam tylko nadzieję, że w tamtejszej komendzie nie mają wakatów. Jeszcze nam chłopak pójdzie ścigać pijanych rowerzystów i złodziei krów.

– Nie ma co się martwić na zapas. Cokolwiek miałyby się wydarzyć, cieszę się, że ma partnerkę. To dobry chłopak i zasługuje na dobre życie. – Ostatnie zdanie, co nie uszło uwagi Alicji, Walter wypowiedział z nutą smutku. Przez chwilę siedzieli w ciszy. Choć skryci w cieniu, czuli na skórze ciepły powiew lekkiego wiatru dochodzącego od strony pastwisk. – Muszę ci coś powiedzieć.

Alicja ponownie poczuła mrowienie w brzuchu.

– Tak?

Ujął jej dłoń i spojrzał głęboko w oczy.

– Wiesz, wtedy, w tej szkole, myślałem, że to już koniec. Bałem się, przeraźliwie się bałem, że cię stracę i nic już nigdy nie będzie miało sensu. I dotarło do mnie, że... że chcę z tobą być. Czy myślisz, że może nam się udać?

– Myślę, że tak – wyszeptała.

W Puszczy Kampinoskiej zostają znalezione zmasakrowane zwłoki nastolatki. Wszystko wskazuje na rytualny mord dokonany przez okrutnego i żądnego zemsty oprawcę. Morderca zapowiada kontynuację i wciąga ścigającego go policjanta w makabryczną grę cieni. Nadkomisarz Roman Walter rozpoczyna wyścig z czasem i zabójcą. Podejmuje dramatyczną walkę, w której stanie twarz w twarz z demonami przeszłości.

Mam takie lekkie zawodowe skrzywienie, że lubię, gdy kryminał zaczyna się konkretnie – jest trup, jest sprawa. Na takiego właśnie natrafiamy już na pierwszych stronach debiutanckiej powieści Marcina Grygiera. Morderca urządza w Puszczy Kampinoskiej krwawą jatkę. Wkrótce okazuje się, że to dopiero pierwszy punkt misternego i chorego planu, którego złożoność i skrupulatność realizacji przywodzi na myśl skandynawskie powieści i seriale kryminalne. By odkryć tożsamość psychopaty i poznać jego motyw kierujący śledztwem policjant jest zmuszony sięgnąć do własnej przeszłości. Okazuje się, że nic nie zostało tak naprawdę zapomniane. Zawsze jest ktoś, kto widział, kto wie, kto pamięta...

Autor umiejętnie wciąga czytelnika w swoją grę, powoli odsłania przed nim ponurą i tragiczną prawdę oraz wyjaśnia role, jakie odegrały poszczególne postaci. Najlepsze karty trzyma jednak w tajemnicy aż do samego końca.

Gaja Grzegorzewska

Patronat medialny

